



ZAPOMNIANY POKOJ

W
yda
ab
two

Karen White Lauren Willig
Beatriz Williams

Karen White, Lauren Willig, Beatriz Williams

ZAPOMNIANY POKÓJ

przełożyła Magdalena Koziej



Za czerwone wino, dobrych przyjaciół i stare domy

Podziękowania

Książka ta nie powstałaby bez wsparcia naszej nieustraszonej redaktorki Cindy Hwang i wspaniałego zespołu z NAL. Wszyscy oni wierzyli w tę niekonwencjonalną powieść od chwili narodzenia się pomysłu.

Dziękujemy również Alice's Tea Cup – cudownej manhattańskiej herbaciarni, w której skulone nad filiżankami herbaty i pysznymi babeczkami obmyślałyśmy szkic fabuły. Niski pokłon składam Inn z Palmetto Bluff za czas spędzony nad snuciem opowieści, za kofeinę oraz mocniejsze trunki, kiedy padałyśmy ze zmęczenia tuż przed upływem terminu oddania książki. I oczywiście wielkie podziękowania należą się Hospital for Special Surgery za to, że pozwolono nam szwendać się po budynku, obfotografowywać go i zaludniać wymyślonymi postaciami. Annie O'Connor dziękujemy za jej wspomnienia dotyczące Nowego Jorku podczas drugiej wojny światowej i za cały ten czas, który spędziła na wyszukiwaniu różnych błahych informacji. Jesteś doskonałą researcherką.

Na koniec nie mniej gorąco dziękujemy naszym mężom, dzieciom oraz różnym zwierzakom za okazywaną nam cierpliwość i wyrozumiałość, kiedy spędzałyśmy czas z tymi wszystkimi osobami, które istniały jedynie w naszej wyobraźni, nim zdołałyśmy je uwiecznić na papierze.

1

Nowy Jork

Czerwiec 1944

Kate

Bębnienie deszczu w zaciemnioną kopułę z witrażowego szkła, którą miałam nad sobą, działało na mnie odrętwiająco jak kołysząca się na łańcuszku złota cebula hipnotyzera. Ani twarde marmurowy schodek, na którym siedziałam, ani delikatnie rzeźbiona tralka, do której przyciskałam czoło, nie zdołały przeciwdziałać deszczowej kołysance. Próbowałam skupić uwagę na ozdobnej klatce schodowej starej rezydencji, studiować wyrafinowane detale architektoniczne, których nie mogła zamaskować nawet zamiana domu w szpital.

Przypomniałam sobie, jak spacerowałam w dzieciństwie po Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy z matką. Było to daleko od miejsca naszego zamieszkania, więc spacerowałyśmy, zadzierając głowy, by spojrzeć na sześciopiętrową kamienną rezydencję, a wydłużone okna gapiły się na nas w osłupieniu, najwyraźniej tak samo jak ja zaciekawione, co tam właściwie robimy. Pewnego razu matka wspomniała, że kiedyś mieszkała krótko w tym budynku, gdy mieścił się w nim pensjonat dla przyzwoitych kobiet. Jednak nigdy, do samej śmierci przed trzema laty, nie wyjawiała mi, skąd brał się przymus ciągłego powracania w to miejsce. Zaraz po ukończeniu studiów medycznych dostałam posadę w szpitalu Stornaway, co wydawało się zaskakujące, zupełnie jakby matka sama to wszystko zaplanowała.

Mój wzrok spoczął na odległej ścianie, a ściślej na płaskorzeźbie przedstawiającej świętego Jerzego zabijającego smoka. Ten motyw powracał w różnych miejscach budynku, co miałam okazję wielokrotnie zauważyć, odkąd niemal rok temu zaczęłam pracować w mieszczącym się tu szpitalu. Powieki same mi się przymknęły, więc oglądałam scenę jakby zza ciemnej zasłony, wyobrażając sobie, że widzę, jak święty i smok schodzą ze ściany i kotłują się na podłodze z kafelków w nieustającym pojedynku.

Zmusiłam się do otworzenia oczu, by się upewnić, że kamienni przeciwnicy nadal trwają w bezruchu. Przytrzymałam się balustrady i podciągnęłam, żeby wstać. Czułam się bardzo, ale to bardzo zmęczona. To był mój drugi z kolei całodobowy dyżur i wątpiłam, czy ostatni. Szpitale miejskie pękały w szwach z powodu napływu żołnierzy, rannych podczas inwazji na francuskim wybrzeżu. Ponieważ nasze szeregi zostały przetrzebione po zwerbowaniu lekarzy do wojska walczącego za granicą, ci, którzy jeszcze byli na miejscu, pracowali w wymiarze godzin rzadko spotykanych po studiach medycznych.

Zbliżający się ryk syreny pomógł mi zebrać się w sobie, zanim jakaś pielęgniarka znajdzie mnie w stanie takiego zamętu. Byłam jedyną kobietą w zespole lekarzy, toteż miałam trudności z odgrywaniem przed kolegami osoby bez uczuć oraz potrzeb osobistych. To było prawie niemożliwe wobec pielęgniarek. Gdyby spytały mnie, dlaczego zostałam lekarką, chętnie bym odpowiedziała. Ale nie pytały. Wszystkie miały takie samo zdanie na mój temat: zostałam lekarką, bo uważałam, że jestem za dobra, by zostać pielęgniarką.

Kilka z nich szanowało mój status lekarza pomimo płci, ale reszta była zbyt tradycyjna, a że ciężko pracowały na awans w swoim zawodzie, uważały mnie za zwykłą karierowiczkę.

Niemal się roześmiałam na myśl o tym, przypominając sobie te wszystkie baseny, które zmieniałam, i szwy, które założyłam z powodu fatalnego braku personelu medycznego. Jednak od razu mi się odechciało śmiać, kiedy zdałam sobie sprawę, że syrena wyje coraz głośniejsze, jakby się do mnie przybliżała. Skłęłam w duchu zasłony w oknach i zamalowane szyby, które równie skutecznie zasłaniały widok z wnętrza szpitala, co zaciemniały miasto, aby ustrzec je przed ewentualnym atakiem z powietrza.

Już całkiem przytomna zbiegłam spiralnymi schodami, mijając po drodze eleganckie pokoje, które przerobiono na sale operacyjne, laboratorium oraz przepelnione sale dla rekonwalescentów. Biały fartuch łopotał mi wokół gołych nóg. Od paru lat nie miałam dobrych nylonów, ale widziałam zbyt wiele okropieństw wojny, by się przejmować takim głupstwem.

Pierwsza dopadłam holu, chwyciłam leżącą na stoliku latarkę i szybko włączyłam. Wewnętrzne drzwi prowadzące do przedsionka były prowizorycznie przymocowane do ściany, więc wystarczyło pociągnąć te zewnętrzne, by wyjść z budynku. Od razu sieknęły mnie strugi deszczu i natychmiast przemoczony fartuch i sukienka przyłgnęły do ciała.

Zbiegłam po śliskich kamiennych schodach do sanitarki, która właśnie podjeżdżała do krawężnika, miała reflektory zamalowane od góry na czarno i wyłączone światło ostrzegawcze. Z karetki wysiadł kierowca, potężny mężczyzna o smutnych oczach, które wзираły spod ronda ociekającego wodą kapelusza.

– Chwileczkę – powiedziałam, zagradzając mu drogę. Musiałam podnieść głos, by przekrzyczeć bębnienie deszczu w dach ambulansu i chodniki. – Nie mamy miejsca. Pacjenci leżą nawet na łóżkach polowych w jadalni. Szpital jest całkowicie przepelniony.

– Ja tylko wykonuję rozkazy, proszę pani. Mam oficera prosto ze statku, w ciężkim stanie. Powiedziano mi, że mam go przywieźć tutaj.

– Ale...

Mężczyzna wyminął mnie, jakbym była małym ujadającym pieskiem, podczas gdy doktor Howard Greeley spokojnie zszedł po schodach, trzymając

parasol, i zbliżył się do tylnej części ambulansu. Spojrzał na mnie wyłupiastymi oczami, zatrzymując wzrok na oblepiającym mnie przemoczonym ubraniu, jednak nie zaoferował parasola.

Pokręcił z dezaprobatą głową i zwrócił się do kierowcy:

– Co tu mamy?

– Oficera, proszę pana. W ciężkim stanie.

– Znajdziemy dla niego miejsce. – Doktor Greeley posłał mi miazdzące spojrzenie.

Obaj mężczyźni nadal mnie ignorowali, a kiedy sanitariusze otworzyli drzwi karetki, zajrzeliśmy do środka, gdzie pod kocem leżała skulona postać. Pomimo czerwcowego upału człowiek drżał, jakby wstrząsały nim dreszcze.

Kiedy sanitariusze zajmowali się pacjentem, kierowca podał doktorowi Greeleyowi teczkę, którą uznałam za dokumentację medyczną. Nie zamierzałam odgrywać roli gapia, więc chwyciłam teczkę i wślizgnęłam się pod parasol.

– Świetny pomysł – powiedziałam, nic sobie nie robiąc z gniewnej miny Greeleya. – Niech pan potrzyma parasol, a ja na to zerknę.

Starając się, by nie kapąło na kartki, przebiegałam je wzrokiem i przekazywałam najważniejsze informacje doktorowi Greeleyowi.

– Odniósł ranę postrzałową w nogę w Cherbourgu, uszkodzona kość. Lekarz polowy chciał amputować, ale... – powędrowałam wzrokiem ku górze strony, gdzie wypisano nazwisko żołnierza – kapitan Ravenel odwiódł go od tego pomysłu. Ranę opracowano chirurgicznie i zaaplikowano sulfonamid, jednak brakło czasu, by trochę poczekać z jej zszyciem. – Bezwiednie zagryzłam dolną wargę, pojmując, jak doszło do zakażenia. – Pozorne działanie sulfonamidu kazało im sądzić, że rana się goi i można go zszyć, a potem zapakować na statek do domu, bo noga, nawet zaleczona, i tak nie zdałaby się już na nic żołnierzowi piechoty.

Podniosłam wyżej latarkę, żeby odczytać ostatnią adnotację, zapisaną innym charakterem pisma, pewnie przez lekarza pokładowego.

– Odłamek kości albo innego ciała obcego musi nadal tkwić w nodze, powodując zakażenie, lecz z powodu niedoboru penicyliny na statku kapitan oświadczył, że poczeka na operację w Stanach. – Zamknęłam teczkę. Głupiec, pomyślałam, ale z odcieniem podziwu. – Prawdziwy z pana bohater, kapitanie Ravenel – dodałam cicho.

Sanitariusze poczęli wyjmować nosze z ambulansu, co wywołało jęk leżącego na nich człowieka. Wysunięty z samochodu fragment koca natychmiast ściemniał od deszczu, ja zaś, zamiast wyrwać parasol doktorowi Greeleyowi, wcisnęłam mu teczkę i latarkę, a potem ściągnęłam z siebie biały kitel, by okryć żołnierza.

Kiedy sanitariusze wnosili nosze po schodach, w drodze do drzwi starałam się możliwie jak najlepiej osłaniać ранego przed ulewnym deszczem, co niezbyt

mi się udało, bo fartuch był przemoczony. Nie widziałam twarzy żołnierza, ale pochyliłam się nad noszami w miejscu, gdzie powinna się znajdować, i powiedziałam:

– Kapitanie Ravenel, jestem doktor Kate Schuyler, znajduje się pan w nowojorskim szpitalu Stornaway. Zapewnimy panu dobrą opiekę.

Wygłaszałam tę standardową formułkę zawsze, ilekroć nowy pacjent pojawiał się w eleganckich drzwiach z mosiężnymi i żelaznymi okuciami, ale z jakichś powodów wydawało mi się, że temu żołnierzowi potrzebna jest bardziej niż innym.

Dwie pielęgniarki przytrzymały drzwi, kiedy sanitariusze wnosili nosze do środka, a potem spojrzały pytająco na doktora Greeleya w oczekiwaniu na dalsze polecenia.

– Zabierzcie go do sali operacyjnej. Jest tam jedyne wolne łóżko, jakie mamy. Musimy go oczywiście najpierw zbadać, ale założę się, że trzeba będzie obciąć tę nogę.

– Nie.

Spojrzeliliśmy po sobie zdziwieni, zastanawiając się, skąd się wziął ten na pozór bezcielesny głos.

– Nie – powtórzył ten sam głos, lecz tym razem towarzyszył mu mocny chwyt ciepłych i silnych palców, które zacisnęły się na moim nadgarstku.

Po raz pierwszy spojrzałam na twarz kapitana Ravenela i poczułam, jakby powietrze między nami stężało. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam. Miał oczy koloru zimowej trawy, lśniące pod osłoną ładnych ciemnych brwi i prostych czarnych włosów. Jego skóra, choć ściągnięta i blada w okolicy ust, była ogorzała od słońca. Ale to nie jego uroda sprawiła, że nie mogłam oderwać od niego wzroku. Chodziło o to, jak na mnie patrzył. Jakby mnie znał.

– Proszę nie pozwolić, żeby mi obcięto nogę – powiedział, zwracając się wprost do mnie. Na jego czole pojawiły się krople potu, powróciły dreszcze, ale nie wyglądało na to, że majaczy. – Proszę – dodał cicho, wbijając we mnie wzrok. Potem rozluźnił palce, jego ręka zsunęła się z mojego nadgarstka i zwisała bezwładnie. Ranny zamknął oczy.

– Proszę do pokoju operacyjnego numer jeden – powtórzył Greeley, jakby nie słyszał błagania mężczyzny.

Pielęgniarka wskazała drogę do małej windy.

– Nie – odezwałam się stanowczo, zdziwiona tym nie mniej niż wszyscy pozostali. Stałam twarzą w twarz z doktorem Greeleyem. – Przed operacją należy zlikwidować zakażenie, a to trochę potrwa. Może zająć mój pokój.

Z powodu ciągłych dyżurów przydzielono mi lokum w szpitalu na szóstym piętrze. Miało to być rozwiązanie tymczasowe, ale kiedy wygasła moja umowa najmu, nie odnowiłam jej, bo uznałam, że niepotrzebnie tracę pieniądze na czynsz,

skoro i tak rzadko nocuję w tym wynajętym mieszkaniu. Nie miałam już rodziny, więc wydało mi się całkiem naturalne, że wprowadzam się do pokoju na poddaszu, gdzie mogę udawać, chociaż przez jakiś czas, że to mój dom i że pokoje na niższych piętrach zajmują moi różni krewni.

Obecnie pomieszczenie służyło jako schowek. A że miało kopulasty świetlik i rząd wysokich, zakończonych półkoliście okien, wyobrażałam sobie, że pełniło kiedyś bardziej reprezentacyjną funkcję.

– To dość niestosowne – zauważył z oburzeniem doktor Greeley, jakby sam nigdy nie robił mi niestosownych uwag.

– Przeniosę się do pokoju pielęgniarek nocnej zmiany. Nawet jeśli będę musiała spać na kocach, to tylko przez jakiś czas.

Skrzywił się.

– Nie mogę przez cały dzień latać po tych schodach w górę i w dół, by go dogłądać. Będzie miał lepszą opiekę w pokoju pooperacyjnym.

– W takim razie ja się nim zajmę – odparłam, wyczuwając irytację noszowych, którzy czekali na decyzję.

Sama nie wiedziałam, dlaczego tak walczę o tego mężczyznę, którego przecież nie znałam. Ale pamiętałam jego oczy i czułam dotyk palców na skórze. Pamiętałam to wrażenie, jakby mnie rozpoznał.

– Zbadamy go i ustalimy leczenie, a potem umieścimy w moim pokoju. Będę odpowiedzialna za opiekę nad nim. Jeśli nie uda mi się wyleczyć zakażenia i nogę trzeba będzie amputować, będzie pan miał moje wsparcie.

Nieco udobruchany i zachwycony tym, że będzie mógł napawać się moją porażką, doktor Greeley oschle skinął głową.

– Dobrze. Zabierzmy więc pacjenta do sali operacyjnej, zbadajmy, a jeśli rokowania będą pomyślne, przeniesiemy go na górę. Tylko proszę pamiętać, że bierze pani za niego całkowitą odpowiedzialność, mając na głowie wszystkie inne obowiązki. Źle by się stało, gdyby jego stan się pogorszył, bo nie poradziła pani sobie z nawałem zadań.

– Nie będę się uchylać od obowiązków – odpaliłam, zdziwiona własną gwałtownością.

Spojrzałam znów na oficera i z zaskoczeniem zobaczyłam, że ma otwarte oczy. Jednak patrzył szklistym wzrokiem i chociaż skierował go na mnie, nie byłam pewna, czy mnie widzi.

– Victorine – wyszeptał, zanim przymknął lekko drżące powieki.

Patrzyłam, jak nosze znikają w windzie, i nagle poczułam się osamotnioną.

Olive

Tej nocy, gdy Olive Van Alan odkryła, co znajduje się na poddaszu rezydencji przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, planowała coś całkiem innego. Ale tak to właśnie bywa, że ludzie patrzą nie w tym kierunku co trzeba.

Olive więc leżała w wąskim łóżku i rozmyślała nad swoimi planami, czując się w tym ciemnym pokoju ślepa jak kret. Jeśli w ogóle miała jakieś złe przeczucia, dotyczyły gospodyni, która właśnie dokonywała codziennej wieczornej inspekcji na korytarzu. Nakrochmalone halki szeleściły wokół jej nóg, kiedy pukała do każdych drzwi, a po lakonicznym „Dobranoc, Mona” albo „Dobranoc, Ellen” następowała automatyczna odpowiedź „Dobranoc, pani Keane”, zanim gospodyni ostatecznie zamknęła za sobą drzwi w holu.

Zamek w drzwiach, jak powiedziano Olive, miał zapewnić jej bezpieczeństwo. Pani Keane pochodziła z Anglii – widocznie w tych sferach posiadanie angielskiej gospodyni stanowiło oznakę prestiżu – i wyjaśniła głosem kojarzącym się z pękaniem skorupki jajka, że dziewczęta nie są trzymane pod kluczem, na litość boską, lecz chronione zamkniętymi na klucz drzwiami przed światem zewnętrznym, zwłaszcza przed nikczemnymi męskimi zakusami.

Olive, kiedy wypełniała codzienne obowiązki, co krok natykając się na mężczyzn, zastanawiała się, gdzie ukrywają te nikczemne zakusy i dlaczego należy się spodziewać, że zapanują nad nimi dzięki wsparciu solidnego zamka Yale z zasuwą – najwidoczniej chodziło o zakusy nie tylko nikczemne, ale też nocne, jednak nie ośmieliła się zapytać o to wprost panią Keane. „Nie bądź bezczelna”, odparłaby gospodyni. Bezczelność była uznawana za jedno z najbardziej wywrotowych, a tym samym skrajnie niebezpiecznych przestępstw personelu domowego, którym zarządzano zgodnie z surowymi angielskimi zasadami.

Pani Keane zmarszczyłaby wtedy podejrzliwie czoło i być może przyjrzałaby się dokładniej zadbanej twarzy Olive i jej miękkim dłoniom, zwróciłaby uwagę na powściągliwość jej głosu i bystre oczy, a to była ostatnia rzecz, jakiej Olive potrzebowała. A więc zamek pozostał na straży, a rząd identycznych klitek na piątym piętrze rezydencji Prattów przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy był chroniony przed nikczemnymi męskimi zakusami jak Akademia dla Młodych Dam panny Ellis, w której Olive kształciła się w dawnym życiu. Tak samo jak teraz Olive spędzała wtedy te ciemne godziny pomiędzy zamknięciem a zaśnięciem, obmyślając sposoby ucieczki, niby kot dumający na parapecie. Liczyła minuty upływające od chwili, gdy ucichł ostrożny stukot butów pani Keane na schodach.

Nasłuchiwała skrzypienia sprężyn, kiedy inne pokojówki wierciły się przed snem. Walczyła z nieuchronną falą rozleniwienia, która ogarniała ją jak pijaństwo – tak, właśnie tak! Była po prostu pijana zmęczeniem po długim dniu harówki, po tym całym szorowaniu i polerowaniu, ścieleniu łóżek oraz nieustannym przynoszeniu, odnoszeniu, i to biegiem, w górę i w dół po wielkich marmurowych schodach, które wiły się przez sześć pięter aż do kopuły z witrażowego szkła na szczycie budynku. Pokusa zaśnięcia była przemożna.

Sen tak ją nęcił, że dała za wygraną przez cztery poprzednie noce. Budziła się wystraszona, słysząc szcęk zamka otwieranych drzwi w holu i dziarskie nawoływania pani Keane.

Olive przesunęła rękę pod kocem w poprzek ciała i zaczęła szczytać się w drugą rękę, od ramienia do łokcia, aż łzy popłynęły jej z oczu, a umysł się rozbudził.

Sprężyny łóżek w sąsiednich pokojach teraz już nie skrzypiały. Dom też był cichy, i to tak bardzo, że Olive mogła odróżnić kilka odgłosów z zewnątrz: łagodny szum deszczu bijącego w szklaną kopułę, czyjaś kłótnię w odległym ogrodzie. Rezydencja Prattów stała w dzielnicy mieszkaniowej, z dala od śródmiejskiej wrzawy, ale z każdym dniem zdawało się, że jest tam bardziej hałaśliwie, że przybywa sklepów, a gdyby Olive leżała całkiem nieruchomo, mogłaby poczuć, jak metropolia zakrada się pod próg domu Prattów, sięgając łapczywie aż na sam koniuszek wyspy Manhattan i jeszcze dalej. Nowy Jork był miastem boomu gospodarczego, wszyscy mieszkali, albo pragnęli mieszkać, w Nowym Jorku, a żądy posiadania modnych nowych budynków – w przeciwieństwie do nikczemnych męskich zakusów – nie mógł powstrzymać stary zamek w drzwiach holu. Kolejne wspaniałe domy wyrastały wokół rezydencji Prattów, która miała jedynie rok, a stała na ziemi, która zaledwie dziesięć lat wcześniej stanowiła część farmy Jamesa Lenoxa. Biedny pan Lenox: jeszcze zanim sprzedał go pod zabudowę, teren ten pojawił się na mapach z rozplanowaną już siatką ulic, szczelnie pokrywającą pagórkowate pola. Ambitny projekt Manhattanu ujęty w porządne kwadraty wypełnione domami i sklepami był z góry przesądzony.

To był dobry czas dla budowniczych na Manhattanie. Dobrze było być architektem, a przynajmniej tak sądził ojciec Olive w tamtym życiu. Rok temu.

Minęło już wiele minut, odkąd skrzypnęła ostatnia sprężyna, od kiedy jęknęła ostatnia rura, którą ciurkała woda. Podłogi były jeszcze zbyt nowe, by skrzypieć. Olive znowu się uszczypnęła, odczekała kolejnych pięć minut, po czym wstała z łóżka tak ostrożnie, że nie poruszyła nawet jednego zwoju sprężyn.

Flanelowy szlafrok był przewieszony przez oparcie krzesła. Olive wsunęła stopy w kapcie i zarzuciła szlafrok na ramiona.

Pani Keane miała rację: pokojówki rodziny Prattów wcale nie były trzymane pod kluczem. Kiedy w tumanach pyłu zbliżał się koniec budowy, ojciec Olive

dopilnował, by w drzwiach prowadzących do holu zamontowano zamek, w którym zasuwę otwiera się od środka, ponieważ – o mój Boże! – pomyślcie tylko o losie biednych pokojówek, jeśli, niech ręka boska broni, do budynku wdarłby się w środku nocy ogień! Wybuchłby straszliwy skandal, w prasie krzyczałyby oskarżycielsko wielkie nagłówki. Napiętnowano by pana Henry’ego Augusta Pratta jako bezlitosnego mordercę niewinnych przedstawicielek niższej klasy, dickensowskiego łajdaka najgorszego sortu. Mógłby nawet zostać oskarżony przed sądem. A więc za sprawą pełnej oburzenia interwencji ojca Olive otworzyła teraz zasuwkę i obróciła bez trudu nową mosiężną gałkę, lecz zanim zamknęła ponownie drzwi, wsunęła swoją Biblię w szczelinę między skrzydłem a framugą. Nauczyła się tego triku od panny Ellis.

Po wyjściu z korytarza, gdzie mieszkały pokojówki, można było oddychać niemal świeżym powietrzem. Okazałe schody, które wiły się niby ogromna marmurowa wstęga pośrodku budynku, nie zostały zbudowane li tylko dla ozdoby, jak wyjaśniał Olive ojciec, wodząc palcem po starannych szkicach architektonicznych leżących przed nimi, chociaż to właśnie ich ornamentyka – od której oczy zachodziły łzami, brakło tchu i opadały szczęki – skłoniła pana Pratta do zaakceptowania projektu. Ta szeroka pionowa kolumna pustej przestrzeni wznoszącej się aż do kopuły umożliwiała niezbędną dla zdrowia cyrkulację powietrza. Nie było tu ciasnych, dusznych korytarzy. Latem, kiedy otwierano odpowietrzniki i gorące powietrze mogło ulatywać w niebo nad Manhattanem, temperatura wewnątrz wydawała się całkiem znośna. Może nawet nie chciało się uciekać do domku letniskowego w Newport, East Hampton albo Rumson.

Jednak właśnie to, pomyślała Olive, kiedy skręciła za róg i namacała stopą pierwszy stopień tylnych schodów, w samą porę unikając upadku, stanowiło problem ojca. Nie pojmował, że dla ludzi takich jak pan Pratt zdrowotne aspekty pięknej strzelistej klatki schodowej nie mają żadnego znaczenia.

Dla pana Pratta nie miało znaczenia to, że wraz z żoną i dziećmi mógł pozostać latem na Manhattanie, zamiast wydawać pieniądze na inną rezydencję w innym mieście. Chodziło o to, by się popisać, zademonstrować bogatym znajomym, że – o tak – jego również stać na to, co najlepsze. Nawet jeśli w rzeczywistości wcale tak nie było. Nawet jeśli odmówił zapłaty swojemu architektowi, po całkowitym zawłaszczeniu na dwa lata jego pracy, tylko dlatego, że mógł. Tylko dlatego, że był na tyle cwany, by przypieczętować kontrakt wyłącznie uściskiem dłoni. Dżentelmeńska umowa.

Doprawdy, śmiechu warte, pomyślała Olive. Pan Henry August Pratt dżentelmenem.

Światła były pogaszone, a Olive nie ośmieliła się zapalić świecy, którą trzymała w lewej ręce, więc po omacku odnajdowała stopnie wąskich schodków, biednych kuzynów tych, które panoszyły się efektownie pośrodku domu. To były

schody Olive, schody dla służby, czyli mówiąc wprost – odpowiednie do jej nowego statusu, ale i tak mogła przecież dojść po nich, dokąd chciała. Liczyła się tylko użyteczność. Mogła się tędy przemknąć niepostrzeżenie i bezszelestnie, nie poruszając wspaniałej kolumny czystego powietrza, które zasilalo wszystkie główne pokoje rezydencji Prattów. Mogła bez niczyjej wiedzy wejść do gabinetu pana Henry’ego Augusta Pratta.

A jednak czuła, jak tętnica mocno pulsuje jej na szyi, kiedy popychała ciężkie drzwi. Czuła się jak złodziejka, chociaż wiedziała, że postępuje słusznie. Ona tylko naprawiała wielkie zło. Walczyła o sprawiedliwość dla ojca, bo on sam nie mógł już tego zrobić. Prawdziwym złodziejem, powiedziała sobie i wymacała drżącymi palcami pudełko zapalek w kieszeni szlafroka, a potem wyciągnęła jedną i pocierała o draskę, prawdziwym złodziejem jest pan Pratt.

Wreszcie łebek zapalki zapłonął. Suchy trzask ognia, ostra woń siarki zadziałały na zmysły Olive tak mocno, że aż wstrzymała oddech, pewna, że wszyscy domownicy też usłyszeli i poczuli to samo. Miała wrażenie, że krew krążąca w jej żyłach, płynąca do kończyn i głowy, zlodowaciała, aż ją zamroczyło. Mój Boże, naprawdę jest tutaj. Naprawdę stoi w środku nocy w gabinecie pana Pratta, półtora metra od jego solidnego biurka, trzymając w ręku niedozwoloną świecę.

Chyba najlepiej będzie, jak się weźmie do roboty.

Ale gdzie zacząć szukać pisemnych dowodów zawodowych relacji, które nigdy nie zostały odpowiednio sformalizowane? „Proszę przysłać mi rachunek”, rzucił pobłaźliwie pan Pratt i ojciec wysłał rachunek, który nigdy nie został zapłacony. Czy pan Pratt go zachował? A jeśli tak, to czy stanowi on wystarczający dowód, że ojciec został oszukany i nie otrzymał należnej zapłaty?

Że pan Pratt, oszukując ojca, skutecznie zniszczył jego karierę, bo kto zatrudniłby architekta, który tak niesatysfakcjonująco wywiązał się z obowiązków, że klient nie zapłacił rachunku? I kto zatrudniłby architekta, który ośmiela się jeszcze awanturować o te niezapłacone rachunki?

Że pan Pratt, niszcząc karierę ojca, skutecznie zniszczył mu życie, bo jeśli ojciec nie mógł być architektem, był niczym, był zaprzeczeniem, niewidzialnym słupem pustej przestrzeni, za który nikt nie chce zapłacić.

Olive uświadomiła sobie, że drży, a zapalka prawie zgasła. Podstawiła świecę pod płomyk. Knot zajął się natychmiast, a Olive upuściła zapalkę na dywan, bo sparzyła sobie palce.

Dziewczyna przez chwilę trwała nieruchomo, a płomyk cienkiej świeczki, którą trzymała w dłoni, niepewnie pełgał. Ten pokój w nocy wyglądał inaczej niż za dnia, wydawał się nieprzystępny, niemal gotycki w złowieszczym mroku rozjaśnianym jedynie drżącym płomieniem świecy. Znajdowały się tu regały na książki, które Olive tak starannie wycierała tego popołudnia, głębokie fotele oraz

ustawiona przed kominkiem kanapa Chesterfield ze skórzaną pikowaną tapicerką oraz barek. Wielkie otwierane pionowo okna zaciągnięto adamaszkowymi zasłonami. Ściany pokrywały drewniane boazerie, a dwie wysokie mosiężne lampy stojące przysunięto do foteli.

Było tu również biurko.

Oczywiście – wielkie brązowe biurko, podtrzymywane przez rzeźbione nogi w kształcie lwich łap, z podkładką z czerwonego sukna na blacie oraz małą chińską lampą i eleganckim czarnym emaliowanym wiecznym piórem, tkwiącym w takiejż podstawce, na samym skraju podkładki do pisania.

Olive podniosła zużytą zapalkę, włożyła do kieszeni szlafroka i ostrożnie przeszła po dywanie za biurko, w którym po obu stronach, przedzielonych wielkim skórzanym fotelem, piętrzyły się szuflady. (Należy dodać, że Pratt był potężnym mężczyzną, miał metr osiemdziesiąt wzrostu i posturę Kozaka, a im był zamożniejszy, tym tłustszy, a że przesiąkł dymem wybornych importowanych cygar, to Olive wyobrażała sobie, że gdyby go tak zaszlachtować i zawieźć na rynek, smakowałby jak dobrze uwędzony kawał bekonu). Fotel był zbyt duży, by zmieścić się między szufladami, więc Olive musiała go odsunąć. Kółka zaskrzypiały cicho, a dziewczyna zamarła na chwilę z przerażenia, czekając na trzask drzwi i tupot na schodach. Lunatykowanie? Udawałaby, że lunatkuje. Może by się tym wyłgała, nigdy nie wiadomo.

Jednak dom nadal trwał pogrążony w ciszy. Olive wsłuchiwała się w łagodne tykanie zegara kominkowego, aż jej serce poczęło bić miarowo w jego rytmie. Przed oczami dziewczyny zatańczyły dziwne ciemne plamy i uświadomiła sobie, że wstrzymała oddech. Bardzo niemądrze.

Nabrała powietrza w płuca i nachyliła się ku pierwszej szufladzie po prawej.

Była zamknięta.

Oczywiście na klucz. Mój Boże. Cóż ona sobie myślała? Nawet jej ojciec przechowywał wszystkie papiery w zamkniętym miejscu, a były to tylko rysunki, rachunki i fachowa korespondencja. Próbowwała delikatnie poruszać szufladą w nadziei, że wzbudzi litość zamka, a ten ulituje się nad nią, tak jak przechodzień lituje się nad żebrzącymi dziećmi wystającymi na rogach ulic w śródmieściu. Ale oczywiście tak się nie stało. Co za głupota. Była koszmarnie głupia, sądząc, że wystarczy, jak zakradnie się do gabinetu Henry'ego Pratta i ot tak, od razu, znajdzie leżące na wierzchu obciążające go dokumenty. Przecież w rezydencji Prattów nawet cnota pokojówek była trzymana pod kluczem.

Jednak nadal wpatrywała się w szufladę biurka, bo nie mogła pogodzić się z niepowodzeniem. Ma tak po prostu dać za wygraną i wrócić do łóżka po tym całym wysiłku? I przyznać, że zapewne cały plan ją przerósł? Olive, czytelniczka książek, marzycielka, córka przedstawiciela klasy średniej, upadłego architekta. To absurd myśleć, że mógłby udać jej się taki podstęp, tak uknuta zemsta (nie chodzi

o zemstę, lecz o sprawiedliwość, upomniała sobie), potajemne nocne poszukiwanie dokumentów, które, o ile istnieją, są dobrze ukryte i pozostają poza zasięgiem pokojówki, nawet bardzo sprytnej.

Olive puściła z rezygnacją uchwyt szuflady.

Wspinając się z powrotem po schodach, zmarzła i poczuła się bardzo znużona. Gabinet znajdował się na drugim piętrze, tak jak pokoje bilardowe na tyłach (Olive nazywała je w myślach męskim piętrem), piętro wyżej były okazałe sypialnie państwa Prattów, a na kolejnym pokoje dzieci. No cóż, tak naprawdę trudno tu mówić o dzieciach. Najmłodsza była osiemnastoletnia Prunella, która niedawno zaręczyła się z zamożnym idiotą, wdowcem z małym dzieckiem; Olive nie pamiętała jego nazwiska. Oprócz niej byli jeszcze bliźniacy, August i Harry, którzy właśnie przyjechali do domu z Harvardu na ferie bożonarodzeniowe. Ostatni rok studiowali na uniwersytecie i wszyscy zastanawiali się, co zrobią później: zamieszkają w domu rodzinnym czy w garsonierach? A co z ambicjami zawodowymi? I weselnymi dzwonami? Olive puszczała większość tych gadek mimo uszu. W każdym razie jeden z braci był ponoć hulaką i artystą, a drugi po prostu hulaką. Jedna z pokojówek, która pracowała u Prattów w dawnym domu przy Pięćdziesiątej Siódmej, mówiła, że gdy byli młodszy, wciąż pakowali się w jakieś tarapaty. Jeden z nich zmajstrował nawet pewnej biednej kobiecie dziecko – tak w każdym razie głosiła plotka – chodziło o byłą pokojówkę. Pan Pratt osobiście załatwił tę sprawę, żeby nie przysparzać zmartwień pani Pratt.

Olive postawiła stopę na ostatnim schodku przed podestem piątego piętra. No, coś takiego mogłoby załatwić pana Pratta. O ile, oczywiście, historia była prawdziwa. Gdyby trafiła do gazet...

Do jej uszu dotarł jakiś szmer.

Olive zerknęła w dół klatki schodowej i zobaczyła trójkąt światła piętro niżej.

Bez namysłu minęła wejście na piąte piętro i rzuciła się do ucieczki po ostatnim wąskim biegu schodów prowadzącym na szóste piętro. Zdaje się, że mieścił się tam składzik. Nigdy w nim nie była. Ale nie mogła pójść do swojego pokoju, bo intruz usłyszałby, jak otwiera drzwi prowadzące do holu i skrada się korytarzem do swojej klitki.

Przecież nikomu nie będzie się chciało zaglądać aż na szóste piętro.

Czekała w mroku okrywającym podest schodów. Nie było tu drzwi, schody wychodziły wprost na krótki korytarz. Przez małe okrągłe okno wlewała się księżycowa poświata, wydobywając z mroku wąskie drzwi na końcu korytarza, ze dwa metry od dziewczyny.

– Jest tam kto? – spytał teatralnym szeptem jakiś głos.

Olive cofnęła się o krok w stronę drzwi.

– Halo! – wyszeptał znów głos.

Nie był to groźny szept, jedynie pełen zaciekawienia. Olive pomyślała też, że ten ciekawski osobnik bez wątpienia jest mężczyzną. Tembr głosu przypomniat jej żywiolowe pokrzykiwania powitalne, które słyszała kilka godzin wcześniej, kiedy młodzieńcy przyjechali ze stacji dorożką.

Pewnie wymyka się z domu, pomyślała. Ma randkę z jakąś ekspedientką albo spotkanie z kumplami, z którymi będą wyczyniać Bóg wie jakie brewerie.

Olive stała nieruchomo, niemal nie oddychając, a serce tukało się jej mocno w piersi.

Usłyszała ostrożne i ciche, lecz ciężkie kroki. Kiedy stały się głośniejsze, z przerażeniem zdała sobie sprawę, że wcale nie kierują się na parter, lecz w górę. Aż na szóste piętro i w stronę bezradnej i pełnej poczucia winy osoby skrytej na podeście.

Zrobiła cicho jeszcze jeden krok w tył, a potem kolejny. Drzwi miała teraz przy swoim ramieniu.

Ciemna postać wyłoniła się z nad najwyższego stopnia i zatrzymała na podeście. Olive widziała dużą dłoń na poręczy, a pokazną sylwetkę zasłaniało światło księżycy sączące się przez okrągłe okienko.

– Witaj – powiedział głos, zaskakująco łagodny. – Kim ty, u diabła, jesteś?

– Jestem Olive – wyszeptala. – Nowa pokojowka. Nie moglam spać, więc...

– A, oczywiście. Ja też nie mogłem.

Olive wygładziła szlafrok.

– Jestem Harry Pratt. Młodszy syn, o jakieś dwadzieścia minut – powiedział, wyciągając rękę w jej stronę.

Olive, nie mając pojęcia, jak się zachować, odpowiedziała tym samym i uścisnęła, nieco zbyt pospiesznie, podaną dłoń, która była ciepła, sucha i tak duża, że całkowicie zakryła jej rękę. Mężczyzna pachniał lekko tytoniem. Bez namysłu wyszeptala:

– Jest pan tym hulaką czy artystą?

Jego rysy drgnęły, jakby się uśmiechnął.

– Chyba jednym i drugim.

– No cóż... miło pana poznać, panie Pratt.

– Mów mi Harry. Zagładałaś tam? – Wskazał ruchem głowy drzwi za nią.

Zawahała się. Cóż miała powiedzieć?

– Tak.

– I co sądzisz?

– O czym?

– O moich obrazach, oczywiście.

– Ja... nie wiem. Niewiele widziałam. – Ostatnie słowo wypowiedziała jak pytanie.

– Nie zapaliłaś światła?

– Nie.

Młody człowiek zrobił krok w jej stronę i, dobry Boże, w tej samej chwili poświata księżycowa wpadająca przez okienko załaza jego twarz, a Olive zabrakło tchu.

Harry Pratt był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu.

Wsunęła rękę za plecy i wsparła się o drzwi.

– Nie bój się. Nikomu nic nie powiem – zapewnił cicho.

– N-nie?– wyjąkała jak uczennica, całkiem wyprowadzona z równowagi widokiem jego kości policzkowych zalanych światłem księżyca.

To nie fair, pomyślała, że nieoczekiwane piękno tak działa na rozsądny umysł. (Olive zawsze się nim szczyciła). To był syn Henry’ego Pratta, prawdopodobnie taki sam łajdak, hultaj niewart uwagi, który bez wątpienia ma te nikczemne męskie zakusy, jakim pani Keane musi co noc dawać odpór. A jednak Olive jąkała się na jego widok. Na biologię nie ma rady.

Harry Pratt przechylił głowę, patrząc na nią.

– Nie – odparł z pewnym roztargnieniem, a Olive starała się sobie przypomnieć, na jakie pytanie odpowiedział.

Przechylił głowę w drugą stronę, a potem stanął obok dziewczyny i się jej przyglądał, mamrocząc do siebie, jakby była jakimś okazem, który zamierzał zbadać.

– Coś nie tak? – wyszeptała Olive.

– Jesteś mi potrzebna – oświadczył Harry Pratt, chwycił Olive za rękę, otworzył na oścież wąskie drzwi i wciągnął dziewczynę do środka.

Lucy

– W pokojach nie wolno przyjmować wizyt panów. – Kierowniczka pensjonatu popatrzyła na Lucy surowo znad okularów, które zsuwała chyba tylko po to, by nie przeoczyć ewentualnie kłopotliwych młodych osób płci żeńskiej. – Obecność mężczyzny w pokoju skutkuje natychmiastowym wydaleniem.

Czyżby wyrzucano wiarołomną grzesznicę wprost na ulicę, z całym jej dobytkiem?

Nie żeby miało to dla niej jakieś znaczenie. Lucy nie przybyła na Manhattan po to, by szukać romantycznych związków.

– To nie stanowi problemu – odparła chłodno Lucy, żałując, że nie nosi okularów. Trudno było w wieku dwudziestu sześciu lat wyglądać odpowiednio nieprzystępnie, zwłaszcza gdy ktoś został obdarzony – albo obarczony – długimi podkręconymi rzęsami, które dawały fałszywą obietnicę rychłych przyjemności. – Nie spodziewam się wizyt żadnych panów.

– Nie byłabym tego taka pewna, moja droga. – Oczy kierowniczki, nieoczekiwanie bławatkowoniebieskie, zmrużyły się lekko. Zanim Lucy zdołała się odprężyć, kobieta spytała z pozorną niedbałością: – Co sprowadza panią do miasta?

– Dostałam posadę w Cromwell, Polk i Moore – odpowiedziała szybko Lucy. W tym kierowniczka zapewne nie dopatrzy się niczego złego. Ponadto informacja miała jeszcze tę zaletę, że była prawdziwa. – To kancelaria prawna.

– Tak, słyszałam o niej. – Kierowniczka mierzyła Lucy nieruchomym spojrzeniem, które trudno było znieść bez zakłopotania. – Ale czyż nie byłoby pani wygodniej wynająć coś bliżej śródmieścia? Jest tam Townsend albo Gladstone...

– Mieszkanie w pobliżu miejsca pracy byłoby nużące, nie sądzi pani? – wybrnęła gładko Lucy. – A zresztą to wcale nie jest tak znowu daleko. Ot, krótka przejażdżka kolejką naziemną Third Avenue El. Poza tym tu, w okolicy parku, jest świeższe powietrze.

Lucy pociągnęła entuzjastycznie nosem, wdychając zapach płynu do czyszczenia i czyichś suszących się pończoch.

Kierowniczka przyglądała się Lucy jeszcze przez dłuższą chwilę, ale widocznie to, co zobaczyła, przekonało ją, gdyż oświadczyła w charakterystyczny dla siebie dziarski sposób:

– Wszystkie zasady są wypisane w holu. Wizyty panów można przyjmować w tylnym salonie na drugim piętrze między czwartą a szóstą, od środy do soboty. Drzwi wejściowe zamyka się na klucz o północy i są zamknięte do szóstej rano. Kąpiele można brać rota...

Kierowniczka recytowała spokojnie dalsze informacje. Gorąca kąpiel przysługuje co drugi dzień i może trwać najwyżej dziesięć minut, ręczniki i pościel są prane w co drugi poniedziałek...

Czy powietrze też jest racjonowane? Nie więcej niż dziesięć oddechów na minutę na jedną mieszkanke, oprócz Niedzieli Wielkanocnej i Bożego Narodzenia, kiedy można sobie dodatkowo odetchnąć dla przyjemności?

Lucy zaczęła się zastanawiać, w co właściwie się pakuje. Grzało lipcowe słońce i w pokoju na poddaszu panował straszny zaduch. Czowała, że pot spływa strumyczkiem pod kołnierzem żakietu i wilgotna bluzka przykleiła się jej do pleców. Jedyne małe okno było umieszczone wysoko i zabite gwoździami. Przez nalot sadzy, który latami zbierał się na szybie, przenikały słabe promienie słońca, malując na ścianach pokoju niewyraźne cienie.

Lucy poczuła nagłą tęsknotę za pokojem na Brooklynie, w którym stały zrobione przez ojca regały na książki, a ścianę zdobiło malowidło wykonane przez matkę, kiedy Lucy była jeszcze małą dziewczynką. Widniały na nim rozłożyste drzewa, wijące się dróżki, wieże zamku wychylające się nad horyzontem, a pośrodku pejzażu – księżę na stojącym dęba rumaku wznosił miecz wysoko nad głową, podczas gdy smok kulił się u jego stóp.

I właśnie teraz Lucy zrozumiała, że wie, jak czuje się ten struchlały, osaczony smok.

– A więc? – rzuciła pytająco kierowniczka.

Lucy z trudem powściągnęła się od powiedzenia, że bardzo dziękuje, ale zupełnie nie o to jej chodzi. Potem mogłaby zbiec szybko tylnymi schodami, stukając modnymi obcasami po zużytych stopniach. Ale oszołomiona upałem i zmieszana, uprzytomniła sobie, że właśnie o to jej chodzi. Kiedy usłyszała, że dawna rezydencja Prattów została przerobiona na pensjonat dla kobiet i można tam wynajmować pokoje, uznała to za dar niebios.

Chociaż temperatura w pokoju przypominała zgoła inne miejsce.

No ale przecież jej niemiecka babka uważała, że Lucy właśnie tam zmierza. „Szminka, a fe!”. Wystarczy jedno potknięcie... bez gorsetu... spódnica ponad kostkę... A do tego jeszcze kurs maszynopisania – mało jej nauki? Piekarnia była dość dobra dla jej ojca, to Lucy też powinna wystarczyć. To wszystko przez tę jej matkę, nakładła jej do głowy różnych rzeczy, dlatego Lucy myśli, że jest kimś więcej.

Matka... Lucy poczuła ból w piersi, w miejscu nieokrytym gorsetem. Nie były ze sobą szczególnie blisko, ale śmierć matki zeszłego lata zupełnie wytrąciła Lucy z równowagi, i to z wielu powodów.

Dziewczyna wzięła się w garść, wyprostowała na całą wysokość.

– Właśnie takiego pokoju szukam – skłamała. – Ile kosztuje?

– Osiem dolarów tygodniowo.

Lucy musiała się uszczypnąć, żeby opanować zaskoczenie. Osiem dolarów za klitkę na poddaszu? Wiedziała, że ceny na Manhattanie są wyższe niż na Brooklynie, ale nie miała pojęcia, że aż tak.

– Czy to dla pani do przyjęcia, panno...

– Young – rzuciła żwawo Lucy.

Tak naprawdę Jungmann, ale niemieckie nazwisko nie było atutem w danej chwili, gdy tak wielu ludzi opłakiwało swoich bliskich. Ale przecież nie kłamała, jedynie anglicyzowała.

Lucy pozostawiła niemieckie nazwisko za sobą na Brooklynie, wraz z dezaprobatą babki, z kwaszoną kapustą i zagniatanym przez nią ciastem. Całe życie odeszło wraz z tym jednym „przejęciem”.

Ale co z tego? Jeśli wierzyć babce, to do nazwiska Jungmann miała równie znikome prawo jak do Young.

Lucy podniosła wysoko głowę.

– Nazywam się Young. Lucy Young. Owszem, cena jest do przyjęcia.

– W takim razie, panno Young – kierowniczką wyciągnęła rękę – witam w domu pana Stornawaya.

– Stornawaya? – Lucy nie udało się ukryć zaskoczenia. – Sądziłam, że ten dom należy do rodziny Prattów.

Przeprowadziła prywatne śledztwo, wertując dawne numery „World”, „Sun”, „Heralda”, w których często pojawiali się Prattowie, ludzie bogato odziani, którzy uczęszczali do opery, wyjeżdżali do Newport, powracali z Newport, grali w tenisa, wywoływali skandale. Nawet dom był owiany złą sławą z powodu szeroko omawianych w prasie ohydnych niesnasek pomiędzy panem Pratem a jego architektem, które, zdaje się, doprowadziły do samobójstwa tego drugiego.

„Dom zrodzony we krwi”, tak dramatycznie określiła budynek przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej jedna z gazet, jak się miało później okazać – całkiem trafnie.

Lucy wymykała się z pracy w Sterling Bates, gdzie była zatrudniona w dziale stenografistek, i szperała w bibliotecznych archiwaliach, mozolnie łącząc poszczególne elementy układanki.

Brakowało jej wciąż jednego.

– Owszem, niegdyś należał do Prattów – przyznała spokojnie kierowniczką, używając jednego z wielu kluczy, jakie nosiła przy pasku do zamknięcia drzwi pokoju, który właśnie opuściły. Poprowadziła Lucy do tylnych schodów. – Ale przed pięciu laty dom został zakupiony przez pana Stornawaya i przeznaczony na pensjonat dla przyzwoitych kobiet.

Czy Lucy się tylko zdawało, że nacisk padł na dwa ostatnie słowa?

Lucy przytrzymała się ostrożnie poręczy, kiedy schodziła po stromych wąskich schodach. Pomijając kwestię jej pochodzenia, była ze wszech miar

przywoita. Nie miała nawet absztyfikanta, bo miejscowi chłopcy uważali, że zadziera nosa.

Jeśli przez zadzieranie nosa rozumieli, że chciała czegoś więcej niż rodzić dzieci, żyć od wypłaty do wypłaty, udawać, że nie czuje piwa w ich oddechu, ani nie wie, co wyprawia się w sali bilardowej na końcu ulicy, w takim razie, owszem, zadzierała nosa. I nie wstydziła się do tego przyznać.

– Na moje szczęście – powiedziała. – Kiedy mogę się wprowadzić?

– Pokój jest wolny od zaraz. – Kierowniczką wyprowadziła Lucy ze schodów dla służby na czwarte piętro na spiralną klatkę schodową biegnącą przez główną część domu.

Lucy poczuła, jak wśród tych wypolerowanych marmurów rozszerzają się jej płuca. Słońce rzucało kolorowe plamy światła przez witrażową kopułę w górze. Z klatki schodowej ciężkie dębowe drzwi prowadziły do okazałych sypialni, pokoiów o wysokich sufitach i wydłużonych oknach otwieranych pionowo. Nie to co klatka na górze, na którą Lucy będzie miała zaszczyt wydawać ponad połowę tygodniówki.

Ale sprawa załatwiona. Jest w środku. To bez znaczenia, gdzie będzie spała. Ważne, że się tu dostała. Cichy głosik z tyłu głowy podpowiadał wprawdzie, że to szaleństwo, bo nie ma co liczyć, że się czegoś dowie, ale Lucy go uciszyła.

Za daleko zaszła, by się wycofać. Jej rzeczy, niezbyt liczne, spakowane w torbę podróżną i kartonowe pudło, czekały w mieszkaniu przyjaciółki, Sylvii. Po czterech latach Lucy rzuciła pracę w Sterling Bates, rezygnując zarazem z perspektywy awansu, na rzecz niższego stanowiska w Cromwell, Polk i Moore.

Cromwell, Polk i Moore, oprócz innych dużych spraw, prowadzili również sprawy rodziny Prattów. A Prattowie lubili zachowywać swoje sprawy w rodzinie. Młodszy partner zajmujący się majątkiem był pasierbem osławionej Prunelli Pratt – ostatniej żyjącej przedstawicielki kwitnącego niegdyś rodu.

Ostatnia znana przedstawicielka.

– Mój salon jest na końcu tego korytarza – powiedziała kierowniczką, a Lucy skinęła głową, obracając się we wskazanym kierunku.

A potem przystanęła.

Na ścianie znajdowała się płaskorzeźba z terakoty. Na stylizowanym tle widniał smok kulący się u stóp rycerza, który dosiadał rumaka stojącego dęba.

Nie był to jakiś tam rycerz, lecz jej rycerz.

I jej smok.

– Przepraszam – powiedziała Lucy i musiała odchrząknąć, żeby móc wydobyć głos. – Co jest na tej ścianie?

– A, to? – Kierowniczką spojrziała obojętnie na płaskorzeźbę, a Lucy zdziwiła się, jak mogła nie zauważyć, że temperatura w holu spadła tak bardzo, jakby wszystko wokół zamarzało. – Sądzę, że to święty Jerzy. Zdaje się, że

Prattowie bardzo go lubili. Pojawia się w różnych formach w całym budynku.

Lucy mruknęła coś wymijająco.

Pamiętała, jak bardzo dawno temu jej ojciec pochwalił malowidło matki. Zresztą zawsze chwalił matkę, jej elegancję, wdzięk, mądrość, i wciąż nie mógł się nadziwić, że go wybrała, wyszła za niego.

Stwierdzenie, że matka tolerowała te pochwały, byłoby zbyt surowe. Należałoby raczej powiedzieć, że łagodnie i życzliwie je odpierała.

To było tego dnia, kiedy matka skończyła malowidło w pokoju Lucy. Ojciec piał z zachwytem, ale matka tylko kręciła głową, podnosząc ręce, jakby chciała zaprzeczyć kolejnym komplementom.

„Nie jestem artystką – powiedziała z żalem. – Potrafię tylko wykonywać kopie. Mam talent pośledniego rodzaju. Nie to co...”

Przerwała gwałtownie jak zegar, który staje, gdy pęknie mu sprężyna.

Ojciec Lucy pohańczał ją na rękach i zabrał ze sobą, by zrobić jej ludziki z drożdżowego ciasta. Lucy nie pamiętała nawet o tamtej rozmowie.

Aż do teraz.

– Panno Young? – Kierowniczka patrzyła na nią z niepokojem.

– Mogę przynieść rzeczy dziś wieczorem – odezwała się Lucy opryskliwie. – Kończę pracę o piątej, chociaż czasem potrzebują mnie dłużej. Czy to do przyjęcia?

– Pójdę po klucz dla pani – powiedziała kierowniczka.

Lucy szła za nią po krętych marmurowych schodach, mijając długi salon z wymyślnym pozłacanym sufitem i ciemnymi ścianami pokrytymi boazerią, wśród których panował względny chłód mimo letniego upału.

W środku dnia wszystkie mieszkanki były w pracy. Na klatce schodowej panowały cisza i spokój, stolarka pachniała woskiem i olejkiem cytrynowym. Jeśli Lucy przymknęłaby oczy, mogłaby sobie wyobrazić, że dom wygląda tak samo jak dwadzieścia osiem lat wcześniej.

Kiedy była tutaj jej matka.

– Będę musiała pobrać kaucję – oznajmiła rzeczowo kierowniczka, a Lucy od razu poczęła grzebać w torebce.

– Ile? – spytała z nadzieją, że nie będzie to więcej, niż ma przy sobie.

– Zwyczajowo jest to czynsz za dwa tygodnie – poinformowała kierowniczka, a Lucy odliczyła pogniecione banknoty, zadowolona, że tak oszczędnie gospodarowała pieniędzmi na obiady i kolacje oraz przejazdy.

Hol, kiedyś bardzo wytworny, został oszpecony tandetnymi schowkami umieszczonymi po jednej stronie. Na każdym widniało wypisane nazwisko mieszkanki. Po przeciwległej stronie znajdował się dziwny boks konsjerża.

Kierowniczka podniosła blat na zawiasach i wsunęła się do środka. Otworzyła metalową skrzyneczkę i włożyła tam ciężko zarobione pieniądze Lucy.

– Pokój sześćset sześć – powiedziała i zanotowała coś na kartce. – Panna Lucy Young. – Sięgnęła pod blat i wyjęła stamtąd klucz, mrużąc oczy za szklami okularów, gdy patrzyła na małą przywieszkę na kółku. – Oto klucz, panno Young.

Klucz był nowoczesny, metalowy i lśnił nowością.

– Dziękuję – powiedziała Lucy i wzięła klucz, czując się, jakby właśnie pokonała pasmo górskie, a po jego drugiej stronie napotkała dogasające ognisko oraz wilki czające się za wozem osadników.

Wilki? Czy może smoki?

W głębi serca Lucy miała pewną nadzieję, że się myli i że będąc tu, odkryje, iż ten dom to po prostu dom i nie ma z nią nic wspólnego.

Czy jej matka tańczyła w wielkim salonie na pierwszym piętrze? Czy jadła wytworne kolacje pod ciemnymi belkami w oficjalnej jadalni? Lucy tego nie wiedziała. Wiedziała tylko, że jej przeszłość jest jakoś powiązana z tym domem, z rycerzem na ścianie.

I z mężczyzną, którego imię jej matka wymówiła, zanim wyzionęła ducha.
Harry.

Kate

Promień słońca przedzierał się przez szparę przy zasłonie, przecinał pokój na poddaszu i raził mnie w oczy. Obudziłam się z wrażeniem, że nie jestem sama.

Przeciągnęłam się ostrożnie na szezlongu obitym spłowiełym kretonem. Prawdopodobnie kiedyś był to piękny mebel, często używany i lubiany, ale teraz stał właściwie bezużyteczny z powodu zniszczenia. Przez poduchę siedziska przebiła się sprężyna, a część oparcia trzymała się na słowo honoru. Uważając, by za bardzo nie naciskać na mebel i się nie skaleczyć, zesłam powoli z szezlongu, na którym spędziłam większość nocy.

Kapitan Ravenel spał twardo, głównie za sprawą morfiny, którą mu zaaplikowałam. W nocy musiałam ponownie otworzyć jego ranę i porządnie oczyścić – pomyślałam, że błogosławiony brak przytomności przyda się nam obojgu. Noga została mocno uszkodzona, a rana się jątrzyła, bo zaszyto ją, zanim zdołano usunąć wszystkie odłamki kości i kuli, a poza tym wdało się zakażenie, bo zwlekano z podaniem penicyliny. Wątpiłam, czy uda mi się uratować nogę, ale zachowałam to dla siebie. Wciąż wyraźnie pamiętałam wyraz oczu kapitana, kiedy błagał mnie o ocalenie nogi, i nie mogłam pozwolić sobie na myślenie o porażce.

Zerknęłam na zegarek przypięty do bluzki i uświadomiłam sobie, że najwyższy czas na kolejną dawkę morfiny. Siostra Hathaway, dziewczyna zaledwie dwudziestoletnia, a więc zbyt młoda, by kierować się typowym sposobem myślenia, najwyraźniej nie miała nic przeciw wykonywaniu poleceń lekarki, dlatego przyniosła wieczorem wiele dawek morfiny w strzykawkach gotowych do podania, oszczędzając mi konieczności biegania po schodach.

Kiedy stanęłam przy łóżku, na którym leżał kapitan Ravenel, i sprawdziłam jego kartę, zorientowałam się, że pielęgniarka zajrzała na poddasze, kiedy spałam, i już zaaplikowała lekarstwo, a ponadto postawiła na stoliku nocnym tacę ze stosem gazy, bawełnianych wacików i środkiem odkażającym. Uśmiechnęłam się do siebie, zbyt wdzięczna, by próbować odgadnąć jej motywy.

Pacjent nadal spał, kiedy odchyliłam pościel, by móc zbadać zranioną nogę, i zobaczyłam jego ciało ledwie osłonięte szpitalną koszulą. Odkąd pojawiłam się w szpitalu Stornaway, widziałam mnóstwo obnażonych mężczyzn, lecz teraz po raz pierwszy odczułam pewne skrepowanie. Ranny jęknął coś niewyraźnie, a ja zastygłam, wpatrzona w jego rysy. Był nazbyt piękny jak na mężczyznę, jednak muskularność jego szerokich ramion, rąk oraz torsu upewniły mnie, że niewątpliwie jest mężczyzną.

Od zawsze skupiałam się tylko na tym, żeby zostać lekarką, i nigdy nie

pozwalalam, by postrzegano mnie jako jedną z tych głupiotkich dziewcząt rozpluwających się nad męską urodą, tak jak moja przyjaciółka Margie Beckwith. Zachowywała się tak, od kiedy skończyłyśmy dwanaście lat, i pewnie nie przestanie, dopóki nie znajdzie sobie męża. Utrudniła jej to jednak wojna oraz wyjazd większości zdatnych do żeniaczki mężczyzn, a ponadto Margie pracowała w nowojorskiej bibliotece publicznej, wśród starych akt, w gronie kobiet w tym samym kłopotliwym położeniu.

Wpatrując się w twarz kapitana, w piękny prosty nos i oliwkową cerę, silny podbródek i ciemne brwi, pragnęłam, by otworzył oczy, bo chciałam je znów zobaczyć. Szybko jednak odwróciłam wzrok, zawstydzona, że widok atrakcyjnego mężczyzny przesłonił mi cel działania. I w tym momencie powróciło nagle wspomnienie chwili, gdy matka i ja stałyśmy przed tym budynkiem i milcząco, wpatrywałyśmy się w okna tego właśnie pokoju.

Przez całe życie starałam się zrozumieć matkę, pojąć tę jej nieokreśloną tęsknotę za czymś nieosiągalnym. Wiedziałam, że kocha mego ojca i mnie, jednak zawsze dzieliła nas jakaś bariera, ściana, która odgradzała od nas połowę jej serca, jakby chciała je zachować dla siebie. Od najmłodszych lat wiedziałam, że nie chcę być taka. A więc kiedy postanowiłam zostać lekarką, oddałam się temu całym sercem. Różnica między moją matką a mną była taka, że ja nie wierzyłam w półśrodki.

Znów wpatrzyłam się w tego pięknego mężczyznę, przypominając sobie wszystko, co osiągnęłam i poświęciłam, oraz to, co mogę robić jako lekarka, i od razu opanował mnie znajomy spokój. Będę dobrze wykonywała swoją pracę, będę pracowała jeszcze intensywniej, żeby się nie dekoncentrować.

Zbadałam pacjenta, a potem, zadowolona z wyników, wzięłam jego kartę ze stolika w nogach łóżka, by je na niej zanotować. Chociaż w nocy gorączkowo czytałam historię choroby, żeby móc zastosować odpowiednie leczenie, nie zwróciłam uwagi na to, skąd pochodzi kapitan ani jak mu na imię. Teraz powędrowałam wzrokiem na górę karty, gdzie przeczytałam wcześniej, że pacjent ma stopień kapitana, a jego nazwisko brzmi Ravenel – zresztą dziwnie znajomo. Okazało się, że ma na imię Cooper. I że pochodzi z Karoliny Południowej.

Zeszłej nocy powiedział zbyt mało, bym mogła stwierdzić, czy ma południowy akcent, ale moja rozbudzona wyobraźnia podpowiadała mi, że zapewne tak, a przeciągane samogłoski i niewyraźne spółgłoski wychodzące z tych ust z pewnością brzmią cudownie.

Zacisnęłam powieki i napomniałam siebie, że mam być skupiona, niezmiernie wdzięczna losowi, że jestem sama w pokoju, bez świadków mojej głupoty.

– Victorine.

Wzdrygnęłam się na dźwięk tego imienia i omal nie upuściłam dokumentacji

medycznej na ranną nogę. Oczy pacjenta były otwarte, choć nadal szkliste od gorączki i morfiny. Chociaż wiedziałam, że nie jest do końca świadomy, sposób, w jaki na mnie patrzył, sprawił, że znów się poczułam, jakby mnie znał.

Odłożyłam papiery na stół i się nachyliłam.

– Kapitanie Ravenel? Czy pan mnie słyszy?

– Victorine – powtórzył, wpatrzony w moją twarz.

Wypowiadał to imię z taką nadzieją i zachwytem, że miałam ochotę potwierdzić. Jednak po raz pierwszy w życiu odebrało mi mowę. Ani moja siła wewnętrzna, ani autorytet lekarski nie dały mi tego, by móc odpowiedzieć na tęsknotę w głosie żołnierza. Wytrącona z równowagi, poczułam, jakbym straciła coś, czego nie znałam.

Choć nadal się we mnie wpatrywał, odzyskałam panowanie nad sobą i wróciłam do roli doktor Kate Schuyler.

– Kapitanie Ravenel, jest pan w nowojorskim szpitalu. Obrażenia pańskiej nogi są poważne, ale robimy, co w naszej mocy, by ją uratować.

Jakby w ogóle nie usłyszał tych słów, chwycił mnie mocno za rękę. Wiedziałam, że nie udałoby mi się jej wyswobodzić, nawet gdybym chciała.

– To ty – wyszeptał ze wzrokiem utkwionym w moją twarz.

Poczułam, jakby spływała mi do gardła gorąca czekolada, jakbym znalazła się w kokonie. Byłam tylko ja i ten mężczyzna, nasze gorące splecione dłonie. Mój logiczny umysł próbował mnie przywołać do rozsądku, przypomnieć, że Cooper Ravenel bredzi w gorączce i nie ma pojęcia, kim jestem.

Jednak wyraz jego oczu kazał mi podtrzymać błędne przekonanie, że może jest w tym coś istotnego.

– Jestem tutaj – wydusiłam. – Jestem tu, by się tobą zaopiekować.

– Wiem – wyszeptał z trudem suchymi ustami.

Wiedziałam, że na stoliku nocnym jest szklanka wody i powinnam dać mu się napić, ale nie mogłam oderwać od niego wzroku ani puścić jego ręki. Jeszcze nie.

Zaczął pospiesznie wyrzucać z siebie słowa, jakby przez długi czas powstrzymywał się od mówienia, zdania zawieszał w połowie, zbierając siły, by je dokończyć.

– Długo czekałem... na spotkanie z tobą... – Z wielkim wysiłkiem podniósł drugą rękę i dotknął moich włosów. – Rozpuść je...

Od czasów studiów medycznych nosiłam długie włosy zwinięte w ciasny kok, przytrzymywany dużym grzebykiem z tyłu głowy. Włosy były moim jedynym ustępstwem na rzecz próżności i nie mogłam się zdobyć, by je obciąć, chociaż wiedziałam, że byłoby to prostsze niż upinanie ich co rano. Były długie i ciemne jak włosy mojej matki, a na czole tworzyły wdowi szpic, zupełnie jak u niej. Pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, pozwalała mi szczotkować swoje

włosy przed pójściem do łóżka – sto pociągnąć szczotką, aż zaczynały się elektryzować. Nikt w szpitalu nie widział moich włosów rozpuszczonych. Byłby to ukłon w stronę kobiecości, przyznanie się do słabości. Uczepiłam się tej myśli, słowo „nie” zawisło mi na wargach, kiedy kapitan sięgnął ku mnie ręką.

– Rozpuść je – powtórzył.

Zanim zdążyłam się cofnąć, wyciągnął wolną rękę i wyjął grzebyk.

Sięgnęłam, by przytrzymać włosy, ale zbyt wolno. Opadły mi za ramiona, sięgając prawie do pasa. Były na tyle długie, że mogł je chwycić, przyłożyć do twarzy i chłonać ich zapach, a ja nie byłam w stanie się nawet ruszyć.

– Zawsze myślałem... że są właśnie takie... – powiedział i usłyszałam śpiewną intonację, akcent muskający każdą sylabę, tak jak sobie wcześniej wyobrażałam.

Usiadł, krzywiąc się z bólu, jakby nie był świadom tego, że jest ranny i leży w szpitalnym łóżku.

Jego słowa mnie zaskoczyły, zapomniałam, gdzie jestem. I kim jestem.

– Skąd mnie znasz? – spytałam, porażona jego spojrzeniem, akcentem i sposobem, w jaki wdychał zapach moich włosów.

Począł przymykać oczy, a ja miałam ochotę zaprotestować, bo chciałam móc w nie patrzeć, i to bez względu na to, jak bardzo było to niestosowne.

Znów poruszył wargami.

– Ja... zawsze cię znałem – powiedział, już trochę niewyraźnie, bo znów zapadł w sen, a moje włosy wysunęły mu się z dłoni.

Nagle usłyszałam kroki na schodach prowadzących na moje poddasze i po raz pierwszy ucieszyłam się, że nie dochodzi tam winda. Była bardzo cicha, więc wiedziałabym o przybyciu gościa dopiero tuż przed jego wejściem.

Zdążyłam jeszcze zwinąć włosy w kok i spaść z tyłu głowy grzebykiem, zanim drzwi otworzyły się gwałtownie, bez pukania. Wiedziałam, że to doktor Greeley, dlatego nie obejrzałam się ze zdziwieniem, by nie sprawić mu satysfakcji. Pochyliłam się ku misce, którą przyniosła w nocy siostra Hathaway, i zanurzyłam ściereczkę w wodzie, a potem łagodnie obmyłam twarz Coopera. Był zlany potem z powodu gorączki, a poza tym na poddaszu panował upał mimo elektrycznego wiatraka, który kupiłam w Hanson Drugstore i którego strzegłam jak oka w głowie.

– Jak pacjent? – spytał, siląc się na neutralny ton. Bądź co bądź lekarzowi nie wypada pragnąć pogorszenia stanu pacjenta. Wziął kartę chorobową i przebiegł wzrokiem ostatnie wpisy.

– Nie ma zmian, co oznacza, że mu się nie pogarsza – odrzekłam optymistycznie.

Doktor Greeley odchrząknął, po czym odłożył kartę na stolik. Skrzyżował ramiona, a potem uniósł jedną rękę, by podeprzeć podbródek. Zapewne uważał, że dzięki temu wygląda na intelektualistę, ale czułam, że robił to, by ukryć brzuch,

który zdążył już dość wcześnie sobie wyhodować, w wieku trzydziestu jeden lat.

– Ale też mu się nie poprawia – zauważył.

Pokręciłam głową.

– Jest u nas niecałą dobę. Gorączkuje, ale widać, że ma silną wolę. To mu pomoże wrócić do zdrowia.

Doktor zrobił znudzoną minę.

– Od leczenia są lekarstwa, a nie myślenie życzeniowe. W końcu i tak trzeba mu będzie odjąć tę nogę. Trzymam w pogotowiu salę operacyjną numer jeden.

Skupiłam się na ocieraniu twarzy Coopera, zadowolona, że ręce mam zajęte, bo miałam ochotę czymś rzucić w doktora. By zmienić temat rozmowy, powiedziałam:

– Wciąż powtarza imię Victorine, chyba typowo południowe, bo nigdy go nie słyszałam. Czy rodzina w Charleston została powiadomiona, że pacjent przebywa u nas? Krewni są zwykle zawiadamiani zaraz po przybiciu statku, ale jego sytuacja jest inna, bo przywieziono go tutaj, a nie odesłano pociągiem do domu. Strach pomyśleć, że rodzina zamartwia się o niego i nie wie, czemu nie dostała od niego żadnego znaku życia. – Już miałam dodać, że ta cała Victorine musi wiele dla niego znaczyć, bo wciąż wymawia jej imię, ale nie mogłam się na to zdobyć. Wcale nie znałam tego mężczyzny, więc nie było żadnego logicznego powodu, żebym odczuwała zazdrość o również nieznaną kobietę.

– Zawsze może pani sama napisać do jego krewnych. W wolnym czasie, oczywiście. Przyszedłem tu, by przypomnieć, że spóźnia się pani na obchód.

Wrzuciłam ściereczkę do miski i szybko wstałam.

– Oczywiście. Straciłam poczucie czasu. Już idę.

– Naturalnie, będziemy zachwyceni, jak pani do nas dołączy. A jeśli potrzebny pani adres kapitana, mam jego teczkę osobową w gabinecie. Może pani do mnie zajrzeć po obchodzie.

Wiedziałam, że nie ma sensu prosić go o przyniesienie dokumentacji. Jego zamysł polegał na tym, by znów zwabić mnie do gabinetu i spróbować przygwoździć do biurka. Zdarzyło się to już dwukrotnie i za każdym razem udało mi się wywinąć i umknąć. A że doktor Greeley był moim przełożonym, tylko dlatego nie użyłam jego złotego nożyka do otwierania listów w innym celu.

– Tak zrobię – powiedziałam, kombinując już, jakby tu zdobyć teczkę bez konieczności wchodzenia do jego gabinetu.

Mój problem rozwiązał się, kiedy mijałam siostrę Hathaway na pierwszym piętrze, idąc z klatki schodowej do sali balowej, zamienionej obecnie na oddział szpitalny. Nie chciałam zerować na jej chęci niesienia pomocy, ale wiedziałam, że nie mam dość energii, by odpierać zaloty doktora.

– Sostro Hathaway, czy mogę prosić o przysługę?

– Tak, pani doktor. – Uśmiechnęła się życzliwie, zupełnie inaczej niż

większość personelu w Stornaway.

– Teczka osobowa kapitana Ravenela znajduje się w gabinecie doktora Greeleya. Czy byłaby pani tak miła, by mi ją przynieść w wolnej chwili? Mam teraz obchód, tak samo jak doktor Greeley.

Dodałam tę ostatnią informację, żeby wiedziała, że może bezpiecznie wejść do gabinetu pod nieobecność doktora. Nie łudziłam się, że jego zalecanki dotyczą tylko mnie.

– Kapitan Ravenel został przyjęty do szpitala poprzedniej nocy – powiedziałam. – A więc jego teczka powinna być na samym wierzchu, na biurku albo w szafce z dokumentami.

– Tak, pani doktor – powtórzyła, a jej spojrzenie powiedziało mi, że dobrze wie, o co mi chodzi.

Udało mi się odbyć obchód bez myślenia o kapitanie Ravenelu. Pacjenci byli przeważnie młodzi, czasem niewiele starsi ode mnie. Jednak ich twarze przedwcześnie się postarzały wskutek tego, co ci mężczyźni widzieli i przeszli. Odnieśli tak ciężkie rany, że nie można ich było odesłać do domu – głównie chodziło o amputacje i poparzenia – a wielu straciło wzrok w ogóle bądź w jednym oku. Pewien dwudziestoosmioletni porucznik z Muncie w Indianie ogłuchł od eksplozji bomby. Kiedy zaczynałam leczyć tych pacjentów, spodziewałam się, że będą zadowoleni z powrotu do domu na stałe, i paru takich spotkałam. Ale niektórzy bardzo chcieli wrócić do swoich towarzyszy broni i żalowali nie tego, że stracili rękę czy nogę, lecz tego, że już nie zostaną wysłani na front.

Po obchodzie udało mi się niepostrzeżenie odłączyć od zespołu lekarzy, tak że doktor Greeley tego nie zauważył, i skierować prosto na klatkę schodową. Jak się spodziewałam, teczka kapitana Ravenela czekała na najwyższym stopniu, więc podniosłam ją, zanim cicho weszłam do pokoju na poddaszu.

Zauważyłam od razu, że siostra Hathaway już była tu podczas mojej nieobecności – posprzątała na stoliku nocnym i umyła pacjenta. Spał pokryty cienką warstwą potu, a jego stan najwyraźniej się nie zmienił. Zajrzałam do karty i zobaczyłam, że siostra zmierzyła puls i temperaturę, która się wprawdzie nie zmniejszyła, ale też nie wzrosła, czyli stan był stabilny. Na razie wszystko szło dobrze.

Przypomniałam sobie wyraz oczu kapitana, kiedy nazwał mnie Victorine i poprosił, bym rozpuściła włosy. Musiałam więc jasno przyznać przed sobą, że Victorine to inna kobieta, która pewnie chciałaby się dowiedzieć, gdzie się podziewa jej kapitan. A im pręcej tu się pojawi, tym szybciej będę się mogła znowu skoncentrować na tym, na czym mi w życiu najbardziej zależy.

Zaniosłam teczkę na prowizoryczne biurko, wyjęłam papeterię i pióro. Odetchnęłam głęboko i zaczęłam powoli pisać swoim nierównym charakterem, mając nadzieję, że ten list możliwie szybko dotrze do Charleston, chociaż jakaś

cząstka mnie chciała, by wcale nie dotarł.

Olive

Pokój u szczytu schodów.

Olive spodziewała się tu jakiegoś składziku, zastawionego meblami i nieprzydatnymi rzeczami, albo skrzyń i pudełek, które czekają na rozpakowanie. Nigdy nie oglądała szkiców w pomieszczeniu na poddaszu. Co ją to obchodziło? Architekci najbardziej przykładają się do zaprojektowania głównych pięter, tych, które się liczą. Nie marnują talentu na miejsca, których nikt nie będzie podziwiał.

Ale kiedy przekroczyła próg, dech jej zapało.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – spytał Harry, po czym wyminął ją szybko i zaczął się krzątać na drugim końcu pomieszczenia.

Olive wykonała obrót, skąpana w księżycowej poświacie wlewającej się przez wysokie, łukowato zakończone palladiańskie okna. A do tego ceglane ściany – niby mury tajemniczego ogrodu. Zadarła głowę i spojrzała na piękną kopułę, mniejszą wersję tej, która wieńczyła klatkę schodową, tylko że zwyczajnie przeszkloną. Olive znalazła się w środku aksamitnej, usianej gwiazdami manhattańskiej nocy. Piękny i nieoczekiwany prezent. Dziękuję, tato.

– Przeciwno czemu?

– Żebym cię narysował.

Olive odwróciła się gwałtownie.

– Narysował?

– Proszę.

Stał pod ścianą, z białą prostokątną kartką w jednej ręce i krótkim czarnym ołówkiem w drugiej. Włosy opadały mu na czoło, spojrzenie miał czarujące. Popatrzyła na jego białą koszulę, rozpiętą aż do zagłębienia nad mostkiem, luźne spodnie od pizamy i pomyślała: Dobry Boże, nie powinno mnie tu być. To zupełnie nie na miejscu.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Oczywiście, że nie. To zupełnie nie na miejscu. Powinam natychmiast wrócić do łóżka.

Zaczęła się odwracać, ale Harry błyskawicznie znalazł się przy niej i stanął z rękami na biodrach, zagradzając drzwi.

– Powiedziałem: proszę.

– Nie wiem, za jaką dziewczynę pan mnie uważa, panie Pratt...

– Za najlepszą z możliwych. Obiecuję, że cię nie dotknę. Chodzi tylko o twoją twarz. Wyglądasz dokładnie jak kobieta, którą usiłowałem sobie wyobrazić, ale nie potrafiłem aż do tej chwili, i jeśli stracę cię teraz, w momencie

natchnienia...

Głos mu zamarł, a minę miał tak skruszoną i błagalną, że Olive zawahała się na krótko, przestępując z nogi na nogę.

– Proszę – powtórzył cicho.

– Ile to zajmie? Pani Keane może wrócić na górę, by sprawdzić, czy wszystkie leżymy w łóżkach.

– Nie wróci. Nigdy tak nie robi. Wierz mi, spędziłem tu wiele nocy, tak samo jak na poddaszu, z którego korzystałem w dawnym domu. – Pokazał szkicownik. – Muszę tylko cię narysować, a potem będę mógł malować ze szkicu.

– Gdzie malować?

Uniósł brwi i skinął na pokój, a Olive, którą tak poraziło piękno architektury – mnogość okien, szklana kopuła, ceglane ściany, piękny sufit z wytłaczanych cynowych płyt – dopiero teraz zauważyła, że pod ścianami stoi mnóstwo płócien.

– Ojej – powiedziała nieco oszołomiona i znów wykonała obrót, tym razem kierując wzrok niżej.

W bladym księżycowym świetle nie widziała szczegółów, ale dostrzegła kontury: ludzie na koniach, skomplikowane pejzaże, dziwne stworzenia. Harry znów krzątał się za jej plecami. Usłyszała trzask zapałki, a potem w żółtym świetle lampy z płócien nagle buchnęły kolory: błękity, czerwienie i zielenie, jak garść klejnotów.

– Są piękne! – wydusiła.

– Większość to śmieci. Wprawki. Pracuję nad czymś, właściwie to na razie pomysł, jeszcze niedopracowany. Nie potrafię go wystarczająco długo zatrzymać w głowie. Ale wiem, że on tam jest, czeka, aż go znajdę. Jak ciebie.

– Mnie?

– To znaczy twoją twarz. – Roześmiał się. – Ciebie nie znam oczywiście. Ale twoja twarz jest właśnie taka, jak sobie wyobrażałem, nawet jeśli nie mogłem jej dotychczas wyraźnie sobie przedstawić. Czy rozumiesz coś z tego?

Odwróciła się do niego. Stał, trzymając lampę naftową, i uśmiechał się krzywo, niemal przepraszająco, a światło złociło jego włosy. Uśmiech powoli zanikł.

– Boże – wyszeptał. – Proszę. Tylko pół godziny, przyrzekam.

Olive dotknęła swojej twarzy, takiej zwyczajnej. Tylko że ta twarz już nie była zwyczajna, prawda? Teraz była niezwykła. W oczach Harry'ego Pratta.

– No dobrze – odparła. – Gdzie mam usiąść?

Zakręcił się szybko jak derwisz.

– O tutaj – powiedział, zdejmując stos papierów z krzesła. Postawił lampę na małym stoliku.

Olive zajęła krzesło i spojrzała na niego.

– Przepraszam... Ale czy mogłabyś... zapewniam cię, że nie chcę być

nietaktowny, ale czy mogłabyś trochę zsunąć szlafrok?

Olive opuściła wzrok na niezgrabne fałdy grubego szlafroka.

– Oczywiście, że nie.

– Panno Olive, jestem artystą. Profesjonalistą. Nie ma w tym nic niestosownego, zapewniam. To dla dobra sztuki.

Zacisnęła usta.

– Czy to konieczne?

– Nie. Ale koszula nocna bardziej pasuje do efektu, który zamierzam osiągnąć.

Olive zastanowiła się nad zwykłą białą flanelową koszulą, którą miała pod szlafrokiem, zapiętą po samą szyję, niemal dostojną.

– To pewnie bez różnicy, skoro i tak ma pan mnie w swoich szponach.

– Otóż to! – Uśmiechnął się szeroko, siadł na krzesło naprzeciwko, w przyzwyczajonej odległości kilku metrów, i skrzyżował wysoko nogi. Oparł szkicownik na podniesionym kolanie i uniósł ołówek, podczas gdy Olive rozwiązała pasek szlafroka, który zsunęła na parę centymetrów z ramion.

– Wystarczy?

– Doskonale. Dziękuję. – Przyłożył ołówek do papieru i zmarszczył ze skupieniem brwi. – Możesz trochę rozpuścić włosy?

Olive znów się skrzywiła i ściągnęła wstążkę z końca warkocza.

– O właśnie. Rozpleć warkocz. I nie krzyw się tak bardzo. Chyba nie jestem aż taki straszny, co?

– Nie, tylko że naprawdę nie powinno mnie tu być.

– Ależ powinnaś. Nie robisz nic złego.

– Pani Keane pomyśli coś innego, jak się dowie.

– Ale się nie dowie – zapewnił spokojnie i z przekonaniem.

– Zwolni mnie bez referencji.

– A ja od razu przedstawię sprawę ojcu.

Olive pomyślała, że to trochę dziwne. Czyż rozwiązywanie problemów związanych z personelem domowym nie jest zadaniem pani Keane? Ale może u klasy wyższej wszystko wygląda inaczej. Olive pochodziła z dobrej, szanowanej rodziny, rodziny człowieka wolnego zawodu, dobrze wykształconej i dobrze ubranej – przynajmniej do czasu hańby ojca – ale nie dorównywała rodzinie Prattów. No a z drugiej strony, czyż pan Pratt nie załatwił tej sprawy z pokojówką, jak głosiły plotki? A tak w ogóle, którego brata to była sprawka? – pomyślała Olive i poruszyła się niespokojnie na krzesło, nagle świadoma, jak cienka jest przegroda z flaneli między jej obojczykiem a pazernym męskim spojrzeniem Harry'ego Pratta.

Nie powinno mnie tu być, pomyślała ponownie.

Harry nadal rysował i wyglądał jeszcze piękniej ze zmarszczonym od

namysłu czołem, podwiniętymi rękawami, które odsłaniały nieco przedramiona, ze skrzyżowanymi nogami podpierającymi szkicownik. *Scènes de la vie de bohème*, pomyślała Olive i uśmiechnęła się do siebie.

– Tak lepiej – powiedział Harry.

– Co lepiej?

– Z uśmiechem. Odmienia cię. Aż mi dech zaparło. – Kącik jego ust znów uniósł się w uśmiechu, uroda jego twarzy wraz z wystudiowanym zmarszczeniem brwi i nieładem fryzury sprawiła, że Olive też nieco dech zaparło.

Nadal była trochę oszołomiona, że w ogóle znajduje się w tym miejscu, że robi coś takiego z nieznanym mężczyzną. Coś tak śmiałego i szokującego dawnej Olive nie przysłoby do głowy, chociaż była psotnicą. Sama na poddaszu z urodziwym młodzieńcem o północy? W koszuli nocnej? Nie do wiary. A mimo to tu siedziała.

– Jednak obawiam się, że nie o to mi w tej chwili chodzi – powiedział Harry.

– Nie o co?

– Twój uśmiech.

Olive uświadomiła sobie, że nadal się uśmiecha, że głupkowaty szeroki uśmiech zastygł na jej ustach jak maska klauna.

– Przepraszam – rzuciła, prostując plecy.

– Nie ma za co. Jak długo jesteś u nas, panno Olive?

– Zaledwie od paru tygodni.

– A, to wszystko wyjaśnia. Na pewno bym cię zauważył, gdybyś tu była zeszłego lata. Pochodzisz z Nowego Jorku czy skądinąd?

– Skądinąd. – Co było prawdą, jeśli wziąć pod uwagę akademię panny Ellis.

– Ale nie zamierzasz powiedzieć mi skąd?

Zawahała się.

– Chodziłam do szkoły w Connecticut.

– Ale chyba niedługo jesteś na służbie?

– Po czym pan to poznał?

– Po sposobie, w jaki rozmawiasz. Bo nie spuszczasz oczu, kiedy się do mnie zwracasz. I po wielu innych drobiazgach. Mam rację?

Zaczęła podnosić się z krzesła.

– Myślę, że na razie wystarczy.

– Nie, proszę. – Też się podniósł. – Żadnych więcej pytań, obiecuję. Proszę. Jeszcze tylko kilka minut.

Olive uświadomiła sobie z przerażeniem, że znowu siada. Że nie potrafi odmówić temu czarującemu głosowi, temu pokornemu „proszę”.

Tymczasem Harry zniżył głos, a czarujący ton zmienił na poważny:

– Panno Olive, zapewniam, że nie jestem taki jak mój brat. Nie masz się czego obawiać.

– Pański brat?

– Na pewno słyszałaś plotki.

Dalej rysował, zerkając to na nią, to na papier, który miał przed sobą, i jednocześnie gorliwie sunąc ołówkiem po kartce. Zacisnął kąciki ust, knykcie palców trzymających mocno szkicownik pobieleły.

– Ma pan na myśli tę pokojówkę w zeszłym roku? – spytała śmiało Olive.

– Między innymi. Sądzę, że zapije się na śmierć przed trzydziestką. Nieszczęsny drań. – Zerknął na Olive spod oka. – Trzymaj się od niego z daleka, dobrze? A jak będziesz miała jakieś kłopoty, przyjdź do mnie.

– Dopiero co pana poznałam – prychnęła Olive. – Niby skąd mam wiedzieć, że właśnie pan nie jest tym, od którego powinnam się trzymać z daleka?

Harry przerwał rysowanie, podniósł na nią wzrok i znów posłał ten krzywy uśmiech, któremu nie sposób było się oprzeć.

– No właśnie, skąd? Po prostu musisz uwierzyć mi na słowo. No dobrze. Gotowe. Chcesz zobaczyć?

– Już pan skończył?

– Powiedziałem ci, że się z tym szybko uwinę, byś mogła wrócić do tego swojego klasztoru.

– Klasztoru! – Roześmiała się, bo było to bardzo trafne określenie. Klitki, do których wchodziło się z zamykanego korytarzyka, rzeczywiście przypominały cele.

– Stara pani Keane dostała zeszłego roku nauczkę. – Podniósł szkicownik i odwrócił go do Olive. – Proszę bardzo, moja pani.

Olive wstała z krzesła i przeszła kilka kroków po gołych deskach. Harry, wciąż z uśmiechem na ustach, wyciągnął ku niej szkicownik, a ona wzięła go i aż ją zatkało ze zdziwienia.

– To nie ja!

– Ależ tak.

– Ale ona jest piękna!

– Olive, ty jesteś piękna.

Podniosła na niego oczy.

– Nie tak.

– Co znaczy nie tak?

– Ona wygląda dziko. Wygląda... no nie wiem, jakby była ze średniowiecza.

– No właśnie. Masz coś takiego w sobie, nie wiedziałaś? Nikt ci tego nie mówił? Twoja skóra, szlachetne rysy twarzy. Nieziemskie. Jak to się mówi? Czyste.

Olive gwałtownie oddała szkicownik, a gdy wcisnęła mu go w rękę, zorientowała się, że dzieli ich zaledwie kilkadziesiąt centymetrów, poczuła mocny zapach mydła używanego przez Harry'ego. Widziała, jak krew pulsuje pod złotą skórą w zagłębieniu w jego szyi, tuż nad górną krawędzią szkicownika.

Pokój był cichy, zalany srebrnym światłem, tylko miejsce, w którym zastygli, wyznaczał złoty krąg światła lampy. Płótna nagromadzone pod ścianami, ciepło cegieł, zniszczone stare meble, przytulna ciasnota. To był jakby osobny, rozmigotany świat, tak różny od tego na niższych piętrach, mała zaczarowana przestrzeń, do której jedynie oni mogli wkroczyć. Olive była tu szlachetnym dziewczęciem, a Harry doskonałym rycerzem.

Tylko że to wszystko nieprawda. Ona wcale nie jest szlachetna ani czysta. Stoi pod tym pięknym kopulastym sufitem, udając kogoś, kim nie jest, ma przybrane nazwisko i postanowiła zniszczyć ojca tego czarującego młodego człowieka. Zniszczyć cudowne życie Harry'ego Pratta.

– To niedorzeczne – rzuciła. – Wracam do łóżka.

– Olive, zaczekaj. – Chwycił ją za łokieć. – Przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Mówiłem jako artysta, nic więcej. Masz po prostu pewne przymioty, które... robią na mnie wrażenie. – Ostatnie słowa wypowiedział tak cicho, że ledwie je usłyszała.

Wyrwała łokieć, a gwałtowny ruch sprawił, że szlafrok zsunął się jeszcze o kilka centymetrów. Podciągnęła go z powrotem na ramiona i zawiązała mocno pasek, zaplotła szybko włosy.

– No cóż, to pewnie je pan uchwycił. Czy mogę już odejść?

Harry zamknął szkicownik i powiedział tym samym cichym głębokim głosem:

– Przez cały czas mogłaś, Olive.

6

Czerwiec 1920

Lucy

– Gdzieś ty się podziewała?

Sekretarka starszego wspólnika rzuciła się na Lucy, ledwie ta zdążyła wślizgnąć się do biura. Siwe kosmyki wymykały się z węzła, zazwyczaj starannie upiętego na szyi, wykrochmalony kołnierzyk oklapł. Wyglądała na wykończoną.

– Bardzo przepraszam, panno Meechum.

Lucy pospiesznie postawiła torbę na podłodze obok krzesła i zaczęła ściągać bawełniane rękawiczki. Była zarumieniona i potargana, bo biegła od stacji kolejki naziemnej El, a upał jeszcze pogorszył sprawę. Ale miała ten pokój. I wstęp do domu Prattów.

– Jeśli chodzi o tę notatkę dla pana Cochрана...

Panna Meechum pokręciła głową, okulary zsunęły jej się na czubek nosa.

– To nieważne. Chodzi o pana Schuylera.

Lucy poczuła, jakby prąd przebiegł jej po kręgosłupie. A może tylko przykleiła się w tym miejscu wilgotna bluzka.

– Pana Schuylera?

Lucy, po trzech tygodniach w kancelarii Cromwell, Polk i Moore, mogła na palcach jednej ręki policzyć swoje spotkania z panem Schuylerem. Przeważnie przebywał poza kancelarią. Na spotkaniach z klientami, jak twierdziła obłudnie panna Meechum, chociaż Fan szeptała, zasłaniając usta dłonią: „golf”.

Kiedyś wpadł do sekretariatu w szykownym wieczorowym stroju, by odebrać bombonierkę czekoladek i czarne skórzane pudełko, które sekretarka kupiła na jego polecenie. Przechodził tak blisko biurka Lucy, że poczuła jego wodę kolońską o zapachu drewna sandałowego.

Innym razem stanął obok niej przy windzie, gdzie zatrzymał się tylko po to, by uśmiechnąć się i powiedzieć: „Jesteś tą nową dziewczyną, prawda?”, po czym uchylił kapelusza i cofnął się, by ją przepuścić, jakby była raczej debiutantką, a nie sekretarką.

Na tle opalonej twarzy jego oczy wydawały się intensywnie niebieskie.

Nie żebym miała jakieś plany względem pana Philipa Schuylera, pomyślała surowo Lucy. Wszyscy wiedzieli, że jest zaręczony z filadelfijską debiutantką, której zdjęcia regularnie pojawiały się w gazetach. Lucy oglądała je. Didi Shippen zawsze prezentowała się nienagannie, czy to w białym stroju tenisowym, czy też w wieczorowej sukni, jej doskonale pofalowane włosy okalały twarz, której symetrię psuł jedynie pewien grymas w okolicy ust.

Wszystkie rubryki towarzyskie były zgodne co do tego, że Shippen świetnie

pasuje do Schuylera.

Zresztą Lucy nie była zainteresowana panem Schuylerem, lecz jego dokumentami. A zwłaszcza dokumentacją dotyczącą majątku Prattów.

Jak dotąd nie miała jednak okazji nic zdziałać w tej sprawie. Kiedy pewnego razu zaproponowała od niechcena, że zanieśe panu Schuylerowi kawę, została obrzucona lodowatym spojrzeniem przez jego sekretarkę Meg, która poinformowała, że całkiem dobrze sama sobie radzi, dziękuje bardzo, i czy Lucy nie ma przypadkiem jakichś dokumentów do przepisania?

Teraz jednak Meg nie było nigdzie widać. Krzesło przy jej biurku stało puste, a maszyna do pisania była zakryta.

Panna Meechum załamała rękę.

– Najgorszy czas z możliwych: we wtorek podpisanie kontraktu z Merolą i chęć, żeby wprowadzić różne poprawki...

– Meg jest w szpitalu! – wtrąciła Fran z sąsiedniego biurka.

– W szpitalu? – powtórzyła Lucy, przenosząc wzrok z jednej koleżanki na drugą.

– Taksówka wzięła gwałtowny zakręt – bam! – i Meg leżała potracona, biała jak prześcieradło – trajkotała Fran. – Przed samym domem!

Panna Meechum spojrzała gniewnie na Fran.

– Niestety, wszystko się zgadza.

– O Boże – jęknęła bezradnie Lucy. – Mam nadzieję, że nic jej nie jest.

– O ile można uznać, że połamana noga i złamany nadgarstek to jest nic – odparła cierpko panna Meechum. – Przypuszczam, że mogło być gorzej, więc należy być wdzięcznym, ale...

– Mówią, że przez kilka miesięcy nie będzie mogła pracować – dorzuciła swoje Fran. – I może okuleć...

– To najmniejsze z naszych zmartwień – przerwała panna Meechum. Wręczyła Lucy stertę teczek z dokumentami. – Pan Schuyler potrzebował tego kwadrans temu.

Lucy zignorowała ukryty wyrzut.

– Ale co z panem Cochranem i panem Vaughnem? – wydusiła z trudem.

– Przydzieliłam Frances do pana Cochrana, a Eleanor do pana Vaughna – wyjaśniła dziarsko panna Meechum. Widocznie zdołała już się wziąć w garść, bo przybrała swój zwykły ton. Spojrzała ostrzegawczo sponad oprawek okularów i powiedziała: – To stanowisko opiera się na zaufaniu. Zachowuj się więc odpowiednio.

Lucy przycisnęła teczki do wilgotnego torsu.

– Tak, panno Meechum.

Serce waliło jej pod bluzką. Pokój w domu Prattów... a teraz pan Schuyler. Jakby ktoś to wszystko zaplanował.

– To jest na dzisiaj, Lucy – rzuciła ostrzegawczo panna Meechum.

Lucy otrząsnęła się z zadumy.

– Tak, panno Meechum. Oczywiście, panno Meechum. Już się do tego zabieram, panno Meechum.

Z oddali usłyszała chichot Fran. Zignorowała ją.

Nie ma czegoś takiego jak przeznaczenie. Każdy jest kowalem własnego losu. A ona zamierza zawalczyć o swoje szczęście.

W tej chwili oznaczało to, że należy dopilnować, by pan Schuyler otrzymał kontrakty Meroli.

Lucy żałowała trochę, że nie ma czasu pójść do łazienki, żeby się odświeżyć, poprawić usta, uczesać włosy, ale natychmiast uznała, że to bez znaczenia. Nie znalazła się tu po to, by uwodzić pana Schuylera. Wprawdzie była niemal pewna, że po części to właśnie spowodowało, że została wybrana na zastępczynię, chociaż Frannie i Eleanor miały wyższe stanowiska. Jednak cały mizerny intelekt Eleanor był zaangażowany w jej bliskie zaślubiny – wszyscy w biurze słyszeli już o wielkiej kłapie, jaką okazały się suknie druhen – jeśli zaś chodzi o Frannie... No cóż, Frannie polowała na męża.

Panna Meechum była bardzo opiekuńcza wobec swoich podwładnych.

Lucy niepewnie zapukała do drzwi pana Schuylera. Na mosiężnej tabliczce wygrawerowano: PHILIP C.J. SCHUYLER.

Zastanawiała się, co oznaczają C i J. Charles James? Cornelius Justinius?

Nikt nie odpowiedział na jej pukanie. Lucy usłyszała szuranie odsuwanego krzesła, a potem głos pana Schuylera, nieco poirytowany:

– Już ci mówiłem, więc nie zaczynaj od nowa. – Pauza. – Tak, wiem. Ale to nie moja decyzja.

– Proszę pana? – Lucy wetknęła głowę w szparę w drzwiach.

Szerokie mahoniowe biurko Philipa Schuylera było zawalone dokumentami. Pan Schuyler siedział za nim odsunięty, ze słuchawką telefoniczną w dłoni, miał grymas na przystojnej twarzy.

– Proszę wejść – powiedział, a potem rzucił do słuchawki: – Nie, Prunello.

Prunello? Lucy zastrzygła uszami. Imię nie należało przecież do pospolitych. Prunella Pratt była jedyną żyjącą potomkinią znakomitej niegdyś rodziny Prattów – i macochą Philipa Schuylera.

Została wprowadzona na salony około roku 1890 i nadal mieszkała wtedy w domu rodzinnym. Jeśli matka Lucy mieszkała w tym domu, przebywała tam, Prunella będzie o tym wiedziała. I mogła – Lucy kurczowo trzymała się tej myśli – być właśnie tą osobą, która wie, co stało się z Harrym Pratem.

Tak, a Lucy mogłaby sama się o tym przekonać, gdyby odebrała słuchawkę zaskoczonemu przełożonemu i powiedziała: „Proszę wybaczyć, pani Schuyler, nie ma pani wprawdzie pojęcia, kim jestem, ale czy nie sądzi pani, że mogę być

nieślubnym dzieckiem pani brata? A tak przy okazji, może orientuje się pani, czy brat żyje, a jeśli tak, to gdzie obecnie przebywa?”.

Tego by było już za wiele. Natychmiast mogłaby dostać wymówienie i wylądować na ulicy.

Unosząc teczki z dokumentami, Lucy pokazała na migi, że wycofa się w stronę drzwi.

– Wrócę za chwilę – wymówiła bezgłośnie.

Pan Schuyler pokręcił przecząco głową i przywołał ją gestem, a do słuchawki powiedział:

– Słuchaj, przykro mi, że ludzie u Cartiera rzucają ci nieprzyjemne spojrzenia, ale tam są jeszcze trzy inne osoby w zarządzie.

Dźwięki wydobywające się ze słuchawki przypominały Lucy gdakanie kur, które babcia trzymała kiedyś w kojcu za piekarnią.

Philip Schuyler odsunął słuchawkę od ucha i robił miny do Lucy.

Lucy udało się zachować niewzruszony wyraz twarzy i bardzo proste plecy. Panna Meechum nie pochwałała spoufalania się sekretarek z pracodawcami.

Kiedy gdakanie ustało, pan Schuyler znów przyłożył słuchawkę do ucha.

– Słuchaj, porozmawiamy o tym jutro, dobrze? Czeka na mnie klient. – Mrugnął do Lucy. – Tak. Właśnie teraz. Bardzo ważny klient. Nie. To nie może poczekać. Tak, wiem, że to straszne, jak człowiek musi zarabiać na życie.

Uśmiechem zachęcił Lucy do zaśmiania się z tego żartu.

– Tak, tak, widzimy się na *Tosce*. Nie, kochanie, nie zapomnę. Pa, pa. – Odkładając słuchawkę na widełki, Philip Schuyler wykonał przesadnie mocny wydech. – Witam, witam. Linda, tak?

– Lucy. Lucy Young. – Cofnęła się o krok. – Jeśli jest pan zajęty, wrócę później...

Philip Schuyler wezwał ją gestem.

– Nie, nie, proszę wejść. Potrzebowałem wymówki. – Miał bardzo białe i równe zęby. Prawie tak białe i równe jak zęby Didi Shippen, która uśmiechała się ze srebrnej ramki stojącej w rogu biurka. – Te teczki trącą godnym pożałowania znojem.

Czar. Tak to można określić. Philip Schuyler miał wielki urok osobisty, któremu trudno było się oprzeć.

Ale Lucy była bardzo dobra w opieraniu się.

Żwawo podeszła do biurka i na zawalonym papierami blacie rozłożyła teczki, jakby odkrywała karty.

– Szkic kontraktu z Merolą... list intencyjny pana Samsona... i notatka służbowa pana Cochran.

Pan Schuyler przerzucił papiery.

– Niech no pani to przeczyta... co za bzdury. – Rzucił Lucy

porozumiewawcze spojrzenie i powiedział: – Cochran ma dobre chęci, ale to, czego nie wie o przepisach dotyczących najmu, wypełniłoby... hm, coś bardzo dużego. Tylko proszę nie mówić mu, że to powiedziałem.

Lucy założyła ręce za plecami.

– Oczywiście, że nie, proszę pana. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

– Poza uduszeniem mojej macochy? – Pan Schuyler odsunął się z krzesłem od biurka i zlustrował Lucy, począwszy od praktycznych czółenek, a skończywszy na koku upiętym nad karkiem. W tej sytuacji tym bardziej krępowało ją, że wilgotne loczki wymknęły się z jej nienagannej zazwyczaj fryzury. – A więc ma pani zastąpić Meg.

Zniżony nagle głos zabrzmiał dziwnie intymnie.

– Tak, proszę pana. – Lucy wbijała wzrok w portretowe zdjęcie Didi Shippen. – Jestem gotowa asystować panu w takim samym zakresie jak Meg.

Pan Schuyler przyjrzał się jej z namysłem.

– A w większym zakresie? Niech pani nie patrzy na mnie z takim przerażeniem! Nie miałem nic złego na myśli. – Oparł łokcie na rozrzuconych dokumentach i z chłopcą szczerością zerkał na Lucy spod jasnych rzęs. – Jestem w trudnym położeniu. A pani może być właśnie tą osobą, która wybawi mnie z opresji.

– Piszę sto słów na minutę, potrafię stenografować pod dyktando i używać telegrafu. – Wiedziała, że nie powinna, ale nie mogła się powstrzymać i dodała: – Ale nie duszę.

Philip Schuyler skrzyżował ręce przed sobą.

– Chodzi o inną przysługę. – Kolejny błysk bielutkich zębów. – Duszenie nie wchodzi w jej zakres.

Lucy poczuła przyływ rozczarowania. A więc on jest jednym z nich? Miała już z takimi do czynienia w Sterling Bates. Panu Gregsonowi wydawało się, że rola sekretarki to tylko przesłuchanie przed rolą kochanki – szybko go zniechęciła wysokimi kołnierzykami, fałszywymi okularami i niekorzystną fryzurą – a pan Danzig podszcypywał każdą, często pudlując.

Didi Shippen uśmiechała się spokojnie ze srebrnej ramki.

– Z przyjemnością będę asystować panu w zakresie, jaki przewiduje moje stanowisko – odparła sztywno Lucy.

– Mówi pani jak prawniczka. – Teraz pan Schuyler uśmiechał się już od ucha do ucha. – To nic w tym rodzaju, panno Young. Cokolwiek sobie pani pomyślała.

Lucy poczuła, że coraz bardziej się rumieni. Nie przywykła, by ktoś się z nią droczył.

– Ja nie...

– Ależ tak. I nie mogę pani za to winić. Prawnicy bywają nieraz okropnymi satyrkami.

– Nie powiedziałałabym...

– Oczywiście, że nie.

Fran mawiała, że pan Schuyler potrafiłby tak omamić pszczoły, że pozwoliłyby mu wyjąć miód z barci. Wtedy Lucy myślała z pogardą, że byle osobnik w spodniach potrafiłby tak omamić Fran, by natychmiast zdjęła bluzkę. Ale teraz zaczynała rozumieć, co tamta miała na myśli. Bardzo trudno było zachować odpowiednio obojętną minę, kiedy pan Schuyler wpatrywał się z mieszaniną chłopięcej szczerości i figlarności.

– Nie prosiłbym pani o zrobienie czegoś, czego bym sam nie zrobił. Chodzi tylko o... pielęgnowanie relacji z klientem.

– Pielęgnowanie relacji? – powtórzyła jak echo Lucy.

– Tak. – Pan Schuyler złączył przed sobą czubki palców. – Wie pani, jak bardzo jesteśmy wszyscy zajęci w związku z kontraktem z Merolą.

Nie aż tak bardzo zajęci, by nie móc towarzyszyć Prunelli Pratt podczas oglądania *Toski*, pomyślała Lucy, ale nie powiedziała tego na głos.

– No więc, jest taki pan Ravenel z Charleston. Ma tam galerię sztuki i myśli o rozszerzeniu działalności na Nowy Jork. Panu Cromwellowi niezwykle zależy, by traktować go z należytą uprzejmością. Otóż... – Pan Schuyler odetchnął ciężko. – Ravenel właśnie przysłał telegram, w którym informuje, że przyjeżdża w piątek.

Lucy przechyliła głowę, by pokazać, że słucha.

Pan Schuyler bawił się przez chwilę wiecznym piórem.

– Pan Cromwell zabiera go na lunch, ale nasz gość nie ma towarzystwa na piątkową kolację. – Podnosząc oczy, pan Schuyler ciągnął: – Będę z panią szczerą. Miałem go gdzieś zabrać. Ale moja macocha zachowuje się nieznośnie. A kiedy tak robi... Hm, jest pani pewna, że nie chce włączyć duszenia do zakresu swoich obowiązków zawodowych?

Lucy nie bardzo podobał się kierunek, jaki przyjęła ta rozmowa.

– Może pan Ravenel miałby ochotę wybrać się do opery? – spytała szybko.

Pan Schuyler zrobił zabawną minę.

– Z tego, co słyszałem, raczej wątpię. Rozmawiałem z nim przez telefon. Brzmi trochę jak Huck Finn. Marka Twaina – dodał.

– Czytałam. – Nie chciałaby od razu pierwszego dnia popsuć sobie relacji z panem Schuylerem, ale... – O ile dobrze pamiętam, to było tam coś o malowaniu płotu.

– Rozszyfrowała mnie pani. – Pan Schuyler posłał jej niby to skruszone spojrzenie. – Co pani na to, panno Young? Czy zgodzi się pani zrezygnować ze swoich piątkowych planów?

Na piątkowy wieczór zaplanowała tak fascynujące zajęcia jak pranie pończoch i zaszywanie bluzki, w której pękł szew pod pachą.

Złote spinki pana Schuylera pobłyskiwały w świetle wpadającym przez

okno. Były nowiułtkie i ozdobiłone wymyślonym grawerowanym monogramem.

– To nie powinno być zbyt uciążliwie – powiedział zachęcająco. – Chodzi o kilka koktajli, kolację, uprzyjemnienie mu czasu.

Lucy zadźwięczały w głowie słowa babci: „Kobieta złej konduity... żeby chodzić do pracy jak mężczyzna”.

Miała już wcześniej takich pracodawców. Ale nie spodziewała się czegoś takiego po panu Schuylerze.

– Czy Meg też by pan o to poprosił?

– Meg – odparł stanowczym tonem pan Schuyler – to wspaniała dziewczyna, ale ma akcent, od którego ścina się śmietana. A do tego ta nieszczęsna grzywka. Staramy się zapewnić panu Ravenelowi rozrywkę, a nie tortury. Nawet jeśli jest cholernie uciążliwy.

Jaki rodzaj rozrywki miał na myśli?

Wziąwszy jej milczenie za zgodę, pan Schuyler opadł na oparcie krzesła.

– Chodzi tylko o piątkowy wieczór. Po prostu potrzebujemy kogoś, kto go potrzyrna za rękę, dopilnuje, by się dobrze bawił.

Lucy zwalczyła przyływ rozczarowania. Tak bardzo chciała zrobić dobre wrażenie. Ale nie za cenę utraty szacunku do samej siebie.

– Przykro mi, panie Schuyler – powiedziała ostrym tonem. – Obawiam się, że będzie pan musiał znaleźć kogoś innego. Nie jestem rozrywkową dziewczyną. I nie trzymam się z nikim za rękę.

– Nawet dla dobra firmy Cromwell, Polk i Moore? – Czar został włączony na pełne obroty.

Uprzejmie, lecz stanowczo Lucy odparła:

– Z przyjemnością będę służyła firmie w godzinach pracy.

Trochę ją zemdliło – nie może stracić tej pracy, nie teraz! – ale zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy chłodno i obojętnie.

– No dobrze. – Wciąż odchylony na krzesło pan Schuyler przyjrzał się Lucy z namysłem i pewnym podziwem. Zupełnie innym tonem dodał: – Panno Young, nie proszę pani o zrobienie czegoś, czego sam bym nie zrobił. Gdybym mógł, zamieniłbym się z panią. Co by pani wolała? Stek w Delmonico’s czy operę z moją macochą?

– Nigdy nie widziałam *Toski* – odparła śmiało Lucy.

– Proszę mnie nie kusić. – I już bardziej serio dodał: – Jest pani pewna, że nie zmieni zdania? Daję pani słowo, że jeśli Ravenel nie będzie się zachowywał, jak przystało na dżentelmena, osobiście dopilnuję, by nie prowadził interesów z naszą firmą.

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, przywiódł jej na myśl rycerza, którego namalowała dla niej matka, rycerza z malowidła ściennego u Prattów, grożącego mieczem wszystkim przybyszom.

– No cóż...

Pan Schuyler dostrzegł swoją szansę.

– Jeśli pani to zrobi – rzucił z zapalem – będę pani dłużny największe martini, jakie może zaoferować Manhattan.

Lucy spojrzała na niego spod rzęs.

– Martini jest nielegalne.

– Nie wtedy, gdy zna się odpowiednich ludzi.

Omamić pszczoły, pomyślała oszołomiona Lucy. To był świat dobrze znany jej matce, świat, w którym pewni ludzie znali pewnych ludzi, i nie obowiązywały w nim zwykłe zasady. Tam nie liczyły się takie przyziemne sprawy jak dopilnowanie, żeby bułki zostały uformowane, a chleb upieczony.

– Co pani na to, panno Young? Kolacja w zamian za drinka?

Chodzi przecież o zdobycie jego zaufania, upomniała samą siebie Lucy. Zdobycie zaufania i dostępu do dokumentacji.

– No dobrze – powiedziała wolno i zobaczyła wyraz triumfu na kulturalnej twarzy Philipa Schuylera. – Ale tylko ten jeden raz.

W końcu cóż to jest jedna kolacja?

Kate

Poczułam na twarzy wąty promyk słońca, ale jeszcze przez chwilę nie otwierałam oczu, by przedłużyć sen, w którym leżałam w swoim wygodnym łóżku we własnym domu, z mamą i tatą w pokoju obok, psem Sassy śpiącym w nogach. Nie było wojny, żołnierzy z nerwicą frontową i amputowanymi kończynami kuśtykających po mieście ani zaciemnionych okien odcinających światło. Powróciło wspomnienie z dziewczęcych czasów, wspomnienie „sprzed”, bo ogromne zmęczenie po ostatnim tygodniu pracy sprawiało, że często nawiedzały mnie takie beznadziejne sny.

W sennym oszołomieniu dotarł do mnie odgłos skrobania i przez chwilę myślałam, że to Sassy drapie pazurkami w drewnianą podłogę mojej dawnej sypialni, jakby próbowała przekopać się do Chin. Sassy miała ten zwyczaj od szczeniństwa, a mama wciąż ją za to besztala, zazwyczaj grożąc, że wyrzuci psa na ulicę. Ale i tak obie wiedziałyśmy, że Sassy jest naszym ukochanym psiakiem, rozpuszczonym jak dziadowski bicz, i najgorsze, co może jej się przytrafić, to kolejna kość z zupy rzucona do obgryzania w kuchni.

Jednak Sassy już dawno nie żyła, bo zginęła pod kopytami muła, który ciągnął wóz z mlekiem i przestraszył się nagle klaksonu samochodowego. Otworzyłam oczy i wbiłam wzrok w splowiały kreton obicia szezlongu, który przez ostatnie cztery noce pełnił funkcję mojego łóżka. Teraz byłam pewna, że skrobanie nie pochodzi z mojej wyobraźni, lecz prawdopodobnie dobiega ze ścian. Szczury!

Poderwałam się gwałtownie z szezlongu, zaczepiając rąbkiem fartucha o wystającą sprężynę, i jakimś cudem wylądowałam na podłodze obiema stopami. Dałam wielkiego susa za biurko po żeliwną patelnię, którą znalazłam kiedyś w kącie pokoju na poddaszu. Ze względu na jej ciężar i wgniecenia na spodzie uznałam, że prawdopodobnie była używana jako skuteczna broń przeciw wszelkim intruzom, a nie tylko futrzastym czworonogom.

Znieruchomiałam, nasłuchując skrobania, starałam się ustalić, spoza której ściany dochodzi, w nadziei, że szczur nie jest zbyt duży. Nie żebym się bała szczurów, ale sprzątnięcie tych dużych wymagało sporo zachodu. Powoli obróciłam się w kierunku, z którego dochodził dźwięk, i ujrzałam kapitana Ravenela wspartego na poduszkach i siedzącego w łóżku, a na stoliku obok dostrzegłam pustą tacę po śniadaniu. Trzymał w jednej ręce swoją kartę choroby, a w drugiej pióro.

– Mam nadzieję, że pani doktor ma jakieś nowocześniejsze lekarstwo do pozbawienia mnie przytomności – powiedział, miękko przeciągając samogłoski.

– Słyszałam skrobanie... – Urwałam, gdy nagle dotarło do mnie, że już nie jest nieprzytomny z gorączki, tylko siedzi w łóżku i rozmawia ze mną. – Jak...?

– Siostra Hathaway przyszła przed godziną i orzekła, że spadła mi gorączka. A ponieważ umierałam z głodu, przyniosła mi śniadanie. Bez owsianki, ale dałam radę wszystko zjeść. Jestem słaby jak źrebiątko i na pewno nie zdołałbym prosto strzelić w obronie własnego życia, ale czuję się o wiele lepiej.

Zrobiłam krok w jego stronę, zaniemówiłam z zaskoczenia. Jeszcze poprzedniej nocy lepił się od potu z gorączki, a ja niechętnie przyznawałam w duchu, że doktor Greeley jednak mógł mieć rację.

– Ale... – wydusiłam wreszcie.

Spojrzał na patelnię.

– Może to pani odłożyć. Zapewniam, że jestem silniejszy, ale nie aż tak, by móc panią zniewolić. Starczyło mi sił tylko na bazgranie, kiedy pani spała. Uznaliśmy wspólnie z siostrą Hathaway, że nie należy pani budzić. Powiedziała, że zajmowała się mną pani kosztem swojego wypoczynku. – Przechylił głowę. – Chociaż muszę przyznać, że te pani potargane włosy i zaspane oczy są bardzo ponętne. Kusi mnie, by zacząć od początku.

– Och – jęknęłam, upuściwszy z łoskotem patelnię, i dotknęłam głowy. Grzebyk wysunął się w czasie snu i byłam niemal wdzięczna za brak lustra w moim pokoiku na poddaszu.

Spojrzałam na pióro i kartę choroby, które trzymał kapitan, i nagle przypomniałam sobie, kim jestem i kim jest on. Staralam się wykrzesać z siebie tyle autorytetu, ile się dało, nie zważając na rozpuszczone włosy i oczy zapuchnięte od snu, i podeszłam do łóżka.

– Przepraszam, kapitanie, ale co pan wyprawia? Jedyne personel medyczny ma prawo dokonywać wpisów na pana karcie...

Przystanąłam z boku łóżka, domyślając się już, co powodowało skrobanie. Na odwrotnej, czystej stronie kartki widniała na środku płatanina linii wyrysowana śmiałymi pociągnięciami pióra. Nachyliwszy się niżej, rozpoznałam na rysunku własną twarz.

– Zdolny pan jest – powiedziałam, bo mój podziw przeważył nad chęcią umocnienia autorytetu jako lekarza.

Ręka zaczęła mu drżeć, wysiłek, jakiego wymagało siedzenie i rysowanie, był zbyt wielki dla jego osłabionego ciała. Odebrałam mu kartę i podparłam go wygodniej na poduszkach. I już wiedziałam, że starannie przepiszę wszystko na nową kartę, żeby móc zachować rysunek. Wmawiałam sobie, że zrobię to, żeby doktor Greeley nie mógł zobaczyć rysunku i snuć niewłaściwych domysłów, ale tak naprawdę chodziło o to, że w sposobie, w jaki kapitan Ravenel naszkicował moją twarz, było coś intymnego i znajomego, coś nieprzyzwoitego. I przypomniałam sobie znów, jak spojrzał na mnie po raz pierwszy i że odniosłam

wtedy wrażenie, jakby mnie znał.

– Uratowała pani moją nogę – powiedział cicho, przesuając stopę pod prześcieradłem.

Odchyliłam je, by obejrzeć ranę, którą oczyściłam i opatrzyłam poprzedniej nocy. Plaster słabo się trzymał, z czego wywnioskowałam, że siostra Hathaway już oglądała ranę, ale musiałam ocenić ją sama. Odsunęłam bandaż i zdziwiło mnie to, co zobaczyłam. Skóra wokół szwów nie była już czerwona i zaogniona, lecz lekko się zaróżowiła i zaczął się formować cienki strup. Gdybym wierzyła w cuda, powiedziałabym, że właśnie jestem świadkiem czegoś takiego. A może siła woli tego żołnierza była większa niż wszystkie leki.

Poprawiłam bandaż i nakryłam pacjenta prześcieradłem.

– Chciałabym móc przypisać sobie tę zasługę, ale był to wspólny wysiłek wszystkich pielęgniarek i lekarzy ze Stornaway...

– Pani to zawdzięczam – wszedł mi łagodnie w słowo.

Zaczęłam protestować, ale powiedział:

– Pamiętam, jak mnie tu przywieziono i zobaczyłem panią. Padał deszcz... – Zamknął oczy, a ja czekałam, co powie dalej, wspominając tamten wieczór. – Była pani cała przemoczona – mówił wolno, oczy miał nadal zamknięte. – Ubranie prześwitywało.

Wstrzymałam oddech, zmieszana, a zarazem przyjemnie poruszona. Mówił do mnie tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi, a poufałość była czymś oczywistym. Jakby wzmianka o mojej prześwitującej sukience mogła być rzucona takim tonem jak uwaga o okrucinie na brodzie.

Otworzył oczy i zobaczyłam brązowe plamki w zielonej głębi. Okazało się, że nawet kolor jego oczu nie mógł być oczywisty i zwyczajny.

– Był tam też mężczyzna, lecz o ile dobrze pamiętam, miał inne zdanie niż pani. Ale przeciwstawiła mu się pani i oświadczyła, że przejmie opiekę nade mną.

Wyprostowałam się, chcąc być postrzegana nie jako kobieta, lecz profesjonalistka.

– Jestem lekarzem i uznałam, że pańską nogę można uratować. Poza tym sam mnie pan o to poprosił.

Jego krzywy uśmiech wydałby się chłopięcy na innej twarzy, ale kapitan Cooper Ravenel nie miał w sobie nic z chłopca.

– Czy zawsze robi pani to, o co panią proszą?

– Raczej nie. – Odsunęłam się od łóżka, by stworzyć między nami odpowiedni dystans. – Napisałam do pańskiej rodziny w Charleston, by powiadomić ją o tym, że jest pan ranny i gdzie się znajduje. Nie byłam pewna, czy armia przesłała zawiadomienie ani czy rodzina oczekuje pana w Karolinie Południowej. Z założenia nie powinien pan tu trafić, lecz taka była nagła konieczność. Obawiam się, że robota papierkowa nie jest teraz czymś

najważniejszym. – Położyłam kartę choroby na szezlongu i zaczęłam poprawiać fryzurę, żeby już nikt nie zobaczył mnie z włosami w nieładzie. – Na razie brak odpowiedzi, ale nie minął nawet tydzień. Spodziewam się telegramu lada dzień, a może nawet krewni już jadą do pana.

Przez jego twarz przemknął cień i przyszło mi na myśl, że może zastanawia się, dlaczego ta jego Victorine nie odpisała. A może właśnie jedzie pociągiem do Nowego Jorku. Miałam nadzieję, że tak. Im szybciej się tu zjawi, tym szybciej będę znowu mogła starać się być jak najlepszą lekarką i przestaną mnie rozpraszać płocze myśli i uczucia, które ten pacjent najwyraźniej wywoływał.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, a potem pchnęła je i otworzyła siostra Hathaway. W rękach miała tacę ze strzykawkami i papierowymi kubeczkami z wodą.

– Dzień dobry, pani doktor – powiedziała wesoło, podchodząc do łóżka kapitana. – Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że pozwoliłam pani spać. Zbadałam kapitana Ravenela, gorączka całkowicie spadła. Skarżył się, że jest głodny, i zdołał namówić mnie, bym przyniosła mu śniadanie. Wzięłam je z jadalni lekarzy, bo mają tam zwykle lepsze jedzenie. Doktora Greeleya jeszcze nie było, więc prawdopodobnie zabrałam jego porcję. Pani śniadanie zostawiłam w kuchni, żeby nikt go nie ruszył. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

Mrugnęła do mnie, a ja nie odmrugnęłam, choć bardzo miałam na to ochotę.

– Dziękuję, siostrze. Jeśli pacjent zwymiotuje, bo jego żołądek nie jest jeszcze gotowy do spożywania stałych posiłków, wiem, kogo wezwać, by posprzątał.

– Tak, pani doktor. – Zakrzętnęła się przy pacjencie, zmierzyła mu temperaturę i napoiła. – Powinna też pani wiedzieć, że doktor Greeley jest od rana wściekły. Wygląda na to, że jakaś teczka zniknęła z jego gabinetu, i chce wiedzieć, kto ją zabrał. Ale pewnie odkryje, że po prostu ją przełożył, i jeśli znów jej poszuka, znajdzie tam, gdzie powinna być.

Podniosła tacę po śniadaniu i wystawiła ją za drzwi, a potem zabrała tacę z lekami i skierowała się do wyjścia.

– Przyjdę później, by obmyć pacjenta gąbką. Chyba że znów woli pani to zrobić sama.

Zarumieniłam się, gdy przypominałam sobie, jak często obmywałam kapitana Ravenela zimną wodą, by zbić mu gorączkę. Wcale nie zwracałam wtedy uwagi na jego umięśniony tors ani długie, smukłe nogi. A jeśli tak, to tylko w sensie medycznym.

– Proszę się już nie fatygować, siostrze Hathaway. Dziękuję. Za wszystko.

Podeszłam do okna, by odsunąć zasłonę zaciemniającą, mając nadzieję, że moja twarz odzyska tymczasem normalny kolor. Miasto widoczne przez okno z szóstego piętra tętniło życiem. Prawie od początku wojny Nowy Jork w nocy mógł się kojarzyć z nekropolią pełną ciemno ubranych ludzi, którzy cicho

przemieszczali się po słabo oświetlonych ulicach, a samochody miały reflektory do połowy zamalowane czarną farbą. Jednak w świetle dnia ludzie zachowywali się jak zwierzęta, które po długim zimowym śnie wynurzały się teraz ze swoich nor, by chłonąć promienie słońca.

Zastanawiałam się, ile jeszcze potrwa wojna. Pewnie niedługo, zważywszy na wieści o porażkach Niemców oraz sukcesach aliantów i ich inwazji we Francji. Ale wszyscy mówiliśmy tak już od ponad roku.

Kiedy się odwróciłam, mój wzrok znów padł na rysunek. Podniosłam go, nie mogąc się oprzeć, i przyjrzałam mu się, tak jak matka nauczyła mnie patrzeć na dzieła sztuki. Talent artysty można poznać po lekkich dotknięciach pędzla i delikatnych liniach szkicu.

– Czy jest pan profesjonalnym artystą, kapitanie Ravenel? Naprawdę świetnie to panu wyszło.

Pokręcił głową, a po jego twarzy przemknął cień, który uznałam za przejaw żalu.

– Nie. Jedynie po amatorsku zabawiam się szkicowaniem piórem. Zanim Wuj Sam poprosił mnie, bym odwiedził Europę i strzelał do Niemców, byłem marszandem w galerii w Charleston. Jednak mój dziadek był dobrze znanym malarzem. Może pani o nim słyszała. Augustus Ravenel.

Przyglądałam mu się przez długą chwilę, sądząc, że może się przesłyszałam. Przypomniałam sobie, że jego nazwisko wydało mi się znajome, a teraz już wiedziałam dlaczego.

– Augustus Ravenel był pańskim dziadkiem? – Usiadłam na szeszlunku, uważając na wystającą sprężynę. – Moja matka uwielbiała jego prace. Kiedy tylko jakiś jego obraz pojawiał się w którejś nowojorskiej galerii, zabierała mnie tam, bym mogła go obejrzeć. Zawsze się dziwiłam, że nie mamy jakiegś jego pracy. Mój ojciec był prawnikiem i wiem, że byłoby nas stać chociaż na niewielkie płótno. Ale mama nigdy nie brała tego pod uwagę. Muszę przyznać, że byłby to zabawny zbieg okoliczności, gdybym miała jakiś obraz pańskiego dziadka, a tu proszę, pan jest moim pacjentem.

Uśmiechnął się, a jego dziwne oczy uważnie mi się przyglądały.

– Powiedziała pani, że matka zabierała ją do różnych galerii, aby mogła pani studiować dzieła sztuki. Czy jest pani również artystką, pani doktor?

– Niestety nie, choć matka bardzo sobie tego życzyła. Kochała sztukę, lecz brakowało jej talentu. Miała nadzieję, że ja go mam, więc przez wiele lat brałam lekcje rysunku, ale skończyło się to rozczarowaniem. A potem mój ojciec zmarł na raka płuc w wieku zaledwie pięćdziesięciu lat, co przypieczętowało mój los. Postanowiłam, że zostanę lekarką.

– Pewnie nie było łatwo przeciwstawić się życzeniom matki. I obrać ścieżkę kariery, do której aspiruje niewiele kobiet. Musi być pani bardzo silną kobietą.

Kiedy doktor Greeley powiedział mi to samo, nie było to zamierzone jako komplement. Jednak w ustach kapitana Ravenela zabrzmiało, jakby nazwał mnie Kleopatram, królową Saby i Matą Hari w jednym. Poczułam, że znów kraśnieją mi policzki, i pochyliłam głowę nad rysunkiem, by ukryć twarz.

– Podobieństwo jest uderzające. Gdybym nie wiedziała, że był pan nieprzytomny przez większość spędzonego tu czasu, oskarżyłabym pana o to, że zbyt często mi się pan przygląda.

Milczał przez długą chwilę, więc spojrzałam na niego, sądząc, że pewnie zapadł znów w sen. Tymczasem jego oczy wpatrywały się we mnie z intensywnością, do jakiej nie nawykłam, ale nie potrafiłam zdobyć się na odwrócenie wzroku.

– To dlatego, że próbowałam narysować pani podobiznę, od kiedy dorosłem na tyle, by utrzymać pióro w ręku.

W obawie, że nadal bredzi z powodu gorączki, już miałam poprosić go o wyjaśnienie, ale spojrzałam na ścianę za nim i zamarłam.

Potrafiłam opracować chirurgicznie ranę, amputować kończynę, bez specjalnego obrzydzenia zetrzeć krwawe wymioty. Umiałam nawet bez mrugnięcia okiem zatłuc żeliwną patelnią szczura. Jediną rzeczą, której nie mogłam znieść, były karaluchy, co zapewne miało związek z wydarzeniem z dzieciństwa, kiedy jeden z tych owadów wpadł do wanny, gdy się kąpałam. I właśnie w tej chwili brązowy insekt pełzł po ścianie za kapitanem, a jego długie czułki rzucały groteskowe cienie na białej powierzchni.

Zanim zdążyłam pomyśleć, wydałam z siebie wrzask.

Kapitan Ravenel raptownie usiadł, twarz mu pobladła z bólu w rannej nodze, spowodowanego nagłym ruchem, po czym obejrzał się za siebie. Wziął szybko kwadratowy kawałek gazy ze stolika przy łóżku i pochwyił karalucha długimi palcami, więżąc go skutecznie w pułapce z gazy.

Całkowicie upokorzona, miałam ochotę natychmiast wyciągnąć dyplom i powiedzieć mu, że skończyłam z wyróżnieniem studia medyczne, że sama nastawiłam sobie ramię i nie zemdlałam przy tym oraz że moim zdaniem ludzie, którzy mdleją na widok krwi, powinni mieć zakaz posiadania dzieci.

Gdy się odezwał, jego słowa zadawały kłam uśmiechowi.

– Proszę się nie przejmować, pani doktor. Sam nie wrzasnąłem tylko dlatego, że zdążyłem przyzwyczaić się do nich w Charleston. Ale tam są takie wielkie, że można by je siodłać. I latają.

Rozdrażniona własnym i jego zachowaniem, złapałam kosz na śmieci i podsunęłam, mając nadzieję, że owad, którego tam wrzuci, jest już martwy. Kapitan trzymał rękę przy boku, więc musiałam się nad nim nachylić, by miał lepszy dostęp do kosza.

– Blżej – poprosił słabym głosem.

Odwrociłam głowę, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Dobrze się pan czuje? – spytałam z niepokojem. Prawie dotykaliśmy się nosami.

– Teraz tak – odrzekł, unosząc nieco głowę, po czym musnął wargami moje usta.

Mówiłam sobie później, że to z powodu zaskoczenia i szoku, jaki wywołał dotyk jego ust, poczułam gwałtowne uderzenie krwi do głowy. A może raczej z powodu oburzenia, które powinnam odczuwać, o czym sobie przypominałam chwilę po tym, jak zorientowałam się, co się dzieje.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i w progu stanął doktor Greeley. Jego łysiejąca czaszka błyszczała od potu, a zimne spojrzenie szybko oceniało scenkę, którą miał przed oczami.

– Doktor Schuyler – powiedział pompatycznym tonem chodzącej prawości. – Proszę stawić się w moim gabinecie.

Zalała mnie fala upokorzenia i gniew skierowany głównie przeciw sobie samej. Tyle lat wysiłków i determinacji zostało być może przekreślone przez chwilę głupiej lekkomyślności. Nie próbowałam się bronić ani niczego wyjaśniać, wiedząc, że to nic nie da.

– Zapewniam, że doktor Schuyler jest całkiem niewinna – powiedział kapitan Ravenel, a jego miękkie spółgłoski zabrzmiały zwodniczo słodko. – Obawiam się, że z powodu maligny pomyliłem ją z inną osobą.

W milczeniu, nie patrząc na żadnego z nich, ostrożnie położyłam kartę choroby na stoliku przy łóżku w nadziei, że siostra Hathaway zabierze rysunek, zanim ktoś inny go zobaczy. A nim opuściłam pokój, odstawiłam jeszcze kosz na miejsce. Powoli ruszyłam po schodach, rezygnując z windy, żeby odwlec to, co nieuniknione. Podeszwy moich butów uderzały cicho o marmurowe stopnie cylindrycznej klatki schodowej, kiedy powoli schodziłam na czwarte piętro i zatrzymałam się na chwilę, by spojrzeć na płaskorzeźbę przedstawiającą świętego Jerzego zabijającego smoka.

Wpatrywałam się w zastygłe w ruchu postacie i po raz pierwszy od śmierci ojca żałowałam, że nie mam rycerza, który zabijałby dla mnie smoki.

Jednak porzuciłam te dziecinne fantazje w dniu, kiedy go pochowałam, razem z kokardami do włosów i fartuszkami. Obróciłam się na pięcie i skierowałam do gabinetu doktora Greeleya, a w mojej głowie wciąż dźwięczały słowa kapitana Ravenela. „Próbowałam narysować pani podobiznę, od kiedy dorosłam na tyle, by móc utrzymać pióro w ręku”.

Zatrzymałam się na chwilę przed drzwiami gabinetu i wzięłam głęboki wdech, zastanawiając się, czy matka nie miała jednak racji. Może powinnam była zostać artystką.

Olive

Sklepiarz nazywał się Jungmann, a jego twarz zawsze rozjaśniała się, kiedy Olive wchodziła do jego sklepu na rogu Lexington Avenue i Sześćdziesiątej Czwartej Ulicy, by złożyć zamówienie na warzywa, które mają być dostarczone następnego dnia. Lubiła to. Jak miło było uciec z Domu Dezaprobaty – marszczącej brwi gospodyni, krzywo patrzących kucharek, naburmuszonej Prunelli i jej nadętej matki – i spotkać osobę, której twarz dosłownie jaśnieje na twój widok.

Co za ironia. Cała nowojorska socjeta marzyła o tym, by zostać zaproszona do rezydencji Prattów, a Olive marzyła tylko o tym, by stamtąd uciec. A przecież ten dom zbudował jej ojciec! Czyż nie należał po części do niej, nie w sensie materialnym, lecz tak jak dom zawsze należy do tych, którzy w nim mieszkają, kochają i cierpią? Tak jakby zatrzymał w sobie cząstkę twojej duszy.

– Panna Jones! Już traciłem nadzieję, że panią ujrzę!

Olive wyrwała się z zamyślenia i zobaczyła, że już jest w sklepie i patrzy na piramidę jabłek. Podniosła wzrok i próbowała odwzajemnić szeroki uśmiech pana Jungmanna, ale nie całkiem jej się to udało.

– Dzień dobry, panie Jungmann. Niestety, dziś zmitrężyłam rankiem trochę czasu. Tu mam listę kucharki. – Dłonią obleczoną w mitenkę wyjęła kartkę z kieszeni palta i podała mu.

– Co my tu mamy... – Był bardzo serdeczny i jowialny, taki misiowaty. Zawsze wyobrażała go sobie z żoną i dziesiątką rumianych dzieciaków, które łążą po nim, kiedy wraca wieczorem do domu (mieszka nad sklepem czy gdzie indziej?), i myszkują mu po kieszeniach w poszukiwaniu słodyczy, ale oczywiście nie zadawała mu żadnych pytań osobistych.

– Kucharka chciałaby też wiedzieć, czy ma pan brzoskwinie. Coś jest nie tak z drzewkami w oranżerii w Newport, więc od tygodni nie mieliśmy od nich dostawy.

Przeczytał uważnie całą listę, która w jego wielkiej dłoni wydawała się o wiele mniejsza niż w drobnej rączce Olive okrytej mitenką.

– Brzoskwinie? Po co im brzoskwinie w grudniu?

Olive wzruszyła ramionami.

– Pewnie do brzoskwiniowej melby. Ostatnio jest w modzie. Wydają przyjęcie.

Pan Jungmann oderwał wzrok od listy i spojrzał na Olive błyszczącymi niebieskimi oczami.

– Na kiedy potrzebuje pani te brzoskwinie?

– Na sobotę.

Złożył listę i schował do kieszonki na piersi.

– Dla pani, panno Jones, znajdę te brzoskwinie. Nie dla tej strasznej walkirii, pani Jackins! – Pogroził kucharce palcem, chociaż znajdowała się wiele ulic dalej.

– Ale dla pani, panno Jones, znajdę brzoskwinie i w grudniu. Dostarczę je w sobotę rano.

– Mam nadzieję, że nie sprawi to panu dużego kłopotu. Na pewno wolałby pan spędzać wtedy czas z rodziną.

Rozłożył przed nią rękę.

– Jaką rodziną, panno Jones? Jestem biednym kawalerem. To żaden kłopot.

Sposób, w jaki wymówił słowo „kawaler”, wywołał rumieniec na jej policzkach.

– W takim razie bardzo dziękuję. Pani Jackins zapewne to doceni.

– Już pani mówiłem, że brzoskwinie nie mają uszczęśliwić pani Jackins.

W ustach innego mężczyzny mogłoby to zabrzmieć jak zaproszenie, jak niestosowna czy przynajmniej niedelikatna propozycja. Jednak pan Jungmann już zdążył się odwrócić i przebierał ziemniaki, a te najładniejsze wkładał do drewnianej skrzynki, która zostanie zawieszona po południu wozem do skromnego wejścia dla dostawców, mieszczącego się na najdalej wysuniętym w lewo rogu fasady rezydencji Prattów. Nie oczekiwał żadnego rewanzu za swoją fatygę. Po prostu dostarczał jej brzoskwinie, żeby była zadowolona.

– Wie pan, kim pan jest, panie Jungmann? – spytała. – Jest pan dżentelmenem.

– Też coś. Niech pani już zmyka, panno Jones. Pewnie ma pani sporo roboty?

– Tak. Ale muszę jeszcze wziąć parę rzeczy na zupę. Mogę? – Podąła mu koszyk.

– Czego pani potrzeba?

Zapełnił kosz i dał jej piękne rumiane jabłko do zjedzenia w drodze powrotnej. Podając owoc, zajął jej w oczy.

– Wszystko dobrze, panno Jones? Potrzebuje pani czegoś?

– Nie, nie. To znaczy tak. Wszystko w najlepszym porządku.

– Musi się pani więcej uśmiechać. To sposób na bycie szczęśliwym. Kto się uśmiecha, ten jest szczęśliwy.

– A ja myślałam, że odwrotnie.

Pokręcił głową.

– Nie, najpierw uśmiech, właśnie tak.

– Postaram się o tym pamiętać, dziękuję.

Jednak na dworze było za zimno, by się uśmiechać. Twarz Olive natychmiast zmarzła w chłodnym północnym wietrze wiejącym na Lexington Avenue. Skręciła

w Sześćdziesiątą Czwartą, by uciec przed wichrem, i szła cichym chodnikiem z koszem objającym się rytmicznie o nogę. Zastanawiała się nad tym, co powiedział pan Jungmann. Czy naprawdę można wymusić na sobie uczucie szczęścia, po prostu przywołując uśmiech na usta?

Zresztą wcale nie czuła się nieszczęśliwa. Nie można czuć się nieszczęśliwym, kiedy się jest tak fizycznie zajęтым jak Olive, biegając w górę i w dół po schodach, ścieląc łóżka, nakrywając do stołu, rozpalając w kominku, wciąż sprząając, pucując i czyszcząc. Można być sfrustrowanym, zmartwionym albo wykończonym, ale to zupełnie co innego niż ta czarna dziura, w której egzystowała, odkąd znalazła ciało ojca przygarbione przy biurku w mroźny styczniowy poranek zeszłej zimy. Zaczęła powoli wychodzić z tej dziury, kiedy zjawiała się na schodach dla służby przed rezydencją Prattów – och, to uczucie determinacji, kiedy opuściła kołatkę! – i nieustająco trwało od tamtej chwili.

A więc co ujrzał w jej twarzy pan Jungmann, że tak się zaniepokoił?

Powietrze było rześkie i zimne, pachniało dymem. Na Manhattanie zawsze czuć było dym, nawet tutaj, z dala od biur i fabryk, zwłaszcza na Czwartej Alei, gdzie przebiegały tory kolejowe, którymi pędziły pociągi w stronę New Haven, Bostonu i innych miejscowości na północy, zasnuwając powietrze brudną parą. Na wsi pachniałoby śniegiem, białym i sypkim.

Przeszła przez Czwartą Aleję – na szczęście nie przejeżdżały teraz pociągi – i zmierzała w górę ulicy. Im dalej od hałaśliwych torów, tym domy były większe, a przy nowych, równych chodnikach rosły drzewa. Na Madison Avenue powinna skręcić w prawo, ale zamiast tego szła nadal w kierunku Piątej Alei i bezlistnym drzewom Central Parku.

Harry. Imię wyłoniło się z głębin jej pamięci, gdzie starała się je trzymać w zamknięciu. To pewnie przez te drzewa. Przyzywały ją do parku, w którym mogła niemal zapomnieć, że jest nowojorską pokojówką, która nie ma żadnego interesu w tym, by dostawać wsuwane pod drzwi liściki od potomka jednej z najbardziej liczących się rodzin w mieście. A tym bardziej zachować ostatni, który zjawiał się tego ranka, a teraz tkwił w kieszeni jej spódnicy, tak że skryty mógł ocierać się o jej nogę – nie tę, przy której niosła koszyk z warzywami, jedna noga niegrzeczna, a druga obowiązkowa – kiedy załatwiała sprawunki.

Pewnie myślisz, że jestem jakimś satyrem. Zapewniam Cię, że wcale nie. Nie mam wobec Ciebie żadnych niecnych zakusów, jedynie podziw graniczący z uwielbieniem. Czy możesz się nade mną choć trochę ulitować? Przynajmniej odpowiedzieć na moje spojrzenie, kiedy mijamy się w korytarzu, abym wiedział, że nadal dla Ciebie istnieję. Prosić o uśmiech to pewnie byłoby zbyt wiele, choć przyznam, że żywię cichą nadzieję, iż oszczędzasz jeden na Boże Narodzenie. Posłuchaj. Nie jestem idiotą. Nigdy wcześniej nie pisywałem takich liścików i obawiam się, że nie wiem, jak to się robi. Pracowałem nad rysunkiem, który

przedstawia Ciebie, ale nijak nie potrafię uchwycić wyrazu Twych oczu. Wymykasz się i nie wiem, co mam robić. Została mi tylko nadzieja.

Nie żeby znała go na pamięć, tak samo jak wcześniejsze. Nie żeby potrafiła wyobrazić sobie pospieszny charakter pisma albo usłyszeć głos Harry'ego Pratta, kiedy jadł posiłki z rodziną w obszernej, wykładanej boazerią jadalni, kiedy dzieliło ich zaledwie kilka metrów, a właściwie cały świat.

Nie żeby pamiętała każdy raz, kiedy mijali się w korytarzu, odbłask elektrycznego światła na jego pszenicznych włosach oraz to, jak jaśniała mu twarz – jak u pana Jungmanna, tylko mnóstwo watów mocniej – a także uśmiech, pochwycony w przelocie, zanim spuściła wzrok na dywan i pobiegła szybko dalej, zwykle zapominając, dokąd pędzi.

Z nadzieją, że dotknie jej ramienia i ją zatrzyma.

Modląc się, by tego nie zrobił.

I nigdy nie robił, a czasem zastanawiała się, czy aby nie wymyśliła sobie tego wszystkiego: cichej gwiaździstej nocy w pokoju u szczytu schodów, ołówka, który poruszał się gorączkowymi skokami, wyrazu twarzy Harry'ego, tego, co mówił. Sposobu, w jaki na nią patrzył, jakby była boginią, a nie pokojówką. Aniołem, a nie rozgoryczoną młodą kobietą, knującą ohydną zemstę na rodzinie, pod której dachem mieszkała.

Ale tak było lepiej, czyż nie? Lepiej, żeby udawała, że to się wcale nie wydarzyło. Lepiej, żeby drzwi do pokoju na górze pozostały zamknięte, ponieważ to, co stamtąd wzywało, było jedynie baśnią – miała niejasne wrażenie kolorów, energii, wyobraźni i śmiechu, czegoś niezwykłego i niewyczerpanego.

Średniowieczną alegorią, jak nazwał to Harry, ale czymże była średniowieczna alegoria, jeśli nie baśnią?

Taką baśnią, jakie zwykł czytywać jej wieczorami ojciec.

Olive przeszła przez Piątą Aleję, wymijając dwa turkoczące, do połowy puste omnibusy, i skręciła, by iść w kierunku północnym, wzdłuż parku. Koszyk zaczynał jej ciążyć, ale się tym nie przejmowała. Zerknęła za mur otaczający park, na brązowy gąszcz ogołoconych zimowych drzew, odległe wieże Belveder Castle. Nad tym wszystkim wisiało ołowianoszare niebo, zapowiadając śnieżycę.

Przez chwilę wyobrażała sobie, że idzie przez ten pusty niby-lasek u boku Harry'ego, bez słowa, po prostu istniejąc w czułej równowadze, w której nie ma takich rzeczy jak pokojówki i rezydencje, i...

– Olive.

Jakaś postać wstała z ławki, do której Olive się zbliżała, i dziewczyna miała akurat tyle czasu, by zabrakło jej tchu, zanim Harry Pratt pojawił się przed nią, w wełnianej czapce z daszkiem, uśmiechnięty, a zarazem smutny, z mocno zarysowaną kwadratową szczęką, której kształt podkreślał zwój indyjskiego

kaszmirowego szalika. Wyglądał zupełnie jak w jej fantazji, więc przez chwilę jakby zawisła w cudownym świetle nadziei. Średniowiecznej alegorii.

– Pan Pratt! Co pan tu robi?

– Czekam na ciebie. Zamarzam na kość.

– To doprawdy śmieszne.

– Owszem. Ale nie zostawiłaś mi wyboru. – Złożył razem dłonie odziane w rękawiczki. – Nie czytałaś moich liścików?

– Nie wiem, o czym pan mówi, a poza tym jestem już spóźniona.

Ujął ją za łokieć.

– Proszę, Olive. Tylko chwilkę. Możemy wejść do parku, jeśli tak wolisz.

Spojrzała w lewo, a potem znów na błagalną minę Harry’ego.

– Powiedz tak – wyszeptał, wyjmując kosz z zagięcia jej łokcia.

– Tylko na minutkę. – Złamała się.

Cóż za uśmiech dostała w nagrodę za to, że mu ustąpiła. Trzymając kosz w jednej ręce, drugą ujął ją za ramię, po czym wślizgnęli się przez przerwę w murze do sztucznego miejskiego lasu, w którym byli zupełnie sami, a Olive pomyślała: Jakie to głupie. Co ja wyprawiam.

– Będziesz znów mi pozować – oznajmił Harry.

– Co?

– Musisz. Nie mogę spać. Nigdy nie miałem tylu pomysłów, nigdy nie byłem tak gotów do pracy. Wiesz, jak się czuję? Jakby moje palce i mózg miały zaraz wybuchnąć. Za każdym razem, kiedy cię widzę, wszystko staje mi wyraźnie przed oczami: doskonała wizja tego, co mam namalować. Znalazłem się na tej ziemi, by to stworzyć. I wtedy znikasz, a wizja razem z tobą. Nie, nawet gorzej. Jest tuż-tuż, niepochwytne jak sen zaraz po przebudzeniu.

Przystanął, by nabrać tchu, jakby za długo dusił w sobie te słowa, więc teraz zbyt szybko z niego wyszły. Trzymał Olive za łokieć, co było bardzo przyjemne. Pachniał trochę tak jak jego dom, drewnem i dymem, ale również mydłem. To był ten sam zapach, który wydał jej się tak pociągający przed tygodniem. Odwróciła twarz, ale było już za późno. Zabolały ją zębra. Żeby ze wszystkich głupich rzeczy zakochać się w zapachu mydła!

– Nigdy nie słyszałam czegoś tak absurdalnego.

– Proszę bardzo, udawaj sobie, że tego nie czujesz.

– Nic nie czuję poza ogromnym podziwem dla pańskiej techniki. Proszę mi powiedzieć: ile pokojówek zwabił pan tym sposobem?

Zatrzymał się na ścieżce, odstawił kosz i odwrócił się ku niej. Obłoczki pary, które wydychali, powoli się zesnuły. Zarumienione policzki miały odcień dojrzałego jabłka.

– Żadnej.

– W każdym razie brzmi pan jak ekspert.

Harry patrzył na nią z góry, marszcząc brwi w taki sposób, że nawet najbardziej cyniczna i praktyczna dziewczyna pod słońcem nabrałaby chęci, by wygładzić te brwi, odgarnąć kosmyk włosów z czoła i schować pod czapkę. Pozwolić mu robić ze sobą, co tylko będzie chciał.

Dopóki nie zjawi się nowa dziewczyna.

– No dobrze – powiedział. – W porządku. Wiem, że to, co mówię, może wydawać się idiotyczne. Odprowadzę cię do domu i możemy udawać, że nigdy się nie spotkaliśmy. Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, Olive. Jeśli to cię zadowoli. Jeśli tak zrobimy, zapewne znów poczuję się tak jak przed tygodniem, będę niespokojny i sfrustrowany, będę chciał jedynie się upić i zapomnieć o wszystkim. Pomyślę, że nic nie miało znaczenia, że byłem sam pośrodku pustyni. Ale powiedz mi jedną rzecz, Olive. Powiedz jedno słówko.

– Mianowicie jakie?

– Po prostu powiedz, że też to czułaś, nawet jeśli tylko przez chwilę. Powiedz, że nie byłem tam sam. Bóg jeden wie, że mam już serdecznie dość tego, że wciąż jestem sam w zatłoczonym pokoju.

Podniosła koszyk i odwróciła się, kierując z powrotem w stronę przejścia w murze prowadzącego na Piątą Aleję.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Zaczęła iść.

– Bo przecież pan na tym nie poprzestanie. Będzie pan chciał, bym przyszła na górę i znów panu pozowała, i nie przestanie pan, dopóki tego nie zrobię, a to mnie zgubi.

Próbował odebrać od niej koszyk, ale mu nie pozwoliła, i w milczeniu wyszli z parku na Piątą Aleję. Kiedy dotarli do Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, powiedziała:

– Dalej musi pan iść sam. Nikt nie może zobaczyć nas razem.

– Ale przyjdiesz dziś w nocy na górę. Musisz.

Nie odpowiedziała.

– Nawet cię nie dotknę, przysięgam. Nie powiem ani słowa do chwili, aż ujrzysz skończony obraz, a wtedy przekonasz się sama, co miałem na myśli. Zobaczysz, że możesz we mnie wierzyć.

Odwróciła się i stała na rogu, czekając, aż przejedzie wóz dostawczy. Końskie kopyta stuknęły o bruk, koła skrzypiały. Powiew wiatru szarpnął rąbkami kapelusza Olive, zawirował pierwszymi płatkami śniegu, jakie pojawiły się tej zimy, a kiedy dziewczyna przytrzymała denko kapelusza dłonią, przechodząc przez Piątą Aleję, usłyszała za sobą głos Harry'ego:

– Cudownie! Do zobaczenia dziś wieczór!

Lucy

– Czy nie powinna pani już zacząć się sztafirować?

– Ja...? – Lucy była całkowicie pochłonięta stertą dokumentów, bo szukała najnowszego aneksu do kontraktu z Merolą.

– Wkładać błyszczące szaty. – Philip Schuyler oparł dłoń o brzeg biurka i postukiwał złotym sygnetem w ciemne drewno. – A przynajmniej suknię wieczorową.

Lucy spojrzała na niego w osłupieniu.

– Nie mam takiej sukni.

Za to Philip Schuyler miał na sobie elegancki strój wieczorowy, nienagannie zawiązany biały krawat, rząderek dyskretnych guziczków z masy perłowej i kości słoniowej biegł po jego nachylonym torsie. Czerń i biel podkreślały jego delikatną opaleniznę, niepospolitą urodę.

– W takim razie proszę się o nią postarać – powiedział i na jedną szaloną chwilę Lucy zaschło w ustach i zarumieniła się, kiedy powróciły do niej różne łózkowe fantazje.

Jednak tylko w bajkach Kopciuszek zostaje zaproszony na bal.

– Czyżby pani zapomniała? – spytał jowialnie pan Schuyler. – Przecież ma pani zawojować tego marszanda i zjeść z nim kolację, a przynajmniej to drugie. – Zrobił smętną minę. – Z żalem donoszę, że dzięki tym filistrom z kongresu Delmonico's wyprzedzało w zeszłym roku całe wino ze swojej piwniczki.

Delmonico's. Ravenel. Lucy wzięła głęboki wdech, wdzięczna losowi za stos dokumentów, który ostentacyjnie domagał się jej uwagi, wdzięczna za upał, który tłumaczył jej zaróżowione policzki.

Na szczęście pan Schuyler nie miał pojęcia, o czym ona myśli. Wyszłaby na idiotkę, która marzy, by księżę oderwał ją od papierów, niby Kopciuszka od popiołu.

Lucy skupiła się na przesuwaniu dokumentów po biurku i układaniu ich w schludny stosik.

– Ale doprawdy, jest tyle roboty, że...

– Merola może jeden dzień zaczekać. – Pan Schuyler wyrwał plik dokumentów z rąk Lucy i trzymał poza jej zasięgiem. – Zapomniała pani, prawda? Proszę nie próbować kłamać. Pani policzki mówią wszystko.

– Ja... – Lucy sięgnęła energicznie po dokumenty, ale on stanowczo upuścił je na podkładkę. – Mieliśmy mnóstwo pracy.

I to była prawda. Pracowali oboje ile sił, zjawiali się w biurze nawet przed

panią Meechum, a potem tam jeszcze długo zostawali po tym, jak dozorca obszedł korytarze, stukając miękko mopem o podłogę. Pan Schuyler mógł sobie udawać dyletanta, ale kiedy sytuacja tego wymagała – a tak właśnie było – przykładał się do pracy z tak wielkim skupieniem, jakiego Lucy spodziewała się po nim wcześniej jedynie na meczu tenisowym albo w operze.

A tego wieczoru wybierał się właśnie do opery, prawda? W nawale pracy, zajęta tymi wszystkimi dokumentami, które musiała napisać i przepisać, trzęsąc się przy każdej klauzuli, bo nawet przecinek mógł mieć kluczowe znaczenie, Lucy zapomniała, że pan Schuyler jest umówiony na przedstawienie *Toski* ze swoją macochą.

A ona jest umówiona z panem Johnem Ravenelem, marszandem z Karoliny Południowej. A może Północnej? Lucy nie mogła sobie przypomnieć z której. Najdalej na południu była w Jersey.

Pan Schuyler uśmiechnął się do niej szeroko i z udawaną powagą powiedział:

– Proszę nie odmawiać mi tej chwili triumfu. – A kiedy ich oczy się spotkały, dodał ciszej: – Co za ulga stwierdzić, że nie jest pani tak całkiem doskonała.

– Daleko mi do tego – odparowała Lucy, natychmiast tłumiąc w sobie niepokojące emocje, które wzbudziły te miłe słowa. Dla pana Schuylera flirtowanie było równie naturalne jak oddychanie. Ot, kwestia nawyku. Byłaby głupia, gdyby zakładała, że jest inaczej. – Jestem niedoskonała, jak każdy. – Sekretarka nie może bujać się w swoim szefie. Zaręczonym szefie, upomniała się w duchu Lucy.

Wyglądało na to, że pan Schuyler nie zauważył nic szczególnego w jej zachowaniu.

– Rezerwacja jest na ósmą, więc ma pani dużo czasu, by się wyfiokować. – Sięgnął do jednej z szuflad biurka, a potem położył na blacie plik banknotów. – To powinno wystarczyć na taksówkę.

Było już i tak źle, że wybierała się na kolację z nieznanym mężczyzną. Ale ten plik banknotów na biurku... Poczuli się łatwa.

Uwięzione w dopasowanym zakiecie ramiona Lucy zeszywniały.

– Nie mogę w żadnym razie... [P]Pan Schuyler ujął ją pod brodę.

– Robi to pani dla firmy, prawda? To wydatki służbowe. Uzasadnione wydatki – dodał z lekkim uśmiechem.

Lucy również nie mogła powstrzymać mimowolnego uśmiechu. Kiedy zaczęli razem pracować w zeszłym tygodniu, miała pewne pytania dotyczące rozliczeń jego wydatków.

– Tak samo jak pana opłaty za pole golfowe?

– Otóż to – odparł poważnie pan Schuyler. Przesunął banknoty w kierunku Lucy. – Proszę mnie nie zmuszać, bym wsunął to pani do torebki.

Lucy była przekonana, że te pieniądze nie pochodzą z kasy firmowej, lecz bezpośrednio od pana Schuylera. Wiedziała też, co by jej babcia powiedziała na ten temat. Jednak...

– Dobrze – stwierdziła. A ponieważ dodała: – Dziękuję.

Odwracając wzrok, zgarnęła plik banknotów. W ciągu dnia, kiedy razem pracowali, a pan Schuyler miał przekrzywiony krawat i rozczochrane włosy, a pomiędzy nimi kłębił się stos papierów, łatwiej było zapomnieć o tym, jak różne mają stanowiska.

Ale nie teraz, kiedy na dzielącym ich biurku spoczywały dowody jego hojności.

– No dobrze, to ja wybywam. – Zagwizdał jakąś nieznaną melodię, przeszukując kieszenie.

– Proszę. – Lucy podała mu lornetkę teatralną, którą wzięła z biurka.

– Jest pani skarbem, panno Young. – Pan Schuyler okutał się białym jedwabnym szalikiem. – Cóż ja bym począł bez pani?

– Mrużył oczy – odparła zwięźle Lucy.

– Otóż to, moja droga! – zaśmiał się pan Schuyler. Zatrzymał się z ręką na framudze, a popołudniowe słońce, którego blask wlewał się przez okno, zmieniło jego włosy w złoto. – A, byłbym zapomniał, czy mogę prosić panią o przysługę? Nie wspomniałem Ravenelowi o naszym zastępstwie. Panu Cromwellowi zresztą też nie. Więc gdyby któryś z nich pytał, proszę powiedzieć, że w ostatniej chwili wypadło mi coś niezwykle ważnego, dobrze?

Lucy poczuła, jak zaciska jej się żołądek.

– Ale myślałam... Mówił pan, że spotkanie jest umówione...

Szef udał, że nie rozumie.

– W Delmonico's wszystko ustalone. Rezerwacja jest na moje nazwisko. Proszę powiedzieć, by dopisali do mojego rachunku. – Uśmiechnął się. – A jeszcze lepiej do rachunku pana Cromwella. Proszę zjeść za mnie stek!

Zanim Lucy zdążyła zaprotestować, już go nie było. Oddalał się niespiesznie korytarzem, z rękami w kieszeniach, pogwizdując, a gdy przechodził koło biurka stenografistek, wszystkie głowy obracały się w jego stronę, wszystkie oczy odprowadzały go do wyjścia.

Czasami Lucy żałowała, że nie umie rozładowywać złości przekleństwami. A ponieważ nie umiała, zadowolili ją wejściem do gabinetu Schuylera i zdecydowanym, choć cichym zamknięciem drzwi.

Cudownie. Nie dość, że miała iść na kolację z obcym mężczyzną, to jeszcze ten mężczyzna spodziewał się, że spotka w restauracji jej szefa.

Przynajmniej liczę na to, że kolacja będzie bardzo krótka, pomyślała Lucy, z zaciśniętymi ustami wpatrując się w modelowe oblicze panny Didi Shippen.

A poza tym mam teraz gabinet dla siebie.

W ciągu tygodnia było tyle pracy, że nie miała czasu pomyśleć o swoim prywatnym dochodzeniu, a co dopiero się nim zająć. Pan Schuyler siedział wraz z nią w biurze od świtu do nocy, nawet jeśli nieraz zrzędził z tego powodu. Nawet lunch jadł przy biurku – a były to kanapki i kawa z pobliskich delikatesów. Lucy pilnowała, by ekspedient pamiętał, żeby nie nakładać musztardy, a do kawy dawać dwie kostki cukru i dolewać śmietankę. Poza tym zawsze przynosiła coś słodkiego, ciasto kawowe albo herbatniki, które wprawdzie były twarde i pozbawione smaku w porównaniu z tymi, które wypiekała jej babcia, ale pan Schuyler przyjmował je wręcz z przesadnymi okrzykami wdzięczności.

Tak samo dziękowałby Meg, upomniała się w myślach Lucy. Był czarujący i wcale nie okazał się dyletantem, na jakiego wyglądał, co nie zmieniało tego, że był jedynie środkiem prowadzącym do celu, a także tego, że nie miała najmniejszych powodów, by czuć się winna, iż chce się nim posłużyć, by dorwać się do dokumentacji dotyczącej rodziny Prattów. Nie czuła się winna.

No może trochę. Czuła niemal, jak banknoty wypalają dziurę w jej torebce. Było jej głupio, że przyjęła od niego pieniądze.

Wiedziała, co powiedziałyby na to jej babka. Jaka matka, taka córka.

Dość tego. Lucy podeszła żwawym krokiem do szafy na dokumenty. Gdyby ktoś ją teraz zobaczył, uznałby, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Po prostu sekretarka pracująca do późna.

Mimo swoich licznych niedociągnięć Meg przynajmniej pilnowała porządku w dokumentacji, wszystko było ułożone alfabetycznie, każda litera na swoim miejscu. N... O... i P na samym dole trzeciego rzędu półek. Lucy musiała przykłęknąć na zniszczonym dywanie, by przełożyć teczki. Czuła, jak wełniany dywan drapie ją przez pończochy, zostawiając ślady na kolanach. Ale znalazła to, czego szukała, tam, gdzie być powinno. Pratt.

Teczka okazała się opasła. Papiery się z niej nie wysypywały – Meg dbała o porządek – ale rozpychały kartonowe okładki.

Lucy korciło, by natychmiast usiąść na podłodze i przewertować dokumenty, ale się powstrzymała. Wyglądałoby to dziwnie, gdyby panna Meechum albo któryś z młodszych wspólników wetknął głowę przez drzwi. Dlatego zaniósła teczkę na biurko i położyła tak, żeby oznakowanie było niewidoczne. A wszystkie teczki z dokumentami wyglądały tak samo.

„Och, to tylko korespondencja dotycząca kontraktu z Merolą – powiedziałyby w razie czego. – Pan Schuyler chciał, żebym znalazła projekt trzeciego aneksu”.

Jednak drzwi na wszelki wypadek zostawiła zamknięte.

Szybko, szybciej. Drżącymi rękami Lucy wyciągnęła papiery z kartonowej teczki. Wyglądało na to, że są to głównie faktury i rachunki, a żaden dokument nie miał daty wcześniejszej niż – przejrzała pospiesznie plik papierów – 1912 rok.

Trust Prattów wypłacał co kwartał pieniądze Prunelli Schuyler, z domu Pratt. Korespondencja dotyczyła w znacznej mierze rachunków od właścicieli sklepów, domagających się płatności od trustu Prattów, oraz formalnych listów od pani Schuyler, domagającej się zaliczek na poczet renty za kolejny kwartał. Wyglądało na to, że pani Schuyler żyje znacznie ponad stan.

Gdyby Lucy miała tak wysoką rentę, przez długi czas nie musiałaby się martwić o pieniądze na pończochy i przejazdy, ale sądząc po dokumentacji, pani Schuyler nie miała żadnych oporów, by wydać kwartalny dochód podczas jednej wizyty u Cartiera.

Fascynujące samo w sobie, ale nie była to sprawa Lucy. Oderwała się od opisów diamentowych klipsów oraz szafirowych i szmaragdowych broszek, odłożyła na bok papiery dotyczące trustu Prattów. Nie było tego dużo. Głównie dokumenty związane ze sprzedażą domu, bo wszystkie transakcje z tym związane przechodziły przez trust Prattów.

No cóż, a czego się spodziewała? Osobistego dziennika Augusta Pratta? Listów do jego prawnika? „Szanowny panie Cromwell, mój syn nicpoń zapłodnił kobietę, która gościła w naszym domu...”.

Czy jej matka była gościem? Zapewne. Znała dom zbyt dobrze, opisywała go zbyt szczegółowo, by mogła widzieć go tylko podczas jakiejś wizyty.

Ale kim była? Dziwne pytanie w odniesieniu do własnej matki. Lucy kojarzyła ją z szorstkim dotykiem serży, który poznała, gdy wczepiała się dziecięcymi rączkami w matczyną spódnice, z zapachem lawendy, z niskim, słodkim głosem śpiewającym kołysanki, a później, znacznie później знаła matkę jako cichą, wycofaną osobę, pamiętała szelest przewracanych kartek książki, mroczny pokój, nieustający kaszel.

Czasem Lucy zastanawiała się, czy matka, jaką znała, nie była jedynie cieniem prawdziwej kobiety, która została gdzie indziej, po drugiej stronie mostu, na Manhattanie. Był w niej ślad życia, ale tylko ślad, jak rysunek kwiatu w starej książce, widoczny długo po tym, jak prawdziwe płatki spłowiły i skruszały.

Matka ją kochała, często to powtarzała. Jednak Lucy nigdy nie mogła pozbyć się wrażenia, że był ktoś, kogo matka kochała bardziej, ktoś, kto zabrał jej najlepszą część, zostawiając dla Lucy i jej ojca zaledwie łupinę.

Kłykcie Lucy zbieleły, co było bardzo widoczne na tle ciemnego drewna biurka. Zmusiła się, by rozewrzeć dłoń, palec po palcu.

Przypomniała sobie o teczce. A przecież musi jeszcze kupić suknię wieczorową, oczarować klienta kancelarii. Wzięła głęboki, drżący wdech, odsuwając od siebie bolesne wspomnienia.

W teczce zostało już niewiele papierów – różne finansowe rozliczenia, z których wynikało, że inwestycje pana Pratta w latach dziewięćdziesiątych nie były udane, a na samym dnie znajdował się odpis testamentu Henry’ego Augusta

Pratta.

Okazał się zaskakująco krótki. Nie było w nim żadnych zapisów ani na cele dobroczynne, ani w uznaniu zasług starych służących. Jediną spadkobierczynią została córka Pratta, Prunella.

Czyżby coś przeoczyła? Lucy przejrzała raz jeszcze gęsto zapisane strony. Nie. Wszystko w porządku. „Mojej córce, Prunelli...”, a potem skomplikowany prawniczy żargon, który określał różne zabezpieczenia rachunku powierniczego. Powierników było czterech, a jednym z nich był Philip Schuyler. W testamencie nie było żadnych zapisów dotyczących żony ani pozostałych dzieci. Tak jakby wszyscy oni nigdy nie istnieli.

Jeden z synów, zdaje się, umarł. Lucy wyteżyła pamięć. Bójka w barze na Lower East Side? W gazetach były tylko niejasne aluzje, ale chodziło o jakieś okropne sprawy. Rozwścieczony mąż?

Ale przecież on miał dwóch synów, bliźniaków. Co zrobił ten drugi, że ojciec go wydziedziczył?

Testament nosił datę 1893, był to rok narodzin Lucy.

Nagle rozległo się donośne pukanie do drzwi.

– U-hu! Jest tu kto?

Lucy wepchnęła teczkę do szuflady i kopnięciem zamknęła drzwi szafy z dokumentami.

– Tak?

Fran wetknęła głowę do środka. Miała już na niej kapelusz i wciągała rękawiczki.

– Wybieramy się na *chop suey*. Idziesz z nami?

Lucy zacisnęła powieki. To tylko Fran. Fran nie zauważyłaby teczki z dokumentami, nawet gdyby ta ją ugryzła.

– Poszłabym, ale... jestem umówiona na kolację.

Brwi Fran powędrowały w górę.

– Na kolację? Nie mówiłaś, że masz chłopaka. Ukrywałaś się przed nami! Hej, El! Panna Czarny Koń jest umówiona na kolację!

Lucy wyminęła Fran, wyszła z gabinetu pana Schuylera i zatrzasnęła za sobą drzwi. Podeszła z determinacją do biurka koleżanki.

– Nie, to tylko...

– Tylko... – Fran nasłuchiwała dalszego ciągu, węsząc smakowitą plotkę.

Do diabła z Philipem Schuylerem i jego intrygami. Teraz siedzi pewnie rozanielony w łoży i ogląda *Toskę* w towarzystwie macochy przystrojonej w jedwabie i diamenty.

– Przyjaciół rodziny – improwizowała Lucy. – Jest przejazdem w mieście.

Fran znacząco zacisnęła usta.

– Przyjaciół spoza miasta.

Cudownie. W poniedziałek pokój stenografistek będzie huczał od plotek.

Lucy uznała, że najlepiej będzie odwrócić uwagę Fran, więc spontanicznie spytała:

– Fran, może wiesz, gdzie mogę kupić tanią suknię wieczorową... – Lucy spojrzęła na zegar nad biurkiem panny Meechum – ...w ciągu półtorej godziny?

– Jaką suknię masz na myśli?

– Przyzwoitą. Taką, którą mogę włożyć do Delmonico's.

– Delmonico's! Chciałabym, żeby moja rodzina miała takich przyjaciół! – Fran wykręciła szyję, by zawołać przez ramię: – Hej, El, wiedziałaś, że mamy w biurze Rockefellerównę?

– Doprawdy? – Eleanor stanęła za plecami Fran, szperając w torebce. – Widziałaś może moje rękawiczki?

Fran przewróciła oczami.

– Co mi tam twoje rękawiczki. Panna Niewiniątka ma randkę w Delmonico's!

Nie trzeba było puszczać pary z ust. Lucy dziarsko wcisnęła na głowę kapelusz i przypięła go długą szpilką.

– Nieważne, mogę iść w garsonce. W końcu to nie jest ktoś, na kim muszę zrobić wrażenie.

– O, nie ma mowy! – Fran ujęła ją pod ramię. – Delmonico's! Już ja cię wyszukuję. Znam taką kobitkę na Delancey, która potrafi sprawić, że twoja suknia będzie wyglądała, jakby była prosto z Paryża.

Wziąwszy pod uwagę, że Fran bliżej było do Bronksu niż Paryża, Lucy przyjęła to zapewnienie z powątpiewaniem, ale pozwoliła jej się zawlec do windy, podczas gdy Eleanor truchtała za nimi.

Krawcowa Fran może i nie była paryżanką, ale przynajmniej miała rozsądne ceny. Lucy zrezygnowała z krzykliwych kreacji i wybrała szafirowoniebieską powłóczystą suknię na jedwabnej halce.

Wiedziała, że jest to tylko imitacja eleganckiej kreacji, ale przeglądając się w wysokim lustrze, potrafiła wyobrazić sobie siebie w operze u boku Philipa Schuylera.

Nie mogła nic poradzić na swoje praktyczne buty ani zniszczoną skórzaną torebkę, tak kontrastującą z jedwabnymi, wyszywanymi koralikami cacuszkami, które miały inne panie. Ale przynajmniej sukienka dobrze się prezentowała. Jeśli nie przyglądało jej się zbyt dokładnie.

Delmonico's mieściło się w imponującym budynku przy skrzyżowaniu Czterdziestej Czwartej Ulicy i Piątej Alei. Szef służby restauracyjnej zlustrował szybkim spojrzeniem stary kapelusz i tanie rękawiczki Lucy.

– Tak? – rzucił pytająco.

Za jego plecami Lucy ujrzała jadalnię, na ścianach bladożółty jedwab. „Co

za marnotrawstwo!” – odezwał się głos babki w jej głowie. Na oknach zasłony z kremowej koronki. Po jednej stronie pomieszczenia królował onyksowy kominek. Wielkie palmy stwarzały iluzję prywatności dobrze ubranym gościom, którzy rozmawiali ściszonymi głosami w świetle lamp ocienionych żółtymi abażurami.

Lucy starała się przybrać taką minę, jakby codziennie jadała na mieście.

– Czy ma pan rezerwację na nazwisko Schuyler?

Nazwisko podziało jak zakłęcie. Dwie zmarszczki natychmiast zniknęły spomiędzy brwi mężczyzny.

– Schuyler... – powtórzył szef służby restauracyjnej, zaglądając do książki rezerwacji. – A, tak! Pan Schuyler zarezerwował stolik w Palmowym Treliżu. Proszę za mną.

Wyglądało na to, że Palmowy Treliż jest na dachu. Szef przekazał Lucy windziarzowi w uniformie, który zawiózł ją szybko do obszernego pomieszczenia, gdzie pod sufitem obracały się leniwie białe wiatraki, rozwiewając powietrze rozgrzane lipcowym upałem. Ze skrzynek stojących na parapetach wychylały się hortensje, a pachnąca słodko glicynia oplatała białe treliże.

Pokój na poddaszu w Stornaway House był ciasny i duszny. A we wspólnej kuchni panował jeszcze większy upał i przygnębiający zapach gotowanej kapusty, który chyba wnikał na zawsze w ściany.

Pod wpływem impulsu Lucy wyjęła na zewnątrz rubinowy naszyjnik matki, który zwykle nosiła w ukryciu. Był ciężki i staroświecki, ale z prawdziwym rubinem. Dzięki niemu poczuła się tu trochę bardziej na miejscu.

Przez wysokie okna widać było zmierzające łagodnie niebo.

Powiew z wiatraka poruszał długimi szyfonowymi fałdami sukni Lucy, kiedy szła za kolejnym pracownikiem restauracji przez długie pomieszczenie do wybranego stolika na tyłach, nad którym pięła się po łukowatym treliżu wisteria, a po bokach ocieniały go dwie wysokie palmy.

Kiedy była już blisko, zza stolika wstał mężczyzna.

Lucy patrzyła pod światło, więc zobaczyła jedynie ciemny garnitur, ciemne włosy i szerokie ramiona.

Co zrobiłaby Didi Shippen?

Przywołała na usta oficjalny uśmiech – i starając się nie potknąć o rąbek sukni – Lucy wyciągnęła rękę.

– Pan Ravenel?

Mężczyzna nie wykonał żadnego ruchu, by ująć jej dłoń. Stał jak wmurowany, a zdziwienie na jego twarzy trochę przypominało szok.

– Pani oczy są niebieskie – powiedział tak cicho, że Lucy ledwie go usłyszała.

Kate

– Jest lekarzem.

Stałam w pokoiku mieszczącym się na trzecim piętrze kamienicy bez windy, w podejrzanej okolicy East Side, na południe od Central Parku, i patrzyłam na ładną piegowatą twarz podekscytowanej przyjaciółki, Margie Beckwith.

– Ja również – przypomniałam. – Ale wolałabym pocałować karalucha.

Okazała zrozumienie, jakiego można oczekiwać jedynie od siostry albo przyjaciółki z dzieciństwa. Nasze matki poznały się na ławce w Central Parku, kiedy byłyśmy jeszcze niemowlętami. Wózki stały zaparkowane obok siebie najpierw przypadkowo, a potem już umyślnie, kiedy kobiety odkryły, że mają ze sobą wiele wspólnego. A ściślej, że obie mają podobną manię wielkości.

Mój ojciec był prawnikiem i miał znakomity rodowód, ale rodzina straciła większość pieniędzy w trakcie krachu w dwudziestym dziewiątym roku, i choć nie zostaliśmy bez grosza, staliśmy się klasą średnią. Wydawało mi się, że choć oboje rodzice przejmowali się naszą społeczną degradacją, matka znosiła ją o wiele gorzej. Była kochającą żoną i mamą, ale zawsze sprawiała wrażenie, że według niej tuż za rogiem czeka jakieś inne, lepsze, bardziej olśniewające życie.

Z kolei pan Beckwith sprzedawał męskie garnitury w luksusowym domu towarowym Bergdorf, a pani Beckwith udzielała lekcji gry na pianinie uprzywilejowanym i przeważnie – jej zdaniem – pozbawionym słuchu dzieciom tych, którzy zdołali zachować majątki, albo nuworyszom. Tych zaś uważała za niegodnych jej usług i tolerowała jedynie dlatego, że dobrze płacili. Chociaż ani Schuylerowie, ani Beckwithowie nie mieszkali w pobliżu Piątej Alei i Sześćdziesiątej Dziewiątej, ta ławka w parku obu paniom odpowiadała.

Margie odwróciła się do swojej szafy.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz pożyczyć ode mnie coś do ubrania, nosimy przecież zupełnie inny rozmiar. I na pewno nie mam nic odpowiedniego na kolację w Dwadzieścia Jeden.

– No właśnie – odparłam, mierząc wzrokiem jej krągłe kształty, które wyszły z mody jeszcze w epoce wiktoriańskiej. – Nie chcę wyglądać atrakcyjnie.

Margie wyciągnęła z szafy ciemnoszarą spódnicę, obejrzała ją, po czym z niechęcią odłożyła na miejsce.

– Nie mówi się czegoś takiego przyjaciółce, od której chce się pożyczyć ciuchy.

– Przepraszam, Margie. Nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało. Chodzi tylko o to, że doktor Greeley okropnie mnie złości. Praktycznie rzecz biorąc,

zaszantażował mnie, żebym się z nim umówiła. W razie odmowy zrobi wszystko, by zniszczyć mi karierę.

– No cóż, może nie powinnaś całować pacjentów – odpaliła Margie z pewnym rozdrażnieniem, przesuając energicznie wieszaki w szafie.

Zarumieniłam się na wspomnienie warg kapitana Ravenela na swoich ustach. Chociaż starałam się o tym zapomnieć, nadal je czułam, ilekroć zamknęłam oczy. Pewnie dlatego w poprzednim tygodniu niewiele spałam. Z przyjemnością przekazałam opiekę nad kapitanem siostrze Hathaway oraz pozostałym lekarzom, ignorując to, że domagał się mojej obecności.

– To nie tak. On... mnie zaskoczył. A potem przeprosił za ten incydent doktora Greeleya, mówiąc, że pomylił mnie z kimś innym.

Margie popatrzyła na mnie przez ramię.

– Chciałabym, aby jakiś przystojny mężczyzna zaskoczył mnie pocałunkiem. Niestety, w archiwach publicznej biblioteki nowojorskiej takie rzeczy się nie zdarzają. A gdyby do czegoś podobnego doszło, to pewnie z udziałem jakiegoś starca w tweedowej marynarce z zamszowymi łatami na łokciach, cuchnącego naftaliną. – Wykrzywiła się zabawnie, najwyraźniej wrócił jej dobry humor. – Oczywiście pewnie i tak byłabym za to wdzięczna. Nie pamiętam, kiedy ktoś mnie ostatnio całował. Ta wojna trwa już o wiele za długo.

– Może wyślesz w tej sprawie telegram do Hitlera. Pewnie nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Owszem, mogłabym. – Odwróciła się, trzymając coś brązowego, wełnianego i nijakiego. Mogłam przyjąć, że to jakaś część garderoby, tylko dlatego, że to coś wisiało na wieszaku.

– Cokolwiek to jest, znakomicie się nadaje – orzekłam.

– Ta sukienka należała do mojej matki. Nie dość, że jest niemodna, to jeszcze ohydna. I ze dwa numery za duża na ciebie.

Zdażyłam już rozpiąć bluzkę.

– To pożycz mi też pasek.

– Nadal nie pojmuję, dlaczego zgodziłaś się z nim wyjść, Kate. Po prostu mu odmów i niech sobie gada, co chce. Jesteś wspaniałą kobietą, założę się, że jedną z niewielu, które skończyły studia w ciągu niecałych czterech lat. Poza tym jesteś dobrą lekarką. Przecież twoja praca będzie mówić sama za siebie.

Włożyłam sukienkę przez głowę, krzywiąc się w lustrze, gdy szorstki materiał opadł mi na ramiona.

– Może w doskonałym świecie tak by było. Ale ja jestem kobietą, w dodatku młodą. Ludzie będą wierzyli w to, co chcą. I tak odnoszą się do mnie z rezerwą, bo w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat jestem lekarką. Patrzą podejrzliwie, bo w dwa lata od rozpoczęcia wojny uzyskałam dyplom wraz ze wszystkimi innymi kandydatami na doktorów medycyny, o czym lubią zapominać. Jakby to była moja

wina, że brakuje lekarzy. Chyba powinnam zawsze nosić na szyi dyplom z Vassar i dyplom lekarski jako potwierdzenie moich kompetencji.

Obróciłam się bokiem i tyłem, by upewnić się, że ciężki materiał kryje wszystkie moje krągłości.

– A więc nie, moja praca się nie liczy, ważne są tylko opinie kolegów po fachu. – Pochyliłam się i wzięłam z popielniczki papierosa Margie, zaciągnęłam się mocno i wypuściłam dym, patrząc ponownie na swoje odbicie w lustrze. – Dlatego zostałam dziś zmuszona do odgrywania tej farsy. Muszę dopilnować, by doktor Greeley wyzbył się wszelkich złudzeń. Zamierzam rozmawiać przez cały wieczór o mojej kolekcji naparstków i koślawych paluchach.

Margie wzięła papierosa, zaciągnęła się nim, a potem odłożyła z powrotem do popielniczki. Przyglądała mi się z przechyloną głową i przymrużonymi oczami.

– Niechętnie ci to mówię, Kate, ale nawet w tej okropnej sukience wyglądasz pięknie. – Wyjęła złożoną chusteczkę z górnej szuflady komody. – Może zetrzyj szminkę.

Zrobiłam, jak poleciła, i znów się do niej odwróciłam.

– No jak?

Pokręciła głową.

– To na nic. Może na wszelki wypadek powinnaś pokazać mu choć jeden koślawy paluch.

Margie wetknęła głowę z powrotem do szafy, a kiedy się odwróciła, na jej ustach błąkał się triumfalny uśmiech.

– Oto moje biblioteczne buty, widywane tylko na stopach staruszek po osiemdziesiątce i młodszych kobiet zatrudnionych w bibliotece, które są cały dzień na nogach. Będą świetnie wyglądały z tymi starymi pończochami, które mają oczka od góry do dołu.

Uśmiechnęłam się, wiedząc, że grube, postukujące obcasy i męska cholewka będą stanowiły doskonałe uzupełnienie sukienki.

– Mam nadzieję, że mnie w tym wpuszczą. Klub Dwadzieścia Jeden jest dość szykowny. – Chciałam pójść do ulubionej restauracji mojej matki, tej, o której mi wciąż opowiadała, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, choć o ile mi wiadomo, nie była w niej od czasu moich narodzin, ale ze smutkiem odkryłam, że Delmonico's zostało zamknięte w roku dwudziestym trzecim.

Margie znów się zaciągnęła papierosem i wydmuchała dym w kierunku sufitu.

– Dlaczego tam cię zaprosił? Mógłby zabrać cię do jakiejś spelunki, bo i tak musiałybyś się zgodzić.

– Jego kuzyn jest tam barmanem, więc może załatwić stolik. Pewnie doktor Greeley stara się mi pokazać, jaki to z niego ważniak z koneksjami, chociaż prawdopodobnie będziemy siedzieć w jakimś kącie przy kuchni. – Wsunęłam buty

i westchnęłam. – Nie mogę uwierzyć, że poszłam na studia medyczne, a tu masz, coś takiego.

– Jasne. Mogłabyś zamiast tego wieść luksusowe życie bibliotekarki, jak ja. Co ja bym dała... – dodała cicho.

Kiedy składałam spódnicę i bluzkę, by wcisnąć je do aktówki, powiedziała:

– Może powinnam wpaść do szpitala i poznać tego twojego kapitana Ravenela. Skoro nie jesteś nim zainteresowana.

– Jest zajęty – oświadczyłam, może trochę zbyt szybko.

Nie dostaliśmy odpowiedzi od jego krewnych ani od żadnej Victorine. Postanowiłam, że jeśli do dziś nie będzie odzewu, wyślę kolejny list, by powiadomić rodzinę, że kapitan jest na dobrej drodze do odzyskania zdrowia oraz że można zorganizować jego przewóz do domu pod koniec miesiąca, o ile rekonwalescencja będzie postępować tak jak teraz.

Według siostry Hathaway kapitan nie prosił o pióro i papier, by samemu napisać list, ale starałam się nie przywiązywać do tego wagi. Kapitan interesował mnie wyłącznie jako pacjent. „Próbowałem narysować pani podobiznę, od kiedy dorosłem na tyle, by móc utrzymać pióro w ręku”. Zacisnęłam zęby, żałując, że nie mogę przestać słyszeć tych słów. Nawiedzały mnie jak duch, który towarzyszył mi podczas obchodów oraz w nocy, w snach, kiedy wreszcie udało mi się zasnąć.

Margie cofnęła się o krok i zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem, kiedy przypinałam kapelusz do włosów i naciągałam giemzowe rękawiczki, które należały dawniej do mojej matki. Sporo kosztowały, kiedy ojciec kupił je na prezent gwiazdkowy. Były zdarte na czubkach palców, lecz wiele razy reperowałam je przy szwach, bo nie mogłam się z nimi rozstać. To była jedna z niewielu rzeczy, które mi pozostały po mamie. A kiedy nosiłam te rękawiczki, czułam się, jakby trzymała mnie za rękę i prowadziła, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.

Margie pokręciła głową.

– Wyglądasz okropnie, ale i tak lepiej niż większość kobiet. Jesteś pewna, że nie chcesz u mnie przenocować? Wiesz, jak lubię nocne pogaduszki.

Nachyliłam się, by ją uściskać.

– Wiem i bardzo dziękuję za zaproszenie, ale mam poranny obchód, więc lepiej, żebym spała w szpitalu. W przyszłym tygodniu zjemy lunch i wszystko ci opowiem, wraz z drastycznymi szczegółami.

– No dobrze. Ale jeśli zmienisz zdanie, po prostu zadzwoń z dołu. Późno się kładę.

Pożegnałyśmy się i zbiegłam po schodach, a potem wyszłam na ulicę i w wilgotnym wieczornym powietrzu ruszyłam w stronę najbliższej stacji metra. Nie zgodziłam się na opuszczenie szpitala w towarzystwie doktora Greeleya, wiedząc, że to podsyciłoby zapal plotkarek, i byłam przygotowana na kłótnię

związaną z odmową odwiezienia mnie z powrotem. Oczywiście niekoniecznie mi to proponuje. Wciąż rozwodził się nad tym, że jestem „nowoczesną” kobietą, wykształconą i niezależną finansowo lekarką. Chyba uważał, że to obraźliwe określenia.

Szłam w wieczornej mżawce, na próżno starając się unikać wody skapującej z markiz sklepowych, pod którymi przechodziłam, a potem szybko dałam nura na stację metra. Kupiłam gumę w automacie na peronie, żeby przestać zaciskać zęby, mając nadzieję, że doktor Greeley nie pomyśli, iż odświeżyłam oddech specjalnie dla niego. Po krótkim oczekiwaniu wsiadłam do pociągu i zajęłam miejsce. „Próbowałem narysować pani podobiznę, od kiedy dorosłem na tyle, by móc utrzymać pióro w ręku”.

Co miał na myśli? Pokręciłam głową, żeby wymazać te słowa z pamięci, i starałam się skupić na czekającym mnie spotkaniu, podczas którego przynajmniej zjem darmowy posiłek. Niestety, zamiast tego w wyobraźni wciąż widziałam oczy koloru zimowej trawy i słyszałam słowa wypowiedane z miękkim południowym akcentem.

Z trudem otworzyłam ciężkie drewniane drzwi szpitala Stornaway, czując się – i pewnie wyglądając – jak szczur podtopiony w rynsztoku. Przemokłam od deszczu i byłam wykończona. Starałam się zachować przytomność umysłu przez długo ciągnącą się kolację, podczas której musiałam odpierać aluzje seksualne, dłonie lądujące na moich udach i bezczelne próby całowania – z których jedna zakończyła się sukcesem. Musiałam mu na coś pozwolić, by myślał, że może żywić nadzieję. W przeciwnym razie bez wątplenia polecono by mi spakować manatki i poszukać innego szpitala, w którym nie patrzy się krzywo na spoufalanie z pacjentami. Prawdopodobnie byłby to szpital na rogu Nigdy i Nigdzie.

Zastanawiałam się, jak długo mogłabym stać pod gorącym prysznicem, nie zużywając całej gorącej wody w budynku. Pewnie nie starczyłoby mi jej na wyszorowanie każdego centymetra ciała, aby zetrzeć dotyk lepkich łap Howarda Greeleya i jego gumowatych ust.

Dyżurna pielęgniarka z recepcji zmierzyła mnie pełnym dezaprobaty spojrzeniem, kiedy ją mijałam, zbyt zmęczona, by zmusić się do uśmiechu albo miłej uwagi. Nieważne. Wiadomość o moim późnym powrocie obiegnie cały personel jeszcze przed porannym obchodem. Hitler powinien chyba rozważyć, czy nie warto by wykorzystać pielęgniarek ze Stornaway w maszynie propagandowej.

Rozbawiona tą myślą zachichotałam i zostałam skarcona groźną miną pielęgniarki, która zasyczała „ciiiii” i przyłożyła gruby paluch wskazujący do ust. Zignorowałam ją i po marmurowych schodach wspięłam się do dormitorium pielęgniarek na piątym piętrze. W niewielkim pomieszczeniu stało sześć metalowych łóżek, z których trzy były zajęte, łącznie z tym, które ja zajmowałam i w którym rano wetknęłam pod poduszkę piżamę. Kubełek, którego używałam do

przechowywania przyborów toaletowych, gdzie się zapodział.

Zdjęłam rękawiczki i wetknęłam je do kieszeni, a potem zsunęłam przemoczoną sukienkę i halkę, pozwalając, by opadły na podłogę, bo i tak nie było ich gdzie powiesić. Byłam nadal mokra i cuchnęłam jak zwilgotniała owca. Moje spojrzenie padło na szlafrok w nogach tymczasowego łóżka. Bez wahania owinęłam się nim i poczułam trochę lepiej.

Pomyślałam tęsknie o swoim spokojnym pokoju na poddaszu, wypełnionym światłem i zagubionymi skarbami po ludziach, którzy niegdyś mieszkali w tym budynku. Ale bez wątpienia nie mogłam spędzić tam nocy teraz, kiedy kapitan Ravenel odzyskał przytomność i była przed nim jeszcze długa droga do wyzdrowienia.

Z ciężkim westchnieniem wpełzłam pod przykrycie łóżka i zamknęłam oczy. Powinnam natychmiast zasnąć. Miałam za sobą długi, pracowity tydzień. A dzisiejsze zmagania wprost mnie wykończyły. Jednak moje myśli wciąż krążyły wokół poddasza i samotnej postaci na metalowym łóżku. Wciąż wyobrażałam go sobie tak, jak widziałam po raz ostatni, opartego o poduszki, z twarzą tuż obok mojej. Przypomniałam sobie rysunek, na którym mnie sportretował, i zastanawiałam się, co się z nim stało. Byłam pewna, że nie wpadł w ręce doktora Greeleya, bo zapewne już bym o tym usłyszała. Muszę spytać siostrę Hathaway, czy ma tę kartkę. Chciałabym zachować rysunek. Nie na pamiątkę, ale jako przypomnienie, które może mi się przydać później w życiu. Wspomnienie pocałunku, który sprawił, że wybuchło we mnie światło i kolor i że w tym momencie zakwestionowałam obraną drogę życiową.

Odrzuciłam nakrycie, wiedząc, że im dłużej będę usiłowała zasnąć, tym pewniej sen nie nadejdzie. A żeby nie budzić pozostałych osób w pokoju, wyszłam na pusty korytarz i stałam tam, nasłuchując nocnych odgłosów w budynku, cichego buczenia, które było niby wspomnienie głosów uwiezionych w starych ścianach. Wymknęłam się cicho na elegancką marmurową klatkę schodową i spojrzałam w górę, na szklaną kopułę, i wyobraziłam sobie, że słyszę odgłosy jednego z wielkich przyjęć, które odbywały się w tej rezydencji. Zamknęłam oczy – tylko na chwilę – i ujrzałam przystojnych mężczyzn w smokingach i piękne kobiety w eleganckich kreacjach, obwieszane klejnotami, roześmiane i roztańczone.

Otworzyłam oczy, oszołomiona. Wyobrażenie zdawało się zbyt realne, jakbym przypomiwała sobie wydarzenia z własnej przeszłości. Nabrałam wielkiej ochoty na papierosa, chciałam zająć czymś ręce. Ale pielęgniarka z nocnego dyżuru urwałaby mi głowę, gdyby mnie przyłapała na paleniu. Już prawie zdecydowałam, że odwiedzę Margie, kiedy przypomniałam sobie postanowienie, że jeśli do dziś nie dostanę żadnych wieści od rodziny kapitana, napiszę ponownie.

Zaczęłam chyłkiem schodzić w dół, nasłuchując nocnego personelu, i doszłam niemal do drzwi gabinetu doktora Greeleya, kiedy uświadomiłam sobie,

co robię. Cała korespondencja była zazwyczaj układana na jego biurku i leżała tam dotąd, aż znalazł czas, by się nią zająć. Wiedziałam, że teraz najprawdopodobniej śpi w swojej kawalerce oraz że zazwyczaj nie zamyka pokoju – nie przez zapomnienie, ale zakładał, iż ze względu na jego wysoką pozycję nikt nie ośmieli się tam wejść bez pozwolenia.

Przekręciłam gałkę i otworzyłam drzwi. Upewniwszy się, że nikt mnie nie widzi, wślizgnęłam się do środka, zapaliłam światło i zamknęłam za sobą drzwi. Szybko przejrzałam stosik korespondencji na blacie, ale nie było tam nic z Karoliny Południowej ani z Charleston, ani innych miejscowości. Już miałam uznać, że nic tu nie wskóram, i wrócić do łóżka, kiedy mój wzrok padł na wojskowy worek marynarski wsunięty pod stół zawalony książkami i papierami.

Wszyscy oficerowie w szpitalu trzymali worki na podłodze w nogach łóżka. Wszyscy oprócz jednego. Schyliłam się i przeczytałam nazwisko wybite czarnym stemplem z boku: KPT C.J. RAVENEL.

Usiadłam na podłodze, zastanawiając się, co z tym począć. Może nie miałam właściwego adresu i mój list nie dotarł do rodziny kapitana, a w środku znajdę coś z innym adresem? Dzięki tej samej determinacji, która sprawiła, że zdawałam na studia medyczne, choć mnie od tego odwodzono, otworzyłam worek, wmawiając sobie, że jeśli tego nie zrobię, rodzina kapitana Ravenela będzie się zamartwiać, a może nawet spodziewać najgorszego.

Nawet się nie zawahałam, zanim zajrzałam do środka. Były tam głównie ubrania – dawno nieprane, sądząc po zapachu, który stamtąd buchnął. Nie wiedziałam, czego szukam, ale byłam raczej pewna, że łatwo to znajdę w worku pełnym miękkich ubrań. Wsadziłam rękę do środka i zaczęłam macać, mieszając nią jak łyżką w wazie z zupą. Wyjęłam manierkę, książkę – *Przygody Hucka* Marka Twaina – kartonowe opakowanie gumy do żucia Wrigley i przybory toaletowe.

Już miałam zrezygnować, kiedy musnęłam palcami coś twardego. Wiedziałam, że to ramka na zdjęcie, zanim jeszcze podniosłam ją do światła i ujrzałam podbarwione zdjęcie kobiety, która bardzo przypominała Carole Lombard.

Była piękna, z platynowoblond włosami i jasnymi szarymi oczami, ale choć łatwo było sobie przypomnieć śmiech Carole Lombard z którejś z jej zwariowanych komedii, kobieta na zdjęciu nie wydawała się skora do śmiechu. Miała staranną wieczorową fryzurę i była upozowana tak, że spoglądała przez lewe ramię, unosząc lewą rękę. Na palcu serdecznym widniał wielki okrągły diament, który prezentowała jak trofeum.

Victorine, pomyślałam, podczas gdy moje palce szybko otworzyły tył ramki. Wysunęłam fotografię z za szkła i odwróciłam, wstrzymując oddech, kiedy szukałam imienia, które spodziewałam się tam znaleźć, prawdopodobnie

wypisanego eleganckim charakterem pisma, różniącym się od moich gryzmołów.

Jednak na odwrocie nic nie było. Ponownie przypatrzyłam się zdjęciu, sądząc, że może przeoczyłam podpis lub czułe słówko, ale znalazłam tylko nazwę Estes Photography Studio wytłoczoną w prawym górnym rogu.

Ogarnęło mnie przygnębienie, ale jeszcze raz włożyłam rękę do worka, aż po samo dno, by sprawdzić, czy czegoś nie przegapiłam. Nagle natknęłam się na coś twardego, starannie owiniętego w materiał, co z pewnością rozmyślnie zatknięto w rogu.

Ostrożnie ujęłam tę rzecz dwoma palcami, wyciągnęłam z worka i ułożyłam na dłoni. Cienka lniana chusteczka z monogramem CJR ręcznie wyhaftowanym w rożku spowijała jakiś drobny przedmiot. Przez chwilę oglądałam chusteczkę, zastanawiając się, czy to Victorine z miłością wyhaftowała jego inicjały, a potem poczęłam oglądać ów kwadratowy przedmiot.

Był to miniaturowy obrazek olejny oprawiony w złotą ramkę, przedstawiający ciemnowłosą kobietę o zielonych oczach, które patrzyły teraz wprost na mnie. Emocje malujące się na jej twarzy były trudne do określenia. Gdybym była poetką, nazwałabym je namiętnością, a może pożądaniem. A może nawet miłością.

Przypomniałam sobie wszystkie wyprawy do muzeów i galerii z mamą, wykłady i lekcje rysunku i po raz pierwszy od dawna pożałowałam, że nie byłam wtedy bardziej uważna. Było coś niesamowicie znajomego w tych pociągnięciach pędzla, w pałecie barw, rysach twarzy czytelnych dopiero wtedy, kiedy odsunęło się obrazek na odległość ramienia.

Kobieta wyglądała na nagą, jej długie ciemne włosy opadały na ramiona, a jedyną ozdobą widoczną na smukłej bladej szyi był filigranowy złoty naszyjnik z wielkim rubinem pośrodku.

Przypatrywałam się miniaturze przez długą chwilę z zapartym tchem. Nie chodziło o wyraz twarzy tej kobiety ani o naszyjnik, ani nawet o to, że ten przedmiot znalazłam w rzeczach Coopera. Brakło mi powietrza z tego prostego powodu, że kobieta na portrecie wyglądała dokładnie tak jak ja.

Olive

Olbrzymie lustro w złoconej ramie wiszące nad gzymsem kominka w jadalni Prattów cudownie rozpraszało światło roziskrzonego elektrycznego żyrandola, a Olive wciąż chwyciła swoje odbicie, kiedy pospiesznie kursowała z półmiskami i talerzami. Ledwie się rozpoznawała. Kim była ta rumiana młoda kobieta w koronkowym białym czepeczku na ciemnych włosach i zmarszczką rysującą się między udręczonymi zielonymi oczami? Chyba jakąś nieznaną.

Nachyliła się nad grubym, obleczonym w czerń ramieniem Augusta Pratta – młodszego, nie starszego – i podsunęła mu miskę piure z groszku. Był pogrążony w głośnej i pogodnej dyskusji z ojcem i wymachiwał kieliszkiem do wina, by zilustrować swoje twierdzenie, w związku z czym jej nie zauważył.

– Czy życzy pan sobie groszku? – spytała.

Tak naprawdę nie umiała obsługiwać przy stole. Została dziś do tego zmuszona, ponieważ Hannah, bardziej doświadczona pokojówka, której praca polegała głównie na podawaniu posiłków (razem z krzaczastobrewą Eunice, która przy drugim końcu stołu właśnie podtykała biesiadnikom półmisek z pokrojoną w plastry gęsiną), zachorowała po lunchu i teraz leżała w swoim pokoju na górze. W domu, jeszcze przed śmiercią ojca Olive, posiłki podawano całkiem zwyczajnie i wszystkie potrawy naraz, a nie w modnym obecnie stylu *à la russe*, każde danie osobno, czego życzyli sobie Prattowie, nawet kiedy spożywali kolację w ściśle rodzinnym gronie. Pani Keane udzieliła Olive dwuminutowej lekcji. Podawać z lewej, zabierać talerze z prawej (no cóż, tyle to już sama wiedziała, nie była dzikuską) i nigdy nie przeszkadzać osobie, która akurat je. Albo rozmawia. Albo słucha, kiedy ktoś inny mówi. Jak Olive miała podawać do stołu i sprzątać po sześciu różnych daniach (zupie, rybie, mięsie, dziczyźnie, pieczeni, sałatce i deserze), nie zwracając uwagi członków rodziny, pani Keane jej nie wyjaśniła.

Miska z groszkiem, który pływał w gęstym kremowym bulionie, była ciężka, a August nadal mówił i gestykulował (chodziło o koleje czy banki, a może jedno i drugie), i nie zwracał na Olive najmniejszej uwagi.

Ogień w kominku płonął kilka metrów dalej, więc Olive poczuła na skroni strumyczek potu, który zaczynał powolną nieuniknioną podróż. Za chwilę albo spłynie jej pod brodę, albo skapnie z podbródka. Możliwe, że do salaterki z groszkiem.

– Gus, matołku, masz groszek po lewej – powiedział Harry Pratt.

Harry.

Starła się, jak mogła, ignorować tego trzeciego mężczyznę przy stole,

ośniewającego i małowównego, odzianego w zgrabny smoking, chociaż jego wypomadowane włosy co chwila odbijały światło, jakby, a w każdym razie tak wydawało się Olive, chciały dać jej sygnał albo ją prześladować. Ilekroć nachylała się nad jego ramieniem, proponując kolejne parujące danie, które właśnie pojawiło się na bufeciku na kółkach, czuła ciepło jego szyi na rękę i osobliwą mieszankę zapachu brylantyny i mydła do golenia, którą rozsiewał wieczorem. Ilekroć zaś przechodziła na drugą stronę stołu, Harry odwracał ku niej twarz i łowił jej spojrzenie z wyrazem pewnego rozbawienia, dając do zrozumienia, że łączy ich wielki sekret. (Ona oczywiście natychmiast odwracała wzrok, ale zawsze za późno).

Harry.

– Co to? – spytał August z uniesionym kieliszkiem.

Harry skinął w stronę Olive.

– Groszek, idioto.

August obrócił się gwałtownie w lewo i trącił łokciem salaterkę. Olive zachwiała się i złapała równowagę, podczas gdy kremowy ocean groszku podpłynął niebezpiecznie blisko skraju miśnieńskiej porcelany.

– Niezdara – burknęła pani Pratt.

– Wcale nie była niezdarna – odparował Harry. – To Gus był niezdarnym wołem, który ją trącił. Wszystko w porządku, Olive?

– Tak, proszę pana.

– Jak, u licha, udaje ci się spamiętać ich imiona? – zdziwiła się pani Pratt. – Zwłaszcza tych nowych.

– Nie jest to wcale trudne, kiedy są takie ładne jak ona – odparł pan Pratt. – Prawda, Olive?

Policzki Olive spłonęły rumieńcem. Wyprostowała się, uprzątnęła kapryśną zawartość miski, lecz zawahała się, omijając nieprzewidywalny łokieć Augusta, bo nie wiedziała, czy życzył sobie groszku, czy też zapomniał o jej obecności.

– Cóż, jeśli o mnie chodzi, to ich nie odróżniam – oznajmiła lodowatym tonem pani Pratt. – Przypuszczam, że dla was, panowie, sprawa wygląda inaczej. – Słowo „panowie” wypowiedziała z pewną ironią.

– Na litość boską, Gus, nałóż sobie wreszcie tego groszku i pozwól biednej Olive iść dalej – powiedział Harry.

– *Biednej Olive?* To twoja znajoma? – spytał Gus, którego głos brzmiał jak dym z cygar przepuszczony przez żwir.

Był tak samo jasnowłosy i przystojny jak Harry, ale jego wrodzona uroda zdążyła już doznać uszczerbku wskutek licznych nałogów. Jadł i pił za dużo, a sądząc po głosie, również za dużo palił. Za godzinę odjedzie taksówką i odwiedzi różne przybytki, w których jest aż za dobrze znany, a każdy z nich będzie podlejszy od poprzedniego. Za rok, kiedy ostatni sezon futbolowy stanie się mglistym

wspomnieniem, zacznie zamieniać silne mięśnie w tłuszcz.

Tymczasem August, nieświadom czekającej go dostatniej przyszłości ani obecnej dezaprobaty Olive, zanurzył srebrną łyżkę głęboko w salaterce z groszkiem i nałożył go sobie sporo na talerz, a potem dołożył jeszcze drugie tyle.

– Nie ma tu specjalnych różnic – zwrócił się pan Pratt do żony. – Mężczyzna zwraca uwagę na ładną kobietę, ale jak rozumiem, to samo dotyczy pań. Że zwracają uwagę na przystojniaków. Nieprawdaż, pani Pratt?

Pani Pratt w odpowiedzi zacisnęła usta i wbiła wzrok w swój talerz.

Pan Pratt uśmiechnął się i tym razem zwrócił do córki:

– Czyż nie jest tak, Prunello? Twój narzeczony jest całkiem przystojny, choć dwa razy starszy od ciebie.

– Tak, papo – odpowiedziała panna Pratt.

To było jedyne, co Olive kiedykolwiek z jej ust słyszała: „Tak, papo” oraz „Tak, mamó”, a czasem „Nie”, kiedy wymagane było pełne uszanowania zaprzeczenie. Jeśli Prunella Pratt zdążyła ukształtować sobie jakieś własne opinie w ciągu osiemnastu lat spędzonych na tej ziemi, zatrzymywała je dla siebie. Inne pokojówki lubiły na nią narzekać – „Jeszcze cię zaskoczy”, „Ta to lubi uprzykrzać życie” – ale pokojówki zawsze na coś narzekały, prawda?

– Widzisz, moja droga? – Pan Pratt odwrócił pospolitą twarz o obwisłych policzkach w stronę żony. – Wygląda na to, że przystojna męska twarz może jednak zawrócić kobiecie w głowie. Kto by pomyślał?

– A skoro mowa o nieszczęsnej ofierze Prunelli – wtrącił się trochę zbyt szybko Harry. – Czy on zdaje sobie sprawę, że planujecie wielki bal zaręczynowy? Spotkałem go wczoraj przypadkiem u Perry’ego Belmonta i odniosłem wrażenie, że spodziewa się skromnej rodzinnej uroczystości sylwestrowej. Butelki szampana, tartinki i życzenia o dwunastej. Czy ta cała pompa go nie zaskoczy? Dziękuję, Olive. Z przyjemnością nałożę sobie porcyjkę tego cudownego groszku, który mi proponujesz.

– Powinien pan uważać na to, jak się do mnie zwraca – powiedziała Olive, zamykając za sobą drzwi.

W drugim końcu pomieszczenia Harry kręcił się przy krześle i sztalugach, w rękę miał pudełko pałeczek węgla. Albo traktował nonszalancko jej przybycie – a omal nie zrezygnowała z przyjścia – albo to bardzo dobrze udawał.

– Uważać? Jak to?

Olive oparła się spokojnie o drzwi i uważnym wzrokiem objęła scenę, którą miała przed oczami, nie chcąc przegapić żadnego szczegółu. Dławiło ją w gardle, świerbiły koniuszki palców.

– Pańska rodzina pomyśli, że coś nas łączy.

Harry wyprostował się i odwrócił ku niej z tym szerokim promiennym uśmiechem, od którego niemal zamierało jej serce. Przebrał się w zwykłą białą

koszulę i brązowe spodnie, bardzo w stylu bohemy. Rękawy miał wysoko podwinięte, zęby równie białe jak koszulę.

– Bo coś nas przecież łączy.

– Proszę nie żartować. Wie pan, co mam na myśli. Natychmiast by mnie zwolniono. – Z trudem wydobywała z siebie słowa, był taki piękny.

Harry ujął się pod boki i przechylił głowę. Jego uśmiech niemal całkiem znikł.

– Olive – powiedział wolno. – Czy choć przez chwilę pomyślałaś, że pozwoliłbym im cię skrzywdzić?

I tyle. Przez ostatnie dni, a zwłaszcza przez kilka ostatnich godzin Olive bez końca spierała się ze sobą w myślach na temat Harry'ego Pratta. Zastanawiała się, czy jest tylko oczarowana jego piękną twarzą, manierami, pochlebstwami i pozycją towarzyską, czy naprawdę jej się spodobał. Czy powinna odwiedzić go ponownie w pracowni, czy zignorować i wrócić do misji ratowania pamięci i reputacji ojca. Czy dobrze robi, przebywając w tym pokoju, czy jest słaba, czy odważna, czy Harry jest dobrym człowiekiem, czy po prostu dobrym uwodzicielem, czy Harry pragnie jej ocalenia, czy upadku.

A teraz, kiedy tak stał przed nią w luźnej białej koszuli, z włosami złocącymi się w świetle lampy, w otoczeniu płócien, wśród ceglanych ścian i starych mebli, w tym pięknym przytulnym pomieszczeniu, które jej ojciec zaprojektował na szczyt rezydencji Prattów, uświadomiła sobie, że nie zależy jej już na odpowiedziach, a nawet nie pamięta pytań.

Tu było jej miejsce. I tyle.

– Nie wiem – powiedziała. – W ogóle niewiele o panu wiem.

– Ale się dowiesz. Będziesz wiedziała o mnie wszystko i mam nadzieję, że powiesz mi wszystko o sobie. Nie żebym musiał to wiedzieć. I tak już wiem, kim jesteś.

– Jak to?

– Mam na myśli to, co w tobie istotne. Chodź tutaj. Przygotowałem ci tło i miejsce wygodniejsze niż w zeszłym tygodniu. I nagrzałem lepiej, żebyś nie zmarzła.

Olive chciała zapytać, czemu miałyby zmarznąć, skoro była ubrana w grubą flanelową koszulę nocną i jeszcze grubszy szlafrok, ale może odpowiedzi na to pytanie też wcale nie chciała poznać. Podeszła posłusznie do miejsca, które wskazał jej Harry, gdzie na podłodze leżał stos poduszek, a po bokach stały palmy w donicach.

– Oczywiście na obrazie nie będzie palm – powiedział Harry. – To tylko ze względu na perspektywę.

– Jasne.

Olive ułożyła się ostrożnie na wytartych jedwabnych poduszkach. Kiedy

zapadła się w nie wygodnie, wokół rozniósł się kojący zapach lawendy.

– Poduszki pochodzą z dawnego domu mojej ciotki przy placu Waszyngtona. Ocaliłem je, kiedy po śmierci wuja Petera przeprowadziła się do modniejszej dzielnicy. Są tak staroświeckie i dekadencjonalne, że nie mogłem się oprzeć.

– Sądziłam, że w tym domu wszystko jest dekadencjonalne.

– Nie w ten sam sposób. To jedynie pozłota, a nie złoto. W tym rzecz. Możesz się oprzeć. Na łokciu, o, właśnie tak. Masz wyglądać, jakbyś się położyła, by sobie pomarzyć. Pięknie. – Okrążył ją i dotknął jej głowy, zaczął rozplatać warkocz.

– Czy masz coś przeciw zdjęciu tego szlafroka?

– Oczywiście, że tak!

Harry obszedł poduszki i przykląkł przed Olive na jednym kolanie, wspierając się łokciem o udo, jakby grał w piłkę nożną.

– Olive, czy możesz wyświadczyć mi wielką przysługę? Przestań myśleć o tych głupich ludziach na dole, wszystkich głupich ludziach na zewnątrz, na świecie poza tymi drzwiami. Oni nie istnieją. Liczy się tylko jedna opinia, a mianowicie twoja. Twoja opinia, Olive. Tylko na niej mi zależy, a ty również powinnaś się kierować tylko nią. Jak myślisz, co się stanie, jeśli zdejmiesz ten szlafrok?

– Nie wiem.

– Czy sądzisz, że natychmiast zmienię się w śliniacą się bestię i od razu cię zniewolę?

Roześmiała się. On też miło się uśmiechał, choć zarazem był poważny, a światło lampy tworzyło aureolę wokół jego głowy.

– Nie.

– A więc ufasz mi?

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, ale nie dojrzała w nim wahania. Jak mógłby stanowić dla niej zagrożenie, skoro jego niebieskie oczy patrzyły tak szczerze?

– Tak – odparła i sięgnęła do paska szlafroka.

Harry nie odzywał się, kiedy zsuwała grubo brokatowy szlafrok. Wziął go od niej, złożył starannie i umieścił na podniszczonym krześle z ratanowej plecionki stojącym w kącie.

– A teraz chodź tutaj – powiedział, podając jej rękę.

Chwyciła jego dłoń, a Harry pociągnął ją w górę i pomógł wstać. Policzki jej płonęły, ale poza tym była opanowana, chociaż czuła nagość swoich nóg pod białą flanelową koszulą. „Bo są nagie, głupia”, przypomniała sobie w duchu, ale nawet ta myśl nie zakłóciła jej spokoju. Czuła jedynie lekkie trzepotanie w brzuchu i ogarnęło ją niecierpliwe wyczekiwanie. Podjęła przecież decyzję. Przekroczyła Rubikon. Teraz musiała tylko zobaczyć, co znajduje się na drugim brzegu.

Harry podprowadził ją do ściany obok małego kominka, z którego rozżarzone węgle buchały ciepłem na pokój, i wskazał trzy kwadratowe kafle nad gzymsem. Olive nie zwróciła wcześniej na nie uwagi, czemu się teraz dziwiła. Były piękne, kolorowe i przedstawiały wymyślne tarcze herbowe po bokach, a w środku widniała postać świętego Jerzego dzierżącego białą chorągiew z czerwonym krzyżem.

Harry wskazał ręką w dół.

– Widzisz te cegły tutaj? Są obluzowane.

Puścił jej rękę i wyciągnął połączone w nieregularny blok cegły spomiędzy zaprawy murarskiej, odsłaniając małą wnękę.

– Widzisz? Tu jest otwór, jakby budowniczy zapomniał ułożyć kilka cegieł. Ale on wcale nie zapomniał. Poznałem architekta, kiedy budowano ten dom, a on pokazał mi tę skrytkę. Chyba lubił robić takie rzeczy, kiedy projektował domy, czyli wymyślać sekrety. A więc gdybyś czegoś potrzebowała, jeśli zechcesz zostawić mi jakąś wiadomość, umieść ją tutaj. Obiecuję, że ją znajdę.

Oniemiała Olive wpatrywała się we wnękę. Trudno jej było nawet oddychać. „Poznałem architekta”. Och, tato. Ojciec znał Harry’ego. Tata zostawił sekret, którym wcześniej podzielił się z Harrym. Podzielił się być może również z nią, Olive, przesłał jej wiadomość z miejsca, w którym obecnie przebywa jego dusza. Co chciał jej powiedzieć? Może: „Harry to porządny człowiek, który potrafi dotrzymać tajemnicy, mężczyzna, któremu możesz zaufać, Olive”.

Westchnienie. „To jest dobra droga, Olive”.

Czy gdyby zajrzała do małej wnęki w ceglanej ścianie, to dostrzegłaby tam jakiś ślad ojca?

– Tak – szepnęła wreszcie.

– A ja zrobię to samo. Na pewno potrafisz znaleźć jakąś wymówkę, by wymknąć się tu w ciągu dnia. Po prostu sprawdź wtedy kryjówkę za cegłami, a ja tam będę.

– Tuż pod świętym Jerzym – powiedziała Olive. Czowała, jak ogień ogrzewa flanelę koszuli, choć może ciepło biło od stojącego tak blisko, kipiącego żywotnością Harry’ego.

Harry wstawił cegły z powrotem.

– Trzy od góry, pięć od dołu. A teraz zabierzmy się do dzieła, dobrze? Nie chcę zatrzymywać cię zbyt długo. Wiem, że wcześniej zaczynasz pracę.

Wrócili do poduszek. Olive położyła się na plecach, nadal oszołomiona, oparła się lekko na boku. Harry upozował jedną jej rękę za głową, włosy rozrzucił na ramionach. Dotknął tasiemki przy dekolcie koszuli.

– Mogę? – spytał poważnie, a ona pomyślała o skrytce w ścianie i skinęła głową.

Odwiązał tasiemkę i koszula poluzowała się na torsie. Nie dotykając skóry

Olive, Harry zsunął koszulę z jednego ramienia dziewczyny i materiał opadł jej luźno na piersi. Olive wpatrywała się w cynowy sufit, podzielony na kwadraty, na których wytłoczony był wzór muszli świętego Jakuba i płożącej się winorośli, starając się nie myśleć o tym, jak wygląda. Jak wszetecznicą, jak jedną z tych złych kobiet, o których czyta się w powiastkach umoralniających, powieściach i magazynach. Czy właśnie w ten sposób doszło do upadku pokojówki Augusta? Kroczył po kroczeniu, a wreszcie leżała półnaga i bezbronna na poduszkach o północy. Głupia Olive. Podekscytowana i śmiała Olive. Któż dotąd wiedział, że ona w ogóle istnieje?

Duże dłonie dotknęły jej policzków. Były suche, ciepłe i niezwykle delikatne.

– Olive, spójrz na mnie.

Odwróciła ku niemu wzrok.

– Wiesz, co mnie urzeka? Właśnie to. Ty, właśnie taka. Nie wiem, jak to nazwać. Twoja szczerość, przyzwoitość, to wszystko, o czym marzyłem, dokładne przeciwieństwo tego świata na dole, świata, w którym żyłem przez całe życie. Każdej nocy w tym tygodniu leżałem w łóżku, myśląc o tobie. O tym, jak chciałbym cię namalować, uchwycić. Nie, to nie jest właściwe słowo. Wyrazić tę esencję, tę cudowną szlachetność, tutaj – powiódł kciukiem po jej policzku i szczęce – i tutaj. – Dotknął jej obojczyka.

– Nie jestem szlachetna – szepnęła.

– Na tym właśnie polega twoja niewinność. Nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie wiesz, jaka jesteś, nie uświadamiasz sobie własnych możliwości. Sądzisz, że jesteś jakaś, ale na Boga, jesteś zupełnie inna. Chcę ci pokazać to, co widzę. – Ujął jej dłoń i ucałował czubki palców. – Chcę ci podziękować za to, że pokazałaś mi siebie.

Olive chciała powiedzieć, że wcale mu się nie pokazywała. Że ta szlachetność, którą w niej dostrzegł, była tylko złudzeniem, jego własną halucynacją, ponieważ tak się złożyło, że Olive wyglądała jak dziewczyna, którą widywał w snach.

Ale nie mogła wydobyć z siebie tych słów. Oczy Harry'ego odbiły jej wizerunek, biały i czysty na tle niebieskich tęczęwek, i może rzeczywiście, kiedy była z nim tutaj, w tym pokoju, gdzie nikt jej nie znał, stała się inną dziewczyną. Śnieżnobiałą dziewczyną odbitą w oczach Harry'ego Pratta.

Może jej ojciec chciał, by taka była.

– Widzisz? – powiedział Harry.

Wstał, wziął węgiel i zaczął rysować.

Lucy

– Pani oczy są niebieskie – powiedział John Ravenel.

W pierwszej chwili Lucy myślała, że się przestyszała. Zamiast „Dobry wieczór” albo „Witam panią” – „Pani oczy są niebieskie”. To zabrzmiało niemal jak oskarżenie.

A jakiego koloru oczy miałyby mieć? Oczywiście, że niebieskie. Zawsze takie były. Ale dlaczego w ogóle pojawił się temat oczu?

– Pan Ravenel? – Lucy cofnęła dłoń, przybierając możliwie najbardziej nieprzystępny wyraz twarzy. – Czy aby na pewno mam przyjemność z panem Ravelem?

Pewnie jest pijany. Nie ma innego wyjaśnienia. Pijany albo szalony. Mężczyzna stojący przed Lucy był ubrany w zwykły garnitur, ale miał w sobie coś, co przywodziło na myśl bandytów, rozbójników i piratów. Może chodziło o jego czarne i miękkie włosy, bez przedziałka i skłębione wbrew nakazom mody. A może o skórę tak ogorzałą od słońca, że miała barwę dobrze wypieczonego tosta. Jego oczy – skoro już na ten temat zeszła rozmowa – były ciemne, aksamitnie brązowe.

A obecnie wpatrywały się w nią, jakby była duchem, a nie kobietą w taniej sukni wieczorowej, potarganą po biegu przez miasto.

Pan Ravenel zamrugał i powiedział łamiącym się głosem:

– Tak, proszę pani. Proszę wybaczyć, spodziewałem się...

Miał zaskakująco głęboki głos, mówił powoli, ważąc słowa, pozwalając, by się sączyły jak syrop z dzbanka.

– Lucy Young – przedstawiła się dziarsko. – Z Cromwell, Polk i Moore. Pana Schuylera zatrzymały sprawy niecierpiące zwłoki. Przysłał mnie w zastępstwie.

– Z Cromwell, Polk i Moore – powtórzył jak echo, jakby te słowa nie miały sensu. Potem spojrzął na naszyjnik Lucy i na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz. Jakby prowadził w myślach ostrożne kalkulacje. – Pan Schuyler panią przysłał?

– Przesyła przeprosiny – skłamała.

To doprawdy w stylu Philipa Schuylera – wykręcić się z nieprzyjemnego zadania i zwalić je na kogoś innego. Mógł przynajmniej ją ostrzec, że pan Ravenel jest, jak by to określiła delikatnie jej matka, „prostaczkim”. Babcia używała mniej miłosiernych określeń w swoim rodzimym języku niemieckim.

Nic dziwnego, że panem Ravelem trzeba się zajmować podczas wizyty

w Nowym Jorku. Pan Cromwell bał się pewnie, że przybysz gdzieś się zapodzieje, jeśli zostawią go bez nadzoru, pomyślała zgryźliwie Lucy.

Kelner przytrzymał krzesło, czekając, aż Lucy usiądzie.

„Weź stek”, powiedział Philip Schuyler. Lucy uznała, że zasługuje na dobry stek, na rachunek Philipa Schuylera. Albo nie, weźmie homara. I szampana. Oraz wszystkie najdroższe specjały z karty.

– Dziękuję – powiedziała Lucy do milczącego kelnera i usiadła, obdarzając pana Ravenela chłodnym spojrzeniem. – Dobry wieczór, panie Ravenel.

– Możemy zacząć od początku? – Zamiast usiąść, ujął jej dłoń dwornym gestem. – To dla mnie zaszczyt poznać panią, panno Young.

Miał nagniotki na kciukach. Lucy zastanawiała się, jak to możliwe, że marszand ma takie muskularne ramiona. Od dźwigania obrazów? Marszand to chyba dość pojemne pojęcie.

Co powiedział o nim pan Schuyler? A, że jego ojciec był znanym artystą. Lucy widziała już w życiu wielu niezbyt rozgarniętych synów przyjmowanych do rodzinnego interesu.

– Dziękuję, panie Ravenel. – Lucy skrzyżowała nogi w kostkach i usiadła sztywno na brzegu krzesła. – Rozumiem, że się pan spodziewał pana Schuylera.

Pan Ravenel usadowił się po drugiej stronie stołu, poruszając się z gibkością typową dla sportsmenów.

– A tymczasem ujrzałem błękitne zjawisko.

A może zjawę. Wyglądał jak sceptyk, który zobaczył, że rzeźba świętego płacze, racjonalista, który ujrzał zamazaną twarz w oknie opuszczonego domu, człowieka, który zetknął się z czymś, co wydawało się niemożliwe, lecz się ziściło.

– Czy miał pan dobrą podróż? – zagała Lucy, gotowa do uprzejmej konwersacji za wszelką cenę.

Zamierza otworzyć galerię w Nowym Jorku? Ten facet będzie miał szczęście, jeśli uda mu się przejść samodzielnie przez ulicę.

– Całkiem niezłą – przyznał pan Ravenel, przeciągając głoski tak, że słowa zdawały się gęste jak woń dochodząca z kwiatów wisterii oplatającej treliAZE przy ścianach.

Lucy sięgnęła po serwetkę, ale kelner ją uprzedził, błyskawicznie rozpościerając skrawek materiału na kolanach oniemiałej kobiety.

W brązowych oczach pana Ravenela pojawił się błysk rozbawienia.

Może jednak wcale nie był prostytutkiem.

Lucy chwyciła kieliszek z wodą, by pokryć zmieszanie, i upiła mały łyk.

– Czy jest pan w Nowym Jorku po raz pierwszy, panie Ravenel?

– Byłem tu w siedemnastym, w drodze do Francji.

Pan Ravenel podał tę informację niedbałym tonem, ale wiadomo, co miał na myśli. Lucy pamiętała tamte dni, wojskowych w mundurach khaki, odprawianych

na statkach z Nowego Jorku, przybywających z Minnesoty, Missouri i Maine. Ci młodzi mężczyźni po raz pierwszy opuszczali rodzinne strony i gorąco pragnęli zaznać uciech wielkiego miasta, zanim staną twarzą w twarz ze śmiercią w okopach.

– Tym razem mój pobyt jest o niebo przyjemniejszy – oświadczył pan Ravenel, a Lucy nie była pewna, czy to aby nie kpina.

– No tak, jasne, skoro nie trzeba się martwić, że można zostać zastrzelonym i tak dalej – powiedziała Lucy i skrzywiła się na myśl, jak bezdusznie to zabrzmiało.

Na szczęście uratował ją kelner, który dyskretnie zjawił się obok stołu.

– Jeśli państwo są już gotowi...

Lucy zamówiła bezczelnie homara Newburg. Jeśli Philip Schuyler miał ochotę na stek, to mógł go sobie zjeść.

John Ravenel złożył zamówienie po francusku. Nie łamanym francuskim, którego liznał żołnierz, kiedy prosił o chleb u kogoś z miejscowych, ale nienaganną francuszczyzną, z doskonałym akcentem. Językiem, jakim posługiwała się matka Lucy.

– Bardzo dobrze mówi pan po francusku – zauważyła Lucy.

Jej francuski nie był tak dobry, ale mówiła na tyle biegle, by nie kompromitować się wśród Philipów Schuylerów tego świata. Matka udzielała jej lekcji nieregularnie, ale skutecznie.

– Czy to panią dziwi?

Owszem, zdziwiło. Przecież Philip Schuyler porównał pana Ravenela do Hucka Finna. Takie właśnie powzięła o nim wyobrażenie, a początek ich spotkania tylko to potwierdził.

Jednak powinna pamiętać o tym, że Huck Finn był sprytniejszy, niż się zdawało. A do tego, choć nie znała okolicy poza pięcioma gminami nowojorskimi, zdawała sobie sprawę, że Charleston nie jest byle jakim zaściankiem. A pan Ravenel to przecież syn sławnego artysty, właściciel galerii.

A ona jest tylko sekretarką.

– Przypuszczam, że nie powinno mnie to dziwić – odparła Lucy, starając się odzyskać rezon. – Wziąwszy pod uwagę, że był pan... tam.

– Ojciec nalegał, byśmy uczyli się języków.

– My? – spytała zdezorientowana.

– Moja siostra Anna i brat Oliver. – Pan Ravenel przyglądał się jej w zamyśleniu, które szybko zastąpił autoironiczny uśmiech. Uśmiech Hucka Finna.

– Chyba źle rozpoczęliśmy znajomość. Kiedy panią ujrzałem... Wygląda pani jak ktoś... ktoś, kogo znałem. To mnie zaskoczyło. I tyle.

– Czy miała niebieskie oczy? – spytała niechętnie Lucy.

– Zielone – odparł John Ravenel z uśmiechem.

Pan Ravenel nie mógł wiedzieć, że Lucy zawsze skrycie marzyła o tym, by mieć zielone oczy jak matka, a nie banalnie niebieskie. W okolicy, w której dorastała, gdzie było wielu imigrantów z północnej Europy, mieć niebieskie oczy było mniej więcej tak niezwykle jak mieć dwie stopy.

Lucy nie chciała być taka jak wszyscy. Chciała być wyjątkowa. Inna.

Pan Ravenel uniósł kieliszek do ust.

– Kiedy zobaczyłem, jak idzie pani ku mnie, pomyślałem, że chyba śnię.

Lucy zastanawiała się, kim była ta tajemnicza kobieta. Narzeczona, która zmarła, kiedy on walczył na froncie? Zaginęła na morzu? W każdym razie ta kobieta musiała być droga jego sercu.

– Zdaje się, że jest bardzo efektowna.

– No cóż, owszem – przyznał pan Ravenel i tym razem uwagi Lucy nie uszło rozbawienie w jego głosie. – Jest bardzo podobna do pani.

Lucy za późno zorientowała się, że wpadła w pułapkę.

– Nie to miałam na myśli – powiedziała szybko. – Nie sugerowałam, że...

Pan Ravenel spojrzał na nią pytająco.

– Czy wszystkie mieszkanki Nowego Jorku odnoszą się do komplementów tak nieufnie jak pani?

– A czy wszyscy południowcy tak nimi szafują jak pan? – odcięła się Lucy.

– Tylko wtedy, gdy są zasłużone – zapewnił John Ravenel ściszym głosem.

Nad ich głowami obracały się leniwie wiatraki, które owiewały kark Lucy przyjemnie chłodnym strumieniem powietrza.

– Nieuprzejmie jest się tak drażnić – oznajmiła stanowczo Lucy. – Sądziłam, że dżentelmeni z Południa są uosobieniem galanterii.

– Och, ale pani jest przecież jankeską. – John Ravenel błysnął białymi zębami w pirackim uśmiechu.

Jednak natychmiast spoważniał, patrząc na nią. Przyglądał się jej, jakby była obrazem, którego nie potrafi rozpoznać, niepodpisanym dziełem sztuki. Ale powiedział tylko:

– Ładny naszyjnik. Mogę spytać, skąd go pani ma?

Lucy obronnym gestem otoczyła palcami wisiołek.

– Należał do mojej matki.

„Dla ciebie...” – głos matki był tak słaby, że Lucy ledwie ją usłyszała. Matka sięgnęła pod poduszkę, pogmerała tam, po czym opadła na łóżko, bo powalił ją, zgiąwszy w pół, atak kaszlu, a na białym płótnie pokazała się krew. Czerwona krew i błysk złota. „Dla ciebie...”.

Lucy nigdy wcześniej nie widziała tego naszyjnika, zdziwiło ją, że matka coś takiego w ogóle ma. Podobnych ozdób nie nosiły żony piekarzy z Brooklynu.

„Scheda... – zdołała wydyszeć matka. Ostatkiem sił wetknęła naszyjnik

w dłoń Lucy. – ...po ojcu” – dokończyła z trudem.

Lucy, pospiesznie ukrywając naszyjnik w kieszeni spódnicy, pobiegła po wodę, jakby woda mogła pomóc na ten straszny kaszel rozdzierający trzewia matki, który sprawiał, że pluła krwią. Lucy trzymała dzbanek w jednej ręce, a szklankę w drugiej, kiedy matka bluznęła krwią i zaczęła rzeźić.

„Harry...”

A potem nic. Tylko ten wisiołek w kieszeni i nieznane imię.

Pan Ravenel wskazał na naszyjnik.

– Rodzinna pamiątka?

– Tak, coś w tym rodzaju. – To była tylko grzecznościowa rozmowa, ale Lucy poczuła, że nie chce rozmawiać o matce i naszyjniku. Wspomnienia były zbyt świeże, zbyt bolesne. – Zdaje się, że zamierzał pan porozmawiać z panem Schuylerem o otwarciu galerii?

Przez chwilę odnosiła wrażenie, że pan Ravenel chce drażnić temat naszyjnika. Jednak opadł na oparcie krzesła i odparł:

– Owszem, rozważałem otwarcie filii swojej galerii w Nowym Jorku. Ale być może trochę wprowadziłem pana Cromwella w błąd. Powody do zainstalowania się w Nowym Jorku... są nieco skomplikowane.

– Komplikacje to nasza specjalność – zapewniła dziarsko Lucy. – O cokolwiek chodzi, jestem pewna, że pan Cromwell i pan Schuyler staną na wysokości zadania.

Pan Ravenel zakręcił w palcach kieliszkiem na wodę, a światło świec zamigotało w kryształach.

– Niekoniecznie chodzi o sprawy prawne.

Zjawił się kelner z pomocnikami, więc zamilkli na chwilę, kiedy ustawiano porcelanowe talerze i ponownie napełniano kieliszki wodą. Jasny adamaszkowy obrus był ledwie widoczny pod salaterkami wypełnionymi warzywami polanymi masłem, złotobrazowymi plastrami ziemniaków i czerwonymi skorupami wypełnionymi tajemniczo przyrządzonym mięsem homara.

Pan Ravenel zaczekał, aż Lucy sięgnie po widelec, i dopiero wtedy wziął swój.

– Chyba można by powiedzieć, że ta wizyta to coś w rodzaju pielgrzymki.

– Artystycznej?

– Nie tylko. – Pan Ravenel uśmiechnął się nieznacznie. – Nie zamierzam robić z tego tajemnicy. Po prostu trudno mi to wytłumaczyć. Wie pani, kim był mój ojciec?

– Tak, słyszałam o nim – odpowiedziała wymijająco. Jeszcze przed tygodniem nie miała pojęcia o jego istnieniu. Artystyczne zainteresowania matki sięgały pokolenie wstecz, ona zaś była córką swojego ojca, skuteczną i praktyczną. A przynajmniej tak sądziła.

Pan Ravenel gładził swoimi stwardniałymi palcami delikatną nóżkę kieliszka do wody.

– Mój ojciec zdobył sławę, malując na Kubie w latach dziewięćdziesiątych. Sielskie widoczki, wioskowe obrzędy. Kiedy wybuchło powstanie antyhiszpańskie, malował to, co widział. Te same wioski, ale spalone, zeszpecone, zniszczone. Niektórzy uważają, że jego obrazy przyczyniły się do tego, że Stany wypowiedziały wojnę Hiszpanii i włączyły się do konfliktu.

– To... robi wrażenie.

– Na mnie wtedy nie robiło. Dopiero co się urodziłem i zależało mi głównie na stałym dostępie do mleka. Przynajmniej tak twierdzi moja matka. – Podniósł wzrok, na jego ustach błąkała się zapowiedź uśmiechu. – Trudno było nas stamtąd wydostać. Ciągnęła ojca i jego sztalugi jedną ręką, a mnie trzymała na drugiej, aż do granicy z Teksasem.

– Zdaje się, że to bardzo dzielna kobieta.

– O tak. – W jego głosie wyraźnie zabrzmiała nuta czułości. – Obecnie sieje postrach jako działaczka rozlicznych damskich komitetów pomocowych i wciąż spędza sen z powiek mojej siostrze.

– Szczęściarz z pana – powiedziała Lucy. – Że ma pan siostrę.

Kiedyś wyobrażała sobie, że ma rodzeństwo, dom pełen towarzyszy zabaw. Ale nawet jeśli bardzo tego pragnęła i wysilała wyobraźnię, zawsze była sama. Doszło do poronienia – bliźniaków, jak dowiedziała się Lucy, podsłuchując pod drzwiami, wczepiona w swoją lalkę, a potem już nic. Jej rodzice dzielili pokój, ale najwyraźniej nic więcej.

Pan Ravenel przyglądał się jej z żywym zainteresowaniem.

– Ale cóż to ma wspólnego z pańską wizytą w Nowym Jorku? – spytała pospiesznie.

Pan Ravenel wpatrzył się w barokowe zawijasy na uchwycie widelca.

– Jak już mówiłem, trudno to wytłumaczyć. Mój ojciec zdobył sławę dzięki Kubie. Ale chodzi o coś więcej. Nigdy nie mówił o swoim życiu sprzed Kuby. Tak jakby wyskoczył nie wiadomo skąd jako całkiem dorosły mężczyzna, ze sztalugami na plecach i pędzlem w ręce. – Pokręcił głową. – Większość artystów zachowuje swoje wczesne prace. Stare szkice, nieudane eksperymenty. Mój ojciec... Mamy tylko jeden obraz z okresu przed Kubą. W dodatku trafiłem nań przypadkiem. Ojciec był – mówił niemal przeproszającym tonem – bardzo skrytym człowiekiem.

Matka Lucy też taka była. Lucy zawsze wydawało się, że matka jest jak podróżny w przygodnym zajeździe, który trzyma kurczowo swoją przeszłość jak cenny tłumoczek, bo boi się go zgubić.

– Myśli pan, że ojciec miał coś do ukrycia? – spytała rzeczowo. – Był poszukiwany przez wymiar sprawiedliwości?

Pan Ravenel uniósł obie dłonie.

– Żebym to ja wiedział... Wiem tylko, że pochodził stąd. Nigdy tego nie powiedział, ale... Wymykały mu się różne szczegóły. Napomykał o Central Parku, zapachu garbarni na East River. Drobiazgi. – Między brwiami Ravenela pokazały się dwie równoległe zmarszczki. – Poza tym matka twierdziła, że raz widziała, jak pisał list zaadresowany do kogoś w Nowym Jorku.

– Może w sprawie obrazów?

Twarz Johna Ravenela się zachmurzyła.

– Schował list, kiedy zobaczył, że pojawiła się matka. Nie chciał, by wiedziała o czymś, albo o kimś, z jego nowojorskiego życia. Czasem się zastanawiam, czy Ravenel jest naszym prawdziwym nazwiskiem. – Wzruszył lekko ramionami. – Mam to nazwisko na metryce urodzenia, więc pewnie jestem do niego uprawniony. Ale... dobrze by było mieć co do tego pewność.

Lucy poczuła gulę w gardle, niemającą nic wspólnego z homarem. „Rozumiem”, miała ochotę powiedzieć. Ale nie mogła. Nie obcemu.

– Dlaczego sam pan go o to nie spyta? – rzuciła z udawanym ożywieniem.

Ich oczy się spotkały.

– Ojciec odszedł. Kiedy byłem we Francji.

– Moja matka umarła w zeszłym roku. – Te słowa wyrwały się jej nie wiadomo skąd, a właściwie z głębi piersi. Odłożyła widelec na brzeg talerza. – Suchoty. Chorowała przez jakiś czas. Żałuję, że jej lepiej nie poznałam.

Nagle poczuła przyływ zażenowania. Pan Ravenel nie chciał przecież poznać jej historii. Jednak on odparł ze swobodą:

– Tak naprawdę nie myśli się o nich jak o ludziach, prawda? Trudno wyobrazić sobie, że rodzice są kimś więcej niż tylko rodzicami.

Wyglądało na to, że oczekuje odpowiedzi, więc Lucy skinęła głową, chociaż nie była pewna, czy się z tym do końca zgadza. Matkę zawsze otaczała aura tajemnicy, sprawiała wrażenie, jakby nie należała do świata, w którym żyła. Może dlatego, że babcia była taka silna, dawała jasno do zrozumienia, że piekarnia jest jej domeną, oraz włączyła się energicznie w wychowanie Lucy.

Matka z każdym rokiem coraz bardziej się poddawała, odpływała, aż w końcu zdawało się, że wcale jej nie ma.

Pan Ravenel pogrążył się we wspomnieniach.

– Od kiedy sięgam pamięcią, mieszkaliśmy już w Charleston, Anna i Oliver popłakiwali w pokoju dzieciennym, a ojciec był sławny. – Zamyślił się. – Czasem wydaje się, jakby ojciec wskoczył na Kubę w dziewięćdziesiątym trzecim, jakby wcześniej nic nie było. A przecież musiało coś być. – Usiadł prosto, na jego twarzy malowała się determinacja. – O malarzach wiem jedno, panno Young. Malarze malują. Bazgrzą nawet po ścianach, kiedy zabraknie im płócien. Nie znałem malarza, który nie miałby gdzieś upchniętych swoich wczesnych żenujących prac.

– Skoro były żenujące, to może się ich pozbył? – Lucy grzebała

w zawartości skorupy homara. Powinna rozkoszować się soczystym mięsem, ale jakoś straciła apetyt. – Na przykład cisnął w ogień.

„Nie jestem artystką”, powiedziała matka.

– Nie wierzę – odparł z przekonaniem pan Ravenel.

No ale chodziło o jego ojca. Może pan Ravenel senior należał do tych, których trudno zmusić do wyrzucenia kawałka papieru pakowego albo zwitka wystrzępionego sznurka. Pan Ravenel junior pochylił się, marszcząc łokciem kremowy obrus.

– Jeśli coś pani powiem... zatrzyma to pani dla siebie?

– Ja wszystko zatrzymuję dla siebie, panie Ravenel. – Całe jej życie było kłamstwem. Przypomniawszy sobie, że jest na kolacji służbowej, dodała szlachetnie: – O ile to nie narazi na szwank firmy.

– Rzec nie dotyczy firmy. – Pan Ravenel obrócił kilkakrotnie w palcach srebrny widelec, który pochwycił blask świec. – Ostatnio pojawiła się na rynku seria obrazów. Nie miały sygnatury, ale to niewątpliwie prace mojego ojca.

Przyglądał jej się uważnie, czekając na reakcję. Lucy zmarszczyła brwi.

– Skąd może pan to wiedzieć? Skoro nie były podpisane?

– Znam prace ojca równie dobrze, jak pani zna swój charakter pisma. I nie chodzi tylko o mnie. Na pierwszy z tych obrazów zwrócił mi uwagę kolega. Technika wskazuje jednoznacznie na mojego ojca. Jednak tematyka jest... zupełnie inna.

– Jaka?

Jego ton kazał Lucy zastanowić się, co mogą przedstawiać te tajemnicze obrazy. Nagie kobiety? Jakieś obscena?

– Na Kubie ojciec zdobył uznanie jako realista, malował to, co widział, jak widział. A te obrazy są... chyba można je określić jako alegoryczne. Bajkowe. Rycerze i damy, legendy arturiańskie.

Rycerz podnosił miecz na malowidle ściennym w sypialni Lucy. Dzielny święty Jerzy, na zawsze zastygły, jakby miał ratować dziewicę wiecznie przykutą do skały.

Lucy poczuła nagły przyływ frustracji w związku z tym wszystkim. Dlaczego dziewica nie przerwała łańcuchów i się nie uwolniła? Dlaczego matka nic nie powiedziała, nic nie zrobiła?

– Panno Young? – Ravenel przyglądał się jej z ogromnym zainteresowaniem.

Lucy zarumieniała się, wracając do rzeczywistości.

– To była popularna tematyka – powiedziała szybko. – Ale skoro te obrazy tak bardzo się różnią od późniejszych prac ojca, to skąd pewność, że...?

– Wspomniałem już o tym, że mam jeden z wczesnych obrazów ojca, pamięta pani? To miniatura. Miniaturowy portret. A dama sportretowana na

jednym z tych odnalezionych obrazów jest tą samą kobietą, która widnieje na miniaturze. Wszędzie bym ją poznał. Właściwie... Cóż, powiedzmy, że to bardzo charakterystyczna twarz.

Lucy, mimo woli zaintrygowana, spojrzała badawczo na pana Ravenela.

– To dlatego pan tu jest, prawda? Z powodu tych obrazów.

Kelner pojawił się bezszelestnie, żeby zebrać puste talerze. Tymczasem Lucy wcale nie oczekiwała potwierdzenia rozmówcy, by wiedzieć, że ma rację.

Kelner przyniósł kawę w porcelanowych filiżankach. Lucy bawiła się delikatnym uszkiem.

– Czy na obrazach są jakieś detale, przedmioty, które mogą dać wskazówkę co do miejsca pochodzenia pańskiego ojca?

– Mam nadzieję na coś więcej. Liczę na to, że jeśli zdołam odnaleźć obrazy, odkryć, skąd pochodzą, to może wtedy poznam sekret życia mojego ojca. – Wykrzywił usta w cierpkim grymasie. – Pewnie uważa pani, że to brzmi absurdalnie: dorosły mężczyzna w pogoni za duchem. Już mi to wcześniej mówiono.

Nie uściślił, kto tak mówił.

– Nie – odparła Lucy. – To wcale nie jest absurdalne. Czasami... czasami to ważne, by wiedzieć. Wiedzieć, skąd się pochodzi. – Ojciec... Scheda... Upiwszy łyżeczek kawy, Lucy dodała: – Ale to chyba nie będzie zbyt trudne? Musi pan tylko znaleźć sprzedającego i dowiedzieć się, od kogo nabył obrazy.

Pan Ravenel zacisnął ponuro usta.

– Tak by się mogło zdawać. Jednak te obrazy nie zostały sprzedane konwencjonalnymi kanałami. Pewni ludzie w świecie sztuki zajmują się... No cóż, nazwijmy je dziełami wątpliwego pochodzenia.

– A pan jak je nazywa?

– Kradzione – przyznał otwarcie pan Ravenel. – Wygląda na to, że sprzedający nie wiedział, z czym ma do czynienia, obrazy nie miały sygnatury Ravenela, ale w tym interesie coś mi cuchnie. Nie przeprowadza się potajemnych transakcji, chyba że ma się coś do ukrycia.

Lucy nie chciała tego mówić, ale...

– Wydaje mi się, że panu potrzebny jest prywatny detektyw, a nie prawnik. Pan Schuyler na pewno będzie mógł kogoś polecić.

Przez chwilę za pełną swobody fasadą pana Ravenela Lucy ujrzała sprytnego biznesmena.

– Już mam detektywa. Namierzył sprzedającego.

– A pan Schuyler jest panu potrzebny, by go nastraszył jako prawnik?

– Coś w tym rodzaju. – Pan Ravenel dopił kawę. – Zamierzałem omówić z nim tę sprawę dziś przy kolacji...

– Ale zamiast niego przyszedł ja. – Lucy poczuła się okropnie, myśląc

o panu Ravenelu, który oczekiwał pana Schuylera, miał nadzieję, że uzyska odpowiedzi na pewne pytania, a zamiast tego zobaczył, że z windy wychodzi ona. Zważywszy na to, jak musiał być zawiedziony, zachowywał się niezwykle przyzwoicie.

– Bardzo mi przykro.

– A mnie wcale.

Zjawił się kelner z rachunkiem. Zanim Lucy zdążyła powiedzieć, by zapisał go na konto pana Schuylera, pan Ravenel rzucił na stół niepokojąco duży plik banknotów.

– Nie może pan. Pan Schuyler...

– Nie ma go tu – przerwał zdecydowanie pan Ravenel i obszedł stół, by odsunąć jej krzesło, uprzedzając kelnera. – Poza tym cała przyjemność po mojej stronie.

– Naprawdę zatrzymały go sprawy niecierpiące zwłoki. Jestem pewna, że gdyby wiedział, to... – płątała się Lucy, rozdarta między lojalnością wobec pracodawcy a poczuciem winy. – Mogę zarezerwować dla pana czas w jego terminarzu na środę. O ile to nie będzie za późno?

– Wcale nie za późno. – Kiedy pan Ravenel podał Lucy ramię, uznała, że chamstwem byłoby go nie przyjąć. – Zaaranżowanie spotkania ze sprzedawcą tych obrazów może zabrać trochę czasu. Zresztą... mam ochotę spędzić parę dni w Nowym Jorku.

Lucy podniosła na niego wzrok.

– Poznać miasto ojca?

– Coś w tym rodzaju.

Przystanęli przed klatką windy, pod wielkim złożonym kołem, które powoli się obracało, kiedy winda z jękiem i szcękaniem przemieszczała się z piętra na piętro. Pan Ravenel przyglądał się twarzy Lucy, jakby to był jeden z obrazów ojca. W końcu Lucy nabrała przekonania, że potrafi dojrzeć wszystkie jej przewiny ukryte pod pociągnięciami pędzla. Pewnie wie, że pan Schuyler właśnie testuje lornetkę teatralną na drugim akcie *Toski*, a te brednie o sprawie niecierpiącej zwłoki to właśnie tylko brednie.

– Panno Young, wiem, że to bezczelność z mojej strony. Nie chciałbym się narzucać...

– Proszę nie opowiadać głupstw – przerwała opryskliwie Lucy. – Zrobię wszystko, by panu pomóc.

Pan Ravenel uniósł brew.

– Wszystko?

Lucy wzruszyła ramionami.

– Wszystko oprócz załatwienia panu spotkania na poniedziałek. Sądzę, że nawet święty Piotr nie dałby rady.

Pan Schuyler w poniedziałki zawsze grywał w golfa, a następnie udawał się do Filadelfii, aby towarzyszyć narzeczonej na jakiejś kolacji, która zapewne zostanie szczegółowo zrelacjonowana jeszcze przed środą w kronice towarzyskiej.

– Cóż... – wycedził wolno pan Ravenel. – Myślałem nie o poniedziałku, ale o jutrze. Mam przed sobą cały długi dzień, a już wielokrotnie zaliczyłem Metropolitan Museum. Czy jest szansa namówić panią, by poświęciła mi trochę czasu i dotrzymała towarzystwa samotnemu podróżnemu?

Kate

– Doktor Schuyler? Doktor Schuyler?

Ktoś dwa razy pociągnął mnie delikatnie za ramię i wyrwał ze snu, chociaż przez dłuższą chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem – mianowicie w dormitorium pielęgniarek w szpitalu Stornaway. Kilka minut wcześniej stałam na chodniku pod tym budynkiem, trzymając za rękę matkę i patrząc na wysoką rezydencję typową dla wieku pozłacanego, a matka prosiła, bym uważnie słuchała. Opowiadała mi o malowidle ściennym ze swojego pokoju dziecinnego, które przedstawiało świętego Jerzego, i mówiła, że muszę zrozumieć coś ważnego.

Już miałam spytać, o co chodzi, kiedy poczęto szarpać mnie za ramię.

– Doktor Schuyler?

– Nie śpię – odpowiedziałam również szeptem, mrugając wielokrotnie, by przegnać sen z powiek. Poznałam siostrę Hathaway. – O co chodzi?

– O kapitana Ravenela, pani doktor. Ma te swoje nocne koszmary, a siostra Houlihan i ja nie potrafimy go uspokoić. Mogę dać mu środki uspokajające, ale mówiła pani, bym tego nie robiła, tylko żebym najpierw przyszła do pani.

Zerwawszy się z łóżka, wsuwałam ręce w rękawy szlafroka.

– Ma gorączkę? – spytałam, ukradkiem szukając jedną stopą kapci, ale wreszcie dałam za wygraną i padłam na kolana. Wyciągnęłam je z najdalszego kąta pod łóżkiem i włożyłam.

– Nie.

– To dobrze. Proszę zaczekać na zewnątrz, zaraz przyjdę.

Skinęła szybko głową, po czym wyszła za drzwi, a ja ostrożnie wsunęłam rękę w poszewkę, by wyjąć stamtąd zawinięty w płótno miniaturowy portret, który zabrałam z torby kapitana Ravenela. Nie zamierzałam go zatrzymać, ale też nie chciałam zostawić w gabinecie doktora Greeleya. Mógłby grzebać bezczelnie w rzeczach kapitana i odkryć portrecik. I dostrzec podobieństwo do mnie. Przynajmniej tak się przed sobą tłumaczyłam.

Ignorując wewnętrzny głos, który przypominał mi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, wsunęłam miniaturę do kieszeni szlafroka, po czym cichcem wyslizgnęłam się z dormitorium. Na tyle szybko, na ile pozwalały mi kapcie, ruszyłam ku schodom, a siostra Hathaway podążyła za mną.

– To wciąż ten sam senny koszmar. Znów mu się wydaje, że ląduje na plaży.

– Zatrzymała się, gdy z hałasem tupaliśmy w górę po marmurowych schodach. – I znów wykrzykuje imię tej kobiety.

Przystanąłam na moment i obejrzałam się na nią.

– Victorine?

– Tak. Dlatego pomyślałam, że pójdę po panią. Wygląda na to, że bierze panią za tę kobietę i uspokaja się, kiedy pani do niego mówi.

Skinęłam głową.

– Dziękuję. Dobrze siostra zrobiła.

Dotarłszy na szczyt klatki schodowej, skierowałyśmy się szybko ku mniejszemu schodkom prowadzącym na poddasze rezydencji.

Korytarz oświetlała naga żarówka. Okna były zamalowane na czarno albo zasłonięte ciemnym materiałem, więc żarówka paliła się za dnia i w nocy. Nie sposób było określić, jaka to pora, a ja nie wiedziałam, jak długo spałam ani jak blisko do świtu.

Usłyszałam go, zanim doszłyśmy do drzwi. Wykrzykiwał jakieś męskie imiona, jakby właśnie wydawał rozkazy żołnierzom na plaży we Francji. Weszłam do pokoju i w przyćmionym świetle nocnej lampki ujrzałam drugą pielęgniarkę dyżurną, niedawno przybyłą irlandzką emigrantkę, która nazywała się Mary albo Margaret Houlihan. Nie chodzi o to, że nie zależało mi na zapamiętaniu imion pielęgniarek, ale z powodu ciągłych przetasowań personelu było to wprost niemożliwe.

Miała śpiewną intonację i połykała samogłoski, ale poznałam dobrze irlandzki akcent, mieszkając przez całe życie w Nowym Jorku, więc bez trudu ją rozumiałam. Dziewczyna przyciskała kompres do czoła kapitana, woda ściekała mu po skroniach. Szybko podeszłam do łóżka.

– Podobno nie ma gorączki – powiedziałam.

Irlandka pokręciła przecząco głową.

– Nie, pani doktor. Ale pomyślałam, że dzięki zimnemu kompresowi mu ulży.

Wyrwałam jej mokrą szmatkę.

– Omal nie utonął w Normandii. Nie sędzę, aby pomogło mu spryskiwanie twarzy zimną wodą.

Kapitan krzywił się, rzucał gwałtownie głową po poduszce, najwyraźniej usiłując wyrwać się z piekła, które tylko on teraz widział. Zaciskał palce na pościeli tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Potem na chwilę znieruchomiał, gałki oczne szybko poruszały się pod powiekami.

– Victorine – wyszeptał.

Uwolniłam skraj prześcieradła z jego zaciśniętej ręki, delikatnie odginając mu palce, po czym splotłam je ze swoimi. Był potężnym mężczyzną, ale dłonie miał delikatne. Dłonie artysty.

– Jestem tu – powiedziałam cicho. – To ja, Victorine.

Jego ciało natychmiast się odprężyło, twarz złagodniała.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – wybełkotał niewyraźnie, chyba znów

zapadając w sen, ale wciąż trzymał moją rękę, chwycił się jej mocno jak tonący liny ratunkowej.

Odwrociłam się do pielęgniarek.

– Zajrzyjcie teraz do innych pacjentów. Zostanę z nim jakiś czas, by się upewnić, że koszmary nie powracają.

Siostra Mary Houlihan – a może Margaret – wyglądała na zgorzoną, ale siostra Hathaway pociągnęła ją za rękę.

– W porządku, Bridget. Doktor Schuyler wie, co robi.

Nie byłabym tego taka pewna, jeśli chodziło o kapitana Ravenela, ale skinęłam im głową i odprowadziłam wzrokiem, gdy opuszczały pokój.

Usiadłam na brzegu łóżka, wciąż trzymając śpiącego za rękę. Mówiłam sobie, że robię to, bo ściska moją dłoń tak mocno, że obudziłabym go, gdybym ją wyrwała. Ale wiedziałam, że chodzi zgoła o coś innego, o sposób, w jaki na mnie patrzył. Że coś we mnie rozpoznał. Jego twarz we śnie się rozluźniła, przez co wcale nie był mniej przystojny, choć wyglądał bardziej chłopięco i spokojnie. Bardziej intrygująco. Jednak miałam wrażenie, że nie tylko wojna pobruździła tę twarz i zasnęła cieniem spojrzenie. Może było coś przedtem, choćby nawet w dzieciństwie, co sprawiło, że rozglądał się po świecie w poszukiwaniu czegoś znajomego.

I była jeszcze ta miniatura. Portret kobiety, której twarz wydawała mi się znajoma jak moja własna. Powinnam już iść, mówiłam sobie. Spróbowałam nawet uwolnić palce z jego uścisku, ale trzymał je mocno. Pogodziłam się z tym, że spędzę noc, patrząc na zaciemnione okno, czekając na świt, który rozjaśni szpary przy krawędziach zasłony. Wtedy go zbudzę, upewniwszy się, że pokrzepił się snem, i zanim ktokolwiek się zorientuje, że siedziałam tutaj ubrana tylko w szlafrok. Oparłam się o zagłówek, starając się znaleźć wygodną pozycję, i zaczęłam liczyć muszle na cynowych panelach sufitu.

Robiłam to przez pewien czas, potem opuszczałam wzrok na twarz kapitana, a później znów zmuszałam się, by podnieść oczy i liczyć od nowa. Co jakiś czas usiłowałam uwolnić dłoń, zwłaszcza gdy czujnie zauważyłam, że światło na zewnątrz nieco się zmieniło i wkrótce trzeba będzie zbudzić rannego. Właśnie rozpoczęłam kolejną turę obliczania, kiedy przerwał mi zdecydowanie męski głos.

– Doktor Schuyler?

Uczyłam się w szkole medycznej głównie wśród mężczyzn, a potem spędziłam dużo czasu pośród żołnierzy, toteż poznałam sporo niecenzuralnych zwrotów, których z pewnością nie zaaprobowałaby moja matka. Jednak teraz użyłam wielu z nich, kiedy szarpnęłam się na łóżku, po czym zsunęłam raptownie na podłogę, pociągając za sobą pościel.

– Nie chciałem pani przestraszyć, pani doktor. Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli chce pani odzyskać łóżko, chętnie się przesunę.

– Myślałam, że pan śpi – wycedziłam przez zaciśnięte zęby, pospiesznie ciągnąc nakrycie z podłogi na łóżko, i starałam się przy tym nie zwracać uwagi na roznegliżowanego kapitana i jego długie muskularne nogi. Dałam sobie spokój z porządnym ścieleniem łóżka, bo trzęsły mi się ręce, starałam się tylko pospiesznie zakryć to, czego nie powinnam oglądać.

– Spałem, ale kiedy się obudziłem, nie chciałem przerywać pani liczenia.

Sporunowałam go wzrokiem.

– Przepraszam, kapitanie. Nie powinnam tu siedzieć, w każdym razie nie w takim stroju. Znów dręczyły pana koszmary, a że pielęgniarki nie zdołały pana uspokoić, wezwały mnie.

– Nie trzeba przeproszać, pani doktor – powiedział, a uśmiech, który Margie określiłaby jako szelmowski, jeszcze zyskiwał za sprawą porannego zarostu. – Są gorsze rzeczy niż przebudzenie w łóżku z piękną kobietą.

– Ja nie spałam – zachnęłam się i zbyt późno zrozumiałam swój błąd.

Zamknęłam na chwilę oczy, by nie widzieć jego szerokiego uśmiechu, a potem błyskawicznie je otworzyłam, podbiegłam do okna i uchyliłam zasłonę. Miałam nadzieję, że na zewnątrz jest dość jasno albo że strażnik obrony cywilnej nie będzie patrzył akurat w górę, bo zauważyłby nielegalny pasek światła, ale musiałam się dowiedzieć, ile czasu mi jeszcze zostało, by zbiec po schodach i przebrać się, nim ktoś mnie zauważy.

Niebo było nadal ciemne, ponakłuwane szpileczkami gwiazd, które sączyły słabe światło na śpiące miasto. Księżyc przypominał smukły paznokieć sunący nad horyzontem i nic nie zapowiadało wschodu słońca, które popsułoby mu zabawę. Pozwoliłam, by zasłona opadła, a potem przycisnęłam nasadę dłoni do piersi, by uspokoić łomot serca.

– Jest druga dwadzieścia – powiedział powoli, przeciągając zgłoski. – Mogła pani po prostu spytać.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że kapitan trzyma żołnierski zegarek marki Bulova.

Wbrew sobie wybuchłam śmiechem.

– Kapitanie Ravenel, jest pan niepoprawny.

– Dziękuję – odparł i lekko skinął głową, jakbym właśnie obdarzyła go szczerym komplementem. Uśmiechnął się ciepło. – Tęskniłem za panią. Miałem wrażenie, że mnie pani opuściła, wydając na łaskę o wiele mniej atrakcyjnego doktora Greeleya. Mam nadzieję, że nie doszło do jakiegoś nieporozumienia.

Czyżby zapomniał?

– Pocałował mnie pan.

– Nie tak jak trzeba, ale i tak mi się podobało. A jeśli wciąż będzie mnie pani unikała, to nie nadarzy się okazja do następnego pocałunku.

– Mogli mnie wyrzucić z pracy.

– Wiem. Dlatego postarałem się, by doktor Greeley wiedział, że była pani tylko mimowolną uczestniczką tego zdarzenia i że dlatego nie należy wyciągać konsekwencji dyscyplinarnych. Następnym razem musi być pani po prostu ostrożniejsza, pani doktor. Ma pani w sobie coś, co mnie... urzeka.

Ruszyłam w kierunku łóżka, by stanowczo oświadczyć mu, że nie ma mowy o kolejnym pocałunku, ale przystanąłam, gdy przypomniałam sobie, że mam miniaturę w kieszeni. Ponieważ nie przygotowałam sobie żadnego wyjaśnienia, skąd się tam wzięła, po prostu wyjęłam ją i podałam kapitanowi.

Patrzyłam, jak powoli odwija lnianą chusteczkę zgrabnymi palcami i wyjmuje portrecik.

– Gdzie to pani znalazła? – spytał ze spochmurniałym spojrzeniem.

– W pańskim worku. Szukałam w nim adresów krewnych w Charleston i natrafiłam przypadkiem na to. – Złączyłam ręce za plecami jak mała dziewczynka, która zaraz dostanie burę. – Pomyślałam, że może będzie pan chciał mieć to przy sobie.

Podsunał miniaturę do światła, a ja nachyliłam się, by lepiej się jej przyjrzeć.

– Niesamowite, prawda? – spytał.

Cofnęłam się, ciekawa, czy on widzi to samo co ja.

– Co takiego?

– Że jest pani do niej tak bardzo podobna.

Spojrzelśmy na siebie, a w przytłumionym świetle oczy kapitana wydawały się bardziej złociste niż zielone, jak u kameleona.

– Kto to jest?

Jeszcze raz przypatrzył się portretowi, nachylając go ku światłu.

– Tak do końca nie wiem. To należało do mojego dziadka, wielkiego artysty, a później do ojca. A teraz jest moje. Wiem od niego tylko tyle, że ta kobieta była wielką miłością mojego dziadka. Po sposobie, w jaki ją namalował, widać, że artystę łączyła z modelką prawdziwa namiętność.

– A więc to pańska babka?

Skrzywił się lekko.

– Może. A może nie. Ojciec dostał to po śmierci dziadka od jego starego przyjaciela. Ten przyjaciel był również malarzem i mieszkał na Kubie przed wojną hiszpańsko-amerykańską. Oprócz tego portretu miał również dziennik mojego dziadka. – Jego oczy się rozjaśniły. – W dzienniku jest wiele nieobyczajnych szczegółów związanych z romansami dziadka na Kubie, a najwięcej miejsca poświęca pięknej Kubance Marii, która w końcu została moją babcią. Nie poznałem jej, ale chciałbym wierzyć, że jest kobietą z portretu. Tylko że...

– Tak? – spytałam, nachylając się bliżej.

– Tylko że w dzienniku dziadek wspomina o pięknych brązowych oczach Marii.

Cofnęłam się o krok, bo miałam wrażenie, jakbym poczuła zimny oddech na karku.

– Powiedział pan, że rysował mnie, odkąd po raz pierwszy wziął ołówek do ręki. To ją miał pan na myśli?

Milczał przez chwilę.

– Tak. Wydawała mi się intrygująca, hipnotyzująca. Tajemnicza. Czułem przymus rysowania jej. A kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy...

– Pomyślał pan, że ją znalazł – dokończyłam. Obliziałam suche usta, zastanawiając się, czy powinnam powiedzieć mu coś więcej. I czy mogę tego nie zrobić. – Jest jeszcze coś... – zaczęłam.

Przerwało mi szybkie pukanie do drzwi, po czym wychyliła się zza nich głowa siostry Hathaway.

– Doktor Schuyler? Zaraz wstaną pielęgniarki z pierwszej zmiany. Pomyślałam, że może chciałaby pani być na dole, zanim się zbudzą.

Spojrzałam na nią ze szczerą wdzięcznością.

– Dziękuję. Nie ma siostra pojęcia...

– Chyba mam – rzuciła z błyskiem w oku. – Proszę zejść i spróbować się trochę przespać.

Odwrociłam się z powrotem do łóżka.

– Dobranoc, kapitanie.

– Dobranoc, pani doktor – odparł z porozumiewawczym uśmiechem.

Skierowałam się ku schodom i dostałam gęziej skórki, bo znów miałam dziwne wrażenie, jakby ciarki przeszły mi po plecach.

Rozmieniłam pieniądze u siedzącej w szklanym boksie kasjerki z półautomatycznego baru samoobsługowego Horn & Hardart Automat. Kiedy zbierałam pięciocentówki, które mi dała, bębniła niecierpliwie o blat czubkami palców w gumowych czapeczkach, bezmyślnie wpatrując się przed siebie. Podeszłam z tacą do długiej ściany zawierającej kwadratowe szklane szufladki i sprawnie brałam sobie kawę, makaron z serem, mizerię, pudding z tapioki: za każdym razem prędko wrzucałam pięciocentówki i obracałam chromowaną gałkę z porcelanowym trzpieniem. Po krótkiej chwili szklane drzwiczki się otwierały i wyciągałam jedzenie.

Przebiegłam wzrokiem po zatłoczonej sali i przy którymś z lakierowanych stolików dojrzałam Margie. Torebkę i stopy trzymała na jedynym wolnym krześle. Kiedy podeszłam, zsunęła nogi na podłogę i zabrała torebkę.

– Przepraszam – powiedziała. – Tylko tak mogłam je zająć. – Spojrzała gniewnie na korpulentną kobietę, która zbliżała się do krzesła z pytającym spojrzeniem, ale natychmiast cofnęła się spłoszona i zaczęła polować na inne miejsce.

– A ja przepraszam za spóźnienie. Doktor Greeley nie spuszcza mnie z oka.

Z trudem wymknęłam się do telefonu, by się z tobą umówić. I muszę być z powrotem za pół godziny.

Patrzyła, jak sadowię się na krześle i stawiam torebkę na podłodze.

– O, to jest pomysł.

– Jaki? – spytałam, ustawiając talerzyki, i położyłam serwetkę na kolanach.

– Telefon. Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do rodziny kapitana Ravenela?

Natychmiast poczęłam jeść makaron, żeby mieć czas na zastanowienie.

– Zdaje się, że w papierach nigdzie nie podano żadnego numeru.

– Ale nie jesteś tego pewna.

Spojrzałam przyjaciółce w oczy.

– Chyba nie szukałam.

Margie ukroiła sobie kawałek steku Salisbury i dodała do niego trochę ziemniaczanego piure.

– Bo ty z pewnych powodów wcale nie palisz się, by tu ich ściągnąć, chociaż utrzymujesz zupełnie inaczej. – Uśmiechnęła się. – No i dało ci to dobry pretekst, by pomyszkować w jego worku.

– Wcale nie myszkowałam. Miałam uzasadniony powód. Ten człowiek omal nie umarł, a z rodziną nie ma żadnego kontaktu.

– Ale może sugerował, by do nich zadzwonić?

– Nie – odparłam po chwili milczenia.

Margie uśmiechała się, przeżuując, i przypominała sprytnego kota, który właśnie odkrył, gdzie mieszka mysz. Chwyciła torebkę, otworzyła ją i wyjęła prostokątne pudełeczko, błękitne jak jajko drozda. Było zniszczone i przetarte na krawędziach, ale wiedziałam, że w środku ma białą jedwabną wyściółkę z wytłoczoną sygnaturą Tiffany’ego. Przesunęła puzderko po stole w moją stronę.

– Umieram z ciekawości, dlaczego właśnie teraz jest ci potrzebne. Przecież randkę z panem doktorem miałaś wczoraj.

W pośpiechu pochłaniałam mizerię, by dokończyć lunch, bo nie wiedziałam, kiedy zjem kolację. Szybko napiłam się letniej kawy i wsunęłam pudełeczko do torebki.

– Kobieta z miniaturowy ma na szyi rubinowy naszyjnik. Bardzo podobny do mojego.

Margie wyprostowała się na krześle.

– Nie żartuj. A skąd go masz?

– To jedyna wartościowa rzecz, oprócz futra z norek, którą odziedziczyłam po matce. Nigdy nie nosiła tego naszyjnika, więc jestem raczej pewna, że nie dostała go od mojego ojca. Ale czasem przyłapywałam ją na tym, jak go wkłada i przegląda się w lustrze. Przypuszczałam, że raczej dostała go od matki, ale przecież babcia była żoną piekarza. Nie sądzę, by stać go było na błyskotkę od

Tiffany'ego.

Margie nachyliła się ku mnie, szeroko otwierając oczy.

– A może naszyjnik jest kradziony? I dogrzebiesz się spraw, o których wolałabyś nie wiedzieć?

– Albo naszyjnik jest tylko podobny i to nic nie znaczy. Jednak chcę go mu pokazać. Nie ma pojęcia, kim jest kobieta z portretu, ale może wie coś o tym naszyjniku.

– A może szukasz pretekstu do rozmowy z nim. – W jej oczach pojawił się figlarny błysk.

– Ta kobieta wygląda zupełnie jak ja: ma zielone oczy i czarne włosy, które nawet rosną nad czołem tak samo jak u mnie, z wdowim szpicem. Nie mogę tego zlekceważyć. – Spróbowałam odrobinę puddingu z tapioki, a potem przesunęłam talerzyk w stronę Margie. – Muszę lecieć. Zjedz, jeśli masz ochotę.

Ale Margie nie zwracała uwagi na pudding.

– Uważaj – powiedziała.

Znieruchomiałam.

– Na co?

– Sama nie wiem. – Między jej brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. – To wszystko jest jakieś... dziwne.

Wstałam i dosunęłam krzesło do stolika, lecz ledwie oderwałam rękę od oparcia, zostało przechwycone przez wysokiego mężczyznę w ciemnym garniturze, który uniósł je nad głowę, by gdzieś dalej zabrać.

– Nie martw się. Potrafię o siebie zadbać.

Pożegnałyśmy się i wyszłam, ale wciąż miałam przed oczami jej zmarszczone brwi, kiedy znalazłam się w szpitalu jedynie minutę po czasie. Rozejrzałam się wokół, spodziewając się bury od doktora Greeleya albo pielęgniarki dyżurującej w recepcji, ale ku mojemu zaskoczeniu hol na dole był całkiem pusty.

Zaniosłam swoje rzeczy do dormitorium pielęgniarek, wyjęłam z torebki puderko, a z niego naszyjnik, który ostrożnie zawiesiłam sobie na szyi. Nigdy wcześniej go nie nosiłam, zawsze miałam poczucie, że należy do mojej matki, a nie do mnie, jakbym była tylko jego kustoszką. Jednak teraz zdawało się, że chłodny krwistoczerwony kamień w złotej oprawie, który ciężko zawisł na mojej nagiej skórze, poniżej obojczyków, jest dla mnie stworzony. Jakby zawsze był w tym miejscu.

Zapięłam kołnierzyk sukienki, żeby nikt nie zauważył naszyjnika, po czym wbiegłam pędem na poddasze, nie mogąc się dłużej powstrzymać. Na chwilę zatrzymałam się przed drzwiami, by uspokoić oddech, i ze zdziwieniem stwierdziłam, że z wnętrza dobiega szmer rozmowy.

Zapukałam i weszłam do środka, ale natychmiast tego pożałowałam. Doktor

Greeley stał w nogach łóżka i rozprawiał o swoich niezwykłych wysiłkach zmierzających do uratowania kapitana Ravenela, podczas gdy siostra Hathaway trzymała się z boku, jakby nie wiedząc, czy powinna skorygować wypowiedzi doktora.

Jednak moją uwagę przyciągnęła siedząca na krześle obok łóżka blondynka, której kształtne palce z pomalowanymi na czerwono paznokciami trzymały dłoń kapitana Ravenela, jakby miała do tego prawo. Niezwykle jasne włosy kobiety były lekko podkreścone, a fale układały się wokół jej twarzy tak samo jak u Carole Lombard. Jeszcze zanim obróciła się, by spojrzeć na mnie lodowato niebieskimi oczami, wiedziałam, że to kobieta ze zdjęcia.

– Przepraszam. Nie chciałam przeszkadzać – powiedziałam pospiesznie, próbując wycofać się z pokoju.

– Ależ skąd, proszę wejść, siostrze. Zdaje mi się, że kapitan Ravenel potrzebuje wody.

Mówiła powoli, przelewając słowa jak gęsty miód, ale odniosłam wrażenie, że czają się w nim pszczoły gotowe do żądlenia. Zastygłam z dłonią na klamce.

– Prawdę mówiąc, jestem doktor Schuyler. Ale widzę, że z pacjentem wszystko w porządku, więc...

– Doktor Schuyler, proszę wejść. – W głosie Coopera pojawiła się nieznana nuta, jakby lekkiej paniki. – Chciałbym, żeby poznała pani Caroline Middleton. Moją narzeczoną.

Powinnam skakać z radości i zacierać ręce na wieść, że ktoś po niego przyjechał. Ale zamiast tego czułam olów w stopach, gdy z trudem zmusiłam się, by podejść do tej kobiety i się z nią przywitać. Przez cały czas miałam wrażenie, że rubin wypala mi skórę w miejscu, gdzie jej dotyka, skryty pod sukienką.

Kobieta złożyła chłodne palce w mojej dłoni, nie fatygując się, by wstać na powitanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Doktor Greeley wspomniał, że pomagała pani trochę w leczeniu mojego narzeczonego.

Spojrzałam na doktora Greeleya, a za jego plecami widziałam siostrę Hathaway przewracającą oczami.

– Tak – przyznałam. – Pomagałam.

Naszyjnik zakołysał mi się na szyi, kiedy zdezorientowana odwróciłam się do Coopera, a potem znów do Królowej Śniegu.

– Więc pani nie ma na imię Victorine?

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchła niskim gardłowym śmiechem.

– Och nie, moja droga. Victorine to imię muzy artysty Maneta, kobiety, którą bardzo kochał. – Znów skierowała uwagę na Coopera. – Bo twoją żoną jest Caroline, prawda, kochanie?

Chwyciłam pusty dzbanek na wodę stojący przy łóżku, szybko się

pożegnałam, unikając wzroku Coopera, i opuściłam pokój. Dopiero w połowie schodów zaczęłam się zastanawiać, dlaczego kobieta, którą wzywał przez sen, nie miała na imię Caroline.

Olive

Kiedy Olive po raz pierwszy postawiła stopę w kuchni rezydencji Prattów, ze zdziwienia wprost opadła jej szczęka.

Oczywiście widziała już plan tego pomieszczenia na rysunkach architektonicznych ojca, więc nie powinna być wcale zszokowana. Wodziła kiedyś z zachwytem palcami po tych szkicach, podziwiając przestronność kuchni, kredensy i blaty, masywny piec, a ściślej piece, bo były dwa, spiżarkę, szafkę na platery, piwniczkę na wino. Zastanawiała się, jak by to było zarządzać taką kuchnią, która jest nowoczesna, ogromna i racjonalnie zaprojektowana, oświetlona i wentylowana przez specjalne okna i lufciki, które wcale nie dawały poczucia, że się przebywa w suterenie nowojorskiej kamienicy.

Jednak co innego wzdychać nad dwuwymiarowymi rysunkami, a zupełnie co innego przywdziać fartuszek, czepeczek i wkroczyć do ogromnego, tętniącego życiem trójwymiarowego pomieszczenia, zarządzanego przez kucharkę, która potrafiłaby pogonić kota nawet Czyngis-chanowi.

W gospodarstwie domowym, które skupiało się na precyzji przygotowania i kolejności serwowania wyśmienitych dań, kuchnia była pulsującym centrum, silnikiem parowym, który uruchamiał śrubę napędową rodzinnego życia Prattów. (A może to życie rodzinne Prattów było parowcem, a jedzenie śrubą napędową?). Tak czy owak Olive, już stając w drzwiach kuchni każdego ranka, w wykrochmalonym fartuszkach i upiętym starannie czepeczku, podupadała na duchu na myśl o ogromie czekającej ją pracy, tym przeklętym kamieniu syzyfowym, który znów będzie musiała pchać pod górę, tak jak robiła to poprzedniego dnia i jeszcze dzień wcześniej, i będzie robiła po wsze czasy (a przynajmniej tak się jej zdawało o piątej nad ranem w ponury zimowy poranek).

Zadanie zdawało się niewykonalne zwłaszcza dziś, w Wigilię (więcej pracy!), a do tego po nocy, która zakończyła się zaledwie przed trzema godzinami, kiedy Olive przemknęła na paluszkach tylnymi schodami do „klasztora”, wysunęła Biblię ze szpary w drzwiach i wślizgnęła się do zimnego łóżka. Ale wcale nie zauważyła, że jest zimne, ponieważ wprost płonęła, oszołomiona obiecującym zachwytem w oczach Harry’ego, ciepłem jego uśmiechu, porozumieniem, które wypełniało pokój na poddaszu, gdzie na kominku trzaskały płomienie. Zapach farby olejnej i ludzkiej skóry. Skrobanie ołówka po papierze, głośny śmiech, który wywoływał żywsze bicie jej serca. Kiedy nad ranem złożyła głowę na poduszce, było jej ciepło jak nigdy. I nigdy nie czuła się tak ożywiona.

Dopiero po przebudzeniu, zaledwie parę godzin później, poczuła zimno.

– Chyba cierpisz na bezsenność, co? – rzuciła szorstko kucharka.

– Słucham?

– Masz sińce pod oczami wielkości spodków.

Na czerwonej twarzy kucharki malował się podejrzliwy wyraz, a jej rzadkie czarne włosy wymykały się spod czepka. Święta Bożego Narodzenia to był dla niej największy kataklizm, doroczne apogeum walki na śmierć i życie z piętrzącymi się żądaniami Ważnej Rodziny w okresie świątecznym.

Olive chciała powiedzieć, że już rozpałała w kominkach, wyszorowała podłogi i wypolerowała srebra na wigilijną kolację, a zrobiła to wszystko przed dziewiątą rano. Podała też o dziewiątej trzydzieści śniadanie pani i panu Pratt oraz pannie Prunelli Pratt (doprawdy, ileż filiżanek kawy może wypić człowiek?) i uprzątnęła ze stołu. Zdziałała to wszystko pokrępowana snem, który trwał dokładnie dwie godziny i czterdzieści osiem minut, więc sama sobie zapracowała na podkrążone oczy.

A jeśli ktokolwiek w domu Prattów pracował w tym czasie ciężiej niż Olive, to właśnie pani Jackins.

– Nie mogłam zasnąć – powiedziała Olive. – Jestem taka podekscytowana, bo to moje pierwsze święta w tym domu.

– Dużo zawracania głowy i tyle – podsumowała kucharka pojednawczym tonem. Wetknęła niesforny kosmyk włosów pod czepkę i zerknęła na zegarek. – A chłopaki nawet jeszcze nie wstali. Pewnie łajdaczyli się zeszłej nocy. W tym wieku wyłącznie brewerie im w głowie.

Czy Olive się tylko zdawało, czy rzeczywiście kucharka położyła nacisk na ostatnie słowa? Wzruszyła ramionami.

– Pewnie miło jest być bogatym.

– A owszem, tylko że nas, służby, to nie dotyczy. Rozumiesz, Olive? Posłuchaj...

Przerwał jej ostry brzęk i kucharka spojrzała na szereg dzwonek na ścianie.

– Panicz Harry – oznajmiła z westchnieniem. – Pewnie będzie chciał kawę.

– Zaniosemu – zaoferowała się szybko Olive.

– Och, doprawdy?

– Przecież to moja praca.

Pani Jackins położyła ręce na szerokich biodrach.

– Któraś z pozostałych pokojówek też może zanieść poranną kawę paniczowi Harry'emu.

Olive wzięła tacę z kredensu i poczęła ustawiać serwis do kawy.

– No cóż, ale skoro akurat tutaj jestem, to przecież mogę to zrobić.

– Słuchaj no, Olive – powiedziała kucharka. – Przestań na chwilę łomotać tą porcelaną i uważnie mnie posłuchaj. Olive!

Olive westchnęła i odstawiła cukiernicę.

Palec wskazujący prawej ręki pani Jackins pojawił się nie wiadomo skąd, grożąc ciepłemu kuchennemu powietrzu.

– Prawie całe życie jestem na służbie i nigdy nie widziałam, żeby coś takiego dobrze się skończyło.

– Ale co takiego?

– Wiesz, o co mi chodzi.

Olive podeszła do najbliższej fajerki, która utrzymywała ciepło kawy w emaliowanym imbryku.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Ty i panicz Harry. Widziałam, jak na siebie patrzycie. Jak mówiłam, całe życie jestem na służbie i znam się dobrze na takich spojrzeniach.

Kiedy pani Jackins była zdenerwowana, w jej mowie pojawiał się ślad akcentu z jej dawnego kraju za oceanem, skąd pochodziła. Przeniosła się do Ameryki w wieku ośmiu czy dziewięciu lat, jak powiedziała kiedyś Olive przy wieczornej herbacie, i zaczęła pracować jako pomywaczka w domu przy placu Waszyngtona, a potem awansowała zarówno w hierarchii domowej, jak i pod względem lokalizacji, i pnąc się, rosła wraz z Manhattanem. Chociaż Olive trudno było odgadnąć wiek kucharki – włosy wciąż miała czarne, ale twarz czerwoną i pomarszczoną – zdawała sobie sprawę, że przed doświadczonym okiem pani Jackins nie umknie żaden szczegół życia na dole.

Ale Olive i tak nie miała innego wyjścia niż zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Nalała gorącej kawy do eleganckiego porcelanowego dzbanka, zakryła go pokrywką i ustawiła ostrożnie na tacy, zerkając w kierunku pani Jackins.

– Wyobraża pani sobie nie wiadomo co. Nawet mi się nie marzy patrzenie na panicza Harry’ego, a co do niego, to po cóż miałby...

Kucharka łagodnie przytrzymała ją za rękę.

– Olive, posłuchaj mnie choć przez minutę. Jedną minutkę. Nie rzucam żadnych oskarżeń ani nie zamierzam na ciebie donosić. Ale już to wszystko kiedyś widziałam: panowie i służące, i wierz mi, moja droga, nic dobrego z tego nie może wyjść. Nic dobrego, słyszysz?

– To nie tak... – wyszeptała Olive.

Pani Jackins cofnęła dłoń i westchnęła.

– No właśnie. Każda z was sądzi, że w jej wypadku jest inaczej, bo jest wyjątkowa. Myślisz, że tobie się uda, prawda? Ale posłuchaj mnie uważnie, kochanieńka. – Nachyliła się do ucha Olive. – Nigdy się nie udaje. Nie jesteś wyjątkowa. Świat tak nie działa. Że panowie i służący się mieszają ze sobą. Nigdy tak nie było i nie będzie. Posłuchaj mojej rady, Olive. Jeśli chcesz być szczęśliwa, spoglądaj nieco niżej. Takiemu przystojnemu młodzieńcowi jak panicz Harry może się podobać śliczna pokojówka taka jak ty, ale niech mnie diabli porwą, jeśli się

z nią ożeni. Przecież ostatniego lata mieliśmy tu pokojówkę, która zagięła parol na panicza Augusta, no i się dograła.

Olive odsunęła się i chwyciła tacę. Twarz miała rozpaloną i napiętą.

– Bardzo dziękuję za poradę, pani Jackins. A teraz może zaniosę tę kawę na górę, dobrze?

Pani Jackins wzniosła oczy do nieba i się odwróciła.

– Rób sobie, jak chcesz, kochanieńka. Ale panicz Harry za niecałe dwa tygodnie wraca do college’u, a ty gdzie wtedy będziesz? Właśnie tu, na Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Będziesz prasować obrusy, mając nadzieję, że nie wpadłaś w tarapaty.

Taca sporo ważyła, ale Olive była silna. Dźwigała kawę dla Harry’ego po schodach przez pięć długich biegów, aż wreszcie stanęła przed jego drzwiami, które były zamknięte. Trzymając tacę jedną ręką, zastukała drugą i zawołała:

– Kawa dla pana!

– Wejź! – odezwał się ze środka znajomy głos Harry’ego.

Z trudem przekręciła gałkę w drzwiach i weszła tyłem do środka.

Oczywiście bywała już wcześniej w pokoju Harry’ego. Wchodziła tam nawet wiele razy, od kiedy wrócił do domu z college’u. Odkurzanie i sprzątanie pokoi domowników należało do jej codziennych obowiązków, a choć pokojami chłopców – jak ich nazywano, mimo że Harry i August dawno przestali przypominać swoje niewinne młodsze wersje – zajmowała się zazwyczaj jedna ze starszych pokojówek, to Olive często ją zastępowała. Znała dobrze ten pokój. Tu było łóżko Harry’ego, jeszcze niepościelone, pewnie wciąż ciepłe, z puchatymi białymi poduchami i zielonym adamaszkowym przykryciem. A tu jego biurko, zavalone szkicami i niedokończonymi listami. Szafa była otwarta na oścież i wyraźnie przydałoby jej się uszczuplenie zasobów albo przynajmniej fachowe uporządkowanie. Na regale przewalały się stosy książek w swobodnym, studenckim stylu, który Olive wydawał się uroczy. Postawiła tacę na stoliku i obróciła się w stronę krzesła, gdzie spodziewała się Harry’ego, uśmiechniętego i ubranego, ale krzesło było puste.

– Ach, to ty.

Olive obróciła się wokół własnej osi i aż dech jej zapało na widok nagiego torsu Harry’ego, który lśnił bladozłoto spomiędzy rozchylonych pół szlafroka. Jego twarz była do połowy pokryta mydłem do golenia, a nad jednym policzkiem zawisło groźnie ostrze brzytwy, gotowe do ataku. Uśmiechnął się i odwrócił do lustra nad umywalką, ujęty w ramę otwartych drzwi swojej prywatnej łazienki. (Oczywiście zaprojektowanej przez jej ojca).

– Miałem nadzieję, że właśnie ciebie przyślą. Ale pewnie nie możesz zostać na chwilę?

Zdumionej Olive odjęło mowę. Harry pewnymi ruchami zgarniał ostrzem

pianę z policzków, a wokół niego unosiła się przesycona zapachem mydła para po niedawnej kąpieli. Tryskał świeżością, był wypoczęty, szczupły i wspaniale zbudowany: każdy szczegół jego ciała był doskonały – wydawał się cudownie ożywioną helleńską rzeźbą z marmuru. Oczy Olive bezwiednie wędrowały po jego szerokich ramionach, wąskiej talii, kształtnych łydkach widocznych spod szlafroka. Miała wrażenie, jakby ktoś oblał ją naftą i podpalił. A jednocześnie poczuła nadmiar śliny w ustach, topniała w środku. Tego wszystkiego było dla niej za wiele. On był zbyt wysoko postawiony, zbyt wspaniały. Był nierealny, należał do innego gatunku.

W głowie usłyszała echo głosu pani Jackins: „Panowie i słudzy... No i się doigrała...”.

Harry odłożył brzytwę, oklepał policzki zwiniętym ręcznikiem i odwrócił się w stronę Olive.

– Ej, co się dzieje? – spytał, idąc w jej kierunku.

Olive zrobiła niepewny krok w tył.

– Powinam wyjść.

– Nie, nie powinnaś.

Harry obdarzył ją czarującym pirackim uśmiechem i podszedł do niej w niepokojąco rozchełstanym szlafroku. Podniósł ręce i rozwarł dłonie, jakby chciał chwycić Olive za policzki, przyszpilić do swoich ust jak motyla w kolekcji, ale ona odwróciła się i wybiegła, byle dalej od wygodnego pokoju Harry’ego, byle nie widzieć jego łóżka, które dopiero przed chwilą opuścił, regału pełnego książek, których zwykła pokojówka nigdy nie będzie miała czasu przeczytać.

Zanim liczne zegary Prattów wydzwoniły gremialnie jedenastą, było już po wystawnej wigilijnej kolacji, stół uprzątnięto i podano kawę. Następnie cała rodzina zebrała się w salonie, by skończyć ubieranie choinki, zgodnie z wytycznymi pani Pratt. (Wyglądało na to, że ozdoby musiały być powieszona bardzo starannie, żeby uzyskać odpowiedni efekt, który stosownie do gustu pani Pratt należałoby określić mianem barokowego).

Nie żeby Olive to cokolwiek obchodziło. Była wykończona. Właśnie odniosła na dół ostatnią tacę z filiżankami po kawie i została zwolniona przez panią Jackins, która uznała, że Olive wygląda mizernie. Mizernie! Ledwie trzymała się na nogach, a jej nastrój bynajmniej się nie poprawił, gdy przechodziła obok otwartych podwójnych drzwi prowadzących do okazałego salonu na pierwszym piętrze („sala balowa” byłaby właściwszym określeniem i rzeczywiście miało się tu odbyć w następnym tygodniu przyjęcie zaręczynowe panny Prunelli) i ujrzała bogato odzianą, wesołą i roześmianą rodzinę Prattów. A przynajmniej Harry się śmiał, balansując na drabinie, by zapalić jeszcze kilka świec na sześciometrowym drzewku przywiezionym z gór Adirondack specjalnym wagonem kolejowym. Czubek choinki niemal dotykał sztukaterii na suficie. Z gramofonu dobywały się

dźwięki tandetnej kolędy, a w powietrzu unosił się zapach choinki, dymu z cygar i dobrobytu.

Kiedy Olive przystanąła, czując, jak pęka jej serce, Harry, jak było do przewidzenia, zerknął w stronę wejścia z wysokości i ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się szerzej i mrugnął – tak, naprawdę mrugnął! – jakby to był świetny psikus, a Olive również świętowała, spożywając kolację wigilijną złożoną z dziesięciu dań i celebrując rodzinne rytuały w gronie bliskich, a nie z trudem wlokła znużone ciało po rezydencji, która nie należała do niej, dogadzając ludziom, których nawet nie lubiła.

Odwróciła się i weszła na podest, a potem poczęła się wspinać schodami, by nie słyszeć już śmiechu podchmielonych Prattów i tandetnej kolędy. Znalazłszy się na podeście drugiego piętra, stanęła tuż przed zamkniętymi drzwiami gabinetu pana Pratta.

Zamkniętymi, ale nie na klucz.

Położyła dłoń na słupku poręczy, wpatrzyła się w drzwi i na chwilę ujrzała oczami wyobraźni twarz ojca patrzącego na nią z wyrzutem. Przypomniał się jej wers z Szekspira – Och, Szekspir! – pomyślała z bólem – pojawił się jak duch: „Pamiętaj na tve przyrzeczenie, / Przychodzę po to tylko, żebym wzmocnił / Zwałtłone nieco przedsięwzięcie twoje”¹.

„Zwałtłone nieco przedsięwzięcie twoje”.

Zawsze trochę gardziła Hamletem. Pięć aktów ciągłych wahań, scena po scenie myślenie zamiast działania, urządzenie głupich przedstawień zamiast po prostu stanąć twarzą w twarz z uzurpatorem Klaudiuszem jak mężczyzna z mężczyzną. Ale ona sama postępowała przecież jeszcze gorzej. Jeden uśmiech Harry’ego Pratta i niemal całkiem zapomniała, po co się tu znalazła. Ochoczo harowała całymi dniami, prasowała pościel Prattów, wycierała ślady ich butów z podłóg – po co to wszystko? Żeby mieć szansę spotkać się z Harrym w ukrytym pokoju na poddaszu? Obnażać się przed nim, zaspokajać jego potrzeby, tak jak ojciec realizował potrzeby pana Pratta?

Nie podjęła dotąd żadnych kroków, by sprawiedliwości stało się zadość, od chwili, gdy zapadła się przed tygodniem w pachnące lawendą poduszki w pokoju na poddaszu, zdjąwszy szlafrok przy Harrym Pracie.

Harry i jego mruganie.

„Panicz Harry za niecałe dwa tygodnie wraca do college’u, a ty gdzie wtedy będziesz?”.

Była słaba, czyż nie? Słaba, zauroczona idiotka, która wyjmowała czule liściki Harry’ego ze skrytki w ścianie, traktując je jak klejnoty, a nawet sama mu odpisywała. Wymykała się na górę wtedy, kiedy powinna była spać, fantazjowała o Harrym, kiedy powinna planować odpowiednie desery dla jego rodziny.

Dłoń spoczywająca na słupku poręczy zacisnęła się w pięść. Z determinacją

dała krok i otworzyła drzwi gabinetu.

Była jednak przygotowana na tę chwilę. Na łańcuszku, który nosiła na szyi, wisił kluczyk pasujący do zamków w biurku pana Pratta. Zdobyła go z wielkim trudem dzięki woskowemu odciskowi oryginału, wykradzionego w jednej z rzadkich chwil nieuwagi pani Keane. Każdego ranka zakładała łańcuszek z kluczykiem na szyję, codziennie kluczyk bujał się na jej piersi pod starannie wykrochmalonym uniformem, czekając na okazję. Ta okazja oczywiście dotąd się nie nadarzyła. Zawsze było za dużo obowiązków – albo ktoś z rodziny znajdował się w pobliżu, albo Olive opadła z sił. Albo zanosilo się wkrótce na spotkanie z Harrym na górze.

Ale teraz... Rodzinka była zaabsorbowana ubieraniem choinki w salonie, a gramofon zagłuszał wszelkie niestosowne odgłosy swoją płaską interpretacją *The Bottom of the Punchbowl*. Harry był uwięziony na drabinie, wykonywał polecenia matki. Co jak co, ale tego właśnie wieczoru nie ma obawy, że ktoś zapłącze się do gabinetu pana Pratta.

Teraz знаła już rozkład mebli w pokoju, więc nie potrzebowała światła, by znaleźć drogę do masywnego biurka. Ręce jej się trzęsły. Robiła to, naprawdę robiła. Wyjęła kluczyk zza kołnierzyka i poczuła w dłoni ciepło metalu. Gdzie ta szuflada? A, jest, koniuszkami palców namacała solidny zamek. Po omacku włożyła kluczyk w otwór, dla pewności przytrzymując jedną dłoń drugą, i obróciła szybko, żeby nie było czasu na zastanawianie się, na zdenerwowanie.

Klucz przekręcił się w zamku, szuflada posłusznie się wysunęła. Teraz Olive potrzebowała światła. Wyprostowała się, znalazła lampę na biurku, włączyła ją w nadziei, że cienka smuga światła pod drzwiami nie zostanie zauważona, jeśli ktoś – pokojówka czy gospodyni – znajdzie się na podeście.

W szufladzie leżały skórzane teczki, każda oznakowana kartonikiem wsuniętym w cienką metalową ramkę u góry. Olive przejrzała je szybko: PIEKARZ, HANSBOROUGH CO., KEYSTONE STEEL, NEW YORK CENTRAL, po czym zamknęła szufladę.

W następnej szufladzie nic nie znalazła, tak samo jak w kolejnej. Czuła, że puls jej przyspieszył. Od zapachu skóry robiło jej się niedobrze. Wsadziła kluczyk do ostatniej szuflady i otworzyła ją gwałtownym ruchem.

AMES, HARDING CO., NOTHERN PACIFIC. Znowu kolej. Kolej chyba były ważne na Wall Street. PHILADELPHIA & READING, STRATHCOTE & HARPER.

A wreszcie: VAN ALAN.

Olive przykucnęła. Tak naprawdę wcale się nie spodziewała, że to znajdzie, a nawet może w głębi serca miała nadzieję, że nie znajdzie. Znalezienie czegoś oznaczało... no cóż, znalezienie. Odkrycie prawdziwej historii, zmuszenie się do działania. Ostatni rok przeżyła w stanie słusznego gniewu, pragnąc zemsty na

człowieku, który zniszczył jej ojca i rodzinę. A teraz miała wszystko przed sobą w zwykłej skórzanej teczce, udokumentowany zakres perfidii pana Pratta, i nagle wcale nie chciała wiedzieć. Nie chciała się z tym zmierzyć.

Wcale tego nie chciała.

Ale musisz, powiedziała sobie, patrząc na skórzaną okładkę, na czarne drukowane litery składające się na jej własne nazwisko, nazwisko utraconej rodziny. Nadal słyszała dobiegającą spod podłogi muzykę z gramofonu. Jakiś mężczyzna wybuchnął tam serdecznym śmiechem.

„Zwałtłone nieco przedsięwzięcie twoje”.

Sięgnęła do szuflady i położyła dłonie po dwóch stronach teczki.

Nagle rozległ się zgrzyt gałki przekręcanej w drzwiach.

Olive błyskawicznie zasunęła szufladę i przekręciła kluczyk w zamku. Znad biurka dosłyszała ciche skrzypienie zawiasów i ujrzała klin światła z korytarza. Mocno przełknęła ślinę i wcisnęła palce w podłogę, by powstrzymać ciało przed drżeniem.

– Olive, czy to ty?

Harry.

Odetchnęła tak głęboko, że chyba wypuściła z płuc całe powietrze.

– Olive, kochanie, to tylko ja. – Trzask zamykanych drzwi. – Przykro mi, że tak długo nie mogłem się wyrwać. Wreszcie musiałem wymówić się nadmiarem ajerkoniaku. Nie wiem, czy ktoś mi uwierzył. – Chichot. – Chowasz się?

Nie było sensu dalej się kryć. Olive wynurzyła się wolno zza biurka. Harry stał tuż za kręgiem światła lampy, wysoki i poważny w czarno-białym wieczorowym stroju, z połyskującymi złotymi włosami.

– Nie chciałam, by ktoś mnie przyłapał – odparła roztrzęsiona.

– Wybrałaś świetne miejsce. Nigdy bym się nie domyślił, gdybym nie zauważył światła pod drzwiami. – Wyciągnął rękę. – Chodź. Mam dla ciebie bożonarodzeniową niespodziankę na górze.

– Niespodziankę?

Obszedł biurko i ujął ją za rękę.

– Ojej, ty drzysz. Biedna Olive. – Ucałował jej rękę. – Pewnie jesteś wykończona, a ja cię jeszcze zatrzymuję jak jakiś drań. Ale nie martw się. Zaraz będzie po wszystkim.

– Po wszystkim?

Harry wyłączył lampę, schylił się i ucałował ją w czubek nosa.

– Po prostu chodź ze mną, dobrze? Przyrzekam, że warto.

Nie miała wyboru, musiała iść za nim, kiedy prowadził ją za rękę ku drzwiom. Otworzył je, wyjrzał na zewnątrz, powiedział, że droga wolna, i pociągnął Olive na pusty elegancki podest drugiego piętra.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, wstrząsnął nim lekki dreszcz.

– Nigdy nie przepadałem za tym pokojem – wyszeptał jej do ucha.

Lucy

– Panno Young? Czy mogę prosić o odprowadzenie pana Ravenela do windy?

– Tak, oczywiście. – Lucy pospiesznie odsunęła krzesło od biurka, kiedy drzwi do gabinetu pana Schuylera się otworzyły, a jej szef gestem wskazał panu Ravenelowi, by poszedł przodem.

Ci dwaj mężczyźni istotnie się różnili – pan Schuyler był jaśniejszy, szczuplejszy, wyższy, pan Ravenel miał aksamitne oczy i mięśnie rugbisty. Włożył tego dnia garnitur z cienkiego materiału, a jasny kolor ubrania podkreślał jego opaleniznę, dlatego pan Schuyler wydawał się przy nim bladym gryzypiórkiem.

– Dziękuję za pomoc – powiedział pan Ravenel, wyciągając rękę do pana Schuylera.

– Nie ma za co. – Pan Schuyler pokazał w uśmiechu zęby, lecz oczy miał poważne. – Skontaktuję się z panem, kiedy tylko znajdę odpowiedzi na pańskie pytania. Panno Young?

– Tak, proszę pana. – Lucy szybko i zręcznie podała Ravenelowi kapelusz.

– Będzie pan uprzejmy pójść za mną?

– Z przyjemnością, panno Young – odparł pan Ravenel i grzecznie uchylił kapelusza w stronę pana Schuylera. Wszystko jak należy, zgodnie z konwenansami. Kiedy drzwi się zamknęły, odezwał się ciszej, żeby tylko Lucy słyszała: – Podobała mi się nasza sobotnia wycieczka.

Lucy rzuciła szybkie, nerwowe spojrzenie przez ramię. Niemądra. W wycieczce nie było nic nieprzyzwoitego. Nawet jej babka nie dopatrzyłaby się groźby kompromitacji w spacerze po parku w pełnym słońcu.

Zatrzymali się przy ulicznym wózku, żeby kupić kanapki lodowe. Pan Ravenel podśmiewał się z Lucy, że najpierw po trochu oblizuje wafle po bokach, aby topiące się lody nie skapnęły jej na rękawiczki. On sam pochłaniał kanapkę wielkimi kęsami, „tak jak należy”, jak zauważył prowokacyjnie, co zmusiło Lucy do zademonstrowania jej własnej wybornej techniki. Później szlachetnie powstrzymał się od żarcików, kiedy lody i tak skapnęły na rękawiczki Lucy.

Z lepkimi palcami wybrali się na karuzelę. Stanęli w kolejce za dziewczętami w kapeluszach ozdobionych długimi wstążkami i chłopcami w pumpach, by móc potem dosiąść dwóch jaskrawo pomalowanych koni. Pan Ravenel nazwał swojego Rosynantem i uśmiechnął się do Lucy na znak, że to żart, który powinna zrozumieć. Galopowali w kółko na swoich wierzchowcach przy muzyce organów parowych, zagłuszanej piskami rozdokazywanych dzieci.

Gdzieś pomiędzy lodami a karuzelą Lucy zapomniała, że pan Ravenel jest klientem, a ona zabawia go na polecenie pana Schuylera. Po prostu wystawiała twarz do jasnego letniego nieba i cieszyła się dniem, co nie zdarzyło się jej od ostatniej jesieni, kiedy zmarł ojciec, a Lucy wraz z jego śmiercią straciła poczucie przynależności do kogokolwiek.

Jednak teraz, w biurze, Lucy poczuła, jakby cień padł na ich wesołą wycieczkę, jakby była ona w jakimś sensie tajna. Wzięła głęboki wdech i oświadczyła sztywno:

– Wszystkim w firmie zależy, by miał pan przyjemny pobyt w Nowym Jorku.

Pan Ravenel zatrzymał się przed windą i zajął Lucy z rozbawieniem w oczy.

– Doprawdy? To bardzo szlachetnie.

Lucy poczuła, że się czerwieni. Kiedy śmiała się i krzyczała na koniu, nie zachowywała się zbyt szlachetnie. Ani jak prawdziwa dama.

Ale zdaje się, że panu Ravenelowi to wcale nie przeszkadzało.

– A czy – zaczął poważnym tonem pan Ravenel, opierając się dłonią o ścianę – zechciałaby pani odegrać rolę litościwego anioła i z dobroci serca poświęcić jeszcze jeden dzień na zapewnienie rozrywki pozostawionemu własnemu losowi podróżnemu?

Lucy starała się nie dać poznać po sobie, że to pytanie wywołało w niej wybuch radości.

– Więc nie wraca pan do Charleston?

– Na razie nie – odpowiedział pan Ravenel i choć nie zmienił wyrazu twarzy, oczami wskazał szybko korytarz prowadzący do gabinetu pana Schuylera. – Muszę załatwić jeszcze parę spraw.

– Cóż, w takim razie... Dla dobra firmy...

– Widzimy się w sobotę, w samo południe. Przy karuzeli. – Jego spojrzenie zatrzymało się na skromnym kołnierzyku jej bluzki. – Nie ma pani naszyjnika.

Właściwie miała, pod bluzką, bo nosiła ten drobiazg zawsze, odkąd dostała go od matki. Zyskiwała przez to poczucie, że jest bliżej niej i stale dysponuje kluczem, który może otworzyć przeszłość.

Lucy opuściła głowę.

– Takich rzeczy nie nosi się w pracy.

Pan Ravenel uśmiechnął się szeroko.

– A, no tak. Praca. – Rozległ się brzęk anonsujący przyjazd windy. Windziarz otworzył klatkę. Pan Ravenel odezwał się oficjalnym tonem: – Bardzo dziękuję za pomoc, panno Young. Jest pani klejnotem firmy Cromwell, Polk i Moore.

Lucy pochyliła głowę.

– Panie Ravenel.

I zniknął. Ale tylko do soboty.

Południe. Przy karuzeli. Lucy powstrzymała głupi uśmieszek. Czyż może być niewinniejsza randka?

Ale przecież to wcale nie randka, przypomniała sobie natychmiast i przyspieszyła kroku, wracając do biurka. Przed wyjściem musiała jeszcze przepisać czterdziestotrzystronicowy kontrakt, w trzech egzemplarzach.

A pan Ravenel to klient, po prostu klient.

Lucy zdjęła pokrywę z maszyny do pisania, ale zanim zdążyła wkręcić kartkę, Philip Schuyler wystawił głowę ze swojego gabinetu, a jego zwykle miła twarz miała ponury wyraz.

– Gdzie go pani zabrała? Do Timbaktu?

To odezwanie się było tak niezwykle – nawet gdy praca przeciągała się do wieczora, pan Schuyler zawsze zachowywał się bardzo uprzejmie – że Lucy aż odebrało na chwilę mowę.

– Ja... – zaczęła. – Winda...

– Nieważne. – Pan Schuyler potrząsnął z irytacją głową. – Proszę połączyć mnie z panią Schuyler.

Zazwyczaj prosił uprzejmie. To zabrzmiało jak rozkaz. Lucy wyprostowała się.

– Tak, panie Schuyler. Już łączę.

Philip Schuyler przycisnął palce do skroni.

– Nie chciałem być opryskliwy. – Pokrył zmieszanie wymuszonym śmiechem. – Jeszcze trochę, a będzie pani błagała panią Meechum o przydzielenie do kogoś innego.

Lucy poczuła, jak ucisk w piersiach ustępuje.

– Pracowałam już dla innych. Nie chciałabym teraz zamiany.

Philip Schuyler uśmiechnął się krzywo.

– To chyba już coś, prawda? Poproszę o połączenie, panno Lucy.

A więc powrót do pracy.

– Już łączę, panie Schuyler. Czy życzy pan sobie również kawę?

– Nie – odparł ponuro. – Proszę o dzin. Podwójny.

Drzwi gabinetu zamknęły się za nim z trzaskiem.

Lucy sądziła, że raczej żartował z tym dzinem. A przynajmniej taką miała nadzieję. Postanowiła, że z braku mocniejszych trunków zaparzy jednak kawę. I nie miało to nic wspólnego z tym, że nie mogła teraz słyszeć jego rozmowy przez grube dębowe drzwi oddzielające ją od gabinetu. Dobra sekretarka przewiduje przecież potrzeby szefa, a jeśli te potrzeby wiążą się z koniecznością cichego wejścia do gabinetu pracodawcy, kiedy ten jest w trakcie rozmowy telefonicznej... no cóż, sekretarki robią takie rzeczy.

Słyszała jego głos dobiegający zza drzwi i choć nie rozróżniała słów, zaskoczyło ją nerwowe brzmienie, tak różne od zwykłego żartobliwego tonu.

Balansując filiżanką kawy w jednej ręce, drugą delikatnie przekręciła gałkę w drzwiach, właśnie gdy pan Schuyler mówił:

– Coś ty, u diabła, wymyśliła?

Na szczęście słowa te były skierowane do macochy, a nie do Lucy. Nie chciałyby być adresatką tej wypowiedzi. Mówił jak człowiek u kresu wytrzymałości, łagodny mężczyzna doprowadzony do wybuchu.

Widząc Lucy z kawą, skinął oschle i gestem polecił postawić filiżankę na stole, podziękował bezgłośnie ruchem warg, zanim rzucił ostro:

– Nie tym razem, Prunello.

Lucy była ciekawa, jaką niespodziankę miała dziś pani Schuyler dla swojego pasierba. Kolejny niezapłacony w terminie rachunek u Cartiera? A może zażądała, by towarzyszył jej na balu charytatywnym? W ciągu ostatnich kilku tygodni Lucy widziała, jak pan Schuyler radził sobie z takimi scenariuszami, a także wieloma innymi, cierpliwie i z humorem spełniając żądania macochy – choć czasem przewracał też przy tym oczami.

Jednak nie tym razem. O cokolwiek chodziło, Prunella Pratt Schuyler najwyraźniej wyczerpała cierpliwość pasierba.

Nagle odezwał się na biurku pana Schuylera drugi telefon. Lucy odebrała.

– Biuro pana Schuylera.

– Panna Young? – To była ta dziewczyna o chropawym głosie, która przełączała telefony. Lucy nie znała telefonistek z widzenia, ale poznawała je po głosach. Ten głos przywodził na myśl skrzyżowanie pin-up girl z suchotnicą. – Dzwoni panna Shippen do pana Schuylera.

Powiedziała „panna Shippen” z taką rewerencją, jakby mówiła „Mary Pickford”. Ale może w jej ustach wszystko tak brzmiało.

Piękna twarz Didi Shippen uśmiechnęła się do Lucy z wyższością ze srebrnej ramki stojącej na biurku pana Schuylera.

– Chwileczkę – powiedziała Lucy. – Panna Shippen do pana.

– Muszę już iść – rzucił oschle Philip Schuyler do macochy. – Niech połączą – polecił Lucy.

Lucy słyszała dobiegający ze słuchawki głos Prunelli Schuyler, gdaczący jeszcze z powściąganym oburzeniem.

– Proszę – powiedziała Lucy, przekazując słuchawkę szefowi.

Zazwyczaj Philip Schuyler ujmował podstawkę telefonu, odwracał się nieco na krześle i leniwie mówił: „Cześć, kotku”. Tym razem podniósł słuchawkę i rzucił krótko:

– Tak, Didi?

Wcale nie był zachwycony. A może tylko nie ochłonął jeszcze z gniewu po

rozmowie z macochą.

Nie fatygując się, by zakryć mikrofon dłonią, powiedział:

– Panno Young, czy ma pani kontrakt dla Kiplingera?

Lucy zrozumiała aluzję.

– Zaraz przygotuję, proszę pana.

– Proszę pamiętać, że chcą go mieć na jutro rano – powiedział głośno.

– Jutro rano... A ja myślałam...

– Tak, zaraz się tym zajmujemy, panno Young. – Philip Schuyler przyłożył palec do ust. Ostentacyjnie dodał: – Wiem, że musi mieć pani podpis na tych dokumentach. Przepraszam, Didi, ale jesteśmy tu teraz bardzo zajęci.

Lucy ruszyła cicho w stronę drzwi, udając, że nie widzi, jak pan Schuyler do niej macha. Nie podobał jej się pomysł, że ma mu pomagać w oszukiwaniu narzeczonej. Wystarczy, że okłamywała na jego rzecz pana Ravenela.

Nie były to wprawdzie żadne wielkie kłamstwa. Ot, kłamstewka dla wygody. Ale może właśnie to tak ją mierziło, bo wiedziała, że małe kłamstwo może rosnąć i rosnąć, aż wreszcie wszystko staje się kłamstwem.

Była tego żywym dowodem.

Philip Schuyler kłócił się ze swoją narzeczoną tonem, który z każdą chwilą tracił naskórkową uprzejmość.

– Jutro? Ale ja... Tak, wiem, że powiedziałaś pani Reinhardt, ale... Nie mogę tak po prostu... Do licha, Didi, nie bez powodu to się nazywa praca. Właśnie to tutaj robię: pracuję.

Złowieszcza pauza.

– Przepraszam, kochanie, nie chciałem sugerować. Oczywiście, że ty jesteś na pierwszym miejscu, ale... nie mogę tak po prostu wszystkiego rzucić.

Lucy wymknęła się z gabinetu i usiadła przy biurku. Przez uchylone drzwi słyszała, jak Philip Schuyler rozpaczliwie próbuje wtrącić coś do potoku słów po drugiej stronie słuchawki, ale wydobywa z siebie tylko oderwane monosylaby.

– Ale... ja... doprawdy, Didi!... nie możesz... Dobrze. W porządku.

Rzucił słuchawkę na widelki tak mocno, że pewnie dziewczyny w centralce aż podskoczyły.

Lucy natychmiast zaczęła bębnić na maszynie, najgłośniej i najszybciej jak potrafiła. Drzwi gabinetu gwałtownie rozwarły się na oścież.

– Nie wytrzymam ani minuty dłużej w tym cholernym przeklętym biurze.

– Słucham? – spytała Lucy, patrząc z za maszyny z miną sprawnej sekretarki gotowej natychmiast wkroczyć do akcji.

Philip Schuyler wezwał ją władczym gestem.

– Proszę wziąć kapelusz. Wychodzimy.

– Ale... proszę pana. – Maszynopisanie Lucy przeszło z szybkiego staccato w stłumione dziobanie. – Myślałam, że potrzebny jest panu kontrakt

z Kiplingerem.

– Poczeka do jutra.

Lucy uniosła brwi.

– Ale chyba powiedział pan, że chcą go mieć na jutro?

– Nie, dopiero na przyszły czwartek. – Philip Schuyler chwycił pokrywę i nałożył ją na maszynę wraz z do połowy zapisaną stroną, nie zważając na protesty Lucy. – Skłamałem. Chodźmy. Obiecałem pani największe martini na Manhattanie, prawda?

– Już sama nie wiem, czy to była obietnica, czy pogrożka – odparła Lucy dość surowo. Będzie musiała jeszcze raz przepisać tę stronę, zupełnie zgmiotła się pod ciężarem pokrywy.

– Czy to pani kapelusz? Proszę wziąć rękawiczki i wychodzimy. – Z odrobiną dawnego czaru pan Schuyler wyciągnął do niej rękę. – Czy pani Meechum nie wspomniała nic o tym, że pani obowiązkiem jest dbać o zadowolenie szefa?

– Nie doradzała stosowania dzinu – skwitowała cierpko Lucy, ale wzięła kapelusz i rękawiczki, zadowolona, że włożyła tego dnia swój nowy słomkowy kapelusz przyozdobiony zielonymi wstążkami, w kolorze oczu matki.

– Dzin czy kawa, wszystko jedno. – Philip Schuyler maszerował tak szybko, że Lucy z trudem nadążała, pędząc za nim do windy. – Boże, co za dzień. Nic dziwnego, że ciągnie człowieka do butelki. Znajdźmy więc to martini dla pani, dobrze?

– Chyba dla pana? – zaprotestowała zdyszana.

Pan Schuyler błysnął swoim najbardziej ujmującym uśmiechem.

– Nie znoszę pić samotnie.

Nim Lucy zdążyła się sprzeciwić, wepchnął ją w czeluść ciemnej taksówki, podając kierowcy adres na Zachodnim Manhattanie, na Pięćdziesiątej którejś tam, czyli w okolicy zupełnie jej obcej. W prostej linii to mogło być blisko od jej mieszkania przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej, ale na Manhattanie występowały rażące różnice terytorialne. Wschód to był wschód, a zachód to zachód i tej pary nie dało się pogodzić.

Pan Ravenel pokpiwał sobie z jej nieznajomości rodzinnego miasta. Pokazał jej w parku ścieżki, o których istnieniu nie miała pojęcia, i budynki, na które wcześniej nie zwracała uwagi.

Lucy nie chciała, by tamto popołudnie dobiegło końca. Mogłaby wciąż spacerować alejkami w asyście pana Ravenela, odżywiając się topniejącymi lodami, i chciała, żeby zawsze świeciło słońce i trwało lato.

Tylko że lato się kończy, słońce ustępuje deszczowi, pan Ravenel wróci w końcu do swojego domu w Charleston, a wizyta w Nowym Jorku pozostanie dla niego jedynie miłym wspomnieniem.

Lucy mówiła sobie, że może właśnie dlatego tak dobrze się bawiła. Może nie miało to związku z samym panem Ravenelem. Może zwyczajnie chodziło o to, że pan Ravenel był tu tylko przejazdem, więc nie musiała się nim przejmować.

To było wszystko. To musiało być wszystko.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Philip Schuyler spytał nagle:

– Co pani sądzi o tym całym Ravenelu?

– O panu Ravenelu? – Lucy grała na zwłokę, zadowolona, że znajdują się w ciemnym wnętrzu taksówki, do którego docierają tylko nikłe resztki promieni słońca, przefiltrowane przez okna brudne od sadzy. – Wydaje się całkiem miły.

Miły. Bardzo nietrafne określenie. Był intrygującą mieszanką. Łączył staroświecką uprzejmość ze sztubacką figlarnością. Sprawiał wrażenie otwartego, ale Lucy podejrzewała, że było to udawane jak pozowanie na Hucka Finna w restauracji Delmonico's. Krył w sobie głębię, tajemnicę i im częściej go widywała, tym bardziej chciała je odkryć.

Wydawało się to głupie, zważywszy, że był jedynie przelotnym znajomym.

Pan Schuyler chyba nie zauważył jej rozkojarzenia.

– Miły – powtórzył, jakby smakował to słowo na języku. – Może ma pani rację. Miejmy nadzieję, że tak właśnie jest.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed nijakim budynkiem z czerwonej cegły i ze spłowiałą markizą. W witrynie sklepowej tkwiła reklama maszyn do szycia. Sklep był zamknięty na cztery spusty, a we wnętrzu ciemno.

– Jeśli chce pan, bym przyszyła guziki, są prostsze sposoby, by o to poprosić – powiedziała Lucy, obracając się ku panu Schuylerowi.

– Proszę patrzeć i się uczyć, panno Young. Patrzeć i się uczyć.

Szef Lucy ruszył zwawym krokiem do małych drzwi z boku, wejścia dla dostawców, i zapukał trzykrotnie, raz wolno, dwa razy szybko.

Drzwi uchyliły się nieco, a w wąskiej szparze ukazał się mężczyzna z grubą szyją i potężnymi ramionami. Mógłby grać trola w jednej z opowieści jej ojca, jednak zamiast maczugi trzymał notes.

– Tak? – rzucił, patrząc na nich złowrogo.

Za nim widać było strome schodki ginące w ciemności. Korytarz był obskurny, a poza tym Lucy nie podobał się buchający stamtąd zapach.

– Panie Schuyler, czy jest pan pewien... – odezwała się.

– Philip – powiedział. – Mów mi Philip. – A do odźwiernego: – Piżama kota jest na kolanach pszczoł.

Magiczne zaklęcie zadziało. Troll odsunął się na bok i wpuścił ich do środka. Drzwi zatrzęsły się za ich plecami, ale jak zauważyła Lucy, dopiero kiedy Philip wcisnął trollowi w dłoń zwinięty banknot.

Usłyszała za plecami złowieszczy szczeł zamykanych zamków. „Szybkie dziewczyny wpadają w tarapaty”, mawiała babcia Lucy. Chociaż starała się

zachowywać swobodnie, czuła pewien niepokój.

Przestań, powiedziała sobie w duchu. Pomysł, że Philip Schuyler – Philip Schuyler! – handluje żywym towarem, wydał jej się tak niedorzeczny, że niemal się uśmiechnęła.

Niemal.

– Jesteśmy w środku – oznajmił z satysfakcją Philip Schuyler.

– Cudownie – odparła słabym głosem Lucy, a jej pracodawca się roześmiał.

– Na górze jest lepiej, sama zobaczysz. To jest tylko tak, dla atmosferki. No i żeby trzymać gliny z daleka.

– Gliny? – Lucy spojrzała na niego z przerażeniem.

Widywała w gazetach doniesienia o nalotach policji w klubach, o kobietach i mężczyznach, którzy wyzionęli ducha po wypiciu zatrutego dżinu.

Pan Schuyler ścisnął ją za ramię.

– Nie martw się. Nikt nie będzie niepokoić prawych obywateli. – A ponieważ Lucy nie wyglądała na przekonaną, dodał wesoło: – Poza tym nie przyjdą, bo jest środa. Robią nalot tylko wtedy, gdy rzecz jest warta zachodu.

Lucy spojrzała na niego z ukosa.

– Co za orientacja w sprawie.

Pan Schuyler wzruszył skromnie ramionami.

– Bywa się tu i tam.

Otworzył drzwi u szczytu schodów i Lucy znalazła się w zupełnie innym świecie. Wzdłuż jednej ściany biegł długi bar, a drewniany blat połyskiwał w przyćmionym świetle. Ściany były pokryte boazerią jak w wykwintnym męskim klubie. W środe o szóstej klub raczej świecił pustkami. Przy jednym z okrągłych stolików siedziało dwóch biznesmenów, którzy prowadzili rozmowę, nachyliwszy ku sobie głowy, przy drugim znudzona dziewczyna ze śmietanki towarzyskiej pudrowała nos, a siedzący z nią mężczyzna ponuro sączył drinka.

Mała scena w rogu była pusta, na pulpicie brakowało nut.

– Ruch zaczyna się później – wyjaśnił pan Schuyler. Poprowadził Lucy do okrągłego stolika w rogu i stojąc, czekał uprzejmie, aż Lucy usadowi się na czarnej kanapie. – No i co, panno Young? Jak to jest wkroczyć do jaskini rozpusty?

– Moja babcia nigdy by tego nie pochwaliła – odparła Lucy, spoglądając na śmiałe wycięcie w kształcie litery V na plecach kobiety.

– A moja owszem – odrzekł Philip Schuyler. – Była kapitalna. I lubiła sobie wypić. Na co masz ochotę?

– Hm... dżin fizz. – Lucy nie bardzo wiedziała, co to jest, ale gdzieś słyszała tę nazwę.

– Moja dziewczyna – pochwalił pan Schuyler.

Nie, to Didi Shippen jest jego dziewczyną. Lucy zastanawiała się, czy zabrałby Didi w to miejsce, prowadził po tajnych schodkach, szepcząc

w ciemnościach, czy może Didi była przypisana do promieni słońca, kortów tenisowych i jasno oświetlonych sal balowych.

Lucy rozejrzała się ukradkiem, gdy pan Schuyler zamawiał drinki. Była wprawdzie trochę zdenerwowana, ale też w radosnym nastroju. Wszystko zdawało się dziwnie nierealne – to mroczne pomieszczenie przesiąknięte wonią dymu papierosowego, niskie lampki, mały stolik, pan Schuyler siedzący tak blisko, że czuła, jak jego kolano – oczywiście nienaumyślnie – muska czasem jej nogę.

Nie pan Schuyler, tylko Philip, przypomniała sobie i zmusiła się, by rozluźnić zaciśnięte dłonie. Wiedziała, że wygląda jak nerwowa stara panna składająca wizytę zrzędlivej niezamężnej ciotce, a nie światowa dama, która ma zaraz wypić zakazanego drinka z przystojnym mężczyzną.

Niespiesznie położyła torebkę na stole i wyjęła szpilki z kapelusza. Skromne to było ustępstwo na rzecz rozpasania, ale przynajmniej nie czuła się już całkiem jak irlandzka nauczycielka.

Kelner postawił na stoliku szklanki, których zawartość była lodowato zimna, więc w ciepłym pomieszczeniu na szkle natychmiast pojawiła się mgiełka.

– No to chlup! – zaordynował pan Schuyler – Philip – i jednym haustem osuszył do połowy kieliszek. Odstawił go, wzdychając z satysfakcją. – Od razu lepiej.

Lucy powąchała ostrożnie koktajl, zanim odważyła się na mały łyczek.

– Nie chcę być wścibska... ale czy coś się stało?

– Jesteś najmniej wścibską osobą, jaką znam – powiedział Philip, a Lucy poczuła przyływ wstydu.

Gdybyż tylko wiedział, dlaczego przyjęła tę pracę... Gdyby wiedział, że szperała w dokumentacji pod jego nieobecność...

Uniósł kieliszek w geście toastu.

– A stało się to, że mój ojciec poślubił Piekielną Wiedźmę. A potem ten stary taki owaki miał czelność umrzeć i zostawić mi ją w spadku. Zdrowie.

– Piekielną Wiedźmę? – Lucy upiła kolejny łyczek.

– Może być też Pazerna Wiedźma. – Philip Schuyler dopił martini. – Boże, potrzebowałem tego.

To był doskonały wstęp, tak potrzebny Lucy, by nakierować rozmowę na Prattów.

– Naprawdę jest taka zła?

Pan Schuyler zamachał na kelnera.

– Zależy, jak definiujesz słowo „zła”. Nigdy nie zamykała mnie na poddaszu ani nie odsyłała do sypialni bez kolacji. Oczywiście wpierw musiałyby się zorientować, czy już jadłem, czy jeszcze nie, żeby mnie wysłać na głodniaka.

– Ile miałeś lat, kiedy twój ojciec się z nią ożenił?

Kelner postawił kolejne martini przed panem Schuylerem. Ten zajzajer

pachniał tak, jakby zawarty w nim alkohol mógł rozpuścić lakier na blacie stołu.

– Osiem. Miałem osiem lat, kiedy ojciec się z nią ożenił. – Philip zamknął palce wokół nóżki kieliszka i się przygarbił, a Lucy przez chwilę zamiast pewnego siebie mężczyzny, którego widywała na co dzień w biurze, zobaczyła samotnego małego chłopca.

– Pamiętam, jak powiedział, że znalazł dla mnie nową matkę. Matkę. Ha. Jest macierzyńska jak mangusta.

Skoro Philip miał osiem lat, kiedy jego ojciec poślubił Prunellę Pratt, to znaczy, że był na tyle duży, by pamiętać jej rodzinę, może na tyle duży, że zauważył matkę Lucy. Prunella Pratt obwieściła swoje zaręczyny z Harrisonem Schuylerem zimą 1892 roku. Matka Lucy poślubiła jej ojca na początku 1893 roku.

„Czy spotkałeś tam kiedyś pewną kobietę? – miała ochotę spytać Lucy. – Kobietę wyglądającą jak ja?”.

Jeśli jej matka gościła w tym domu, to pewnie zapraszano ją na rodzinne imprezy. Jednak mało prawdopodobne, by ośmioletni Philip Schuyler, skazany na pokój dziecinny, cokolwiek pamiętał.

Philip w zamyśleniu popijał martini.

– Przez jakiś czas dawałem się jej zwodzić. Patrząc na mnie dziś, trudno w to uwierzyć, ale byłem bardzo ładnym dzieckiem – powiedział kpiącym tonem. – Blond loczki i tak dalej. Prunella lubiła mnie stroić w aksamitny garniturek i zabierać na podwieczorki do przyjaciółek, które rozpływały się nad tym, jaka to z niej cudna mama. Po powrocie do domu natychmiast odsyłała mnie do pokoju dziecinnego. Zachodziłem w głowę, co zrobiłem nie tak. Próbowałem znaleźć sposoby, by przyciągnąć jej uwagę, nakłonić jakoś, by mnie pokochała. To było głupie.

– Wcale nie – zaprotestowała cicho Lucy. – Ja...

Ugryzła się w język, by nie powiedzieć tego, co niemal jej się wypsnęło. O swoich rysunkach, z którymi dreptała do mamy jak pies z kośćmi. Wiedziała, że matka kocha sztukę, więc miała nadzieję, że jeśli uda jej się coś stworzyć, matka zwróci na nią uwagę, spojrzy na nią tak, jakby rzeczywiście ją widziała.

– To wcale nie było głupie – powtórzyła.

Philip pokręcił głową.

– Szkoda zachodu. Podlizywała się, jak czegoś chciała, a chwilę później już o mnie nie pamiętała. Potrzebowałem wielu lat, by to zrozumieć.

– A co z ojcem?

Oddalała się od tematu Prattów, ale była zaciekawiona. Zupełnie nie знаła Philipa Schuylera od tej strony. Zawsze wydawał jej się kimś niedoścignionym, miała go za człowieka, który panuje nad sobą i swoim losem.

Owszem, słyszała czasem napięcie w jego głosie, kiedy Prunella dzwoniła drugi czy trzeci raz w ciągu dnia, ale zawsze pokrywał to uśmiechem.

Ale nie teraz.

Philip zaśmiał się krótko.

– Ojciec zakochał się w niej na zabój. Uważał ją za ucieleśnienie wszelkich kobiecych cnót. Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, kiedy odrzuciła innych zalotników i wybrała właśnie jego. Nie wiedział, że jej ojciec był już na skraju bankructwa.

Lucy uniosła głowę.

– Myślałam, że pan Pratt był jednym z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku.

– Nuworysz – rzucił lekceważąco Philip. – Łatwo przyszło, łatwo poszło. Potrafili dobrze dbać o pozory... ale kiedy mój ojciec poślubił Prunellę, wszystko wyszło na jaw. Prattom został tylko dom.

Lucy przypomniała sobie tę teczkę w gabinecie, trust Prattów, ufundowany po sprzedaży domu przy Wschodniej Sześćdziesiątej Dziewiątej. Jakoś nie przyszło jej do głowy, by zastanowić się, dlaczego nic poza tym nie było.

A więc koniec złudzeń, że jest się dziedziczką wielkiego majątku, pomyślała cierpko.

– Co się stało?

– Koleje – wyjaśnił zwięźle Philip Schuyler. – W jednej chwili akcje szły w górę, a w następnej już leciały na łeb na szyję. August Pratt poleciał razem z nimi. – Philip szybkim ruchem przechylił kieliszek i wlał w siebie drugie martini. – Mój ojciec nie był miłością życia Prunelli. Był jej szalupą ratunkową.

Wyglądał tak żałośnie, że Lucy gorączkowo starała się znaleźć coś na pocieszenie.

– To nie znaczy, że go nie kochała.

– Prunella kocha Prunellę. – Zawiesił głos. – A, i jeszcze diamenty.

Lucy dostrzegła swoją szansę. Przebiegle zauważyła:

– Ale przecież miała braci. Zapewne ich kochała.

Pan Schuyler – Philip – prychnął, i to niezbyt elegancko.

– Nie było tam mowy o żadnej miłości. Prunella wciąż tylko węszyła, szukała argumentów, których mogłaby użyć przeciwko nim. – Nachylił się konfidencjonalnie. – Jak masz osiem lat, nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Można się kryć po kątach. Słyszałem różne rzeczy nieprzeznaczone dla moich uszu. – Pokiwał znacząco głową. – Różne rzeczy.

Lucy czuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Jakie?

Philip opadł znów na oparcie kanapki i mrużąc oczy, spojrzał na sufit, pod którym kłębił się dym z papierosów.

– Pamiętam, jak Prunella groziła bratu, że powie ojcu o jego przyjaciółce, bynajmniej nie z wyższych sfer.

Lucy starała się zadać pytanie niedbałym tonem, nie pokazać po sobie, jak

wiele to dla niej znaczy.

– Któremu bratu?

– Gusowi. Augustowi. Tego wieczoru wtoczył się do domu pijany, cuchnął jak gorzelnia. Siedziałem na schodach i bawiłem się bączkiem, nie życzyli sobie mojej obecności w salonie. – Na twarzy Philipa pojawił się ślad dziecięcej urazy. Wzruszył ramionami. – Więc ich widziałem. Prunella powiedziała Gusowi, że będzie siedziała cicho, jeśli da jej rubinową broszkę, na której jej zależało. A może chodziło o naszyjnik? Nieważne. Prunella stłukła kieliszek, kiedy Gus ją wyśmiał.

– To chyba nie byli zbyt mili ludzie.

Nie wiedzieć czemu Lucy zawsze zakładała, że w domu Prattów życie musiało być lepsze, że z bogactwem wiązała się pewna dystynkcja, przejawiająca się w stłumionym pobrzękiwaniu srebra o porcelanę, w cichym szeleście zasłon rozsuwanych przez służbę. Gburowatość, wulgarność pasowały do nędzy i hałasu, a nie miejsca, w którym nawet odgłos kroków rozpraszał się pod wysokimi marmurowymi sufitami w przestronnych pokojach.

Najwyraźniej się myliła.

– A wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – Philip oparł łokcie na stole tak blisko, że Lucy czuła ostry zapach dżinu w jego oddechu.

– Więc jest coś jeszcze? – Nastawiła się na kolejną rewelację.

Philip zmarkotniał.

– Didi jest dokładnie taka sama. Wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy, chyba po prostu nie dopuszczałem do siebie tej myśli, ale kiedy rozmawiałem z nią dzisiaj przez telefon... Chryste. Mogłyby być bliźniaczkami. – Podniósł wzrok i spojrzał ostro na Lucy. – Wiesz, czego chciała Didi?

Lucy pokręciła głową.

– Żeby jutro wszystko rzucił, przyjechał do Filadelfii i zawiózł ją do modystki, bo chce sobie kupić kapelusz.

– Kapelusz? – Lucy skinieniem podziękowała kelnerowi, który postawił na stoliku nową kolejkę drinków. Sama ledwie upiła trochę ze swojego pierwszego kieliszka, ale Philip z wdzięcznością chwycił trzecie martini.

– Kapelusz – powtórzył ponuro. – Widziała taki, który wydał jej się wprost prześliczny, więc domagała się, bym odwołał wszystkie spotkania i wybrał się z nią do modystki. W Filadelfii.

– Może tylko żartowała? – zasugerowała Lucy z większą dawką optymizmu niż nadziei.

– Ha! Wiesz, to ma być taki test. Demonstracja mojego oddania. Już wcześniej lubiła urządzać takie sprawdziany swoim fatygantom, czekała, aż zaangażują się z kimś w rozmowę, a wtedy prosiła jednego, by przyniósł jej drinka, drugiego, by poszukał jej rękawiczek. Lubiła, jak skakali wokół niej. Ale myślałem, że to była tylko taka gra. Myślałem, że jest młoda i z tego wyrośnie. Ale

nie wyrosnie, prawda? – Spojrzał na nią jak sowa znad brzegu kieliszka z martini.

Lucy chciałyby móc zaprzeczyć, pocieszyć go jakoś. Ale była na to za uczciwa.

– Nie – powiedziała. – Myślę, że ludzie są, jacy są. To błąd zawierać z kimś małżeństwo, licząc na to, że potrafi się tę osobę zmienić.

Ojciec – to znaczy mężczyzna, którego uważała za ojca – próbował za wszelką cenę zdobyć miłość matki, wywołać jej uśmiech.

Tęskniła za ojcem. Bardzo za nim tęskniła. Wprawdzie nie był Pratem, nie mieszkał w okazałym domu, nie nosił krawata z diamentową szpilką, ale był ciepły i kochający, solidny jak świeżo wypieczony bochen chleba.

– Masz rację. Ludzie się nie zmieniają, prawda? – Philip opadł na oparcie kanapki, jego długie nogi ocierały się o nogi Lucy pod stołem. – Wszystko na nic. Nie ma sensu udawać, że ktokolwiek uważa mnie za prawdziwego prawnika.

– Co masz na myśli? – Lucy dyskretnie przesunęła kieliszek poza zasięg rąk Philipa. Uznała, że nie dałaby rady zwlec go sama na dół. – Przecież studiowałeś na Harvardzie, więc jesteś prawdziwym prawnikiem.

Miał na to dowód – dyplom, i to z wyróżnieniem, wiszący na ścianie – *magna cum laude* – i tak dalej.

– To tylko stopień naukowy. – Philip znów się wyprostował i zaczął łykać na martini. – Prunella ma rację, wcale nie wykonuję prawdziwej pracy. Stary Cromwell dał mi pracę, bo był winien przysługę mojemu ojcu. Potrzebował kogoś, kto zajmie się majątkiem Prattów.

– Ale przecież robisz o wiele więcej!

Czyż ostatni miesiąc nie był tego najlepszym dowodem? Siedzieli w kancelarii do późna, dłużej od wszystkich. Pan Schuyler – Philip – mógł udawać dyletanta, ale harował jak wół. Z uśmiechem na ustach i w wykrochmalonym kołnierzyku, ale naprawdę ciężko pracował. Lucy chętnie by powiedziała tej całej Prunelli coś do słuchu.

– Pan Cromwell zawsze mówi o tobie w samych superlatywach. Sama słyszałam.

– Przyjaźnił się z moim ojcem. – Philip na migi zamówił kolejne martini. – Nie traktuje mnie poważnie, jak zresztą żaden z nich.

Lucy w roztargnieniu upiła łyk poprzedniego martini Philipa. Zakasłała, bo dżin był mocny.

– Bzdura – stwierdziła rzeczowym tonem, a przynajmniej tak się starała. Jeśli nawet zaczęła mówić nieco bełkotliwie, Philip nie był w stanie tego zauważyć. – Jesteś wspaniałym prawnikiem.

– Tak, wiem... – odparł markotnie Philip. – Nikt nie radzi sobie z klientami tak dobrze jak ja. Przez co rozumieją, że potrafię zadbać o napoje wyskokowe, opowiadać dowcipy w pięciu językach i rozegrać dobry mecz tenisowy.

– Nie. – Dżin działał niezwykle rozluźniająco. Bez świadomego udziału woli ręka Lucy powędrowała na ramię pana Schuylera, a palce zaczęły ugniatać jego świetnie wyprasowaną marynarkę. – Nieprawda. Jesteś nie tylko dobrym gospodarzem, ale też dobrym prawnikiem. Wiesz, jak wyglądają brudnopisy pana Cochran.

– No cóż... Cochran – powiedział Philip, wzruszając ramionami.

– Nie wolno ci tak siebie deprecjonować. Jesteś w tym dobry. I wiem, że ci na tym zależy, nawet jeśli udajesz, że wcale tak nie jest.

Philip skupił spojrzenie na jej twarzy. W jego oczach pojawił się dziwny, tęskny wyraz.

– Zależy mi, prawda?

– Tak.

– Dobra z ciebie kobieta, Lucy Young. – Philip wznosił kieliszek w toaście, przy okazji chrzcząc stół martini. – Gdzieś ty była, kiedy się oświadczałem Didi?

Dojeżdżałam z Brooklynu.

– Na moim jachcie we Francji – zażartowała Lucy.

Nie miała oporów, by wyjawić panu Ravenelowi, że dorastała nad piekarnią, ale choć język rozwiązał jej się za sprawą dżinu, uznała, że nie chce, by Philip Schuyler o tym wiedział. Podobało się jej, że rozmawia z nią jak z równą, z pełnym podziwu błyskiem w oczach, który zapewne by zniknął, gdyby zdradziła prawdę o sobie.

Nuworysz, powiedział z lekceważeniem Philip.

Ona w ogóle nie miała pieniędzy, nowych ani starych, była tylko pracującą dziewczyną w praktycznych butach i wynajmowała pokój na poddaszu, który kosztował o wiele za dużo jak na jej zarobki.

Jeśli zaś chodzi o bycie Prattówną... Wcześniej myślała, że to zapewni jej prestiż społeczny, ale teraz nie chciała się z tym wygadać, żeby Philip się nie dowiedział, że go wykorzystwała. Zresztą zdaje się, że ci Prattowie byli okropnymi ludźmi. Nie chciała, by Philip patrzył na nią i widział Prunellę. Nie chciała, by mówił o niej jak o Didi.

Philip Schuyler sięgnął przez stół, ujął ją za rękę i zanim Lucy się zorientowała, na co się zanosi, uniósł jej dłoń do ust.

– Nigdy nikomu nie byłem wdzięczny za to, że złamał sobie nogę. Za Meg i jej skomplikowane złamanie!

– Nie możesz tak myśleć – zaprotestowała Lucy, mile połączona, ale też zbulwersowana. Jednak nie cofnęła ręki.

– Och, nie zrozum mnie źle, przykro mi z powodu jej kontuzji, ale nie jest mi przykro ze względu na ciebie. – Philip mocniej uściśnął dłoń Lucy, pieszcząc kciukiem jej nadgarstek. – Siedziałaś cały czas w tym sekretariacie, a ja cię nie widziałem.

– Raz się ze mną przywitałeś – powiedziała Lucy i natychmiast tego pożałowała. Zabrzmiało to tak, jakby była zadurzoną nastolatką.

– Doprawdy? Gdybym był mądrzejszy, nie tylko bym się z tobą przywitał, ale też zaprosił na drinka.

Było coś hipnotyzującego w jego spojrzeniu, w bliskości jego twarzy, w tym, że trzymał ją za rękę; jakby ziściły się tysiące jej grzesznych marzeń. To nie mogło się dziać naprawdę. Philip Schuyler flirtował, owszem, cały czas, ale to było coś więcej, to było...

Niewłaściwe.

Lucy niechętnie cofnęła rękę.

– A ja bym odmówiła.

– Nie mów „nie”, Lucy. – Philip dotknął palcem jej dolnej wargi, a Lucy przeszedł dreszcz mocniejszy niż dżin, bardzo podniecający i zarazem niewłaściwy. – Te usta nie są stworzone do słowa „nie”.

Lecz zanim Lucy zdążyła je wypowiedzieć, nim zdążyła powiedzieć cokolwiek, Philip Schuyler nachylił się, by ją pocałować.

Kate

Nocną ciszę przeszły wycie syren i gwałtownie się ocknęłam. Miałam dyżur, więc byłam ubrana, aby gdy będę potrzebna, móc szybko wyjść z dormitorium, przetarłszy dłonią oczy, po odszukaniu czubkiem stopy butów i wsunięciu ich po omacku. Próbne alarmy przeciwlotnicze zdarzały się co tydzień, a ja poruszałam się po rezydencji jeszcze w półśnie, niby automat. Nie musiałam już patrzeć na instrukcje przyklejone na większości drzwi w szpitalu na polecenie burmistrza La Guardii, bo znajome słowa i wykresy opisujące różne odgłosy syren miałam jakby wydrukowane pod powiekami.

Na podeście schodów dołączyłam do sanitariusza i pielęgniarki, po czym każde z nas wzięło latarkę ze stojącego tam wiadra. Zaczęłam systematycznie wyłączać lampy, które mijałam, podczas gdy na zewnątrz wyły miarowo syreny. Wyjrzałam przez szparę w którejś żaluzji w zaciemnionym pokoju i ujrzałam patrolowy samochód obrony przeciwlotniczej, który pędził ulicą, a potem zatrzymał się na chwilę, by strażnik mógł wyskoczyć i zdusić niewidzialny ogień.

Jeden z mężczyzn leżących w dawnej sali balowej zamienionej w salę szpitalną wrzeszczał przez sen, co było potwornym efektem ubocznym próbnych alarmów przeciwlotniczych. Wielu pacjentów po zamknięciu oczu wracało na pole bitwy, a wycie nieszkodliwych syren było dla nich prawdziwą torturą, bo przemieniało się w odgłosy wybuchających bomb i raptownie nurkujących samolotów.

Właśnie zamierzałam podejść do pacjenta dręczonego przez zmorę, kiedy zauważyłam w drzwiach siostrę Hathaway i sanitariusza.

– Zajmiemy się nim – powiedziała.

Skinęłam głową, nasłuchując szurania stóp po całym szpitalu. Spojrzałam w górę, ku schodom, wiedząc, że powinnam się upewnić, czy kapitan Ravenel jest gotów do opuszczenia pokoju, w razie gdyby dźwięk syren się zmienił, sygnalizując, że nie chodzi już tylko o alarm próbny.

Jednak zawahałam się i przystanęłam niezdecydowana. Od chwili, gdy spotkałam jego narzeczoną, robiłam, co mogłam, by omijać szerokim łukiem pokój na poddaszu, chyba że musiałam zabrać stamtąd osobiste rzeczy, wiedząc też, że kapitan śpi i nie ma tam jego narzeczonej. Jednak teraz nikt nie biegł do pokoju na poddaszu. Podczas ostatniego alarmu próbnego kapitan był nieprzytomny. Wyobraziłam sobie, jak siedzi teraz sam w ciemności, zastanawiając się, co to za zamieszanie. Już postawiłam stopę na pierwszym stopniu schodów prowadzących na górę, gdy usłyszałam swoje nazwisko.

– Doktor Schuyler?

Jęknęłam w duchu, odwracając się.

– Tak, doktorze Greeley?

– Dokąd to się pani wybiera? – spytał, choć oczywiście dobrze widział.

– Sprawdzić, co u kapitana Ravenela. Pokój na poddaszu nie był włączony do pierwotnego planu alarmów próbnych, ponieważ...

Doktor Greeley chwycił mnie za łokieć.

– U pacjenta wszystko w porządku. Osobiście wszystkiego dopilnowałem. Wygląda na to, że teraz pozostaje nam tylko znaleźć bezpieczne miejsce dla siebie.

– Raczej...

Zanim zdążyłam dokończyć, otworzył drzwi do pomieszczenia, które niegdyś pełniło funkcję szatni przy sali balowej, ale zostało zamienione w magazynek sprzętu medycznego, i wepchnął mnie do środka, a wtedy upuściłam latarkę. Zamknął za nami drzwi, a mnie natychmiast przyszyły do głowy dwie myśli: że jadł cebulę na obiad i że w schowku jest zbyt ciasno, by udało mu się wiele zdziałać.

Próbowałam odwrócić się do niego bokiem, ale udało mi się tylko dźgnąć go łokciem w miękki brzuch.

– Przepraszam – powiedziałam. – Ale to doprawdy zbyt cenne...

– Unika mnie pani, Kate.

Zawsze lubiłam dźwięk swojego imienia. Do tej chwili.

– Ależ skąd. Po prostu, jak pan wie, jestem bardzo zajęta.

– Nie przyjmowała pani moich zaproszeń na kolację. – Wydawał się szczerze urażony. Jakby naprawdę wierzył w to, że mamy przed sobą wspólną przyszłość.

– Jest teraz bardzo dużo pacjentów, więc muszę się wysypiać, żeby móc dobrze ich leczyć. Naprawdę nie mam czasu na niespieszne kolacje, choćby zapowiadały się nie wiem jak przyjemnie.

Był mojego wzrostu, więc kiedy się uśmiechnął, jego rzadki wąsik połaskotał mnie w ucho. Niemal zaczęłam mieć nadzieję, że gdzieś w pobliżu wybuchnie bomba, co dałoby mi powód do wydostania się z tego schowka.

Doktor Greeley zaczął bawić się moimi włosami.

– Chyba zdaje sobie pani sprawę, że zadowolenie mnie leży w pani interesie? Nie sądzę, aby aż tak trudno było się wyrwać na wspólną kolację.

Cholera. To niesprawiedliwe. Kobiety spotykają same niesprawiedliwości, a szczególnie taką, która marzy tylko o tym, żeby być dobrą lekarką. Ale to bez znaczenia, jeśli nie dam doktorowi Greeleyowi, czego chce.

– Sprawdzę plan dyżurów. Może wykroję z godzinkę.

– Albo dwie – dodał.

Trzymałam głowę odwróconą w bok, więc kiedy próbował mnie pocałować,

trafił w policzek.

Sięgnęłam do gałki w drzwiach, by ją przekręcić, ale powstrzymał mnie, nakrywając ręką moją dłoń.

– Zanim pani odejdzie, chciałbym poinformować, że podobno mają przybyć kolejni pacjenci. Musi pani wygospodarować w pokoju na poddaszu miejsce na dodatkowe dwa łóżka. Kapitan Ravenel nie będzie miał już prywatnej kwatery, a dla siebie też musi pani zorganizować jakieś miejsce na stałe.

Wycie syren ustało i zapadła niepokojąca cisza. Przekręciłam mocno gałkę w drzwiach i pchnęłam je tak mocno, że doktor Greeley stracił równowagę i zatoczył się w tył. Aby sprawić wrażenie, że zrobiłam to niechcący, chwyciłam go za ramiona.

– Przepraszam, doktorze. Zajmę się tym z samego rana.

Podniosłam latarkę i zaczęłam wbiegać po kręconych schodach, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierzam, byle się jak najszybciej oddalić.

Jednak doktor Greeley prędko się opanował i znów mnie zawołał. Zatrzymałam się i spojrzałam na niego ponad balustradą, mając nadzieję, że zdaje sobie sprawę, jak dobrze widzę z tego miejsca łysinę na czubku jego głowy.

– Mamy dziś w nocy mało personelu. Kolejna siostra odeszła do marynarki. Obawiam się, że muszę prosić panią o opróżnienie wszystkich basenów na oddziale.

Wiedziałam, że nie ma sensu się z nim spierać, przypominać, że jestem lekarzem jak on. Nic dobrego by z tego nie wynikło, tylko dołożyłby mi jeszcze zajęć. Ruszyłam wolno w dół schodów.

– A kiedy Caroline Middleton zjawi się rankiem, chcę, by znalazła pani dla niej czas. Ma masę pytań na temat Nowego Jorku: gdzie się wybrać na zakupy, gdzie coś przekąsić, takie tam babskie sprawy, więc powiedziałem, że z przyjemnością jej pani wszystko powie.

Uśmiechnęłam się, choć natychmiast wyobraziłam sobie, jak doktorek koziółkuje przez balustradę.

– Dobrze, doktorze.

Zapalałam światła, zmierzając w kierunku głównej sali szpitala. Siostra Hathaway wciąż tam była, trzymała pacjenta za rękę i cicho mu coś nuciła. Skinęłam jej głową i zaczęłam sprawdzać baseny pod łózkami.

– Już to zrobiliśmy, doktor Schuyler.

Sanitariusz, którego wcześniej widziałam z siostrą Hathaway, stał pod przeciwległą ścianą i włączał górne lampy. Nagle, jakbym zauważyła to po raz pierwszy, dostrzegłam całą brzydotę tego oświetlenia, tak niepasującego do okazałych boazerii i wysmakowanych sztukaterii na suficie. Dobrze, że architekt, który stworzył to piękne wnętrze, nie widzi, jak bardzo zostało oszpecone, pomyślałam.

– Dziękuję – powiedziałam, skłoniwszy głowę ku niemu, a potem ku pielęgniarce.

Spojrzałam na zegarek przypięty z przodu fartucha, dochodziła szósta. O siódmej zaczynałam obchód, nie było więc sensu próbować zasnąć na chwilę przed powrotem do pracy. Ale przynajmniej miałam dość czasu, by się umyć i przebrać.

Po krótkim wahaniu wbiegłam służbowymi schodami na poddasze, po czym zatrzymałam się na chwilę pod drzwiami swojego dawnego pokoju, by się upewnić, że nie dochodzą stamtąd żadne odgłosy, a potem weszłam. W środku było ciemno choć oko wykol, tylko powolny, miarowy oddech kapitana Ravenela upewnił mnie, że jestem we właściwym miejscu. Skierowałam snop światła latarki na podłogę i cicho przemknęłam w kąt pokoju. Znalazłam tu kiedyś stary pusty kufer i zrobiłam sobie z niego szafę i toaletkę. Udało mi się wyszukać gdzieś pięknie lustro w złotej ramce, które powiesiłam na ścianie za kufrem, dzięki czemu czułam się o wiele bardziej elegancko, niż pozwalały na to okoliczności. Kiedyś to lustro musiało wisieć w głównej części domu i ilekroć się w nim przeglądałam, zastanawiałam się, kto jeszcze szukał swojego odbicia w tym starym szkle.

Jedną ręką otworzyłam zamki kufra, a potem oświetliłam jego wnętrze, by znaleźć czyste ubranie. Właśnie chwyciłam ostatnią czystą halkę, kiedy usłyszałam trzask włącznika lampy i nagle pokój zalało bladożółte światło.

– Cieszę się, że to nie Niemcy. – Kapitan Ravenel siedział w łóżku i uśmiechał się od ucha do ucha, jakby zrobił świetnego psikusa.

– Przepraszam. To tylko ja. A to był jedynie próbny alarm przeciwlotniczy. Mam nadzieję, że tak naprawdę nie spodziewał się pan nadejścia Niemców.

– A czy ochroniłaby mnie pani przed Niemcami, gdyby się pojawili?

– Tak – odparłam bez namysłu. – Oczywiście, przecież na tym polega moja praca. Na ochronie pacjentów.

Choć zdawało się to niemożliwe, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Oczywiście bardzo mi to schlebia.

Zawinęłam halkę w sukienkę, którą wydobyłam z kufra, i położyłam tobołek na wysokim zegarze szafkowym bez tarczy, a potem podeszłam do łóżka.

– Jak się pan dziś czuje?

– Teraz, kiedy pani tu jest, czuję się, jakbym mógł przebiec z milę. Gdyby się pani do mnie uśmiechnęła, mógłbym pewnie przebiec ze trzy.

– Kapitanie, bardzo proszę. Nie powinien pan mówić takich rzeczy.

Jego uśmiech zgasł, a ja poczułam natychmiast, że mi go brak, pożałowałam, że nie zmilczałam, bo wtedy mogłabym snuć dalej swoją fantazję. Oczywiście było to niemożliwe. Przyjechała do niego narzeczona. Przyjechała, by zabrać go do domu.

– Tak, nie powinienem – przyznał. Szukał spojrzeniem moich oczu, jakby usłyszał, co myślę.

Skoro już byłam w tym pokoju, postanowiłam pomóc siostrze Hathaway i zbadać pacjenta. Unikałam patrzenia na kapitana, ale czułam jego wzrok na sobie, jak kwiat odczuwa promienie słońca.

– Muszę obejrzyć ranę. Pewnie pilno panu do domu, ale nie mogę zgodzić się na wypis ze szpitala, jeśli są jeszcze jakieś oznaki zakażenia. – Podniosłam wzrok i spojrzałam mu w oczy, by podkreślić wagę swoich słów. – Jeśli nie zabijemy wszystkich bakterii, infekcja powróci. A wówczas pozostanie nam już jedynie amputacja.

– Tak, pani doktor – powiedział wolno, bez cienia sarkazmu.

Odsunęłam nakrycie tylko na tyle, by móc zbadać nogę, następnie ostrożnie zdjęłam bandaż, starając się koncentrować wyłącznie na ranie, a nie na pięknie umięśnionej nodze. Skupiłam się na pracy: oczyściłam i obejrzałam ranę. Ucieszyłam się z efektów leczenia.

Umyłam ręce w misce stojącej przy łóżku i oznajmiłam:

– Wygląda bardzo dobrze. Sądzę, że będzie pan mógł opuścić szpital za tydzień, góra dwa tygodnie. – Uśmiechnęłam się, zastanawiając, dlaczego ta dobra nowina nie cieszy mnie tak, jak powinna. Odwróciłam się od kapitana i wpisałam zwięzłą notatkę na jego karcie, pismo miałam bardziej drżące niż zazwyczaj. To pewnie z braku snu.

Odłożyłam kartę na stolik przy łóżku, czując ciężar rubinowego naszyjnika ukrytego pod sukienką, kamień palił mi skórę. Postanowiłam nosić wisiorek dla bezpieczeństwa, zanim oddam go znów na przechowanie Margie. Przekonałam też samą siebie, że nie trzeba pokazywać go Cooperowi. To tylko naszyjnik, myślałam. Pewnie są dziesiątki, a nawet setki takich samych. Przestań wymyślać sposoby przywiązania go do siebie.

Z udawanym uśmiechem, który rezerwowałam zazwyczaj dla poważnie chorych pacjentów, powiedziałam:

– Wkrótce będzie pan miał towarzystwo. Przybywają nowi pacjenci, a tylko w tym pokoju jest miejsce na dostawienie dwóch łóżek. Polecono mi uprzątnąć trochę rzeczy.

Uniósł ciemną brew.

– Sądziłem, że jest pani lekarką. A więc porządkowanie poddasza nie powinno należeć do pani obowiązków.

– Pewnie nie – przyznałam i przygryzłam wargę, bo cisnęły mi się na usta różne wyzwiska pod adresem doktora Greeleya. – Brakuje nam personelu, więc w miarę możliwości każdy musi pomagać.

– I doktor Greeley pewnie też. Nie wygląda mi na mężczyznę, który uważa kobiety o tych samych kwalifikacjach za równe sobie.

– Owszem – przyznałam otwarcie, bo wciąż byłam zbyt zła na Greeleya, by łagodzić prawdę.

– Ja uważam, że łośskie kobiety są najbardziej atrakcyjne, i wcale nie czuję się przy nich zagrożony. Ładna twarz też się przydaje, ale szczególnie pociągająca jest perspektywa, że można mieć kogoś, z kim przez trzydzieści, czterdzieści lat da się pogadać. – W jego głosie zabrzmiał smutek, jakby nadal szukał takiej kobiety.

– Pana narzeczona ma szczęście, że znalazła mężczyznę o tak postępowych poglądach.

Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. Wreszcie, szybko zmieniając temat rozmowy, powiedział:

– Pomogę pani. – Usiadł i postawił stopy na podłodze.

– Nie ma mowy. Jest pan pacjentem, a nie sanitariuszem. Obiecuję, że będę starała się jak najmniej przeszkadzać.

Puścił moje słowa mimo uszu i wstał. Miał na sobie tylko szpitalną koszulę. Odwróciłam się do niego plecami.

– Kapitanie Ravenel, proszę...

– Jestem Cooper. I jeśli da mi pani chwilę, włożę koszulę i spodnie, mam nadzieję, że wejdą na opatrunek, i nie będzie się pani musiała zachowywać, jakby nigdy wcześniej nie widziała rozebranego mężczyzny.

– Kapitanie...

– Cooper. Sama pani powiedziała, że noga się dobrze goi. A jeśli nie pozwoli mi pani wstać z łóżka i zrobić czegoś użytecznego, obawiam się, że nie mogę ręczyć za siebie.

Wolno wypuściłam powietrze nosem, zmęczona użeraniem się rankiem z upartymi mężczyznami.

– No dobrze. Ale nie wolno panu przesuwac ciężkich mebli ani nic dźwigać, bo to utrudniłoby leczenie nogi. – Skierowałam się w róg pokoju, w którym zgromadzono wiele szpargałów z rezydencji. – Poproszę sanitariusza, by przeniósł duże graty, których sama nie dam rady ruszyć, ale najpierw chciałabym przejrzeć kufry i szafy, żeby usunąć z nich ubrania. Pewnie większość jest zjedzona przez mole, ale wiem, że szmaciarz ucieszy się z wszystkiego, co mu damy. To zadziwiające, co się obecnie zbiera w związku z wojną, nawet opakowania po gumie do żucia i jedwabne pończochy. Jestem pewna, że gdybym przekazała stare futro matki, zdołaliby zrobić z niego spadochron, bombę albo inną użyteczną rzecz.

Podszedł do mnie i stał blisko, dlatego paplałam jak młoda dziewczyna na pierwszej randce.

– Wszystko się bardzo przydaje, zapewniam panią.

– Sądzę, że nie powinien pan stać...

– Czy pozwoli mi pani dokończyć?

Powiedział to tuż koło mojego ucha, a kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że

jego fascynujące oczy przyglądają mi się uważnie.

– Co dokończyć? – spytałam, zmuszając się, by stać prosto, nie nachylając się ku niemu.

– Rysunek. Jeszcze nie jest gotowy. Pracowałem nad nim, odwołując się do pamięci, ale musi pani jeszcze przez chwilę mi pozować, bym mógł dokończyć. Ma pani coś takiego w oczach...

Wyciągnęłam rękę i otworzyłam gwałtownie skrzydło drzwi wysokiej mahoniowej szafy, co wznieciło tuman kurzu. Natychmiast dopadł mnie atak kaszlu, z czego byłam zadowolona. Wszystko było lepsze niż przedłużanie tej rozmowy. Już i tak narysował mnie, kiedy spałam. Kiedy spałam! A jeszcze bardziej intymna byłaby sytuacja, gdyby mnie rysował, a nasze spojrzenia co chwila by się spotykały.

Znów odkasznęłam i otworzyłam drugie skrzydło drzwi.

– Bardzo chciałam zobaczyć, co jest w środku. Kiedy wprowadziłam się na poddasze, zamierzałam w tej szafie przechowywać ubrania, ale była tak zapchana, że uporządkowanie jej zajęłoby mi zbyt dużo czasu.

Sięgnęłam po omacku do środka, zagarnęłam naręczce ubrań i zdjęłam z wieszaków.

– To nie jest ciężkie – powiedziałam zza sterty krynolin i koronek. – Czy mógłby pan położyć to tam, przy drzwiach? Zniosę wszystko na dół i poproszę pielęgniarki, by sprawdziły, czy coś się nadaje do użytku, a resztę oddamy szmaciarzowi.

Wziął ode mnie ubrania, a ja sięgnęłam po następne. Wreszcie po pewnym czasie szafa została opróżniona.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałam, otrzepując dłonie.

Zamknęłam jedno skrzydło drzwi, a sięgając do drugiego, zobaczyłam, że na dnie szafy wała się kłęb pożółkłej satyny.

– Chwileczkę. Przeoczyliśmy jedną rzecz.

Podniosłam ją, wzniesając zapach zastarzałego kurzu, i głośno westchnęłam. Była to suknia balowa z mięciutkiej kremowej satyny, obszyta przy dekolcie małymi kokardkami. Falbany spódnicy przechodziły z tyłu w niewielki tren, a drobne guziczki biegły przez całe plecy. W pasie była niezwykle wąska, więc z pewnością trzeba było do niej mocno ścisnąć gorset. Całą suknię pokrywał subtelny haft – blad różowe, prawie niewidoczne różyczki.

– Co my tu mamy? – spytał Cooper, wyjmując mi suknię z rąk, a potem rozpostarł ją w powietrzu, bym mogła się lepiej przyjrzeć.

– Powiedziałałabym, że to suknia ślubna, ale chyba nigdy nie była biała. A może to suknia na jakąś specjalną okazję. – Pochyliłam się, by obejrzeć rdzawobrunatną plamę z przodu stanika. Ta skaza, niczym blizna, była bardzo widoczna na jasnej satynie. – Przez tę plamę z wina może była noszona tylko raz.

Jaka szkoda.

– Odłożyć ją dla pani?

Nawet pomyślałam o tym przez chwilę, ale potem pokręciłam głową.

– Nie. Na nic mi się nie przyda, a poza tym nie mam jej gdzie trzymać. Ale jest śliczna, prawda?

Już chciał ją cisnąć na stertę odzieży, ale się powstrzymał.

– W środku jest haftowana metka – powiedział, przysuwając bliżej oczu kawałek materiału. – Tu jest napisane: „Wykonano specjalnie dla Prunelli J. Pratt”.

– Dla Prunelli? – spytałam poruszona.

– No tak, nie jest to zbyt piękne imię. Dobrze, że była zamożna. Zauważyłem, że ludzie są skłonni wiele darować komuś, kto ma pieniądze.

Ledwie go słyszałam wśród gonitwy myśli.

– Dziwne... – powiedziałam. – To rzeczywiście dość niezwykle imię, ale pamiętam, że miałam w dzieciństwie ciotkę Prunellę. Nie wiem dokładnie, jakie to było pokrewieństwo, mogła być moją cioteczną babką, w każdym razie nazywałam ją ciotką Prunellą. Nie pamiętam, czy nosiła nazwisko Pratt, nigdy nie przyszło mi do głowy, by o to spytać. Kilkuletniej dziewczynce, którą wtedy byłam, zdawała się bardzo stara, pachniała naftaliną. W każdą niedzielę rodzice zabierali mnie do niej na obowiązkową popołudniową wizytę. Musiałam całować ją w policzek, a potem przez godzinę siedzieć nieruchomo, chrupiąc czerstwe herbatniki, i słuchać o tym, jakie cudowne miała kiedyś życie i że wiele razy pojawiała się na stronach rubryk towarzyskich, określana jako „wielka piękność”. Miała nawet album z wycinkami, który zawsze pokazywała na dowód, że mówi prawdę. A moi rodzice zwykle przynosili jej czek. Zdaje się, że wciąż prosiła o pieniądze, bo dokładnie to pamiętam.

Zamilkłam, gdyż wspomnienie nie było całkiem przykre. Oboje rodzice jeszcze żyli, a kiedy była ładna pogoda, w drodze do domu szliśmy przez park, a tata kupował mi rożek lodów. A gdy byłam jeszcze całkiem malutka, ostatni odcinek do domu niósł mnie na barana, udając, że zatacza się pod moim ciężarem.

Zatrzasnęłam drzwi szafy.

– Wizyty skończyły się po śmierci ojca. Zawsze miałam wrażenie, że odwiedzaliśmy ciotkę wyłącznie ze względu na poczucie obowiązku ojca, a matka nie widziała sensu w tym, by jeszcze bardziej się przygnębiać po jego śmierci. Nie mam pojęcia, czy ciotka Prunella jeszcze żyje.

– Musiała być rozkoszna – powiedział, a jego oczy znów się śmiały.

Zerknęłam na zegarek.

– Naprawdę muszę już zacząć obchód...

– A to co? – spytał, odsuwając wieszak z ubraniami przykrytymi starym prześcieradłem.

Przedmiot, który przyciągnął jego uwagę, stał za wieszakiem. Była to niska,

przysadzista chińska skrzynia z dwiema szufladami zachlapanymi farbą, spod której wyzierały prawie niewidoczne zdobienia z macicy perłowej. W zamkach obu szuflad nie było klucza.

– Naprawdę muszę już iść na dół – powiedziałam, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Albo wyjąć górną szufladę – zaproponował Cooper, po czym pociągnął za ozdobny uchwyt i wysunął ją.

– To rysunki – zauważyłam ze zdziwieniem. Co jak co, ale bynajmniej nie tego się spodziewałam.

Cooper wyjął z szuflady plik kartek różnej wielkości i zaczął je powoli przeglądać. Pokazywał mi każdy rysunek, zanim przeszedł do kolejnego.

– Na rysunkach jest ten pokój – powiedziałam. – Wtedy nie był jeszcze schowkiem.

Cooper wskazał na przeciwległą ceglana ścianę z wysokimi zaciemnionymi oknami, których półkoliste zakończenie było ozdobione złożonymi zwornikami.

– I w mieście nie obowiązywało jeszcze zaciemnienie – dodał.

Każdy rysunek był szczegółowym studium jakiejś części pokoju – ceglanego kominka z malowanymi medalionami nad obramowaniem, delikatnych zdobień na suficie, kopulastego świetlika, dzięki któremu pokój był jaśniejszy. Wpatrywałam się długo w ostatni rysunek, nie mogąc dobrać głosu.

– Właśnie tak sobie wyobrażałam to wnętrze. Zanim zamalowali je na czarno.

Cooper milczał przez chwilę.

– Te rysunki wydają mi się dziwnie znajome. Tak jakbym już je wcześniej widział albo przynajmniej oglądał inne prace tego artysty... O, są podpisane. – Postukał palcem w dolny prawy róg rysunku leżącego na wierzchu.

Musiałam zmrużyć oczy, by móc odczytać drobne litery.

– Myślę, że tu jest napisane: Harry Pratt – powiedziałam, oddając kartkę Cooperowi.

– Harry Pratt – powtórzył wolno. – Jestem pewien, że nie znam jego twórczości. Prawdopodobnie to kuzyn Prunelli Pratt, do której należała suknia. W każdym razie jest dobry. Albo był. – Jego spojrzenie spoczęło na drugiej szufladzie. – Zechce pani pełnić honory?

Zupełnie zapomniawszy o czekającym mnie obchodzie, uklękłam przed skrzynią i pociągnęłam szufladę, ale stawiła opór.

– Zamknięta na klucz? – spytał Cooper.

Pokręciłam głową.

– Nie. Wydaje się, że coś tam utknęło. Boję się, że to jakiś rysunek i że jak mocno szarpnę, to go rozedrę.

Cofnęłam się, by Cooper mógł obejrzeć szufladę.

– Chyba ma pani rację. – Przechylił skrzynię w swoją stronę, by przyrzeć jej się z tyłu, a potem w bok, by zajrzeć pod spód.

– Jeśli przyniesie mi pani dłuto, młotek i śrubokręt, pewnie zdołam dobrać się do szuflady, nie niszcząc jej zawartości.

Już miałam mu przypomnieć, że jest pacjentem, kiedy dobiegł nas charakterystyczny stukot wysokich obcasów w korytarzu. Najszybciej jak mogłem, Cooper pokuśtykał w stronę łóżka, a ja podreptałam w ślad za nim, nie bardzo wiedząc, dlaczego czuję się tak, jakbyśmy zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Wsunął się pod koc, a ja nachyliłam się, by poutykać krańce koca pod materacem. Nagle poczułam, że rubinowy wisiołek wysuwa się wolno zza dekoltu. Szybko się wyprostowałam, by schować go pod sukienkę, zanim Cooper zauważy. On jednak chwycił mnie za nadgarstek i spojrzał mi w oczy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– O, jak tu przytulnie – rzuciła Caroline Middleton, stając obok bezładnej sterty rzeczy, na którą padło światło z korytarza.

Cooper opuścił rękę, a ja się wyprostowałam, wkładając naszyjnik za dekolt.

– Dzień dobry, panno Middleton. Z radością informuję, że kapitan Ravenel robi wspaniałe postępy. Spodziewam się, że za niecałe dwa tygodnie będziemy mogli wypisać go ze szpitala.

Odeszłam od łóżka, czując na sobie jego spojrzenie, ale wiedziałam, że jeśli je odwzajemnię, to potwierdzę, iż wiem, że widział rubinowy wisiołek. I że coś nas łączy, choć sama nie mogłam pojąć, na czym to polega.

Szykując się do wyjścia, skrętnie uprzątnęłam stolik przy łóżku.

– Trochę za wcześnie na wizyty. Może zechce pani wrócić później?

Caroline wydeła usta.

– Doktor Greeley powiedział, że mogę przychodzić, kiedy zechcę. A ponieważ te okropne syreny obudziły mnie o tak nieludzkiej porze, pomyślałam, że od razu pójdę odwiedzić Coopera.

Odsunęłam stopą ubrania leżące pod ścianą, by zrobić sobie przejście, i ruszyłam do wyjścia, wyminawszy Caroline.

– Cóż, widzę, że kapitan Ravenel jest w dobrych rękach, więc wychodzę. Gdyby miała pani ochotę na kawę, to świeżo zaparzona zwykle stoi w dzbanku przy stanowisku pielęgniarek na parterze. To prawdziwa kawa. Nowy Jork zdołał uzyskać zwolnienie z racjonowania kilku produktów dzięki Stowarzyszeniu Restauratorów. Jesteśmy obszarem użytecznym dla armii, działającym na potrzeby wojny i tak dalej. Jednak dostawy są ograniczone, więc proszę nie częstować się zbyt szczerze.

Caroline usiadła na krześle przy łóżku i powoli ściągała rękawiczki.

– Och, zadowolę się jedną filiżanką. Piję czarną, z dwiema kostkami cukru.

Przystanąłam w progu, a potem odwróciłam się ku niej z szerokim

uśmiechem.

– To tak samo jak ja – powiedziałam, szybko kierując się ku schodom.

Usłyszałam, jak śmiech Coopera odbija się echem od gipsowanych ścian.

Wigilia Bożego Narodzenia 1892

Olive

W kominku płonął ogień, więc w pomieszczeniu było ciepło i przytulnie. Harry puścił rękę Olive – wbiegali po schodach razem, jak występni kochankowie, palce ich dłoni były ciasno splecione, Olive z trudem łapała oddech – i zamknął drzwi.

– Pospieszmy się – powiedziała Olive. – Muszę być w łóżku przed jedenastą, przed inspekcją pani Keane. A jak mnie złapie, kiedy się będę skradała po schodach... – Nie dokończyła, ponieważ bała się powiedzieć na głos, jakie mogłyby być konsekwencje takiego pogwałcenia zasad (zbyt straszne, by się nad nimi zastanawiać – natychmiastowe zwolnienie bez referencji, ba, nawet publiczna chłosta).

W tym samym momencie Harry podszedł szybko do przysadzistej chińskiej skrzyni stojącej pod ścianą, a ona nie miała pojęcia po co. No cóż, nie mogła powstrzymać zaciekawienia, więc spytała. Przecież była tylko człowiekiem. W odpowiedzi usłyszała jednak, że to niespodzianka.

– A tak w ogóle to nie martw się panią Keane – dodał Harry, po czym wyjął klucz z kieszeni i wysunął dolną szufladę kufra. – Ofiarowałem jej na święta butelkę brandy i keks, oczywiście z podziękowaniami za całoroczną służbę.

Olive spróbowała sobie wyobrazić panią Keane wypijającą szklaneczkę brandy.

– Przyjęła?

– Zawsze miała do mnie słabość, Bóg jeden wie dlaczego. – Harry wstał i odwrócił się z uśmiechem.

– Bardzo dobrze wiesz dlaczego.

– Pierwszą szklaneczkę wypilem razem z nią, na dobry początek, więc zapewniam cię, że dzisiejszego wieczoru nie będzie miała siły na żadne inspekcje.

– Zasalutował. – Niniejszym zwalniam panią z obowiązków, panno Olive, i zalecam dobrą zabawę.

– Aż do piątej rano.

Zamilkł na chwilę i spoważniał. Nadal stał przed skrzynią i trzymał coś w obu rękach za plecami.

– Naprawdę aż tak wcześnie wstajesz? – spytał wreszcie.

– Nie wiedziałeś?

– Nie sądziłem, że już o piątej. A ja na tak długo cię zatrzymywałem.

– Było warto.

– Naprawdę?

Spuściła wzrok na zniszczony orientalny dywan.

– Wiesz, że tak.

Deski zaskrzypiały, kiedy podszedł do niej. Policzyła wszystkie, bo należały do Harry'ego, ponieważ deski miały to szczęście, że dotykały ich stopy Harry'ego. Splotła ręce na przodzie białego fartuszka, trochę już wymiętego. Kiedy Harry stanął przed nią, podziwiała zarys jego butów.

– Mam coś dla ciebie – powiedział. – Ale musisz spojrzeć w górę.

Olive powoli podniosła wzrok, ale zatrzymała go na wysokości jego rąk, w których trzymał mały portret w ramce.

– Namalowałem go na podstawie rysunków. Najlepszy z tych, które zrobiłem do tej pory. Myślę, że wreszcie potrafię uchwycić to jak należy, to znaczy oddać ciebie. Rysy twarzy, figurę, pozę, sposób, w jaki koszula nocna układa się na twojej skórze, choć oczywiście nie namalowałem koszuli nocnej, tylko coś w rodzaju średniowiecznego stroju... W każdym razie: czy ci się podoba?

Podniosła oczy i spojrzała wprost w twarz Harry'ego, był zdenerwowany i paplał jak uczeń. Uniósł brwi, z niepokojem czekał na jej aprobatę.

Przeniosła wzrok na miniaturę i wyjęła mu ją z rąk.

– Jest cudowna. Jakby zaczarowana. To nie ja.

– Dla ciebie.

– Nie mogę tego przyjąć. Potrzebna ci do malowania.

– Namaluję następną. Chcę, żebyś ją miała i trzymała w swoim kufrze, w tej okropnej klasztornej celi, a po moim wyjeździe wyjmowała każdego wieczoru, patrzyła na nią i mówiła: „Harry mnie kocha, Harry przyjedzie w czerwcu i zabierze mnie do Europy. Harry wynagrodzi mi tę harówkę i niedolę i da mi tyle szczęścia, ile żaden mężczyzna nie dał kobiecie”.

Olive cofnęła się o krok.

– Co?

Chwycił ją za rękę.

– Posłuchaj, Olive. W kwietniu skończę dwadzieścia dwa lata i dostanę wtedy trochę pieniędzy, okrągłą sumkę, którą zostawiła mi babcia. To nie jest fortuna, ale wystarczy na początek. Zaraz po uzyskaniu dyplomu zabieram cię stąd...

– Przecież nie możesz!

– Ależ mogę. – Pocałował ją w rękę i opadł na kolana, pociągając w dół za sobą. – Nie mogę patrzeć, jak chodzisz w tym fartuszku, zaharowujesz się, usługujesz nam. To my powinniśmy obsługiwać ciebie. Jak Prunella z ciebie szydzi...

– Szydzi ze mnie?

– Za twoimi plecami. Ona taka już jest. Zazdrosna o każdą kobietę, która jest ładniejsza od niej, a poza tym widziała, jak na ciebie patrzę...

– O nie! – Olive zakryła dłońmi twarz, ale Harry delikatnie oderwał jej palce i ujął pod brodę.

– Bo wie, że jesteś od niej lepsza, Olive. Wie, że cię kocham. – Wziął jej twarz w obie dłonie. – Kocham cię, Olive. Co ty na to? Zabieram cię ze sobą. Wybuchnie straszny skandal. Zamieszkamy razem w Europie i będziemy najszcześniejszymi ludźmi na ziemi, królową i królem szczęścia.

– Nie mogę – wyszeptała. – Nie bądź niemądry. Jestem tylko... tylko pokojówką. A ty jesteś Harry Pratt, masz przed sobą wspaniałą przyszłość.

Pokręcił głową.

– Nie, nie jestem Harrym Pratem. Nie tym Pratem, facetem, który bryluje na Manhattanie, udając, że jest tym, kim inni chcą go widzieć. Studentem, bawidamkiem, gotowym pójść w ślady swojego ojca na Wall Street, poślubić jakąś dziedziczkę, posiadać wielką rezydencję pełną dzieci i depozyt bankowy z mnóstwem akcji firm kolejowych. A stare rysunki trzymać w skrzynce. To nie ja. Ja chcę malować, Olive. Chcę tak zarabiać na życie. Chcę zamieszkać z tobą na poddaszu we Florencji i malować nocami, aż wreszcie stworzę coś prawdziwego, coś niemal doskonałego. A potem włączyć się z tobą po wzgórzach, leżeć nago w winnicach. Chcę każdego ranka widzieć twoją twarz, codziennie ją rysować. Chcę widzieć słońce na twojej skórze. To właśnie nazywam wspaniałą przyszłością.

– Sam nie wiesz, co mówisz.

– Och, dobrze wiem. Myślałem o tym bez przerwy. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Chcę poznać każdy skrawek ciebie i dać ci całego siebie, jeśli mnie przyjmiesz. Prawdziwego mnie, Harry'ego, który jest ukryty pod gorsami i smokingami. – Pochylił się i ucałował czubek jej nosa. – Chyba tylko ty jedna go poznałaś.

– Jestem jedynie przelotnym kaprysem. Wrócisz na Harvard i w lutym nie będziesz już o mnie pamiętał.

– Wiesz, że to nieprawda. To byłoby tak, jakbym zapomniał własnej ręki.

Znów pocałował ją w nos, trochę dłużej i czulej.

– Zapomniał własnego serca.

– Przestań. – Czuła na twarzy jego słodki oddech przesycony zapachem brandy, keksu i uwielbieniem. – Obiecałeś, że nie... – Nie będziesz mnie dotykał. Nie będziesz całował. Nie mogła sobie na to pozwolić. Ostateczna granica, której nie wolno jej przekroczyć.

Chyba że to zrobi.

Odsunął się trochę i wpatrzył się w nią swoimi niebieskimi oczami. Z uśmiechem wskazał cynowy sufit nad nimi.

– Jest Boże Narodzenie, Olive. Spójrz w górę.

Podniosła głowę i ujrzała świetlik, w którym widać było czarne niebo

upstrzone małąkami błyszczącymi gwiazdami oraz zieloną gałązkę, zawieszoną wprost nad ich głowami.

– Przebiegły z siebie mężczyzna, Harry Pracie.

– Kiedy muszę.

Pogładził kciukami jej kości policzkowe.

– Cały dzień knułem. Jemioła. Miniatura. Cholerna brandy i keks, a panią Keane niełatwo zbałamucić, przez chwilę myślałem, że już mi się nie uda, a potem jeszcze ciebie wysledzić, nim zrobi się zbyt późno.

– Tylko pocałunek?

– Jeden pocałunek, Olive. Mały bożonarodzeniowy cud. Co ty na to?

Olive jeszcze nigdy nie całowała nikogo w usta. Serce tłukło jej się o żebra, chyba dwa uderzenia na sekundę, była spanikowana i podekscytowana. Miała zimne palce. Jeśli smakuje tak, jak pachnie, to nie może być złe. Brandy, keks i uwielbienie.

– No i jak, Olive? Pocałujesz mnie?

Położyła śmiało dłoń na jego gorsie.

– Chyba na to zasłużyłeś – wyszeptwała, a on zamknął jej usta. Jego wargi okazały się znacznie bardziej miękkie, niż sobie wyobrażała.

Olive nie była jedynaczką, ale jej dwóch braci i siostra zmarli z powodu typowych chorób wieku dziecięcego i nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Siostra Arabella miała słabe serce, które nie wytrzymało epidemii szkarlatyny, Olive była wtedy trzylatką. Obudziła się pewnego ranka i okazało się, że jest sama, i od tamtej pory – była za mała, by dobrze pamiętać Arabellę, siostra była dla niej niby cień pachnący maślanymi ciasteczkami – zastanawiała się, jak by to było mieć rodzeństwo. Kogoś, komu można zwierzyć się z kłopotów, kto zna cię na wylot. Klóciliby się i godzili, i leżeli obok siebie na podłodze poddasza w deszczowe dni, rozmawiali o swoich marzeniach, rozkoszowali się ciszą. I ten brakujący kawałek serca – Olive wyobrażała to sobie wielokrotnie – po prostu trafiłby na swoje miejsce, a ona stałaby się całością.

Może jej wyobrażenia na temat rodzeństwa były błędne, ale leżenie z Harrym na poduszkach bardzo je przypominało. Jednak to nie wszystko. Teraz serce biło jej mocniej, niemal brakło jej w piersiach tchu, czuła żywioł krwi. Usta wciąż łaskotały ją od pocałunków, prawą dłoń trzymała w lewej ręce Harry’ego. Jego smoking leżał gdzieś na podłodze, kamizelkę miał rozpiętą, a wszystko zdawało się takie naturalne i doskonałe, dokładnie takie, jakie miało być.

Ale nie było. Bo na dole leżała ta teczka z napisem VAN ALAN.

Jednak Olive odepchnęła myśl o niej, bo było Boże Narodzenie, a ona wciąż czuła pocałunki Harry’ego i jego oddech, i ciepło jego ramienia na swoim.

– Staniemy się innymi ludźmi – mówił. – Prawdziwym Harrym i prawdziwą Olive. Wyobrażam sobie, jak budzimy się w słońcu. Nie musimy już nic udawać,

nie musimy być mili dla ludzi, którymi gardzimy. Znam pewnego starego profesora, który przeniósł się w zeszłym roku do Fiesole. Jestem przekonany, że pomoże nam się urządzić.

– To wszystko brzmi cudownie – powiedziała Olive, zastanawiając się, gdzie jest Fiesole.

Harry odwrócił ku niej głowę.

– Naprawdę, Olive? Rzeczywiście tego chcesz? To znaczy, nie tylko dlatego, że ja tego pragnę, ale chcesz tego dla siebie?

– Tak, chcę.

To była prawda. Wyobrażała sobie, jak leży obok ciepłego ciała Harry’ego na zalanym słońcem włoskim poddaszu, i brakło jej tchu, niemal omdlewała z tęsknoty. Jednak natychmiast jej praktyczny umysł szepnął: A co z małżeństwem? Co z dziećmi? O tym Harry nie wspomniał. Ale przecież dzieci na pewno się pojawią, a jak poczuje się Harry, kiedy zawodzące niemowlę zakłóci jego artystyczny raj? Czy nadal będzie podziwiał swoją kochaną nimfę, kiedy stanie się brzemienna?

Ale przecież właśnie dlatego go kochała. Za jego marzenia, piękne ideały, wznoszenie się ponad to, co realne i możliwe. Gdyby spróbowała, mogłaby przycumować go ostrożnie do ziemi, tylko na tyle blisko, by całkiem nie odleciał. Uścisnęła jego dłoń i powtórzyła:

– Naprawdę tego chcę. Bardzo tego pragnę, Harry.

Oparł się na łokciu i uśmiechnął do niej szeroko.

– Rozbierz się.

– Co? – spytała głośno, a w duchu dodała: Po raz drugi tego wieczoru?

– Zamierzam cię narysować, właśnie teraz.

– Całkiem... całkiem... – Słowa „nago” nie zdołała wymówić.

– Tak, naga i prawdziwa. Oczywiście okryję cię prześcieradłem. – Zerwał się na równe nogi. – No dalej. Nie będę patrzył, obiecuję. Przynajmniej teraz.

Zdawało jej się, że łypnął na nią chytrze. Usiadła i spojrzała na czarną sukienkę, biały fartuszek, pogniecione – o zgrozo – koronki. Ale przecież jest Boże Narodzenie, pomyślała lekkomyślnie. Są święta, a za dwa tygodnie nie będę już miała takiej okazji.

Wstała i weszła za parawan, by zdjąć fartuszek i sukienkę, gorset, halkę i pończochy.

– Wszystko? – zawołała ponad parawanem.

– Wszystko.

– Ale nie będziesz patrzył?

– Oczywiście, że będę patrzył, Olive. Tego nie da się uniknąć, nawet gdybym chciał. – Wyobraziła sobie jego uśmiech. – Ale okryję cię prześcieradłem i obiecuję zachowywać się, jak na dżentelmena przystało.

Ściągnęła halkę i dostała gęsiej skórki.

– Aha, tak jak teraz byłeś dżentelmenem?

– Wierz mi, to były najbardziej dżentelmeńskie pocałunki, jakimi mężczyzna obsypał uwielbianą przez siebie dziewczynę. No wyjdźże stamtąd.

Olive spuściła wzrok na brzuch i nogi, szokująco nagie. Sutki jej się skurczyły i zmieniły w małe guziczki, jak wtedy, gdy wchodziła do wanny. Co Harry pomyśli? Pewnie rysował już wiele nagich kobiet. Przecież tego go uczono, prawda? Jak zmienić kobietę w dzieło sztuki. Olive nigdy nie postrzegала swojego ciała jako dzieła sztuki, jako zbioru łuków i linii stworzonych, by urzec widza, wyrazić pewien rodzaj ludzkiego czy żeńskiego ideału. A jeśli nie była dość idealna? Jeśli jej kości i ciało były nieodpowiednie? A co, jeśli oszustwo, które kryła w duszy, wypaczyło jakoś jej powierzchowność w sposób, który natychmiast rozpoznają szczerze niebieskie oczy Harry'ego?

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Czy pomoże ci to, jak sam się rozbiore? – spytał Harry scenicznym szeptem.

– Nie!

– Zdejmę tylko jedną czy dwie rzeczy. Żeby było sprawiedliwie.

Ujrzała, jak na podłogę opada kamizelka, a za nią krawat.

– Harry, nie!

Spadł jeden but. A za nim drugi.

– Zamierzam kontynuować, Olive. Chcesz tego?

– Nie!

– No to wyjdź stamtąd. Właśnie odpinam koszulę. – Rozległo się kilka brzdęknięć, gdy metalowe spinki spadły na podłogę.

– Harry!

– Myślisz, że blefuję?

Olive ujrzała, jak leci coś białego, po czym ląduje na kamizelce.

O Boże, on nie żartuje, pomyślała, a potem, z przerażeniem: teraz kolej na spodnie.

Chwyciła fartuszek, przycisnęła go do piersi i wyszła zza parawanu.

– Tak lepiej – powiedział ciepło Harry, ale nie ośmieliła się na niego spojrzeć.

Doskoczyła do poduszek leżących na podłodze, zapadła się w nie, starając się okryć jak najdokładniej fartuszką, co niezupełnie się udało. Poczwała, że oblewa się rumieńcem.

– Pozwól, że to zrobię.

Harry delikatnie ściągnął z niej fartuszek, jak lekarz oglądający ranę. Chwilę później okrył ją płachtą cienkiego białego muślinu i smukłymi palcami ułożył materiał na jej ramieniu, piersiach i pod pachą z drugiej strony. Olive nie mogła

oddychać. Nagi tors Harry'ego migał jej przed oczami, miał kolor jasnego złota, był ładnie umięśniony, wyglądał tak samo pięknie jak rankiem w łazience, tylko nie budził w niej już strachu. Jego ugięte kolana, obciągnięte lśniąca czarną wełną, wydawały się ogromne.

– Teraz połóż się na boku – wyszeptał, a ona usłuchała.

Znów udrapował prześcieradło i była pewna, że tym razem odsłonił jej prawą pierś, ale nie spojrzała w dół ani nie zaprotestowała, ponieważ zachwycona mina Harry'ego mówiła, że uważa ją za ideał.

Szerokie dłonie przesunęły się niżej, układając materiał na jej biodrze, po czym Harry odsunął się i zlustrował ją wzrokiem.

– Czy to ci odpowiada? – spytała.

– Tak.

Sięgnął do szpilek podtrzymujących jej fryzurę, wyjmował jedną po drugiej, aż wreszcie loki spłynęły na ramiona i plecy Olive. Harry wstał.

– Jeszcze coś.

Podszedł cicho do chińskiej skrzyni, a Olive mogła w tym czasie podziwiać grę mięśni na jego plecach. Kiedy wracał, patrzyła na jego bose stopy, ale nie dlatego, że czuła się onieśmielona, po prostu ją zafascynowały.

– Unieś włosy – poprosił, a Olive przeniosła wzrok na jego twarz, a potem spojrzała na rękę.

Z jego palców zwisał delikatny złoty łańcuszek z wielkim krwistoczerwonym kamieniem.

– Powiedz, że to tylko granat – wyszeptała Olive.

Harry uśmiechnął się i obiema rękami sięgnął do jej karku.

– Ale to byłoby kłamstwo, kochana Olive. A ja nie mogę cię okłamywać. W każdym razie jest twój. – Przykucnął i dotknął jej policzka.

Kamień umościł się w zagłębieniu obojczyka Olive, rubin był niby wielka kropla krwi, chłodna i ciężka. Dotknęła go jednym palcem, nie ośmielała się spojrzeć. Za jej plecami strzelił w kominku węgielek. Harry wziął pasmo włosów z jej ramienia, przycisnął do ust, a potem sięgnął po szkicownik.

W pomieszczeniu było ciepło, a Harry pracował w skupieniu, milcząc, więc Olive, zmęczona i odprężona, zasnęła, ułożywszy się wygodnie na aksamitnych poduchach, na moment się ocknęła i znów odplynęła w sen.

– Nie przejmuj się – powiedział Harry. – Śpij, jeśli chcesz.

Pozwoliła więc opaść ciężkim powiekom, rozkoszując się odgłosami skwierczącego ognia, skrobania ołówka Harry'ego i spokojem tego schronienia.

Kiedy się obudziła, panowała ciemność, a ona była szczelnie opatulona wełnianym kocem, dlatego przez chwilę myślała, że znajduje się w swoim łóżku w służbówce.

Jednak to łóżko było znacznie wygodniejsze, a poza tym jakiś ciężar

spoczywał jak sztaba w poprzek jej ciała, a na plecach i ramionach czuła ciepło. No i jeszcze czyjś oddech na karku.

Otworzyła oczy. Miała zdrętwiałe ręce i nogi.

– Harry! – wyszeptała.

Jednak zamiast odpowiedzi usłyszała tylko ciche pochrapywanie i poczuła lekkie drgnienie palców na swojej talii. Ramię, jak zauważyła, leżało na kocu, a ciało Harry’ego nie dotykało jej pleców. Dzieliło ich kilkanaście centymetrów. Pod policzek miała wsuniętą miękką poduszkę.

Która godzina?

Nie wiadomo. Mogła być równie dobrze północ, jak i wpół do piątej rano, może miała kilka godzin albo nie miała już ani chwili. Jak miło i rozkosznie leżeć tu sobie spokojnie z Harrym, podczas gdy pozostali domownicy śpią, kiedy reszta świata nie dzieli łoża z kimś tak nadzwyczajnym.

Cóż, to samo czeka Olive za dwa tygodnie. Za dwa tygodnie nie będzie już Harry’ego, a ona wróci do skórzanej teczki z napisem VAN ALAN. Przymknęła to sobie. Umówiła się tak z Bogiem albo Świętym Mikołajem, albo Dzieciątkiem Jezus, ktokolwiek czuwał nad nią tej ciepłej, czarnej, przesyconej zapachem brandy wigilijnej nocy. Dwa tygodnie z Harrym, tylko Harry i nic poza nim, bez poczucia winy i żalu, bez troski o jutro. A kiedy powóz uwiezie go na ten wielki cuchnący dworzec przy Czterdziestej Drugiej Ulicy, a później pociąg do Bostonu, tego samego ranka ona zakradnie się do gabinetu Augusta Pratta i weźmie teczkę Van Alana. Tym razem na dobre.

Ale to będzie później. Teraz Harry.

Jej zeszywniałe ręce i nogi zmiękły, chłonęła jego obecność. Powinna się wstydzić, ale wcale się nie wstydziła. Te wszystkie noce, kiedy mu pozowała, cała ta bliskość. Byli w swoim pokoju, swojej kryjówce na poddaszu, w której Olive mogła zrzucić starą skórę i być kimś, kogo wcześniej nie знаła, i nie wyobrażała sobie, że może kimś takim być.

– Olive.

Powinna się przestraszyć, ale się nie przestraszyła.

– Obudziłaś się?

– Nie do końca.

Uśmiechnęła się. Przepelniało ją ciepło i pewność, czuła też pewien niepokój w brzuchu, którego nie potrafiła nazwać, ale przypuszczała, że to przecucie czegoś, co miało zaraz nastąpić.

Obróciła się pod jego ramieniem i leżeli teraz twarzą w twarz, a zapach skóry Harry’ego mieszał się z jej zapachem, ciepłym, słonawym, przesyconym snem. Rubin przesunął się na obojczyk. Jedną ręką Olive uniosła koc i okryła Harry’ego, drugą dotknęła jego policzka. Nie widziała jego twarzy, ale usłyszała mokre cmoknięcie ust otwierających się ze zdziwienia.

– Wesołych świąt – wyszeptła.

Lucy

Lucy poczuła smak dżinu.

Łaskotał ją w język. Był na ustach Philipa Schuylera, kiedy ją pocałował, ujmując jedną dłonią za policzek, a drugą kładąc na talii. Przyciągnął Lucy blisko, chociaż przeszkadzało w tym zaoblenie stolika. Oparcie czarnej skórzanej kanapki osłaniało ich przed niepowołanym wzrokiem.

Palce na jej policzku należały do Philipa Schuylera, tak samo jak złoty sygnet noszony przez absolwentów Yale, który chłodził teraz jej skórę. Usta Philipa Schuylera dotykały jej ust, wymawiał szeptem jej imię, kiedy ją całował. To była kulminacja tysiąca niecnych fantazji, marzeń, w których ujmował ją za ręce i oświadczał, że był głupcem, straszliwym głupcem, bo Lucy jest dziewczyną dla niego i nie obchodzi go, kto o tym wie. Zupełnie jak w tych opowiadankach stale ukazujących się w kolorowych magazynach, w których ekspedientka zawsze zdobywa serce dziedzica fortuny.

Ale to nie była fantazja.

To nie był bal, a ona nie miała na sobie sukni wyszywanej srebrnymi cekinami ani diamentowych spinek we włosach. Była w swojej biurowej garsonce i siedziała w kącie ciemnego nielegalnego baru, którego podłoga cuchnęła rozlanym alkoholem. Nie wirowała w tańcu, nie słyhać było rzępolenia skrzypiec. Nie towarzyszył temu wszystkiemu zachwyty, jedynie krawędź stolika wżynała jej się w żebra i dręczyło ją poczucie, że to wszystko jest niewłaściwe, że nie wolno całować się z mężczyzną zaręczonym z inną kobietą.

Siedząca trzy stoliki dalej znudzona bywalczyni salonów wybuchła piskliwym śmiechem. Lucy odepchnęła Philipa Schuylera, i to tak mocno, że stolik się zakołysał, a dżin ulał.

– Philip... panie Schuyler, proszę przestać.

– Lucy... – Kanapka skrzypnęła, kiedy gwałtownie nachylił się ku niej, ale trafił w pustkę.

Upił się. Nigdy wcześniej nie widziała go pijanego, nie wyobrażała sobie, że może się tak schlać. To dobre dla chamów, którzy dudlili piwsko z beczki za piekarnią, wyśpiewując sprośne piosenki. Pijaństwo było dla staruchów o czerwonych nosach i chłopaków, których wyrzucono ze studiów, ale nie dla Philipa Schuylera, ucieleśnienia wszystkiego, co eleganckie i wyrafinowane.

– Lucy... kochanie. – Sięgnął ku niej, a jego uśmiech był parodią niewymuszonego wdzięku, który tak dobrze знаła.

„Panno Young, proszę z łaski swojej...”

„Panno Young, czy mogłaby pani...”.

I oczywiście mogła. Przynosiła mu kawę, zapisywała terminy spotkań, nawet poszła na kolację z Johnem Ravenelem.

Myśl o Johnie Ravenelu – uśmiechającym się do niej w zalanym słońcem parku – sprawiła, że ze zdwojoną energią odepchnęła dłonie obejmujące ją w talii.

– Nie jestem pana kochaniem. – Podniosła głos, próbując się uwolnić. – Panie Schuyler, dość!

Kelnerzy przerwali na chwilę pracę, a znudzona bywalczyni salonów obejrzała się przez ramię, a potem powiedziała zniżonym głosem do swojego towarzysza coś, co sprawiło, że odrzucił głowę do tyłu i gruchnął śmiechem.

Lucy poczuła wstyd, okropny wstyd, który okrył rumieńcem jej policzki. „Jaka matka, taka córka”, skwitował głos babki.

– Wcześniej mówiłaś do mnie po imieniu – powiedział pan Schuyler, który wyglądał jak zawiedziony uczeń.

– Wcześniej nie próbował pan mnie całować.

Lucy sięgnęła ręką pod stół, szukając po omacku torebki, która spadła tam podczas szamotaniny.

– Lucy... Lucy, zaczekaj. – Philip Schuyler chwycił ją za rękę, pociągnął w górę tak, żeby spojrzała mu w twarz. Niezdarnie oplótł jej dłoń palcami. – Myślałem, że mnie lubisz.

Patrzył na nią wielkimi oczami, po prostu uosobienie niewinności. Mały chłopiec odrzucony przez macochę. Jej oburzenie walczyło z litością, a co gorsza, z próżnością.

– Bo lubiłam. Nadal lubię. Po prostu... nie mogę...

Philip mocniej ścisnął jej dłoń.

– Siadaj. – Pociągnął ją lekko. – Napijmy się jeszcze.

Lucy popatrzyła na niego z góry, walcząc z dławiącym poczuciem rozczarowania.

– I co? Mam zostać pana przyjaciółką na boku? Całować się z panem po ciemku, a potem odbierać telefon, kiedy dzwoni pańska narzeczona? Nie, dziękuję, panie Schuyler.

Philip Schuyler patrzył na nią szczerze zdumiony. A może tylko dżin przytępił mu zmysły, wywołał te zmarszczki na czole.

– Nigdy nie sądziłem... Jesteś jedna na milion, Lucy. Czy ktokolwiek ci to kiedyś mówił? Jesteś wspaniała. – Wielkopańskim tonem dodał: – Jesteś najlepszą sekretarką, jaką kiedykolwiek miałem.

Jeśli Lucy miała jeszcze jakieś złudzenia, teraz ostatecznie się rozwiały.

Co ona sobie właściwie myślała? Że Philip Schuyler porwie ją w ramiona i oświadczy, że kocha ją i tylko ją? Widziała przecież te jego zdjęcia z Didi Shippen.

Didi wcale nie była piękną. Miała miłe, lecz pospolite rysy. Jednak potrafiła się „zrobić”. Fryzura, ułożenie ust, perły w uszach: wszystko obwieszczało jej status równie hałaśliwie jak wzmianki w rubryce towarzyskiej.

Didi reprezentowała typ kobiet, z jakimi żenią się mężczyźni pokroju Philipa. Może w końcu przestanie być nią zachwycony. Może po kilku latach zabierze się do całowania sekretarek w nielegalnych barach.

Jednak Lucy nie będzie tą sekretarką.

– Co? Lucy? Lucy, co ja takiego powiedziałem?

Lucy zaczynała boleć głowa. Zapach dżinu i tureckich papierosów był tak silny, że przesiąkał jej ubranie i włosy.

– Nic – odparła. – Samą prawdę. Jestem pańską sekretarką. Pan jest moim szefem. Z czego wynika, że nie powinno mnie tu teraz być.

– Nie ma też powodu, by cię tu nie było. – Philip Schuyler nadal ścisnął ją za rękę i nieoczekiwanie postukał palcem w nos. – Jest po godzinach pracy. Nikt się nie dowie.

Lucy szarpnęła się ze złością.

– Nikt się nie dowie, bo to się nie wydarzyło. – Chciało jej się płakać ze wstydu, miała ochotę walić pięściami w odrapany blat stolika, ale stała wyprostowana i mówiła spokojnym tonem. – Meg wraca w przyszłym miesiącu. Do tej pory będę pana sekretarką. A to nigdy nie zaszło.

– Naprawdę możesz tak powiedzieć?

Lucy zakrztusiła się nerwowym śmiechem.

– Muszę tak mówić! Nie sądzi pan, że wołałabym, żeby było inaczej? Nie wie pan, że będę się męczyć, widząc pana codziennie i musząc udawać, że nic nie zaszło? Ale nie mogę sobie pozwolić na inne zachowanie. Jeśli poproszę o przeniesienie, panna Meechum domyśli się, że coś się stało. I jak pan sądzi, kogo o to obwini? Przecież nie młodszego partnera. Obwini mnie. Mało tego, wyrzuci na bruk! Będę musiała szukać nowej pracy i zastanawiać się, skąd wytrzasnę pieniądze na czynsz!

Philip Schuyler gapił się na nią bez słowa, jak skamieniały.

Lucy nie mogła powstrzymać rwącego potoku słów.

– Potrzebuję tej pracy. Nie jestem jedną z pańskich debiutantek. Nie pracuję dla kaprysu. Pracuję, by zarobić na życie. Myśli pan, że lubię pisać na maszynie i segregować dokumenty? Sądzi pan, że ktokolwiek to lubi?

– Ja nie... – Philip Schuyler pokręcił głową, jakby chciał coś wyjaśnić. – Lucy...

– Chyba panno Young? – Ton Lucy był cierpki jak nielegalny dżin. – Myślałam, że pan jest inny. Wszyscy wiedzą, że pan Cochran to podszcypywacz, a panu Gegsonowi nie można zaufać po kilku głębszych. Ale myślałam, że pan jest kimś wyjątkowym. Co za idiotka ze mnie! Uważałam pana za dżentelmena.

Z satysfakcją zauważyła, że Philip Schuyler się zachnął. Przynajmniej tyle osiągnęła. Oderwała kawałek tynku z tej jego gładkiej fasady. Ale to było pyrrusowe zwycięstwo. Zrobiłaby wszystko, by nigdy tu nie przyjść, nigdy nie zobaczyć, jaki on potrafi być, nie dowiedzieć się, czego się po niej spodziewał. Podobało jej się tak, jak było przedtem, kiedy był jej dzielnym rycerzem, świętym Jerzym ze ściany, nieosiągalnym i nieskazitelnym.

– Lucy. – Złoto na uniwersyteckim sygnecie błysnęło, gdy Philip Schuyler wyciągnął do niej rękę. – Ja nigdy...

Lucy odepchnęła gwałtownie jego dłoń.

– Nie, pan nigdy. I ja nigdy. – Sięgnęła do torebki i rzuciła dolara na stolik. – Za mojego drinka.

To była absurdalnie duża kwota, na której wydanie nie było jej stać, ale zarazem jedyny sposób, jaki jej przyszedł do głowy, by ocalić dumę i jakoś zapanować nad sytuacją.

Chwyciła kapelusz i torebkę.

– Stawiam panu martini – rzuciła przez ramię i ruszyła ku schodom, zanim Philip zdołał wygramolić się zza stolika, w którego nóżki wplątały się jego długie nogi.

Kelnerzy, którzy widywali już gorsze sceny, naumyślnie odwrócili wzrok, kiedy rzuciła się do wyjścia. Potem zbiegła po cuchnących schodach, minęła portiera w krzykliwym garniturze w kratkę.

Powietrze na ulicy zdawało się niewiele lepsze niż w barze, lipcowy upał przesiąkł smrodem wczorajszych śmieci. Kiedy była w środku, zrobiło się ciemno, zakradł się zmierzch miejskiego lata. Owinął ją jak mokra flanela. Ciemność nie przyniosła ulgi od upału, zdawało się, jakby oblepiał jeszcze bardziej.

Lucy ścisnęła kurczowo torebkę w obu rękach i zaczęła iść, najszybciej jak mogła. Ale nie dość szybko.

Philip Schuyler dogonił ją, miał zarumienioną twarz i przekrzywiony krawat.

– Pozwól mi przynajmniej zafundować ci taksówkę.

– Tak jak wszystkim dziewczynom?

– Nie jesteś byle jaką dziewczyną.

Zabiegł jej drogę, stanął przed nią, zmuszając, by przystanęła przed zasłoniętą żaluzjami witryną warzywniaka.

– Nie było innych dziewczyn. To znaczy, były, przed Didi, ale potem już nie...

Brakowało mu słów, plątał się. Ten wytworny, wygadany pan Schuyler, który umiejętną rozmową potrafił wprowadzić w dobry humor najbardziej nieznośnych klientów. Teraz wcale nie wyglądał na tak wyrafinowanego. Maską opadła, na obnażonej twarzy malowało się zmieszanie. Lucy uświadomiła sobie, że sprawia wrażenie zagubionego. Był równie zagubiony jak ona.

– Posprzeczał się pan z narzeczoną – oświadczyła najbardziej rzeczowym tonem, na jaki było ją stać. – A ja akurat byłam pod ręką. To wszystko.

Energicznie pokręcił głową, potrząsając rozczochranymi włosami. Dopiero teraz, w świetle ulicznej lampy, Lucy dostrzegła, że jego blond czupryna jest przyprószona siwizną.

– To nie tak. Didi nie jest... ty nie jesteś...

Złość ustąpiła litości, litości i wielkiemu znużeniu.

– Proszę iść do domu. Wypić szklanekę wody sodowej z aspiryną – poradziła.

– Rano poczuje się pan lepiej.

Tym razem, kiedy zaczęła iść, nie poszedł za nią. Stał pod latarnią i ze zmieszaniem patrzył za odchodzącą Lucy.

Kiedy zjawiała się nazajutrz w biurze, pani Meechum miała dla niej wiadomość. Pan Schuyler został wezwany do Filadelfii na pilne spotkanie z klientem.

Lucy miała pewne podejrzenia, że wie, co to za „klient”.

Ale tak jest w porządku, zapewniła sobie w duchu, przesuwając wałek maszyny z jednej strony na drugą tak gwałtownie, że o mało się nie zaklinował. Dobrze, że pan Schuyler pojechał do Filadelfii pogodzić się z narzeczoną. Sama by mu tak doradziła. A nawet na dobrą sprawę tak właśnie zrobiła.

W każdym razie postąpił słusznie. Ponadto zachował się jak dżentelmen, usuwając się z biura na kilka dni.

Dlaczego więc tym bardziej ją to rozzłościło?

Kiedy Lucy weszła do gabinetu pana Schuylera – odtąd zawsze już tylko pan Schuyler, nigdy Philip – by położyć na biurku stosik schludnie przepisanych kontraktów z Kiplingerem, znalazła tam złożoną kartkę ze swoim nazwiskiem wypisanym eleganckim pismem szefa.

W środku znajdował się ten sam wymięty dolar, który rzuciła na stolik poprzedniego wieczoru. Nie było żadnego liściku. Tylko ten dolar.

Odezwał się telefon na biurku szefa. Czy ta idiotka w centralce nie wie, że nie należy przełączać osób dzwoniących do pana Schuylera, kiedy nie ma go w biurze?

Chwyciła słuchawkę.

– Gabinet pana Schuylera – warknęła.

– Panna Young? – spytał zdziwiony głos z ciepłym karolińskim akcentem. – Brzmi pani tak groźnie, że ledwie panią poznałem.

Ostatnio ona sama także z trudem poznawała samą siebie. Lucy rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię.

– Nie powinnam rozmawiać z panem w pracy.

– Przecież jestem klientem – zauważył łagodnie pan Ravenel. – Zły dzień?

– Zły tydzień. Zły miesiąc. Zły rok.

Od śmierci ojca nic nie szło jak należy. Jego nieobecność spowodowała pustkę w jej życiu. Choć Lucy okropnie kłóciła się z babcią i chciała się wyprowadzić do miasta, by spróbować czegoś nowego, miała wtedy w domu wspierającego ojca. Straciła go dwukrotnie. Raz, kiedy umarł, a drugi raz tego popołudnia po jego pogrzebie, kiedy babka wyjawiała straszną tajemnicę.

Nazwała Lucy „kukułką”. „Twoja matka to było niezłe ziółko”, mruknęła.

A Lucy przypomniała sobie naszyjnik pospiesznie wetknięty do jej kieszeni kilka miesięcy wcześniej, słowa matki na łożu śmierci. Szczała po ojcu, owszem, ale nie po tym, którego uważała za własnego ojca.

– Postarajmy się przynajmniej, żeby weekend był dobry. – Śpiewny południowy akcent był jak balsam po powściągliwej wymowie rodem ze szkoły z internatem, jaką miał Philip Schuyler. Wywołał wspomnienia poprzedniego weekendu, słońca, lodów i niewinnych przyjemności. – W sobotę będę miał dla pani niespodziankę.

– Sama nie wiem... – Lucy zawiesiła głos, sunąc palcem po brzegu bibularza wytłaczanego w ozdobne wzorki. Sądziła, że drinki z panem Schuylerem są niewinne, aż okazało się, że bynajmniej tak nie jest. – Nie powinnam.

– Dać się zaskoczyć? – spytał z wyraźnym rozbawieniem.

– Widywać się z panem. – Zdziwiło ją, że to oświadczenie kosztowało ją aż tyle wysiłku. – To niewłaściwe.

– Chyba jest takie stare powiedzonko o rozlanym mleku? – Kiedy Lucy nie odpowiedziała, John Ravenel dodał: – Obiecuję, że nie będzie w tym nic, czego nie zaaprobowałaby pani matka.

Tego właśnie się obawiała.

– Ja nie...

– Zachodnia Czterdziesta Siódma Ulica, pod numerem jeden. Spotkajmy się tam w południe. Obiecuję... – Głos Johna Ravenela był ciepły i przekonujący. – Nie pożałuje pani.

Kate

Margie otarła usta serwetką, a potem złożyła ją starannie i wetknęła do pudełka na lunch. Siedziałyśmy na tej samej ławce w Central Parku, na której przed laty poznały się nasze matki, co stało się wspólnym zwyczajem, kiedy zaczęłam pracować w szpitalu Stornaway. Był to ukłon w stronę przeszłości, którą obie czule wspominałyśmy, zmagając się z – w najlepszym razie – niepewną terażniejszością.

Tego dnia letni upał znacznie zelżał dzięki warstwie cienkich strzępiastych chmur, jakby słońce uznało, że świat pogrążony w chaosie nie zasługuje na jego wszystek blask. Miasto też było tylko cieniem dawnego przepychu, kiedy nawet Statua Wolności i Times Square były w nocy zaciemnione. W drodze do parku atakowały mnie afisze namawiające do kupna obligacji pożyczki wojennej, umieszczone na bokach wózków i ścianach budynków. Metalowe znaki i zdobniki zniknęły z miasta, odkąd po raz pierwszy zaapelowano o zbiórkę złomu, a ja zastanawiałam się, czy Nowy Jork będzie kiedyś jeszcze taki jak przed wojną.

Margie wyjęła paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego, a potem poczęstowała również mnie. Zawahałam się przez chwilę.

– Nie, dziękuję. Jeśli teraz zapalę, to zaraz mi przyjdzie ochota na następnego papierosa.

– Co? – spytała, bo moje słowa zagłuszył warkot zatłoczonego autobusu jadącego Piątą Aleją.

– Nieważne – odparłam, zatrzasnąwszy pudełko na lunch.

– No więc... – zaczęła Margie, wydmuchując dym. – Jak się miewa twój kapitan?

– Wcale nie jest mój. Przyjechała jego narzeczona. Z Charleston. Wątpię, bym miała okazję go widywać przed ostatecznym wypisaniem ze szpitala. – „Czy pozwoli mi pani dokończyć?”. Wciąż słyszałam te słowa, kiedy pytał, czy może dopracować mój portret. I za każdym razem, gdy je słyszałam, musiałam sobie przypominać, że mam odmówić.

– Mmm – mruknęła z domyślnym uśmiechem na ustach.

Spojrzałam na jej papierosa i Margie mi go podała. Zaciągnęłam się mocno, chcąc się uspokoić, i go zwróciłam.

– Ma narzeczoną. Skąd ci przyszło do głowy, że jestem nim zainteresowana? Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Bo jak o nim mówisz, masz coś takiego w oczach...

„Ma pani coś takiego w oczach...”. Zdziwiłam się.

– Powiedział dokładnie to samo. Kiedy mówił, że chciałby dokończyć

rysować mój portret.

Uniosła wyskubaną brew i znów zaciągnęła się papierosem, tym razem bez słowa. Nie musiała nic mówić.

Aby zmienić temat rozmowy, zerknęłam na zegarek.

– Muszę się zbierać. Ale najpierw chciałabym prosić cię o przysługę.

Opadła na oparcie ławki i spojrzała na mnie, przymrużywszy oczy.

– Ale nie chodzi o to, żebym poszła na randkę w ciemno zamiast ciebie? Ostatnim razem, kiedy to się zdarzyło, wylądowałam na Coney Island z niskim łysym facetem, który mówił tylko po rosyjsku i nazywał mnie Martzie.

– Wiem. Masz u mnie dług wdzięczności. Ta przysługa nie ma nic wspólnego z randkami w ciemno ani z Rosjanami, obiecuję. Chciałabym, żebyś wyszukała mi pewne nazwisko w archiwum prasowym. Harry Pratt. Może być artystą. Znalazłam na poddaszu kilka jego rysunków i wydaje mi się, że budynek szpitalny mógł kiedyś należeć do jego rodziny. Być może był kuzynem Prunelli J. Pratt, znalazłam w szafie suknię balową z takim napisem wyhaftowanym na metce.

– Prunella?

– Wiem. Niezbyt przyjemnie się to wymawia. Miałam ciotkę Prunellę. To imię widocznie było kiedyś popularne.

Margie po raz ostatni zaciągnęła się papierosem, a potem zdusiła niedopałek czubkiem buta.

– Całe szczęście, że już nie było, kiedyśmy się urodziły. – Wzdrygnęła się żartobliwie. – Dlaczego tak interesują cię Prattowie?

– Sama nie wiem. Może ze zwykłej ciekawości. Rysunki są tak dobre, że zastanawiam się, czy został znanym artystą.

– I? – spytała nagłaco. Margie była jedyną osobą na świecie, która знаła mnie na tyle dobrze, że wiedziała, kiedy powstrzymuję się z wyjawieniem czegoś.

– I myślę, że słyszałam już kiedyś nazwisko Pratt. Na początku na to nie wpadłam, ale potem przypomniałam sobie, jak stałyśmy z matką przed tym budynkiem, kiedy byłam mała. Chyba właśnie wtedy powiedziała, że to rezydencja Prattów.

– Ciekawe – uznała Margie, unosząc brwi. – Lubię przeszukiwać archiwa. Jeśli natrafię na coś interesującego, może nawet wybaczę ci tego Rosjanina.

– Jesteś kochana. Wiszę ci kolację.

– Dopiszę to do twojego rachunku.

Uściskałyśmy się i rozeszłyśmy każda w swoją stronę – ona z powrotem do biblioteki, a ja do szpitala. Staralam się zatopić w dźwiękach miasta, by nie słyszeć głosu Coopera odbijającego się echem w mojej głowie. „Ma pani coś takiego w oczach...”.

Zmierzałam właśnie do drzwi szpitala, kiedy usłyszałam, że ktoś mnie woła.

– Doktor Schuyler?

Poznałam miękki południowy akcent, więc zdążyłam się przygotować, nim się odwróciłam.

– Dzień dobry, panno Middleton. Mogę w czymś pomóc?

Miała na sobie elegancki bladoniebieski kostium pasujący do koloru oczu, dopasowana góra podkreślała wąską talię. Stylowy toczek z woalką był przymocowany na bakier nad starannie upiętym kokiem, a dopełnieniem stroju były śnieżnobiałe rękawiczki i jedwabne pończochy. Starłam się nie myśleć o własnych nagich nogach i dłoniach czy włosach potarganych w drodze z parku. Westchnęłam w duchu, przypominając sobie, że doktor Greeley zażyczył sobie, bym znalazła czas dla panny Middleton, doradziła jej, gdzie się stołować. I robić zakupy. Jakbym to ja mogła wiedzieć. Wątpię, abyśmy jadały czy ubierały się w tych samych przybytkach.

Jej niebieskie oczy pozostały lodowate, choć na ustach pojawił się uśmiech.

– Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać, jak kobieta z kobietą.

– Oczywiście – odparłam, starając się przypomnieć sobie nazwy tych wszystkich sklepów, które wymieniała Margie, opowiadając, gdzie będzie robić zakupy, kiedy wyjdzie bogato za męża. – Wejźmy do środka, tam jest chłodniej.

– Nie. Wolałabym nie. Chcę porozmawiać na osobności. Może przespacerujemy się do następnej przecznicy?

Zerknęłam na zegarek, nawet nie starając się ukryć zniecierpliwienia. Niektóre kobiety nie wiodą próżniaczego życia i dlatego muszą na co dzień żyć z zegarkiem w ręku.

– Dobrze, ale trochę się spieszę. Muszę wracać na dyżur.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Bez obawy. To, co mam do powiedzenia, nie zajmie dużo czasu.

Starając się ukryć niechęć, podeszłam do niej, a ona natychmiast ujęła mnie pod ramię. Zaczęłyśmy iść w tym samym kierunku, z którego przyszłam. Przyciskała mój bok do siebie, jakby się bała, że mogę próbować uciec.

– Śliczny dzień, prawda? – spytała, gdy szliśmy spacerowym krokiem po chodniku.

– Trochę za gorąco – odparłam, zastanawiając się, dlaczego marnuje mój czas na rozmowę o pogodzie.

– Nie dla tych, którzy pochodzą z Charleston. Latem jest tam taki upał i wilgoć, że powietrze przypomina mokry koc zdjęty z rozgrzanego pieca. Trzeba trochę czasu, by do tego przywyknąć, jeśli nie jest się stamtąd jak Cooper i ja. Urodziliśmy się i wychowaliśmy w Charleston. Nawiasem mówiąc, moja rodzina mieszka w Charleston od ponad dwustu lat, to jest coś, prawda? Od czasów rewolucji mieliśmy plantację bawełny nad rzeką Waccamaw, w hrabstwie Georgetown, co oznacza, że mamy sporo powiązań rodzinnych. Ważnych powiązań, które mogą stworzyć albo zniszczyć galerię sztuki, albo nawet artystę.

Przerwała na chwilę, by wsunąć pasmo włosów pod toczek.

– Czy Cooper mówił pani, że znamy się od kołyski? Mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego. A nasze rodziny posiadają nawet obok siebie domy letnie w Edisto.

Szłyśmy dalej, ale w miarę jak mówiła, byłam coraz mniej świadoma otoczenia, bo zrozumienie sączyło się przeze mnie jak woda przez piasek.

– Cooper i ja jesteśmy ludźmi tego samego pokroju, Kate. Mogę mówić ci Kate?

Pokiwałam w milczeniu głową.

– Bo widzisz, Kate, najlepsze małżeństwa to te, które zawierają ludzie z tego samego świata. Dobrze się rozumieją. – Odwróciła ku mnie twarz, a jej oczy wyglądały, jakby wyblakły od słońca. – Dlatego wiem, że Cooper i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. – Przyłożyła szczupłą dłoń w rękawiczce do serca. – Oczywiście ważne jest też to, że on szaleje za mną, a ja za nim.

Przystanąłam tak gwałtownie, że aż wpadł na mnie starszy pan w zniszczonym brązowym garniturze, cuchnący dymem z fajki. Burknął coś pod nosem, mijając mnie, ale byłam zbyt skoncentrowana na doskonałej twarzy Caroline, by się tym przejąć.

– W takim razie dlaczego nie przyjechałaś? Mogłaś przyjechać od razu, kiedy się dowiedziałas, że Cooper tu jest. Ale zwlekałaś.

Jej twarz wyglądała jak wykuta z marmuru, a skóra wydawała się bezkrwista. Domyśliłam się odpowiedzi, jeszcze nim się odezwała, bo się zawahała i patrzyła w bok.

– Bo napisałaś w liście... – odezwała się i zamilkła. – Bo istniała możliwość, że straci nogę, a ja nie zniósłabym tego widoku. Ujrzyć go... jako niepełnosprawnej mężczyźnę.

Patrzyłam na nią oniemiała, bo nie wiedziałam, co teraz miałabym powiedzieć. Pociągnęła mnie za rękę i ruszyłyśmy z powrotem tą samą drogą.

– Jego matka nigdy nie podróżuje, ale poprosiła mnie, żebym pojechała. Już się spakowałam i szykowałam do wyjazdu, kiedy nadszedł twój drugi list, z informacją, że nogę udało się uratować. A więc, jak widzisz, i tak miałam przyjechać.

Bo poprosiła cię o to jego matka. Nie było sensu spierać się o rzecz oczywistą, więc zmilczałam. To nie moje sprawy. Kapitan Ravenel jest tylko moim pacjentem. Pacjentem, któremu udało się ocalić nogę i który na zawsze zniknie z mojego życia w najbliższych tygodniach.

Przed wejściem do szpitala przystanęłyśmy. Szybko wyswobodziłam rękę z jej uścisku.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Uśmiechnęła się jak ciepła matka zwracająca się do krnąbrnego dziecka.

– Bo nie chcę, żebyś została zraniona. Widzę, jak patrzysz na Coopera, i chcę, byś zrozumiała, że nie jesteś ulepiona z tej samej gliny. Jest ci wdzięczny za to, że pomogłaś uratować jego nogę, a może nawet mu się wydaje, że się troszeczkę w tobie zabujał z tego powodu, ale to długo nie potrwa. Kiedy tylko znajdzie się w Charleston, wszystko wróci do normy i całkiem o tobie zapomni. Po prostu chciałam, byś o tym wiedziała.

Poczułam uderzenie gorąca na twarzy.

– Chyba coś się pani przywidziało, panno Middleton.

– Czyżby?

Uśmiechnęła się promiennie, a ja zauważyłam, że ma szczerbę między przednimi zębami. Z jakichś powodów ta mała niedoskonałość przyniosła mi ulgę. Jakby to w ogóle miało jakieś znaczenie.

– Jestem już spóźniona – powiedziałam, próbując ją wyminąć.

Złapała mnie za rękaw.

– Bierzemy ślub dziesiątego listopada, a ja będę miała na sobie welon ślubny jego matki. Zamówiliśmy już ozdobne zaproszenia.

Wyrwałam rękę i gwałtownie otworzyłam drzwi. Miałam ochotę odwrócić się i spytać, dlaczego nie powiedziała, że go kocha i że on kocha ją, ale tego nie zrobiłam. Nie zrobiłam tego, bo bałam się, że emocje, które są we mnie, nie są skutkiem niedowierzania, lecz nadziei.

Siedziałam przy biurku doktora Greeleya z zaczerwienionymi oczami i miałam szaloną ochotę na papierosa. Mój ojciec bardzo dużo palił i chociaż nikt nigdy nie stwierdził, że miało to związek z jego śmiercią z powodu raka płuc, ja nie byłam do końca o tym przekonana. Co nie znaczyło, że nie marzę o papierosie.

Doktor Greeley był teraz pewnie w domu, w swoim wygodnym łóżku, dzięki czemu wreszcie przez cały wieczór nie musiałam skradać się na palcach przed każdym zakrętem korytarza. Zostawił stertę kart i raportów, by zapewnić mi bezsenną noc. Skrzywiłam się, widząc pełną popielniczkę w rogu biurka, po czym wyrzuciłam niedopałki do kosza na śmieci.

Od czasu słownej utarczki z Caroline Middleton bolała mnie głowa. Minęła prawie godzina, nim szok i zażenowanie zamieniły się w słuszny gniew. Jak ona śmiała? Co za bezczelność! Jestem lekarką. To naturalne, że między lekarzem a pacjentem rodzi się pewna bliskość. To nieuniknione. Ale ja zawsze jestem przede wszystkim profesjonalistką. Osobą, która leczy. A nie kobietą polującą na męża, gotową ukraść narzeczonego innej kobiecie. Na pewno nie poszłam na studia medyczne po to, by złapać męża. Przycisnęłam przeguby do pulsujących skroni, żałując, że nie pomyślałam o zażyciu aspiryny, nim weszłam do tego dusznego biura.

Położyłam kolejną teczkę na skraju biurka i właśnie miałam zrobić sobie przerwę, żeby poszukać aspiryny, kiedy do drzwi zapukała siostra Hathaway.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani doktor, ale kapitana Ravenela znów dręczą zmyły.

– Oczywiście, już idę – powiedziałam, wstając i obciągając spódnice.

Po tej okropnej rozmowie z Caroline Middleton przyrzekłam sobie, że nie ujrzę więcej kapitana Ravenela, by jej udowodnić, że potrafię zachować dystans. I jeśli mam być szczerą, udowodnić to samej sobie. Jednak byłam lekarką na dyżurze, a on pacjentem. Nie mogłam odmówić.

– To nie potrwa długo – powiedziałam, mijając pielęgniarkę. – Jeśli ktoś będzie mnie potrzebował, ale niekoniecznie natychmiast, powiedz, że zaraz wrócę.

Kiedy dotarłam na ostatni podest, usłyszałam krzyki Coopera i pospiesznie weszłam do pokoju na poddaszu. Od razu uderzył mnie ostry zapach strachu bijący od rzucającej się na łóżku postaci. Lampka obok była zapalona, żarówka migiała jak projektor kinowy. Pościel zsunęła się na podłogę, odsłaniając biały nagi tors kapitana, który miał na sobie tylko bladoniebieskie spodnie od piżamy. Bez wątplenia prezent od narzeczonej.

Jego ciało lśniło od potu, rzucał głową po poduszce, wymachiwał rękami w stronę niewidzialnego wroga.

– Padnij, cholera! Padnij! – Głos miał schrypnięty, jakby od wielu godzin był w wirze walki.

Usiadłam na skraju łóżka.

– Kapitanie Ravenel?

Znów zaczął się miotać, więc musiałam wstać, by uniknąć nieumyślnego ciosu albo kopniaka.

– Nie, nie, nie!

Głos mu się załamał, skulił ramiona i przez chwilę byłam z nim na przyczółku, do połowy zanurzona w słonej wodzie, otoczona przez fale zabarwione na czerwono krwią moich towarzyszy broni.

– Cooper? – powiedziałam cicho, chciałam go wyprowadzić z tych ciemnych miejsc, w które wtrącały go koszmary.

– Victorine?

Ujęłam jego dłoń.

– Tak. To ja. Victorine. Już jesteś bezpieczny. Już nie musisz walczyć.

Oczy miał wprawdzie otwarte, ale wiedziałam, że mnie nie widzi, kiedy wyciągnął drugą rękę i pogładził moją twarz koniuszkami palców, łagodnie, jakby musnęły ją skrzydła motyla.

– Victorine – powiedział, a ręka mu opadła i chwycił moją wolną dłoń. Głos miał cichszy.

– Tak. Teraz zaśnij. Nikt cię nie skrzywdzi.

– Zostań – wyszeptał, zamykając oczy.

Słowa same wyszły z moich ust, zanim zdążyłam je powstrzymać.

– Zostanę. Tak długo, jak będziesz mnie potrzebował. Zostanę.

Począł oddychać powoli i miarowo, mocno trzymał moje dłonie. Tylko kilka minut, pomyślałam. Odczekam chwilę, aż zapadnie w głęboki sen, a wtedy wyjdę. Nadal trzymając go za ręce, znalazłam na zagłówku wygodne miejsce do oparcia i przeniosłam nogi na łóżko. Zostawiłam włączoną lampkę i zaczęłam znów liczyć kasetony na suficie, starając się nie zwracać uwagi na opadające powieki. Tylko na minutkę, powiedziałam sobie, kiedy wreszcie pozwoliłam im się zamknąć.

Kiedy znów je otworzyłam, pokój wyglądał jak zanurzony w czarnym atramencie. Ciepłe ciało przyciskało się do moich pleców, ciężkie ramię przygniatało mnie do łóżka. Zdezorientowana, przewróciłam się na plecy, a ciało za mną się przesunęło. Zamrugałam, czekając, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Ujrzałam nad sobą zarys głowy Coopera.

Już miałam zamknąć oczy i ponownie zapaść w sen, kiedy nagle poraziła mnie świadomość, gdzie jestem i z kim. Próbowałam wstać, ale zatrzymała mnie silna ręka, która spoczęła na moim ramieniu.

– Nie martw się. Nie spałeś zbyt długo. – Wyczułam, że się uśmiecha.

Znów próbowałam wstać, ale mnie zatrzymał.

– Jeszcze nie świta. Nie musisz iść.

– Oczywiście, że muszę. Nie powinno mnie tu w ogóle być.

– To twój pokój. Czuję się winny, że cię stąd wykopałem.

– Dobrze wiesz, że nie to miałam na myśli. Nie powinno mnie tu być. Z tobą.

Poza tym nie masz na sobie koszuli.

– Zauważyłaś?

Czułam ciepło jego skóry, jego tors był tak blisko, że gdybym się trochę nachyliła, mogłabym przycisnąć usta do miękkiej skóry jego szyi. Nie. Szarpnęłam się do tyłu, ale on trzymał mnie mocno.

– Chciałbym jedynie ci podziękować. Wiem, że to nie pierwszy raz, kiedy przychodzisz do mnie, kiedy mam koszmary senne. Siostra Hathaway powiedziała, że tylko ty potrafisz mnie uspokoić.

Odprężyłam się i położyłam głowę na poduszce. Melodia samogłosek wypowiedzianych śpiwnie w ciemnym pokoju działała na mnie uspokajająco.

– Nie wiedziałam, że mnie poznawałeś. Zawsze wzywałeś Victorine.

– Moją muzę.

– Chyba raczej muzę Maneta.

Jego twarz zawisła nad moją.

– Nie, moją. Odkąd po raz pierwszy ujrzałem miniaturę, ciemnowłosa, zielonooka piękność z portretu została moją muzą. Nazwałem ją Victorine. – Poglądził łagodnie moją szyję czubkami palców, potem wziął w nie ciężki rubin. – Skąd to masz, Kate?

Powinnam już iść. Było jednak coś niezmiernie w tym pokoju i letniej

nocy, w upale, w którym moje ciało prawie omdlało. Jego głos mnie hipnotyzował, poczułam się, jakbym była zawieszona w ciemności, gdzie nie istniał poranek, wojna ani narzeczone. I gdzie moje aspiracje zawodowe wydawały się bardzo odległe. Położyłam palce na jego dłoni i było tak, jakby znał mój dotyk, a ja jego.

Nie! Słowo to zabrzmiało tak głośno w mojej głowie, jakbym je wykrzyczała. Spróbowałam się podnieść, ale mnie zatrzymał.

– Nie odchodź. Proszę. Wiem, że poczułaś tę więź między nami. Nie potrafię jej wytłumaczyć. Wyglądasz dokładnie jak kobieta z miniaturowej, kobieta, którą zawsze nazywałam swoją Victorine. I nosisz jej rubinowy naszyjnik.

– Może on nie jest taki sam.

– Kate. Przestań. Oboje wiemy, że to ten sam. Zostań, proszę. Jeszcze trochę. I powiedz mi, skąd go masz.

Znów się położyłam, niezdolna odejść od niego, choć wiedziałam, że powinnam. On też się położył, nasze twarze znalazły się w odległości paru centymetrów. Wzięłam głęboki wdech i poczułam bijący z poduszki zapach detergentu oraz ekscytujący zapach mężczyzny, potu, jego zapach.

– Należał do mojej babki, a potem do matki. Dostałam go po jej śmierci. Nigdy go nie nosiła, choć kilka razy, gdy byłam małą dziewczynką, widziałam, jak wyjmowała go z pudełka na biżuterię i na chwilę wkładała. Ale nigdy nie nosiła go poza domem.

Obrócił kamień i zważył w dłoni, muskając przy tym lekko moją szyję. Czułam się, jakby lizały ją małe płomyczki.

– To spory kamień, pewnie ma dużą wartość.

– Nie zastanawiałam się nad tym, dopóki nie pokazałam go mojej przyjaciółce Margie, która przechowuje ten naszyjnik u siebie w mieszkaniu. Powiedziała to samo co ty i uznałyśmy, że coś tu się nie zgadza. Bo moja babcia była żoną piekarza. Trudno pojąć, skąd mógł wziąć się u niej tak drogi i piękny drobiazg.

Delikatnie położył klejnot na mojej szyi i objął mnie w talii, jakby tam było miejsce jego ręki. Milczał przez długą chwilę, zaczęłam się zastanawiać, czy nie zapadł znów w sen.

– Co teraz zrobimy, Kate?

Przez chwilę miałam wrażenie, jakby rubin miażdżył mi klatkę piersiową, wyciskał powietrze z płuc i po raz drugi, od kiedy poznałam kapitana Coopera Ravenela, poczułam się nagle czegoś pozbawiona.

Przełknęłam ślinę.

– Doleczysz się, a potem wyjedziesz, wrócisz do domu w Charleston, gdzie w listopadzie poślubisz pannę Middleton, i zapomnisz o mnie. A ja będę nadal opiekować się rannymi żołnierzami, których wojna będzie wypluwać, dopóki nie zabraknie jej mięsa armatniego. Mam nadzieję, że zostanę możliwie jak najlepszą

lekarką i że będę praktykować medycynę tak długo, aż będę na to zbyt stara.

Starałam się, żeby brzmiało to żartobliwie i nonszalancko, ale zacięłam się na ostatnich słowach, jakbym wyobraziła sobie, że Cooper widzi ponurą wizję, którą odmalowałam dla nas obojga.

– Więc pozwól mi dokończyć portret, żebym cię nie zapomniał. Ale chcę, żebyś miała na sobie ten naszyjnik. Zrobisz to dla mnie? Jako prezent pożegnalny?

Odsunęłam się i usiadłam na skraju łóżka, odwrócona do niego plecami. Powinnam powiedzieć: nie. Powinnam wstać i wyjść z pokoju bez słowa. Ale rubin ciążył mi na szyi, jakby uwięzły w nim wszystkie pytania bez odpowiedzi. Cooper wyjedzie za dwa tygodnie i nigdy go już nie zobaczę. To doprawdy drobiazg – pozwolić mu się narysować w naszyjniku babki na szyi. Stosowne pożegnanie.

– Tak – powiedziałam, nie oglądając się. – Pozwolę ci dokończyć rysunek i włożę naszyjnik. – Podeszłam do drzwi.

– Kate?

Obróciłam gałkę.

– Też to czujesz, prawda? Więź, która jest między nami.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie własną twarz na miniaturze oraz to, jak się poczułam, kiedy pierwszy raz ujrzałam Coopera, gdy w ulewnym deszczu wyciągano go na noszach z ambulansu. Ale on był przyrzeczony innej kobiecie, a nasze drogi życiowe nie mogły się skrzyżować.

– Dobranoc, Cooper.

Zamknęłam za sobą drzwi z cichym trzaskiem, zanim zmusiłby mnie do odpowiedzi.

Olive

Tory kolejowe New York Central ciągnęły się jak szrama przez całą długość Czwartej Alei, a gdy się przeszło po jednym ze stalowych wiaduktów nad tą brudną przepaścią, wkraczało się do innego świata.

No, może przejście nie było aż tak dramatyczne. W końcu nikt nie chciał mieszkać w pobliżu cuchnącej i zadymionej linii kolejowej, więc po przekroczeniu Madison Avenue domów było coraz mniej. Jednakże mieszkający po zachodniej stronie torów mieli pewne aspiracje do elegancji. Było od nich widać rezydencje stojące wokół Piątej Alei. Mijali te pałace z wapiennymi fasadami w drodze na poranny spacer w Central Parku i przy wielu okazjach spotykali zamożniejszych sąsiadów.

Jednak tak jak stare angielskie murki oddzielają od siebie pastwiska, tak też wiadukt kolejowy przy Czwartej Alei doskonale separował wyższą klasę od klasy średniej. Po wschodniej stronie mieszkali szanowani profesjonaliści, rzemieślnicy i sklepikarze łaknący świeżego powietrza, którego nie można było znaleźć aż tyle dalej na południu. I właśnie tutaj, w wąskim i starannie utrzymanym domu przy Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy, między Lexington a Trzecią Aleją, mieszkała matka Olive i trzech lokatorów w pokojach na górze, z których jeden w dawnych dziewczęcych latach należał do Olive.

Kiedy w wolne popołudnia Olive wchodziła po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych, zawsze przypominało jej się, jak bardzo ojciec gardził tym domem, który Van Alanowie kupili na początku małżeństwa, kiedy jeszcze był ambitnym kreślarkiem w firmie McKim, Mead i White. Nie podobały mu się proporcje wąskiego budynku, jego tania konstrukcja oraz brudnobrazowy kamień pokrywający fasadę. Ojciec mówił Olive, że kiedy zostanie zakończona budowa rezydencji Prattów, kupi im piękny duży dom po drugiej stronie Czwartej Alei, tej właściwej stronie, dom ze szlachetną fasadą z białego wapienia i z odpowiednim ogrodem na tyłach. A kiedy bogaci znajomi Prattów zobaczą, jak piękna jest ich rezydencja, zaczną napływać nowe zlecenia, a wtedy rodzina Van Alanów będzie mogła sobie pozwolić na dwie pokojówki – na parterze i na piętrze, wyszkoloną kucharkę i gospodynię, a nawet na własny powóz. Van Alanowie zajmą należne im miejsce wśród przedstawicieli tej samej socjety, która go zatrudniała. Takie było marzenie ojca.

To marzenie oczywiście nigdy się nie urzeczywistni. Dlatego dla Olive, która wracała co tydzień z pełnej przepychu rezydencji Prattów, brązowa barwa kamiennej fasady jej domu stała się synonimem rozczarowania. Już na sam jej

widok, gdy skręciła zza rogu ulicy, nogi miała ciężkie jak ołów. Krok po kroku wlokła się w górę po schodach, jak gdyby wchodziła do więzienia.

Jednak dzisiaj, w dzień Bożego Narodzenia, Olive nie wspinała się mozolnie po tych schodach. Pokonała je w podskokach. Jej serce też biło radośnie. Była wprawdzie obolała i zmęczona, ale również zbyt rozradowana, by zwracać uwagę na brzydki kolor fasady. Kiedy zastukała kołatką, po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że marzenie ojca chyba z natury było nieziszczalne. Że nie można wkroczyć na salony tylko dlatego, że się je zaprojektowało. A jeśli nawet komuś się uda, może się okazać, że to go wcale nie uszczęśliwi. Bo nie chodzi o samo piękno domu, lecz o urodę tego, co jest w środku.

Urodę tego, *kto* jest w środku.

Rok po śmierci Van Alana na parterze nie było pokojówki, która by otworzyła drzwi w bożonarodzeniowy świąteczny dzień. Uchyliła je matka Olive, starannie ubrana w modną ongiś aksamitną suknię w kolorze bordowym.

– Wesołych świąt! – zawołała radośnie Olive, szybko się pochylając, by ucałować matkę w policzek.

Zrobiła to głównie po to, by ukryć swój rumieniec i nie patrzeć matce w twarz. Matka zawsze umiała przejrzeć na wskroś niewinną minkę Olive i odkryć jej wszystkie grzeszki.

Grzeszki, które teraz wydawały się absurdalnie błahe w porównaniu z tym, co Olive zrobiła zeszłej nocy.

– Wesołych świąt, kochanie – powiedziała pani Van Alan, nieco zdziwiona.
– Wejdz do salonu. Tak zimno na dworze. Dołożyłam do ognia, jest ciepło i miło.

Jeśli to ma być ciepło i miło, pomyślała Olive, to jak było, zanim matka dołożyła do ognia? Rozmotała ciepły szal i zdjęła wełniany płaszcz. Wydawało jej się, jakby rubin ukryty pod zwykłą szarą sukienką lśnił na jej piersi. Nim matka wzięła od niej okrycie, Olive sięgnęła do kieszeni.

– Proszę. Każdy z nas dostał taki upominek z okazji świąt.

Pani Van Alan popatrzyła na pieniądze w ręku Olive.

– Dziesięć dolarów? – spytała z przejęciem.

– Weź je. I tak nie mam na co ich wydać.

Matka popatrzyła na pieniądze z wahaniem, a potem podeszła do małego orzechowego sekretarzyka w rogu, zaludnionego przez jej ulubione figurki porcelanowych pasteczek z kilkoma zamyślonymi owieczkami planującymi ucieczkę (a przynajmniej tak zawsze wyobrażała sobie Olive). Wysunęła jedną z szufladek i schowała dziesięciodolarowy banknot w skórzanym portfelu, a wszystko to bez słowa. Jednak spuszczone głowa i cała jej postawa wyrażały bolesną wdzięczność, jakby była zbyt zażenowana, by podziękować wprost.

Olive patrzyła na delikatny biały kark matki, schylony z upokorzenia, i niewielka część jej radosnego nastroju pierzchła.

Wreszcie pani Van Alan odwróciła się od sekretarzyka i poprawiła wełniany szal na ramionach.

– Czy miałaś miłą Wigilię? – spytała z fałszywą werwą.

– Wigilię? O tak, dziękuję.

– Mam nadzieję, że nie kazali ci pracować do późna.

– Pracować? Nie.

– Bo wyglądasz jakoś inaczej. – Pani Van Alan podeszła szybko – salonik był mały – i ujęła Olive za ręce. – Chyba nie jesteś chora? Czy nie są wobec ciebie okrutni?

– Nie, nie.

Olive odwróciła wzrok i spojrzała na zdjęcia w ramach stojące na kominku. Największa fotografia w samym środku przedstawiała ojca. Wyglądał bardzo młodo i przystojnie w odprasowanym czarnym garniturze, ze starannie przystrzyżoną bródką. Zawsze wyglądał młodo jak na swój wiek, tryskał energią i entuzjazmem. Nawet z sepiowej fotografii biła od niego charyzma. Trochę jak od Harry’ego. Nawet na samo wspomnienie Harry’ego budziło się w Olive uczucie uwielbienia.

Pani Van Alan przyłożyła dłoń do czoła córki.

– Jesteś rozpalona. Czy ty aby nie masz gorączki?

– Oczywiście, że nie! – Olive cofnęła się o krok. – Po prostu pędziłam do ciebie.

Matka nic nie odpowiedziała, a Olive odniosła dziwne wrażenie, że spokojne spojrzenie brązowych oczu matki dotyka jej skóry, wchodzi w nią, wydobywa ukrytą wewnątrz prawdę.

Że Olive jest zakochana.

Że Olive – bezwstydną, cudowną Olive – zległa ze swoim kochankiem w bożonarodzeniowy poranek.

Że nadal go czuje w różnych zagłębieniach ciała, na każdym skrawku skóry, na każdej wypukłości. Jakby miała go teraz w środku.

Dobrze znana historia, służąca i panicz. Ale tym razem było inaczej, prawda? To Olive pocałowała Harry’ego pierwsza, Olive położyła jego dłoń na swojej ciepłej piersi. Nie była ignorantką. Miała dostęp do wszystkich książek ojca, nawet do tych, które nie były przeznaczone dla młodych panienek, więc wiedziała, co nastąpi. Spodziewała się, że będzie bolało – i tak się stało – ale wiedziała, że czeka ją też przyjemność, że ona może ją dać Harry’emu, a on jej, oraz że być może już nigdy nie będzie miała takiej okazji. Może żyć sto lat i już nigdy nie połączyć się z drugą istotą ludzką w ten doskonały, prymitywny sposób, w jaki mogła połączyć się z Harrym. Jakby rozumieli się lepiej bez pośrednictwa języka.

A więc zebrała się na odwagę i położyła ręce Harry’ego na swojej skórze, a kiedy spytał, czy jest absolutnie pewna, odszepnęła, że tak. Przygotowała się na

brutalny moment, ale Harry wcale nie zrobił tego brutalnie, był czuły i wdzięczny, i rozkochany, a potem trzymał ją tak blisko, że miała wrażenie, jakby ich tętnice biły w jednym rytmie i że osiągnęli taki rodzaj zjednoczenia, który da im nieśmiertelność.

Potem o niczym już nie myślała, dopóki Harry nie obudził jej pocałunkiem tuż przed świtem, pomógł jej się umyć i ubrać. Jego tors był wciąż nagi, położyła na nim w zdumieniu dłoń. Zaśmiał się cicho, przyglądał jej włosy i powiedział, żeby się nie wstydziła i że może dotykać go wszędzie, gdzie chce. Należy teraz do niej, tak jak Adam należał do Ewy.

Potem wymknęła się z powrotem do swojej zimnej sypialni w kwaterach dla służby, próbując pojąć tę myśl. Próbując zrozumieć, co właśnie zrobiła. Ten występki, którego się dopuściła, grzech, który wydawał jej się przeciwieństwem grzechu.

– Byłby przerażony, gdyby cię teraz zobaczył – powiedziała pani Van Alan. Olive przeniosła szybko wzrok na matkę.

– Przerażony?

Pani Van Alan patrzyła na fotografię męża.

– Tak. Gdyby zobaczył, że jesteś służącą tej rodziny, że pędzisz na każde zawołanie. Że zaspokajasz ich potrzeby.

Czy tak się Olive tylko zdawało, czy na słowa „zaspokajasz ich potrzeby” został położony szczególny nacisk?

– Tylko po to, by znaleźć sprawiedliwość dla taty – odparła Olive.

– Tego akurat najmniej by sobie życzył. – Pani Van Alan pokręciła głową, wprawiając w ruch kolczyki, które musnęły ciemne pasma jej włosów, zebrane w węzeł, który Olive знаła od zawsze. – Pragnąłby dla ciebie lepszego życia. Żebyś znalazła męża i założyła rodzinę.

– A jeśli ja tego nie chcę? – spytała śmiało Olive, nagle uświadomiwszy sobie, że dzisiejszego ranka bielizna ociera się o wrażliwą skórę między nogami zupełnie inaczej niż dotychczas.

– Olive! Nie mów takich rzeczy. Przecież wcale tak nie myślisz.

– Ależ myślę. Chcę być wolna. Chcę być niezależna i móc wybrać, kogo będę kochać.

– Olive!

Jej imię odbiło się dźwięcznym echem, poruszyło porcelanę, wprawiając w drżenie zszokowane pastereczki i ich owieczki. Olive wbiła stopę w środek wytartego dywanu i odpowiedziała srogą miną na przerażone spojrzenie matki. Ale wcale nie czuła się zła. Czuła się tak jak poprzedniej nocy: jakby wreszcie mówiła prawdę. Zrzucała kajdany. Rozważała coś niemożliwego.

A jeśli naprawdę pojechałaby z Harrym do Europy? Jeśli zamieszkałaby razem we Florencji, kpiąc sobie z konwenansów, powtarzali ten dziwny i cudowny

akt tak często, jak tylko by chcieli, a rześiste promienie włoskiego słońca spływałyby na nich jak błogosławieństwo?

Włochy. Gdzie nikt nie wiedział, kim ona jest. Gdzie Harry mógłby się nigdy nie dowiedzieć, dlaczego zamieszkała w domu przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy.

– Wczoraj przyszła do ciebie paczka – powiedziała pani Van Alan.

– Paczka! – Serce Olive drgnęło.

Matka odwróciła się do sekretarzyka, a Olive dopiero teraz zauważyła owiniętą w brązowy papier paczuszkę leżącą wśród porcelanowych pasterek.

– Od pana Jungmanna.

– Pana Jungmanna – powtórzyła Olive. Serce wróciło na swoje miejsce. – To znaczy tego sklepikarza?

– Cóż za miły człowiek. Pamiętasz, jak przedstawiłaś nas sobie po nabożeństwie w zeszłym miesiącu? Jest dla mnie bardzo uprzejmy. Odwiedza mnie co tydzień, by sprawdzić, czy czegoś mi nie trzeba. Kilka dni temu odetkał rurę w kuchni. Dobrze, jak mężczyzna potrafi coś naprawić, prawda? – Podała córce paczuszkę. – I myślę, że jest całkiem przystojny.

Olive patrzyła tępo na brązowy pakunek w swoich rękach i starała się sobie przypomnieć, kiedy widziała pana Jungmanna w kościele. Tak, to możliwe. Zawsze chodzi z matką na nabożeństwo o dziewiątej rano do kościoła pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego, podczas gdy Prattowie udają się do modnego kościoła pod wezwaniem Świętego Jakuba przy Madison Avenue.

– Może i tak.

– No otwórz.

Teraz już sobie przypomniwała. Trochę się zdziwiła, widząc pana Jungmanna w kościele, bo wcześniej nie zauważyła go na żadnym nabożeństwie. Był bardzo przyjazny, czerwony na twarzy i przywitał jej matkę z czcią, jaką akolita mógłby okazać Maryi Pannie. Wygłosił wiele miłych słów na temat Olive i rozstał się z nimi, złożony staroświecki, formalny ukłon. A Olive wróciła do swoich obowiązków w rezydencji Prattów i zupełnie zapomniała o tym spotkaniu.

Jednak pan Jungmann najwyraźniej nie zapomniał.

Olive rozwiązała sznurek i zdjęła papier owinięty starannie wokół podłużnego pudełka.

– Nooo, proszę – powiedziała pani Van Alan.

– To tylko pudełko, mamó.

– Kochanie, najlepsze rzeczy dostaje się w pudełkach. No dalej.

Olive otworzyła pudełko i odwinęła bibułę, odsłaniając ozdobną srebrną szcztokę do włosów, pięknie wykonaną, z włosiem tak białym, że było niemal niewidoczne w oprawie.

– Nie mogę tego przyjąć! – zachnęła się Olive.

– Ojej, Olive... – Matka aż westchnęła z podziwu. – Jaka piękna!

– To przesada! Prezent jest... zbyt osobisty. – Odłożyła pudełko, jakby ją parzyło. – I o wiele za drogi. Tak nie wypada.

Pani Van Alan chwyciła pudełko i odwinęła szczotkę z bibułki. Trzymała ją z pietyzmem, obracała w dłoni, z podziwem wodząc palcem po zdobieniach.

– Nie bądź niemądra, Olive. On jest w tobie zakochany.

– Ale ja tego wcale nie chcę! Zresztą nigdy nie próbowałam zawrócić mu w głowie. I nie mogę odwzajemnić jego uczuć.

Pani Van Alan odwróciła się gwałtownie do córki.

– Niby dlaczego? Uważasz, że nie jest ciebie godzien?

– Nie o to chodzi...

– Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mamy środków do życia? Jesteśmy nędzarkami. Długi twojego ojca... – Zacisnęła usta i pokręciła głową. – Pieniądze z wynajmu z trudem starczą na utrzymanie domu. Co miesiąc ledwie wiążę koniec z końcem. Nie mam już kredytu u rzeźnika. Musiałam sprzedać wszystkie porządne ubrania, całe srebro, biżuterię, oprócz tych kolczyków. Ostatnia rzecz, jaka mi została z prezentów od twojego ojca. – Jej oczy błyszczały. – Teraz będę musiała sprzedać dom i zamieszkać w jakiejś brudnej czynszówce...

Olive przestała słuchać, bo właśnie skupiła uwagę na tych kolczykach w uszach matki, które ta wkładała tylko na specjalne okazje, w czasie świąt i do kościoła. Były to rubinowe kolczyki w delikatnej złotej oprawie. Mały okrągły rubin był na górze, a większy, w kształcie łezki, zwisał niżej.

Kamień miał dokładnie ten sam kształt i był tak samo oprawiony jak rubin, który wisiał teraz między piersiami Olive.

Pani Van Alan podała herbatę i ciasto z brandy, które Olive żuła z obowiązku, bo nawet nie czuła jego smaku. Odpowiadała jak automat na pytania matki, ale potem nie pamiętała ani jednego słowa z tej wymiany zdań. O wpół do czwartej zerknęła na zegarek i powiedziała, że powinna już iść. Musi wrócić na Sześćdziesiątą Dziewiątą przed czwartą, by zacząć nakrywać do świątecznej kolacji.

– Nie możesz zaczekać jeszcze parę minut? – spytała pani Van Alan. – Pan Jungmann obiecał wpaść dziś po południu.

– W takim razie powinnam wyjść natychmiast.

Łagodna, zamyślona twarz matki stwardniała.

– Nie bądź głupia, Olive. Posłuchaj, co wygadujesz! Pędzisz, by podać świąteczną kolację ludziom, którzy zamordowali twojego ojca, kiedy...

– Nie zamordowali taty! – odpaliła Olive, a potem ku własnemu zaskoczeniu dodała: – W każdym razie nie wszyscy.

– Och. – Pani Van Alan powiodła palcem po brzegu talerza, z tej gorszej porcelany, bo lepszy serwis został sprzedany ostatniej wiosny. – Och, rozumiem.

Teraz już wszystko rozumiem. Wciągnęli cię, co? Uwiedli bogactwem i przepychem, zupełnie jak twojego ojca. Teraz cię połkną, przetrawią i wyplują...

Olive wstała od stołu.

– To nieprawda!

– Nic nie mamy, Olive. Jesteśmy niczym za sprawą... tych złych ludzi. Masz szansę, jedyną szansę, stara się o ciebie miły i przyzwoity mężczyzna, który prowadzi dobrze prosperujący interes...

– Skąd masz te kolczyki, mamó?

Pani Van Alan zamrugła i dotknęła palcem prawego ucha.

– Te? Oczywiście od twojego ojca.

– Wiem. Ale kiedy je dostałaś?

– Na ostatnie Boże Narodzenie. – W jej ciemnych oczach znowu zabłyśły łzy. – Zapłacił za nie z pierwszej raty, jaką dostał od Prattów. Oczywiście nic nie zostało na dom. Twój ojciec nigdy nie myślał o cenach węgla. Po co kupować węgiel, skoro można kupić piękne cacko. – Głos jej zadrżał. Położyła ręce na kolanach i wpatrzyła się w ledwie tłący się ogień w kominku, żałośnie małą kupkę marnego węgla.

– To dlaczego się ich nie pozbyłaś? – spytała okrutnie Olive.

– Bo mi go przypominają. One są dokładnie takie jak twój ojciec. Marzący o wielkich rzeczach. – Przerwała, składając kilkakrotnie serwetkę na bordowym aksamicie zniszczonej sukni. Kiedy znów się odezwała, mówiła łagodnym tonem. – Tak go kochałam. I kiedy je noszę, wydaje mi się...

– Tak?

– Że on wciąż tu jest – wyszeptła pani Van Alan. – A w każdym razie jakiś skrawek jego duszy tuż przy mojej głowie szepcze mi do ucha... Skrawek jego pięknej duszy.

Olive opadła na oparcie krzesła i pochyliła głowę nad niedopitą herbata. Poczula charakterystyczny zapach Cejlonu, ulubionego gatunku mamy. Ta herbata kosztowała pewnie więcej niż węgiel, ale najwyraźniej matka nie potrafiła z niej zrezygnować. Herbata i rubiny.

Okropnie jest tak podupać. Patrząc, jak ekstrawaganckie marzenia obracają się w proch na dywanie zimnego wąskiego saloniku. Ulubione rzeczy po kolei znikają, a wreszcie nic z ciebie nie zostaje.

Cóż pocznie matka, kiedy Olive ucieknie z kochankiem do słonecznego kraju?

W korytarzu rozległo się głośne pukanie, a Olive zdawało się, że to ostatnia scena z opery Mozarta, kiedy Śmierć wali jak w bęben do drzwi grzesznego Giovanniego.

Pani Van Alan położyła serwetkę przy talerzu i wstała z krzesła.

– To pewnie pan Jungmann – powiedziała.

Lucy

– Panna Young?

John Ravenel czekał na nią na stacji kolejki naziemnej El, stojąc u szczytu schodów z kapeluszem w ręku. Nie zważał na kurz i brud ani na strumień ludzi wylewający się z pociągu. Ominęli go, kiedy ruszył do przodu, by ująć Lucy za rękę, którą następnie wetknął pod swoje ramię.

Lucy odsunęła się nieco.

– Skąd pan wiedział, że przyjadę tym pociągiem?

– Bo ta stacja jest najbliższej atelier. – John Ravenel uśmiechnął się do niej tak, jakby nie miał absolutnie żadnych zmartwień, a Lucy, jakby wbrew sobie, poczuła, że poprawia jej się nastrój, a wszystkie argumenty przemawiające za tym, że nie powinna tu przyjeżdżać, zniknęły.

– Atelier?

– A niech to. Wygadałem się. – John Ravenel błysnął zębami w uśmiechu. – Nieważne. Proszę udawać, że jest pani zdziwiona, kiedy otworzę drzwi, dobrze?

– Nie będę musiała udawać. – Lucy przytrzymała kapelusz, drepcząc szybko, by nadążyć za panem Ravenelem. – Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan mówi.

John Ravenel zreflektował się i grzecznie zwolnił kroku.

– To moje ulubione miejsce w Nowym Jorku – wyjaśnił. – Można by je nazwać moim schronieniem. Nigdy nie pokazywałem go... Jeszcze nikomu go nie pokazałem.

– Ojej. – Lucy nie wiedziała, co powiedzieć. Przy ulicy, którą maszerowali, wciąż dość żwawym krokiem, stały stare kamienice z elewacją z piaskowca, w których dawniej mogły być mieszkania robotników. Lucy zupełnie nie знаła tej części miasta. – Powiedział pan „atelier”... To pan maluje? Trudno mi sobie pana wyobrazić w oklapłym kapeluszu i wielkiej muszce.

John Ravenel wybuchł serdecznym śmiechem i od razu miało się wrażenie, jakby promienie słońca jaśniej oświetlały okna i ganki.

– To już nie jest oficjalny uniform malarzy, tak samo jak okulary niekoniecznie przystoją profesorom. Ale nie, nie maluję. – Kiedy doszli do numeru sto czterdzieści siedem, przystanął i spojrzał z góry na Lucy. – Co nie znaczy, że nie doceniam piękna, kiedy je widzę.

Lucy poczuła, jak rumieniec pali jej policzki. Oczywiście z powodu upału. I szybkiego spaceru. Pan Ravenel był marszandem. Odkrywanie pięknych rzeczy to jego specjalność.

Pięknych rzeczy opatrzonych metką z ceną.

– Czy to trudne znaleźć piękną rzecz tylko po to, by musieć ją oddać? – spytała, kiedy pan Ravenel ujął kołatkę i zastukał.

– Ja nie oddaję, tylko sprzedaję z nadzieją na zysk. – Oparł się o framugę drzwi. – Z czasem człowiek nabiera pewnej obojętności. Poza tym świadomość, że zawsze będzie kolejna piękna rzecz, jest ekscytująca. O, Luisa, nie wiedziałem, że tu jesteś.

Drzwi otworzyła jakaś kobieta. A przynajmniej tak wywnioskowała Lucy z kształtów piersi i bioder. Włosy miała krótko ścięte i nosiła spodnie. Z papierosa, który trzymała w palcach, snuł się dym.

– Praca właśnie rodzi się w bólach – powiedziała, szeroko gestykułując, i rozsiała przy tym popiół z papierosa.

– A pani Whitney zapewnia dobre darmowe posiłki – zauważył pan Ravenel półgłosem. Głośniejszą dodał: – Pokaż mi, jak będzie gotowa. Może uda mi się znaleźć gdzieś dla niej miejsce. Luisa jest rzeźbiarką – wyjaśnił Lucy.

– Czy to jej dom? – Gospodyni, o ile nią była, zdążyła już zniknąć w głębi pokoju zastawionego sztalugami.

Pan Ravenel się zaśmiał.

– Boże, nie. Zapraszam do atelier pani Whitney. Zapewnia warunki do pracy artystom, którzy na to zasługują. A jeśli ktoś się na tym zna, to właśnie ona. Mają tu odpowiednią bibliotekę i atelier rysunkowe, a nawet stół bilardowy.

– Stół bilardowy?

Lucy wiedziała, że się bezwstydnie gapi, ale nie mogła się powstrzymać. Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziała. Kiedyś musiał to być zwykły dom jednorodzinny – albo może bliźniak – ale wyburzono ściany i podniesiono sufity, ściany pomalowano na biało, w dachu zamontowano świetliki.

– Wygląda na to, że muza lubi bilard – powiedział pan Ravenel. – A dlaczego, to nie nasza sprawa. My tu jesteśmy po to, żeby podziwiać.

Zawsze będzie kolejna piękna rzecz, powiedział. Zawsze kolejny nowy obraz, kolejny piękny przedmiot. I żadnego się nie zatrzymuje.

– Podziwiać, a potem sprzedać? – Lucy była mocno poruszona.

– I sprzedać. – Skinął głową dwóm brodaczołm pograżonym w kłótni, a potem spojrział znów na Lucy. – Zdaje się, że pani tego nie pochwała.

– Ja tylko... – Trudno było uściślić, co jej w tym przeszkadza. – Może to dlatego, że tak niewiele mieliśmy. Wychowano mnie w szacunku do rzeczy.

Stabilizacja. Cały czas wbijano to Lucy do głowy. Dla babci oznaczało to, że ma się solidne podstawy, takie jak sklep, fach, rodzinę, kościół w niedzielę, *gugelhupf* na Boże Narodzenie.

Ale nie chodziło tylko o babcię. Lucy pamięta, jak podczas jednej z rzadkich chwil bliskości matka powiedziała poważnie:

– Nie wiesz, jak to jest widzieć, że twój świat znika, kawałek po kawałku,

rzecz po rzeczy. Patrząc, jak wszystko po trochu odchodzi. To przerażające, jak czepianie się wraku statku. – Ręka matki powędrowała do wysokiego kołnierza sukienki, jakby dotykała naszyjnika, którego tam nie było. – W końcu szukasz byle jakiego portu.

Matka wciąż powtarzała Lucy, że jest szczęściarą, bo ma dom, ojca, jedzenie na stole. Jednak tęskny wyraz jej oczu zawsze przeczył tym słowom. Było coś, coś innego, co mogłoby dla jej matki być ostoją.

Jakaś lepsza przeszłość, jak sądziła Lucy. Dom taki jak Prattów. Bizuteria, suknie.

A może chodziło o coś innego, o coś więcej. O kogoś więcej.

– Ale te obrazy nie są moje – powiedział pan Ravenel, a Lucy z trudem powróciła do terażniejszości. – Sztuka nie należy do nikogo w szczególności. To dar dla świata.

Piękne słowa, ale Lucy nie zamierzała tak łatwo mu darować. Uniosła brwi.

– Dar z metką cenową?

– Artyści muszą z czegoś żyć, a jest tylko jedna pani Whitney. – Obejmując Lucy w talii, poprowadził ją przez pokój pełen gipsowych modeli do kolejnego pomieszczenia, w którym stał wspomniany wcześniej stół bilardowy. – Sprzedając obrazy, zapewniają sobie możliwość malowania następnych. – Dobierał proste słowa, ale czuć było w nich szczere uczucie. – A świat otrzymuje coś wspaniałego.

Lucy nie widziała nic wspaniałego w niektórych obrazach, jakie miała przed sobą, ale zachwyty na twarzy pana Ravenela był prawdziwy.

– Sam nie mam talentu, ale umiem rozpoznać czyjś talent. Kiedy patrzę na coś takiego... – Powiodł ręką wokół, wskazując na częściowo wyschnięte obrazy na sztalugach, obrazy na ścianach – ...czuję pokorę. Myśl, że mogę zrobić coś, cokolwiek, by promować takie talenty... to jak uścisk dłoni Michała Anioła.

– Sądziłam, że sprzedaje pan w galerii obrazy swojego ojca.

– Obrazy mojego ojca pomogły rozkręcić interes, ale to – John Ravenel machnął ręką w stronę obrazów na ścianach – to jest przyszłość. Gdybym poprzestał tylko na dziełach ojca, prowadziłbym muzeum, a nie galerię. Jest na to miejsce, ale to nie jest moje miejsce. Nie to chcę robić. Nie taką spuściznę chcę zostawić po sobie.

– Ale... – Lucy oparła rękę na zielonym suknie stołu bilardowego. Filc był sprężysty, raczej nieużywany. – Myślałam, że przybył pan tu, by odnaleźć ślady przeszłości ojca.

John Ravenel podniósł bilę, obrócił ją w palcach. Błysnęła odbitym światłem.

– Czy chcę wiedzieć, skąd pochodzę? Tak. Ale to nie ma wpływu na to, kim chcę być. Moja przeszłość to dzieło innych ludzi. To, co robię, zależy ode mnie. – Odłożył bilę i spojrzał z zakłopotaniem na Lucy. – Proszę wybaczyć, panno Young.

Obiecałem pani kontakt ze sztuką, a zamiast tego obnażam przed panią duszę.

– Nie – odparła powoli Lucy. – Dał mi pan właśnie to, czego potrzebowałam.

Dawniej myślała o przyszłości. Kiedy pokłóciła się z babcią i poszła na kurs dla sekretarek. A kiedy już zdobyła pracę w Sterling Bates i przebiła się na Manhattan, każdego ranka czuła się jak pionierka, odkrywczyni, dojeżdżając kolejką z Brooklynu. Trzymając się uchwytu nad głową, starała się unikać podszczypujących ją mężczyzn, którzy uważali, że pracująca dziewczyna to łatwy łup. To było wesołe, ekscytujące. A jej ojciec – był taki dumny, kiedy skończyła szkołę średnią.

A później umarł.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo jego cicha obecność ją wspierała, jak wiele znaczyła sama świadomość, że ojciec po prostu jest, do chwili, aż go zabrakło. Po pogrzebie fryzjer przyniósł jego kubek do golienia, uwalany resztką mydła, które pachniało jak podbródek ojca, jego nazwisko było wypisane złotymi literami na białej porcelanie.

Lucy, która dzielnie się trzymała na pogrzebie, rozkleiła się, kiedy poczuła zapach tego mydła. Zdołała wymamrotać właściwe słowa do fryzjera, a jej palce zacisnęły się kurczowo wokół kubka, na którym farba, jaką wypisano nazwisko ojca, odpryskiwała i łuszczyła się, a miejscami zblakła. Lucy uczepiła się tego kubka jak dziecko lalki, wachała go, tak bardzo pragnęła, by ojciec z nią był. Mogła zamknąć oczy, powąchać mydło i wyobrazić go sobie w pobliżu, swojego cichego kochającego ojca, z posiwiałymi blond włosami, niebieskimi oczami, trochę przymglonymi od czasu śmierci mamy, ale nadal, zawsze będzie dla niej niczym port w czasie burzy morskiej.

A wtedy babka wypowiedziała te pełne nienawiści słowa. „Myślałaś, że naprawdę był twoim ojcem?”

Wypowiedziała je po niemiecku, w języku, którego zawsze używała w domu, po części, jak sądziła Lucy, żeby wykluczyć z rozmowy matkę Lucy.

„Myślałaś, że naprawdę był twoim ojcem?”

I to jedno mściwe zdanie sprawiło, że świat Lucy się zawalił. Straciła ojca. Straciła siebie.

– Ja... – zaczęła Lucy z wahaniem. – Ja ściagałam przeszłość. Kiedy mój ojciec umarł... – Oblizła usta – Cóż, może wcale nie był moim ojcem. Staram się dowiedzieć czegoś o mężczyźnie, który może nim być.

Zabrzmiało to niezręcznie i głupio. Skonsternowana, nie mogła uwierzyć, że się tak wygadała przed właściwie obcym człowiekiem, zdradziła ze swoim nieślubnym pochodzeniem.

Jednak John Ravenel ani się nie obruszył, ani nie popatrzył na nią z niesmakiem. Po prostu ujął jej dłoń w rękawiczce i uściśnił.

– Biedny dzieciaku – powiedział cicho.

– Mam dwadzieścia sześć lat. W listopadzie skończę dwadzieścia siedem.

– To nic. Kiedy chodzi o rodziców, wszyscy jesteśmy nadal dziećmi – powiedział to ciepło, ze zrozumieniem, a uścisk jego dłoni był bardzo krzepiący.

Lucy pozwoliła sobie wesprzeć się na nim, skorzystać z tego, co jej oferował. Uścisnęła ją mocniej.

– Byłem zszokowany, kiedy dowiedziałem się, że mój ojciec miał jakieś życie przed Kubą. Zawsze słyszałem opowieści o Kubie, ale nigdy nie wpadłem na to, by spytać, co było wcześniej. A potem ojciec zmarł, a jego przyjaciel dał mi...

Lucy spojrzała na niego, przekrzywiwszy głowę.

– Co panu dał?

– Portret kobiety. Nie mojej matki. Jednak to, że trzymał tę miniaturę w ukryciu, wiele mówi.

– Moja matka była zakochana w kimś przed moim ojcem. – Lucy wypowiedziała te słowa bez zastanowienia. Natychmiast poczuła, że się rumieni, i starała się pokryć zażenowanie śmiechem. – To rozumiałe samo przez się. Przecież istnieje, prawda?

– Kimkolwiek był – John Ravenel uścisnął teraz jej obie dłonie – poszczęściło mu się, że ma taką córkę jak pani.

– Jeśli udałoby mi się go odnaleźć. – Harry Pratt zniknął wiele lat wcześniej. Może już nie żył? Zniknął. – A jeśli go odnajdę... Co będzie, jeśli mnie nie zechce?

John Ravenel nie zlekceważył jej obaw.

– Ludzie organizują sobie nowe życie. Choćby pod przybranym nazwiskiem, jak mój ojciec. Jeśli nie zechce córki, która pojawia się nie wiadomo skąd, to jego sprawa, nie pani.

Lucy spojrzała na niego oczami pełnymi łez, w których migotały światła żyrandola.

– Uznałby mnie pan?

– Gdyby pani była moja, nigdy nie pozwoliłbym pani odejść.

Teraz położył dłonie na jej ramionach, a głowa Lucy nachyliła się ku jego głowie. Jak przez mgłę dotarło do niej, że już nie rozmawiają o ojcach i córkach. I tkwią pośrodku sali bilardowej w atelier pani Whitney.

Gwałtownie się odsunęła i dotknęła swoich policzków dłońmi w rękawiczkach.

– Jeśli uda się panu odnaleźć rodzinę ojca, to co pan zrobi? – spytała zdławionym głosem.

– Ja... – John Ravenel pokręcił głową, jakby chciał się uwolnić od jakiejś myśli. – Nie wiem. Kiedyś myślałem, że wykrzychałbym im w twarz, co ojciec osiągnął, uzmysłowiłbym, co stracili. A teraz? Nie wiem, czy w ogóle chcę ich

zobaczyć. Pragnę tylko dowiedzieć się, kim są, kim był mój ojciec. Po prostu się dowiedzieć.

Brzmiało to mądrze, ale Lucy wychwyciła w słowach Johna Ravenela jakiś fałszywy ton.

– Można tak sobie mówić, ale to nigdy nie jest tak, że człowiek tylko się dowie i na tym koniec. Wszystko, czego się dowiadujemy, zmienia nas. I nie ma odwrotu.

Twarz mu się zachmurzyła.

– Tak, to prawda. Myślałem, zaraz po wojnie, ale kiedy wróciłem... – Siląc się na beztroski ton, powiedział: – Skądś ty taka mądra, panno Young?

– Ze szkoły twardych ciosów. – Chwila bliskości minęła. Lucy otarła oczy kłykciami w rękawiczkach i starając się wpaść w jego ton, dodała: – Pewnie ma mnie pan za głuptasa. I kto tu obnaża duszę!

– Nie – odparł lekkim tonem pan Ravenel, robiąc krok w tył. – Myślę, że spiera się pani jak adwokat. Żaden sędzia na świecie nie miałby z panią szans.

Począł iść ku drzwiom, jakby byli parą zwiedzających muzeum. Lucy ruszyła za nim, starając się odzyskać rezon.

– Chciałabym to zobaczyć – powiedziała. – Kobietę adwokata.

– Czemu nie? Poznałem kobietę lekarza, gdy byłem na służbie za granicą. – Pan Ravenel spojrział na nią z góry. – Pracowała dwa razy więcej od mężczyzn i równie dobrze.

Lucy nigdy nie marzyła o zakrwawionych bandażach czy buteleczkach z lekarstwami, ale myśl o tym, że mogłaby siedzieć za biurkiem i dyktować notatki służbowe, podejmować decyzje, była bardzo pociągająca.

Lucy z żalem odsunęła od siebie to wyobrażenie.

– Może moja córka zostanie adwokatem. Albo lekarzem.

– A pani nie?

Mogłaby równie dobrze wzdychać do księżycy jak do college'u. To było przeznaczone dla innych kobiet. Tych, które miały zamożnych ojców, skłonnych łożyć na ich edukację.

– Musiałam walczyć o to, by móc skończyć chociaż szkołę średnią. Moja babcia nie wierzyła w sens kształcenia kobiet. Uważała, że to tylko namiesza mi w głowie.

„Kobieta nie potrzebuje wykształcenia – mawiała babka. – W końcu Lucy przecież i tak wyjdzie za mąż. To strata czasu, skoro może pomagać w piekarni”.

Dobry *gugelhupf*. Oto droga do serca mężczyzny.

John Ravenel popatrzył na nią w zamyśleniu.

– I proszę bardzo. Oto stanowi pani wzór nowoczesnej kobiety.

Nowoczesna kobieta. Kobieta upadła, zdaniem jej babci. Lucy skrzywiła się na wspomnienie zapachu dżinu, ust Philipa Schuylera na swoich ustach, piskliwego

śmiechu kobiety w sukni bez pleców.

– Niezupełnie. Lubię być użyteczna. Lubię pracować. Ale nie jestem łatwa – powiedziała gwałtownie.

John Ravenel spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Nigdy tak o pani nie myślałem. – Uśmiechnął się lekko. – Już na pierwszy rzut oka widać, że jest pani damą.

– Nawet teraz? Gdy zna pan moje pochodzenie?

– To, kim pani jest, nie ma związku z tym, co robili pani rodzice. – Znow znalazli się w holu przed wejściem. Lucy słyszała dźwięk gramofonu dochodzący skądś na piętrze oraz odgłosy zajadłej kłótni dobiegające z pomieszczenia z rzeźbą. – Czyż ja sam nie jestem tego dowodem?

Lucy spojrzała na Johna Ravenela, chcąc potwierdzić jego słowa, zgodzić się z nim, ale nic nie mogła poradzić na to, że myślała zdradziecko, iż to, co robili jego rodzice, ma ścisły związek z tym, kim jest.

– Czy zajmowałyby się pan sztuką, gdyby pański ojciec nie był malarzem?

– Nie wiem. Ale wiem, że kocham sztukę dla niej samej, a nie ze względu na ojca. On pozwolił mi zacząć, ale... – John Ravenel pokręcił głową. – Sądzę, że nie możemy całkiem uciec od dziedzictwa rodziców, ale możemy sami zdecydować i wybrać, co chcemy zostawić po sobie. Jaka ma być ta pani spuścizna, panno Young?

Słowa popłynęły szybko, nie wiadomo skąd.

– Jeśli będę miała dzieci, chcę, by czuły, że dokądś przynależą. – Ona nigdy nie czuła żadnej przynależności. Ani do Brooklynu. Ani do Manhattanu. Ani do Jungmannów. Ani do Prattów. Ni to, ni owo, ni pies, ni wydra. Wzięła głęboki wdech. – Chcę, by wiedziały, skąd pochodzą. Żeby nie było żadnych tajemnic, sekretów. Pragnę czegoś solidnego, stabilnego. To brzmi dość banalnie, prawda? Pan zamierza zmieniać świat kolejnymi obrazami, a ja pragnę jedynie bezpiecznego domu.

John Ravenel wcale jej nie wyśmiał.

– Moja matka była modelką artysty. – Smutny uśmiech wykrzywił mu usta. – Cóż, modelką mojego ojca. Jest na obrazach, które przeszły do historii. Jednak ona twierdzi, że jej największym sukcesem było stworzenie dla nas domu. Porządkowała chaos. Zapewniała nam bezpieczeństwo i codzienny byt. Utrzymała mojego ojca – i mnie – przy życiu. Jest najsilniejszą kobietą, jaką znam. Wcale by nie uznała, że pani ambicje są banalne. Podziwiałaby panią za to. – Spojrzał jej w oczy. – Ja panią podziwiam.

To było jak patrzenie w słońce. Lucy odwróciła wzrok, wbiła go w buty. Bardzo praktyczne, codzienne obuwie.

– Jest pan miłym człowiekiem, panie Ravenel.

W kącikach jego brązowych oczu pojawiły się zmarszczki.

– Mama starała się mnie dobrze wychować. Czy jej się to udało... Nie wszyscy uważają, że tak. – Ostatnie słowa wypowiedział ponurym tonem. Lecz zanim Lucy zdążyła o cokolwiek spytać, dodał: – Może poszukamy miejsca, gdzie będzie można coś zjeść? Zgłodniałem przez to obnażanie duszy.

O dziwo, ona także. Powiadają, że zwierzenia są dobre dla duszy, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy, że pobudzają również żołądek.

– Chętnie bym zjadła lodową kanapkę – przyznała, a potem dodało nieśmiało: – Dziękuję, że mnie pan tu przyprowadził. Nie wiedziałam o istnieniu tego miejsca.

John Ravenel wyszedł w słońce i przytrzymał Lucy otwarte drzwi.

– Istnieje od niedawna. Pani Whitney otworzyła atelier kilka lat temu. – Pozwalając, by drzwi się zatrzasnęły, podał Lucy ramię. – Pewnego dnia chciałbym stworzyć podobne miejsce w Charleston – powiedział.

Charleston. Nazwa podziała na Lucy jak otrzeźwiający policzek. Czowała się, jakby pan Ravenel był tu od zawsze i zawsze miał być obecny.

Starając się, by zabrzmiało to niedbale, spytała:

– Czy wraca pan tam wkrótce?

Odpowiedź padła dopiero po chwili milczenia.

– Kupiłem już bilet na wtorek, mam kuszetkę w pociągu.

– Wtorek! – Lucy potknęła się o nierówność chodnika. – Tak szybko?

Pan Ravenel lekko ją podtrzymał, chwyciwszy za łokieć.

– I tak zabawiłem tu dłużej, niż planowałem. Mam... pewne zobowiązania, które zaniedbałem na zbyt długo. – Zerknął na nią z ukosa. – Co pani na to, panno Young? Ma pani ochotę na wycieczkę do Charleston?

– Och, oczywiście – odparła kpiąco Lucy, chociaż jej serce już opłakiwało stratę. Co było szaleństwem, prawda? Przecież ledwie go знаła. – Szuka pan sekretarki? Albo kierowniczkę galerii? Może będę potrzebowała nowej pracy.

To akurat prawda, pomyślała ponuro. Pogodny dzień jakby stracił na urodzie, promienie słońca były ostre, upał drażnił i męczył. Jej praca, praca, z którą wiązała swoje plany... Lucy nie mogła znieść myśli o spotkaniu twarzą w twarz z szefem.

Nie miała domu w Nowym Jorku, jedynie bezosobowy pokój na poddaszu, i to z zawyżonym czynszem. Głos matki nie szeptał ze ścian. Zaginiony ojciec nie przybył, by otoczyć ją ramieniem i wprowadzić do towarzystwa przez duże T.

A John Ravenel wyjeżdżał z Nowego Jorku.

Nie będzie już spacerów po Central Parku, przejażdżek na karuzeli. On pojedzie do Charleston, a ona... poszuka nowej pracy, nowego pokoju. I tak dalej, i dalej, i dalej.

Zmierzali spacerkiem do placu Waszyngtona. Lucy widziała wiele zakochanych par cieszących się wspólnie ładnym dniem.

John Ravenel przystanął raptownie tuż przed wejściem do parku i obrócił Lucy tak, by stanęła na wprost niego.

– Lucy – po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. – Wiem, że to szaleństwo, ale... co byś powiedziała na przyjazd do Charleston?

Lucy wytrzeszczyła na niego oczy. Miał słońce za plecami, więc jego twarz była w cieniu, a ją raziło światło.

– Ja... nigdy nie wyjeżdżałam na południe dalej niż na Brooklyn.

– My wcale nie jesteśmy takimi znowu dzikusami. Mamy kanalizację i w ogóle. – Przesunęli się na bok, by nie zawadzać przechodniom. – Nie zamierzałem być w Nowym Jorku dłużej niż tydzień. A potem ujrzałem ciebie i... to okropna komplikacja. Wcale tego nie planowałem. Ale stało się, prawda?

Nie musiał tłumaczyć, co się stało. To było między nimi, niewidzialna więź, ta dziwna poufałość, jakby znała go od zawsze. Jakby jej życie stało się gorsze, gdyby jego w nim nie było.

– O tak – wyszeptała Lucy. – Tak.

To było niewytłumaczalne i nielogiczne, ale istniało.

Chwycił ją za rękę, czuła przez rękawiczki jego mocny uścisk, jakby trzymał się liny ratunkowej.

– Wiem, że to bezczelność prosić cię, byś porzuciła wszystko, co znasz. Ale nie mogę znieść myśli, że cię więcej nie zobaczę.

Słońce świeciło jej w oczy, oślepiało, pewnie dlatego kręciło jej się w głowie. Wcale nie. Sprawiał to pan Ravenel, jego bliskość, te szalone, cudowne słowa.

– Panie Ravenel...

– John.

– John. – Takie prozaiczne imię, ale brzmiało w jej ustach jak muzyka. Niedawno się spotkali. Ledwie go znała. Ale przecież to nieprawda. Znała go dobrze nie wiedzieć skąd. – John, ja...

– Czekał. – Położył dłonie na jej ramionach, chcąc ją powstrzymać od mówienia. – Zanim coś powiesz, musisz się czegoś ode mnie dowiedzieć.

– Masz na strychu trupy ośmiu żon jak Sinobrody? – Lucy nie wyobrażała sobie, by coś mogło osłabić ten niezwykle pociąg, który do niego czuła.

Czy to właśnie opisują w książkach? Tę szaloną euforię? Czy to ona skłania królów do porzucenia tronu, sprawia, że magnaci przemysłowi przepuszczają wszystko dla jakiejś tam chórzystki?

Lucy miała ochotę zdjąć kapelusz i podarować go letniemu wiatrowi, podkasać spódnicę i wirować, zarzucić Johnowi Ravenelowi rękę na szyję, pocałować go właśnie tutaj, w słońcu, na samym środku placu Waszyngtona.

John przytknął palec do jej ust, jego dotyk był lekki jak piórko.

– Nie byłem z tobą całkiem szczerzy. – Cofnął się o krok, rondo kapelusza

rzuciło cień na jego twarz. – Ta sprawa z obrazami ojca, to wszystko prawda. Ale nie powiedziałem ci wszystkiego. Osobą, która sprzedaje obrazy, jest macocha pana Schuylera.

Czego jak czego, ale tego Lucy się nie spodziewała. Dopiero po chwili dotarł do niej sens jego słów.

– Prunella Pratt miała obrazy twojego ojca?

John przyglądał się jej uważnie.

– Dlatego musiałem porozmawiać z panem Schuylerem. Nie z powodu opinii prawnej. I właśnie dlatego... – Przerwał, wziął głęboki wdech i z pewnym trudem powiedział: – Ta miniatura, o której ci mówiłem, przedstawia kobietę w rubinowym naszyjniku. Takim samym, jaki miałaś na szyi pierwszego wieczoru w Delmonico's. Kiedy zobaczyłem na tobie ten naszyjnik, uznałem, że musisz być w to wszystko jakoś zamieszana. I musiałem się dowiedzieć...

– Zamieszana? – wyszeptała Lucy.

John Ravenel miał na tyle przyzwoitości, by udać konsternację.

– Sądziłem, że musiał ci go podarować Schuyler, że znaleźli ten naszyjnik razem z obrazami.

– To znaczy, pomyślałeś, że on... że ja... – Poczowała łaskotanie potu pod pachami, zakręciło się jej w głowie. Ledwie zmusiła się do wykrztuszenia: – Myślałeś, że jestem jego kochanką.

Ich sobota. Piękna niedziela w słońcu. Karuzela. Lody. Wszystkie te pytania dotyczące jej pracy, jej życia. Myślała, że szczerze się nią interesuje.

– No nie... – powiedział John, jednak Lucy poznała, że kłamie. – Niezupełnie. Ale jako jego sekretarka...

Poczęły ogarniać ją mdłości. Lucy przypomniała sobie, jak w dzieciństwie włamała się w nocy do piekarni i objadła kandyzowanymi wiśniami. Miała wtedy takie same doznania – przyływ dzikiej energii, a potem nagle te koszmarne mdłości. Tylko że wtedy doskwierał jej żołądek, a nie dusza.

Teraz było gorzej, zdecydowanie gorzej.

– A więc to dlatego. – Lucy wpatrywała się w Johna Ravenela, tak jakby nigdy wcześniej go nie widziała. – To dlatego traciłeś ze mną czas. Chciałeś wybadać, co wiem. Wykorzystałeś mnie.

Kate

Wskoczyłam do windy, kiedy tylko otworzyły się drzwi gabinetu doktora Greeleya. Poprzedniego wieczoru znowu byliśmy razem na kolacji, podczas której dość długo rozводził się nad tym, jaka to z niego świetna partia, podczas gdy ja zajmowałam się głównie spychaniem jego dłoni z kolana i robieniem uników, gdy próbował mnie pocałować. Zupełnie nie odbierał moich sygnałów, bo przyznał, że szanuje mnie za powściągliwość. Najwyraźniej uważa, że wynika ona z mojego dobrego wychowania, a nie ze wstrętu albo całkowitego braku zainteresowania.

Winda dotelepała się na parter, a kiedy się otworzyła, ujrzałam kapitana Ravenela z narzeczoną, którzy właśnie weszli do holu z ulicy. Nie byłam z nim sam na sam od tamtej nocy przed tygodniem, kiedy obiecałam, że pozwolę mu dokończyć rysować mój portret. Nie zamierzałam wycofać się z przyrzeczenia, ale ilekroć myślałam o jego powrocie do Charleston, zawsze wtedy miałam uczucie, jakby płuca mi się zapadły, i z trudem chwytaliśmy powietrze. Właśnie z tego powodu nie mogłam też podpisać jego zwolnienia ze szpitala, bo wiedziałam, że sprawy między nami jeszcze się nie zakończyły.

Ale gdy widziałam go, kiedy w pokoju byli inni ludzie, mogłam udawać, że jest po prostu kolejnym pacjentem, kolejnym żołnierzem rannym na wojnie, któremu pomagamy powrócić do zdrowia. Prawie.

Na szczęście nowi pacjenci się jeszcze nie zjawili, więc nie było powodu, żebym chodziła do pokoju na poddaszu. Zaleciłam kapitanowi ćwiczenia, które miały mu pomóc odzyskać siły, a siostra Hathaway przynosiła mi jego kartę, bym mogła śledzić wyniki badań. Oprócz codziennych wizyt z innymi lekarzami w trakcie porannego obchodu nie widziałam go ani z nim nie rozmawiałam. Co nie znaczyło, że za nim nie tęsknię, jak ziemia tęskni zimą za słońcem.

– Dzień dobry, kapitanie Ravenel. Panno Middleton – powiedziałam formalnym tonem, bo w końcu byliśmy przelotnymi znajomymi.

Starłam się nie zwracać uwagi na to, jak przystojnie wygląda Cooper w ciemnooliwkowym mundurze, ze srebrnymi kapitańskimi belkami na pagonach, czarnymi włosami schowanymi starannie pod czapką. Po lewej stronie miał na piersi baretki odznaczeń: Brązowej Gwiazdy, Srebrnej Gwiazdy i European Theater. Caroline, w blad różowej garsonce i dopasowanym do niej kapeluszu, wyglądała przy nim jak zbędna i nazbyt frywolna dekoracja.

Cooper wetknął pod lewe ramię laskę, którą trzymał w prawej ręce, i zdjął czapkę.

– Doktor Schuyler – powiedział, uchyliwszy nieco czapki, i spojrzał mi

pytająco w oczy, ale ja natychmiast uciekłam spojrzeniem.

– Przeszliśmy całą drogę do parku i z powrotem – oznajmiła Caroline z nieskrywanym triumfem w głosie. – Nadal musi wspierać się na lasce, ale doktor Greeley powiedział, że to normalne i po paru miesiącach regularnych ćwiczeń nie będzie już jej potrzebował. – Ucisnęła ramię Coopera z minką dziecka w bożonarodzeniowy poranek. – Myślę, że może już wracać do domu.

Poczułam ból w piersiach, jak zawsze, gdy zbierało mi się na płacz. Wzięłam głęboki wdech.

– Bardzo dobre wieści. Naradzę się z doktorem Greeleyem i ustalimy, ile jeszcze dni kapitan musi zostać w szpitalu. Jestem pewna, że już niezbyt długo, a dobra kondycja to potwierdza. Jednak rana musi się całkowicie zagoić.

Caroline zacisnęła usta, ale wydawało mi się, że dostrzegłam cień ulgi, który przemknął przez twarz Coopera. Jego narzeczona już miała coś powiedzieć, kiedy drzwi frontowe gwałtownie się otworzyły, a do holu wpadła Margie, z twarzą czerwoną i lśniącą od potu, jakby całą drogę z biblioteki do szpitala pokonała biegiem.

– Margie? Co ty tu robisz? Myślałam, że jesteście umówione jutro na lunch.

Przyłożyła rękę do serca, próbując złapać oddech, i zauważyłam, że ma ze sobą oprawiony w skórę notatnik.

– Chodźmy, Cooper. Wejdzmy po schodach. To ci dobrze zrobi.

Caroline pociągnęła go ku spiralnym schodom. Miałam ochotę pobiec za nim, powiedzieć, żeby był ostrożny, żeby na następnym piętrze wsiadł do windy, żeby się nie przemęczył. Jednak tego nie zrobiłam. Teraz opiekowała się nim Caroline, to ona miała czuwać nad tym, by się nie przeforsował. Bądź co bądź należał do niej.

Margie wytrzeszczyła oczy i gapiła się na Coopera, bo natychmiast zarejestrowała, z kim ma do czynienia. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie, żeby nic nie mówiła. Nadal ciężko dyszała, więc podprowadziłam ją do ławki przeznaczonej dla oczekujących.

– Chodź ze mną – powiedziałam jednak na widok pełnej dezaprobaty miny dyżurnej pielęgniarki siedzącej przy biurku i pociągnęłam Margie w stronę windy.

Wysiadłyśmy na pierwszym piętrze, gdzie dwóch sanitariuszy kłóciło się z pewnym lekarzem. Chodziło o stojący pod ścianą ciężki regał na książki, który utrudniał przechodzenie z noszami. Wiele razy prosiłam doktora Greeleya, żeby polecił go przesunąć, ale że był to antyk, Greeley obawiał się rzekomo, że go uszkodzą. Przypuszczam, że prawdziwą przyczyną odmowy było to, że to ja wystąpiłam z tą sugestią, a nie on.

Zaprowadziłam Margie do pustego gabinetu z pięknymi witrażowymi drzwiami. Miałam nadzieję, że nawet jeśli doktor Greeley mnie zobaczy, pomyśli, że rozmawiam z krewną pacjenta.

– A więc to był twój kapitan. – Margie cmoknęła, jakby właśnie zjadła coś pysznego.

– Nie jest mój. I to była jego narzeczona.

Margie prychnęła.

– Ta Królowa Śniegu? – Uśmiechając się z zadowoleniem, dodała: – Przez tę krótką chwilę, kiedy was widziałam, zauważyłam, że patrzy na ciebie zupełnie inaczej niż na nią.

Zignorowałam tę uwagę.

– Dlaczego przyszłaś? – spytałam. – Coś się stało? Chodzi o twoją matkę?

Pokręciła głową i położyła mi na kolanach notatnik.

– Nie mogłam się doczekać, kiedy ci to pokażę. Pracowałam nad tym od naszego ostatniego spotkania, ale dziś natrafiłam na coś niesamowitego.

Otworzyłam notatnik, ale ona zatrzasnęła go z powrotem.

– Nie tak szybko. To są moje notatki, które robiłam w trakcie zbierania informacji, i możesz wziąć ten notes, żeby później wszystko przeczytać. Ale po prostu nie mogłam już wytrzymać, musiałam sama ci o tym wszystkim powiedzieć.

Obie podniosłyśmy wzrok na dwie pielęgniarki, które pospiesznie przechodziły obok drzwi.

– No więc? – spytałam. Nie widziałam, żeby Margie była aż tak podekscytowana od czasu, gdy znalazła na wyprzedaży u Bergdorfa buty, na które było ją wreszcie stać.

– Znalazłam twojego Harry’ego Pratta w archiwach bibliotecznych – wypaliła. – Powiedzmy, że znalezienie tego nazwiska było jak wsadzenie kija w mrowisko.

– Co masz na myśli? – Poczułam dreszczyk emocji, choć sama jeszcze nie wiedziałam dlaczego. – Może dlatego, że to była tajemnica, którą odkryliśmy wspólnie z Cooperem, coś, o czym wiedzieliśmy tylko my dwoje.

– Nazwisko Pratta nie pojawiło się w prasie dlatego, że został znanym artystą, jeśli to ci przyszło do głowy. A jeśli nawet gdzieś było, to nie znalazłam żadnych powiązań tego nazwiska ze światem sztuki. Jego rodzina była niezmiernie bogata, przynajmniej przez jakiś czas, więc najprawdopodobniej malarstwo stanowiło jego hobby.

– Och – powiedziałam, opadając na oparcie krzesła z uczuciem dziwnego przygnębienia. Harry był taki zdolny, więc wydało mi się smutne, że nie zrealizował swojego potencjału.

Margie poklepała moją dłoń.

– Nie przejmuj się, mam coś lepszego. – Spojrzała na sufit. – Ten budynek nazywano niegdyś rezydencją Prattów, został zbudowany w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Mieszkali tu Henryk August Pratt z żoną i trojgiem dzieci: Harrym, Gusem i... – Wstrzymała oddech i wydeła policzki.

– I? – ponagliłam.

– Prunellą. – Poruszyła brwiami. – W roku swojego publicznego debiutu była na łamach wszystkich rubryk towarzyskich. Zadziwiła urodą, choć sędzę, że sam jej majątek wystarczał, by przyciągnąć potencjalnych absztyfikantów.

– Właścicielka sukni – wtrąciłam.

Pokiwała głową.

– Zaraz dojdziemy do niej i do domu. Ale najpierw biedny Harry. Wygląda na to, że zniknął z powierzchni ziemi w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku. Jego ojciec wynajął nawet agencję detektywistyczną Pinkertona, ale syn przepadł bez śladu. To była prawdziwa tragedia. Harry zaginął zaraz po tym, jak jego brat Gus zmarł w wyniku jakiejś awantury; sprawa została zatuszowana w gazetach, o co na pewno postarała się jego wysoko postawiona rodzina, ale między wierszami wyczytałam, że okoliczności śmierci Gusa były podejrzane.

– Jakie to smutne – powiedziałam, wstając, by wrócić do pracy. Wszystko to było bardzo ciekawe, ale dość odległe od tego, czego oczekiwałam. Biedny Harry. Mimowolnie zastanawiałam się, co się z nim stało i czy kiedykolwiek wracał myślą do pokoju u szczytu schodów w rezydencji Prattów, gdzie niegdyś tworzył na papierze tyle piękna jedynie za pomocą węgla.

Margie pociągnęła mnie za rękę i usadziła z powrotem na krześle.

– Jeszcze nie, Kate. To dopiero początek. Będę mówić szybko, ale musisz siedzieć.

Prawa noga zaczęła mi podskakiwać, jak zawsze, kiedy się niecierpliwiłam, więc przycisnęłam ręką kolano.

– No dobrze. Mów.

Wzięła głęboki wdech.

– Jak wspomniałam, kiedy sprawdzałam nazwisko Pratt, znalazłam w prasie mnóstwo materiałów o tej rodzinie. Jednak większość artykułów dotyczyła samej rezydencji Prattów, czyli tego szpitala, w którym obecnie siedzimy. Chodziło o architekta. – Popatrzyła na mnie, jakby czekała, aż dopowiem resztę.

Pokręciłam głową.

– Co z nim?

Margie wyglądała na rozczarowaną.

– Wygląda na to, że uważał, iż pan Pratt go oszukał, bo ponoć nigdy nie zapłacił mu za jego usługi. Szczegóły w gazetach są mętne, ale skandal zakończył się samobójstwem architekta.

– To straszne – powiedziałam. – Ale...

Przerwała mi.

– Architekt nazywał się Peter Van Alan. – Wytrzeszczyła oczy, by uwydatnić to, co powiedziała.

– Peter Van Alan? Tak nazywał się mój pradziadek.

Spojrzałyśmy na siebie ze zrozumieniem. Obie znałyśmy to nazwisko jedynie dlatego, że matka wciąż je powtarzała, żebym wiedziała, iż mogę być dumna ze swojego pochodzenia pomimo braku majątku. Zawsze sądziłam, że w ten sposób próbowała mnie zapewnić, że mam znakomitszych przodków niż przybyły z Niemiec piekarz i babcia, która w dzieciństwie kojarzyła mi się z jaskrawą tapetą spłowiałą od słońca. Pamiętam, jak stałam na Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy z matką i patrzyłam na rezydencję, a teraz nagle to wszystko nabrało sensu.

Poczułam na plecach zimny dreszcz i zadrżałam.

– Nigdy mi nie powiedziała, jak zmarł jej dziadek ani że zaprojektował ten budynek. Może wstydziła się tego samobójstwa i chciała ukryć przede mną prawdę.

Margie nachyliła się ku mnie, a oczy miała otwarte tak szeroko, że widziałam wyraźnie białka wokół jej tęczówek.

– To jeszcze nie wszystko.

Sięgnęła po notatnik i otworzyła go, przewróciła parę kartek, a potem położyła mi notes na kolanach.

– Przepisałam to słowo w słowo z rubryki towarzyskiej „New York Timesa” z trzeciego stycznia roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego.

Spojrzałam na staranne pismo Margie, którego nauczono ją w szkole katolickiej, i zaczęłam czytać.

Henry August Pratt wraz z małżonką, z Nowego Jorku, ogłaszają zaręczyny swojej córki Prunelli Jane z panem Harrisonem Charlesem Schuylerem, wdowcem po Cassandrze Willoughby Schuyler i ojcem Philipa C.J. Schuylera. Elegancki bal zaręczynowy odbył się w rezydencji Prattów przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy w sylwestra. Ślub odbędzie się 10 października w kościele pod wezwaniem Świętego Jakuba.

Podniosłam oczy i napotkałam wzrok Margie.

– Ale przecież Philip Schuyler...

– To twój ojciec – dokończyła Margie. – Czyli Prunella Pratt to jego macocha. Z czego chyba wynika, że Harry Pratt był twoim przybranym dziadkiem. Czy kimś w tym rodzaju.

– Chyba raczej wujem. – Pokręciłam głową. – Dlaczego matka nigdy nic mi o tym nie powiedziała?

Margie wzruszyła ramionami.

– No cóż, mamy samobójstwo architekta, zniknięcie Harry’ego Pratta, tragiczną śmierć jego brata. Wszystko to dość smutne. Może starała się ciebie chronić.

– Może – przyznałam.

Ale wiedziałam, że wcale tak nie było. Rubinowy naszyjnik wciąż mówił mi, że matka miała jakąś tajemnicę. Zabrała ją ze sobą do grobu, ale we

wspomnieniach powracał obraz matki, która zawsze zdawała się na coś czekać, czekać na coś więcej. Przycisnęłam palce do rubinu pod kołnierzykiem sukienki, jakby zawierał wszystkie tajemnice. Ale spoczywał ciężko i nieruchomo pod moją szyją, niemy talizman z przeszłości matki.

Margie znów sięgnęła do notatnika i przewróciła kartkę.

– Prunella Pratt Schuyler została odnotowana w ostatnim spisie ludności w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku. Wdowa mieszkająca samotnie. Nie znalazłam aktu zgonu, więc przypuszczam, że nadal żyje. Tu masz jej adres.

Gapiłam się na kartkę, ledwie rozumiejąc, co Margie do mnie mówi. Spojrzałam jej w oczy.

– Jesteś niesamowita. Nie wiem, jak mam ci dziękować.

Zbyła mnie machnięciem ręki.

– To wszystko było bardzo ciekawe. Możesz zaprosić mnie na kolację. Albo sprawdzić, czy twój kapitan ma brata, a potem mi go przedstawić.

Uściskałam ją.

– Jesteś jak najlepsza siostra. Mówiłam ci to kiedyś?

Odepchnęła mnie, ale aż pokraśniała z radości.

– Dobra, dobra. Tylko nie zapomnij przedstawić mi tego brata.

– Jasne – powiedziałam, biorąc ją za rękę, a potem odprowadziłam do wyjścia.

Musiałam wracać do pracy, ale najpierw chciałam napisać liścik z pytaniem, czy mogę odwiedzić panią Prunellę Pratt Schuyler. Nie wiedziałam, czy będzie pamiętała, kim jestem, ani czy zechce mnie przyjąć, ale postanowiłam spróbować. Prawdopodobnie była jedyną osobą na świecie, która mogła rzucić światło na losy mojej matki i tajemnicę naszej wspólnej przeszłości.

Zaczekałam, aż pielęgniarki na sąsiednich łóżkach twardo zasną. Nie miałam dyżuru, więc pozwoliłam sobie na luksus spania w prawdziwej koszuli nocnej. Nie żebym w ogóle spała, odkąd się położyłam, ale na to będę miała sporo czasu, gdy wykonam swoje zadanie.

Narzuciłam na siebie szlafrok i wsunęłam nogi w kapcie, a potem ostrożnie wyjęłam spod poduszki młotek i śrubokręt i wymknęłam się z naszego dormitorium. Wzięłam narzędzia z szafki konserwatora, mając nadzieję, że do jutra nikt nie zauważy ich braku.

Zatrzymałam się na chwilę, wsłuchując się w ciszę, po czym wyskoczyłam na korytarz i niemal zderzyłam się z zabytkowym regałem, o który wcześniej na moich oczach kłócili się sanitariusze z lekarzem. Wyglądało na to, że odsunęli róg masywnego mebla, a potem po prostu zaniechali przesuwania, toteż był teraz jeszcze gorszą zawalidrogą.

Przemknęłam na schody dla służby i prędko wbiegłam na poddasze. Widziałam, jak Caroline wychodziła po kolacji, więc uznałam, że Cooper jest sam.

Do pokoiku wstawiono jeszcze dwa łóżka polowe z myślą o nowych pacjentach.

Drzwi zastałam uchylone, więc wystarczyło je pchnąć. Chociaż lampa się nie paliła, pokój zalewało łagodne mleczne światło. Łóżko było puste, ale wiedziałam, że Cooper jest wewnątrz, czułam, że na mnie patrzy, przyciąga mnie jak księżyc fale podczas pływów. Odwróciłam głowę i zobaczyłam zarys jego sylwetki na tle okna, bo odsunął zasłony zaciemniające.

Stałam jak wryta, bojąc się zbliżyć. Bałam się, że porwie mnie otaczający go prąd odpływowy. Odchrząknęłam.

– Przyniosłam narzędzia, żeby wysunąć dolną szufladę skrzyni. – Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie położyć narzędzi na skrzyni, a potem odejść, ale wiedziałam, że tak nie zrobię.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz – powiedział cicho. – Czekałem, bo chcę dokończyć rysować twój portret. Obiecałaś.

Przełknęłam ślinę, mając nadzieję, że tego nie usłyszał.

– Byłam zajęta. – Odchrząknęłam. – Odkryłam, że jestem spowinowacona z Prunellą Pratt. Była macochą mojego ojca.

– A Harry?

– To jej brat. Zniknął w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku. I wygląda na to, że wraz z nim zniknął jego talent.

– Interesujące – powiedział, podchodząc do mnie. – Co za dziwny zbieg okoliczności. Jesteś spowinowacona z rodziną, która tu kiedyś mieszkała.

Staął przede mną na tyle blisko, że czułam bijący od niego żar. Znów miał nagi tors, był tylko w spodniach od piżamy. Prezent od narzeczonej.

Przypomniawszy sobie o tym, cofnęłam się o krok. Wyciągając narzędzia w jego stronę, powiedziałam:

– Daj mi znać, czy udało się otworzyć szufladę.

Zawahał się na moment, ale wziął narzędzia. Odwróciłam się, by wyjść, lecz silne palce chwyciły mnie za ramię.

– Proszę. Jeszcze nie. Pozwól mi dokończyć rysunek. Jest pełnia i chciałbym uchwycić twoją twarz w świetle księżycy.

Usłyszałam brzęk narzędzi odkładanych na skrzynię, a potem poczułam jego dłonie na ramionach. Obrócił mnie ku sobie.

– Proszę – powtórzył, a ja poddałam się po tym jednym słowie.

– Wciąż go masz? – spytałam w nadziei na odroczenie, przełożenie, jakikolwiek powód, by nie spędzać z nim czasu sam na sam.

Uśmiechnął się, najwyraźniej czytając w moich myślach.

– Siostra Hathaway przepisała wszystkie informacje medyczne, które były po drugiej stronie, na inną kartkę, a rysunek mi zwróciła. Jest bardzo przebiegła.

Cooper zostawił mnie tam, gdzie stałam, i podszedł do kufra, który został przesunięty tak, aby się mieścił między dwoma nowymi łóżkami i mógł służyć za

wspólny stolik nocny. Otworzył go i wyjął coś, co wyglądało na wełniany pled, oraz świecę w mosiężnym świeczniku.

– Znalazłem to tutaj i pomyślałem, że pewnie Harry używał tych rzeczy podczas rysowania.

– Musisz zaciągnąć zasłony, jeśli chcesz zapalić świecę. – Staralam się być praktyczna, przypominałam sobie, że jestem profesjonalistką, że robię to wszystko tylko w związku z przysługą dla mojego pacjenta.

Błysnął zębami w uśmiechu, jakby wiedział, o czym myślę.

– Patrol cywilnej obrony przeciwlotniczej przechodził jakieś dziesięć minut temu. Mamy dwie godziny, zanim wróci.

– Aha.

Patrzyłam, jak układa koc w kałuży księżycowego światła rozlanego przy oknie, a potem ustawia świeczkę na stoliku przesuniętym na środek pokoju. Trzasnęła zapalka i rozniósł się ostry zapach siarki, nim Cooper zapalił świecę. Zabrał poduszkę z łóżka i oparł ją o ścianę pod oknem.

– Połóż się tutaj. Muszę się upewnić, że widzę twoje oczy.

Zrobiłam kilka kroków w stronę okna.

– I zdejmij te kapcie, jeśli można prosić. Psują efekt.

Usłyszałam rozbawienie w jego głosie, co mnie odprężyło i utwierdziło w przekonaniu, że Cooper jest po prostu artystą, a ja jego tematem. Wyciągnęłam się na kocu, podparłam głowę ręką i opadłam lekko na poduszkę. Pozycja była dość wygodna, choć nie wiedziałam, ile tak wytrzymam.

– Nie masz przypadkiem brata? – spytałam, przypominając sobie prośbę Margie.

Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Nie. Dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami, trochę zawstydzona.

– Tak z ciekawości.

Pokiwał głową, omiatając mnie wzrokiem.

– Jeszcze szlafrok. Też nie pasuje.

Spojrzałam w dół i uznałam, że rzeczywiście wygląda bardzo nobliwie.

– Och. Oczywiście. – Usiadłam i powoli odwiązałam pasek, a potem zsunęłam szlafrok i cisnęłam poza obręb pledu.

Słyszałam, jak Cooper szpera w szufladzie, pewnie w poszukiwaniu niedokończonego rysunku, podkładki i pióra, dlatego nie patrzył na mnie, wydając kolejne polecenie.

– I rozepnij koszulę nocną.

Usiadłam szybko, chwytając koszulę przy szyi.

– Słucham?

– Muszę widzieć rubinowy naszyjnik, skoro mam go narysować. Zdaje się,

że masz go pod koszulą?

Trochę się rozluźniłam i odpięłam pięć guziczków, które biegły od szyi do mostka, po czym rozchyliłam materiał, żeby rubin był dobrze widoczny.

– Doskonale – powiedział z pewnym napięciem w głosie, patrząc na mnie.

Przysunął stojące przy łóżku krzesło do świecy, usiadł i zaczął rysować.

Słysząc było teraz jedynie chrobotanie myszy w ścianach i szelest pióra, co bardzo mnie uspokajało. Tak bardzo, że głowa zaczęła mi ciążyć.

– Jeszcze nie – powiedział Cooper. – Pozwól mi tylko dokończyć rysowanie twarzy, a potem możesz zasnąć. – Zerknął na mnie ponad podkładką. – Może jak będę coś mówił, to nie zaśniesz.

– Może. – Uśmiechnęłam się do niego półprzytomnie, widząc, jak światło świec zmiękcza jego rysy, wydobywa twarz chłopca spod tej żołnierskiej.

– Więc opowiedz mi o sobie. Właściwie dlaczego postanowiłaś zostać lekarką?

Odpowiedziałam dopiero po chwili, uświadomiwszy sobie, że nikt jeszcze mnie o to nie pytał.

– Bo czułam się bezsilna, patrząc, jak mój ojciec umiera na raka płuc. – Zastanawiałam się przez moment. – No i zachęcała mnie do tego matka.

– W jaki sposób? – spytał, nie odrywając oczu od kartki, którą miał przed sobą.

– Powiedziała... – Przerwałam, czując, jak dziwnie to zabrzmiało dla kogoś, kto nie znał moich rodziców ani nie wiedział, że w naszym domu było dużo miłości, ale zawsze jakoś się tak wydawało, że to nie wystarczało mojej matce. Ojciec ją uwielbiał, a ona go kochała, ale nie aż tak bardzo. Przypominała mi dziecko, które zgubiło ulubioną lalkę, a potem musiało się zadowolić którąkolwiek.

– Co powiedziała? – ponaglił Cooper.

– Powiedziała, żebym zrobiła ze swoim życiem coś takiego, czego nie można by mi odebrać. I poświęciła się czemuś, co całkowicie mnie pochłonie, w co włożę całe serce, więc nigdy tego nie stracę. Kiedy oznajmiłam, że wybieram się na studia medyczne, miałam wrażenie, że jej ulżyło.

Skrobanie pióra ustało, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam, że Cooper uważnie mi się przygląda.

– A więc nigdy nie chciałaś się zakochać? Nie chciałaś mieć męża i domu? Dzieci?

– To nie tak, że nie chciałam. Po prostu zawsze pragnęłam zostać lekarką. A kiedy tyle razy słyszałam, że to niemożliwe, ponieważ jestem kobietą, to wiedziałam, że nie tylko zostanę lekarką, ale do tego jeszcze najlepszą.

– I nigdy nie spotkałaś mężczyzny, który skłoniłby cię do ponownego przemyślenia tych wyborów?

Przed tobą żadnego, pomyślałam i ugryzłam się w język, żeby tego nie

powiedzieć na głos. Pragnęłam go. Tak, wreszcie się do tego przed sobą przyznałam. Ale czy pragnęłam go aż tak mocno, żeby rzucić wszystko, na co tak ciężko pracowałam? Nie żeby to miało w ogóle jakieś znaczenie. Był związany z inną i moje pragnienie było równie jałowe jak jedna kropla deszczu na pustyni.

Zamknęłam oczy i nic nie odpowiedziałam.

– Jestem taka zmęczona – westchnęłam. – Długo jeszcze?

Usłyszałam, że Cooper odłożył podkładkę na drewnianą podłogę, a potem, że jego bose nogi zbliżają się ku mnie.

– Czy możesz zsunąć trochę koszulę z ramion? Muszę widzieć rubin na gołej skórze.

– Jak na tym małym portrecie – powiedziałam, czując, jak język klei mi się do podniebienia.

– Tak.

Usiadłam i zsunęłam koszulę z jednego ramienia, wiedząc, że jeśli zsunę z drugiego, to zupełnie opadnie. Nasze oczy się spotkały, myśleliśmy o tym samym.

Bardzo cicho spytał:

– Czy spotkałaś kiedykolwiek mężczyznę, który skłoniłby cię do przemyślenia tych wyborów?

Patrzyliśmy sobie w oczy przez długą chwilę, słysząc, jak skwierczy knot świecy, a gdzieś w dole przejeżdża samochód.

– Tylko raz – wyszeptałam, patrząc mu w oczy. Sięgnęłam do koszuli na drugim ramieniu, ale położył swoją dłoń na mojej i mnie powstrzymał.

Na jego twarzy odbił się ból.

– Nie – powiedział schrypniętym głosem. – Nie mogę... – Pokręcił głową. – Nie powinniśmy.

Uniosłam wolną ręką jego dłoń i przyłgnęłam ustami do jej wnętrza. Odkąd podjęłam decyzję, że chcę zostać lekarką, jeszcze niczego w życiu nie byłam tak pewna.

– Matka mi kiedyś powiedziała, że wystarczająco dobre życie to uczciwa cena za jedną chwilę czystego szczęścia. To moja chwila. Nie odbieraj mi jej.

Naumyślnie powoli podniosłam rękę i zsunęłam koszulę z drugiego ramienia, czując, jak miękka bawełna splywa aż do talii.

– Kate – powiedział, a słowo to było przesycone zachwytem, obietnicą, zawierało w sobie chwile, które miały trwać przez całe nasze życie.

Ujął moją twarz w dłonie i delikatnie pocałował, a ja pociągnęłam go w dół, na wełniany pled, osnuty światłem księżycy, gdzie nie istniały wojny ani jutro, a jedna chwila mogła trwać aż do bladego świtu.

Olive

Tym razem nawet nie dotarli na poddasze. Bezwstydnicy...

„Przepraszam – wydyszał Harry w jej ucho, ale ledwie go słyszała w tętnie własnej krwi i łomocie serca. – Przykro mi”. Jak mogło mu być przykro? Olive wcale nie było przykro, że ściana za jej plecami jest twarda ani że spocone czoło Harry’ego dotyka jej policzka, ani że poręcz schodów wżyna się jej w biodro. Nie było jej też przykro, że ręce Harry’ego zakotwiczyły ją mocno, żeby nie odpłynęła do krainy rozkoszy.

Nie zawsze dochodzili jednocześnie jak teraz, ukradkiem, pięknie i pierwotnie, jak para kochanków wskrzeszona z legend. Jak Tristan i Izolda, Lancelot i Ginewra, bohaterowie opowieści, którzy zawsze irytowali Olive, gdy była dorastającą panienką. Czemu zdrowa na umyśle kobieta miałaby rzucić wszystko dla czegoś tak złudnego jak namiętność? Ale teraz to wiedziała. Oddałaby za to wszystko. Przerazało ją, że jest gotowa podjąć każde ryzyko, zapłacić każdą cenę, zignorować wszelkie konwenanse za tę chwilę radości w ramionach Harry’ego.

Chwilę prawdziwego szczęścia, zanim wróci do rzeczywistości.

Zacisnęła palce wsunięte w jego włosy i wyszeptwała:

- Muszę wracać. Ktoś zacznie mnie szukać.
- Ale nie tutaj. Nikt tu nie zagląda oprócz nas. – Przesunął kciukami po jej pupie. – Jeszcze minutkę.
- Czemu? Dostałeś to, czego chciałeś.
- Jeszcze nie. – Pocałował ją w szyję. – Tego najbardziej pragnę, Olive. Tym właśnie nie mogę nigdy się nasycić.
- Harry...
- Nie ruszaj się, dobrze? Nie psuj tego. Zaufaj mi, ten jeden raz.

Olive rozluźniła się, ponownie oparta o ścianę, w silnych rękach Harry’ego, i zamknęła oczy. Tylko minutkę. Bo przecież miał rację. Harry zawsze miał rację. To rzeczywiście była najlepsza część. Tym nie mogłaby się nasycić, choćby żyła wiecznie. Zapach Harry’ego na jej skórze, pełne wdzięczności pocałunki Harry’ego na szyi, Harry i Olive, nasyceni, przepelnieni sobą, jakby ten dom – ba! – jakby ten świat zostały stworzone przez Boga wyłącznie dla ich miłości.

Ale nie zostały. Świat jest o wiele praktyczniejszy. Dwie minuty później Olive biegła w dół po schodach na drżących nogach, wygładzając pogniecioną sukienkę. Powinna włączyć się na czwartym piętrze w wir przygotowań do wieczornego przyjęcia. I pomyślała, że jeśli ten dom i świat zostały celowo

stworzone, to celem tym był bal zaręczynowy Prunelli Pratt.

Kosmyk włosów połaskotał ją w policzek. Aby uładzić fryzurę, przyłożyła dłonie do głowy i poczuła, że włosy ma wilgotne i potargane i że szpilki wysunęły się jej z koka upiętego nad karkiem. Nic dziwnego, przecież w rozkosznym zapamiętaniu pocierała głowę o ścianę. Odwróciła się przerażona do złoczonego lustra wiszącego na ścianie podestu, właśnie tam, gdzie kręte schody docierały do piętra, i poczęła utykać szpilki.

– Olive! Co się dzieje? Masz straszne wypieki!

Olive odwróciła się gwałtownie. To była Bitsy, jedna z pokojówek podających do stołu, spokojna dziewczyna, która mówiła ze śpiewnym irlandzkim akcentem.

– Nic! Pobiegłam po coś i te schody... – Bezradnie wzruszyła ramionami.

Bitsy przewróciła oczami.

– Lepiej szybko się ogarnij! Ta stara niezdara Ellen oparzyła sobie rękę karbownicą i nie ma kto pomóc panie Prunelli przy ubieraniu.

– Ale przecież nie jestem jej osobistą pokojówką!

– Wygląda na to, że jesteś. Na twoim miejscu skorzystałabym z takiej okazji.

Bitsy odwróciła się i popędziła w dół, po czym zniknęła za zakolem schodów. Olive usłyszała tylko jej okrzyk:

– Koniecznie wyprostuj czepek!

Przerażona Olive odwróciła się do lustra. Bitsy miała rację: nie dość, że na twarzy miała rumieńce, to jeszcze czepek bezwstydnie przekrzywił się na lewo. Harry został na górze i mógł w pracowni doprowadzić się do ładu, ale Olive nie miała przecież tego luksusu. Siłą woli opanowawszy drżenie rąk, upięła porządnie włosy. Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić, i wyprostowała biały czepeczek. Nic nie mogła poradzić na rumieńce. Zasłużyła sobie na nie.

Sypialnia panny Prunelli znajdowała się tylko jedno piętro pod dormitorium pokojówek, ale na dobrą sprawę był to osobny świat: wysokie sufity, piękne sztukaterie, bogate zdobienia. Olive zapukała do drzwi panny Prunelli, starając się nie zwracać uwagi na to, że te prowadzące do pokoju Harry'ego są tuż obok. Zostawił je beztrąsko uchylone. Gdyby wyciągnęła szyję, mogłaby zajrzeć przez szparę i zobaczyć półkę na książki i róg jego łóżka.

Jednak panna Prunella odezwała się natychmiast, ostro i w tonie pretensji, więc Olive nie miała czasu na zwiedzanie. Położyła rękę na gałce i pchnęła ciężkie drewniane drzwi.

Olive nigdy jeszcze nie była w pokoju panny Prunelli podczas jej obecności. Zaskoczyło ją, że obecność Prattówny może aż tak zmienić wnętrze. Ze spokojnego azyłu obitego materiałami w miłych odcieniach zieleni i żółci pokój stał się buzującym, upstrzonym jedwabiem ulem, zdominowanym przez wysokie ruchome lustro typu psyche. Stała przed nim w samej bieliźnie młoda drobna kobieta.

– Jesteś wreszcie! – Panna Prunella odwróciła się gwałtownie, z rękami na biodrach, w białym wirze koronek i satyny. – Gdzieś ty się podziewała?!

Wraz z twoim bratem oddawałam się namiętności przy schodach na poddaszu.

– Wykonywałam swoje obowiązki – wydukała Olive.

– Pomóż Monie przy mojej sukni. Jest tak tępa, że nie odróżnia przodu od tyłu.

Prunella odwróciła się, by znów podziwiać siebie w lustrze, a Olive dopiero teraz zauważyła wielkooką Monę skuloną w kącie obok szezlongu, na którym leżała rozpostarta największa świętość: suknia zaręczynowa Prunelli.

– Jest taka ciężka – wyszeptła do Olive, podnosząc jeden rękaw, a Olive westchnęła i wsunęła dłonie pod suto marszczoną spódnicę.

Suknia była z kremowej satyny, haftowana w blad różowe różyczki i wykończona przy dekolcie i mankietach satynowymi kokardkami, których wykonanie musiało zająć krawcowej wiele tygodni. A wszystko na tę jedną noc, by zaspokoić próżność Prunelli Pratt.

Olive wraz z Moną zaniósł suknię do lustra.

– Nie pozwólcie, by dotykała podłogi! – rzuciła opryskliwie Prunella.

Olive szepnęła do Mony, by przyniosła stołek. Wspiąwszy się nań, ostrożnie przełożyła satynowe fałdy spódnicy przez elegancko uczesaną główkę panny Prunelli, wciągnęła delikatne rękawy na uniesione alabastrowobiałe ręce, podczas gdy Mona starała się równo obciągać materiał w dół. Gorset panny Prunelli został już wcześniej tak mocno zasnurowany, że talię miała niebywale cienką. Na toaletce, w gąszczu koronek i biżuterii, Olive odnalazła haczyk do zapinania guzików i pozapinała obciągnięte satyną guziczki, aż wreszcie suknia leżała idealnie na kształtnej figurze panny Prunelli.

Olive zeszła ze stołka i cofnęła się o krok.

– Gotowe.

– Teraz buty.

Olive podążyła wzrokiem za wskazującym palcem panny Prunelli i ujrzała satynowe pantofelki stojące na chodniku obok syczącego kominka. Satyna była ciepła, może tak miało być, a może pantofelki nagrzały się przypadkiem, w każdym razie Olive podała je młodej damie.

Kiedy uklękła i uniosła skraj sukni, poczuła wzrok panny Prunelli na czubku swojej głowy, na białym czepku, który przekrzywił się, kiedy wraz z Harrym dopadli do siebie łączywie na schodach, bo nie udało im się dotrzeć do drzwi poddasza. Ulegli żądzy tam, gdzie stali, ponieważ minęło wiele godzin od śniadania, kiedy ostatni raz zeszli się w swoim gniazdku w pracowni (Olive miała wtedy zawieszać girlandy na poręczach schodów), i jeszcze wiele godzin dzieliło ich od nocy.

(Och, ta noc, którą mieli przed sobą!).

– Możesz odejść, Mono – odezwała się panna Prunella.

Olive podniosła głowę i zobaczyła rozwścieczone niebieskie oczy. Prunella utkwiała wzrok w miejscu, gdzie szyja Olive łączyła się z obojczykiem.

– Tak jest, panno Prunello – wydusiła Mona, cicho zamykając drzwi.

Olive zaczęła się podnosić z kolan.

– Skąd to masz? – spytała ostro panna Prunella.

Ręka Olive powędrowała do złotego łańcuszka na szyi.

– Co?

– Dobrze wiesz, o co pytam. Ten naszyjnik.

– Ja... nie...

– Ależ tak. Znam ten naszyjnik. Na łańcuszku jest wisiołek z rubinem, prawda? To był *mój* naszyjnik.

– Pani naszyjnik? – Olive zrobiła krok w tył.

– Poznałam po łańcuszku. Matka dała mi go ponosić w sylwestra zeszłego roku na moim balu debiutanckim, a następnego ranka zniknął z mojej toaletki.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ten naszyjnik jest mój.

– Pokaż mi go.

– Ja... Nie. – Olive wyprostowała się i opuściła ręce wzdłuż ciała. – Nie pokażę. Naszyjnik należy do mnie. Dostałam go przed tygodniem.

– Jak śmiesz! Pokaż mi ten naszyjnik!

– Z całym szacunkiem, panno Prunello, nie ma pani prawa. Naszyjnik należy do mnie.

– Nie mam prawa? Prawa? – Prunella tupnęła.

Była o wiele niższa od Olive, ale przez chwilę wydawała się wyższa. Nie było śladu po posłusznej córce, cichym kwiatuśku. Co powiedział Harry? „Widziała, jak na ciebie patrzę”. Rubin palił skórę Olive.

– Uważam, że mam prawo do prywatności, nawet jeśli należę do personelu domowego.

Furia panny Prunelli zaczęła stygnąć, ale jej chłód wydał się Olive znacznie bardziej groźny. Bezwiednie cofnęła się o krok.

– Ach tak – wysyczała Prunella. – Służąca, która przemawia jak dama. Myślisz, że nie wiem, kim jesteś?

Olive spojrzała z przerażeniem w te zimne niebieskie oczy, dokładnie w tym samym odcieniu co oczy Harry’ego, tylko że u Prunelli kojarzyły się z okruchami arktycznego lodu. A do tego ten jej lodowaty głos i słowa, które zawisły w ciszy.

„Wiem, kim jesteś”.

– Nie rozumiem, o co pani chodzi. Jestem Olive Jones, pokojówka.

Panna Prunella pochyliła się ku niej.

– Jones, akurat. Jesteś córką architekta, prawda? Inni cię nie poznali, ale ja

tak. Lubiłam mu się przyglądać przy pracy. Boże, jakiż on był przystojny. Masz nad czołem identyczny wdowi szpic i dokładnie takie same oczy.

– To bzdura.

– Od razu domyśliłam się, że z tobą jest coś nie tak. Po sposobie, w jaki na nas patrzyłaś. Wciąż się nad tym zastanawiałam, a wreszcie, obserwując cię przy pewnej kolacji, zauważyłam, że mój brat jest w tobie zakochany...

– To... to...

– No i twoje imię. Pamiętałam, że architekt miał córkę o imieniu Olive. Często o tobie mówił.

Olive otworzyła usta, ale nic nie powiedziała.

– Oczywiście zachowałam to wszystko dla siebie, bez obawy. Czekałam, żeby zobaczyć, co zamierzasz. I pewnie o to właśnie chodziło, co? O uwiedzenie mojego brata, jakby to mogło nas zrujnować. – Zaśmiała się gorzko. – Hańbienie pokojówek jest u nas na porządku dziennym.

– To nieprawda.

Prunella nie odpowiedziała, tylko zmrużyła oczy, patrząc z lodowatą pogardą. Wyglądała tak irytująco doskonale, osobliwie niewinnie z tą swoją okrągłą buzią zakończoną ostrym podbródkiem, z jedwabistymi lokami zebranych dziewczęco nad alabastrowym czołem i kształtnymi uszami. Jej różowe usteczka były słodko nadąsane. Tylko te twarde oczy oceniały, co zdradza rozpalona twarz Olive, badały, co kryje się w zakamarkach jej duszy.

A wreszcie panna Prunella się roześmiała i odwróciła.

– Przynies mi rękawiczki, Olive, szybko. Ojciec czeka na dole, by wprowadzić mnie na bal, mój bal, na którym będę tańczyć i śmiać się, podczas gdy ty będziesz podawać moim gościom drinki i ścierać to, co rozleją, bo tym właśnie zajmują się służące. Prawda, Olive?

– Ja... ja... – Olive przełknęła słowa, które cisnęły jej się na usta.

Co zrobiłaby Prunella, gdyby się rozzłościła? Powiedziała by Harry'emu? Oczywiście, że tak. Powiedziała by Harry'emu i Harry by się dowiedział. Popatrzyłby na nią ze zdziwieniem i zmieszaniem, które zmieniłoby się w poczucie zdrady, a potem nienawiść.

– Tak, oczywiście – szepnęła, bezwiednie zaciskając dłonie w pięści.

Prunella znów się roześmiała.

– Zrobisz wszystko, co ci każę, prawda? Nie masz wyboru, bo znam twój sekret.

Olive poczuła mdłości. Chwiejnym krokiem podeszła do toaletki i odnalazła rękawiczki, a Prunella, idąc za nią, triumfalnym tonem dodała:

– Wyjdę za przedstawiciela jednej z najstarszych i najlepszych rodzin w Nowym Jorku, podczas gdy ty będziesz samotna i porzucona, mieszkając w jakiejś żaloznej czynszówce. Może czasem poczytasz sobie o mnie w gazetach.

Ślub biorę w październiku. Jestem pewna, że zdjęcia będą wtedy wszędzie.

Olive odwróciła się do Prunelli i cisnęła jej rękawiczki wprost w gors obleczoney śliczną kremową satyną, po czym ruszyła prosto do drzwi, z zamglonym wzrokiem, ścigana przyprawiającym o ból głowy śmiechem Prunelli.

Wielki salon na pierwszym piętrze został zamieniony w salę balową. Był tu teraz kwiat nowojorskiej socjety, ale Olive, balansująca na srebrnej tacy dwunastoma kieliszkami szampana, widziała tylko jednego człowieka: Harry'ego Pratta, który tańczył z najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

No cóż, może owa dama wcale nie była aż tak piękna, obiektywnie rzecz biorąc. Ale wydawała się piękna, kiedy wirowała po sali w ramionach Harry'ego, promieniejąc i rumieniejąc się, kiedy coś do niej mówił, jakby światło uwagi Harry'ego miało magiczne właściwości, które zmieniały obiekt jego zainteresowania w coś lepszego i doskonalszego.

Tak jak to było z Olive.

Olive odwróciła wzrok, bo nie mogła znieść tego widoku. Dziewczyna miała jasnokasztanowe włosy ozdobione brylantami, a jej suknia została uszyta ze zwiewnego tiulu, którego róż był tak blady, że niemal biały. Nie był to typ dziewczyny, która pozwoliłaby Harry'emu dopaść się na schodach prowadzących na poddasze, o nie. To była słabość Olive, jej wstyd, chociaż nie miała takiego poczucia aż do tej chwili, kiedy zobaczyła, jak Harry tańczy z inną dziewczyną. Taką, z jaką powinien się ożenić.

W ostatnim tygodniu Harry mówił często o Włoszech i wiecznym lecie, które tam na nich czeka. Jednak nie wspominał nic o małżeństwie. Oczywiście, że nie. Ona udawała, że nie dostrzega tego małego niedomówienia, pewnie przekonała samą siebie, że obietnica małżeństwa jest zawarta w jego propozycji.

Ale może wcale nie była. Prawdopodobnie nie. Wprawdzie mężczyźni uciekają z pokojówkami, ale przecież nie muszą się z nimi żenić. Nie trzeba legalizować związku, starać się, żeby był przyzwoity i wiążący. W razie gdyby zmieniło się zdanie. Gdyby poznało się inną dziewczynę, tę odpowiednią.

Olive przesuwiała się na obrzeżach tłumu gości, serwując szampana. Kilka rąk wyciągnęło się po kieliszki z tacy, bez słowa podziękowania, nie dostrzegając Olive. Może to właśnie raniło najbardziej: była niewidzialna. Kiedy człowiek wkłada uniform służącego, staje się niewidzialny, jakby nie był już istotą ludzką. Oczywiście to jest konieczne, aby cały ten system służebnictwa sprawnie działał, a jednak bolesne. Miała ochotę krzyknąć: Wcale nie jestem gorsza od was! Mówię po francusku, umiem tańczyć, pięknie gram na pianinie i recytuję z pamięci wiersze, a każdą zgłoskę wymawiam jak należy. Rok temu byłam prawie jedną z was!

Ale to nie miało znaczenia, prawda? Jeśli upadniesz, to koniec.

Po drugiej stronie sali, przy oknach, tłum był rzadszy. Olive stąpała

ostrożnie, aby nie przechylić kieliszków z musującym napojem i nie wylać go na wypastowaną podłogę. Podeszła do dwóch tęgich mężczyzn w średnim wieku, którzy w podobnych strojach wieczorowych wyglądali niemal identycznie. Stali przy wielkim oknie balkonowym i palili zakazane cygara, które strzepywali ukradkiem przez szparę w oknie.

– ...oczywiście, wspaniały, ale na wszystkim położy łapę syndyk masy upadłościowej, jeśli padnie budowa choćby jednej z tych cholernych linii kolejowych...

Olive nieco zwolniła kroku.

– ...w które... zainwestował...? – odezwał się drugi mężczyzna, stojący bliżej, ale odwrócony od nadchodzącej Olive. Nie mogła wychwycić wszystkich słów, ale ton był pytający.

Znalazła się teraz tuż przy jego łokciu. Wyciągnęła tacę z szampanem przed siebie, a obaj mężczyźni, nawet na nią nie patrząc i nie przerywając rozmowy, sięgnęli jednocześnie po kieliszki.

– ...ale lwią część w przekłete P i R. Jest pogrążony w bagnie po samą szyję.

Drugi mężczyzna się zaśmiał.

– Co za głupiec.

– To samo mu powiedziałem, ale on święcie wierzy w siłę przebicia prezesa McLeoda, myśli, że nakłady na rozszerzenie sieci kolejowej się zwrócą, zanim skończą im się pieniądze...

– A cierpliwość wierzycieli...

– No oczywiście, jeszcze to...

Olive musiała teraz odejść, bo nawet niewidzialne pokojówki mogą zostać dostrzeżone, jeśli zbyt szybko się ociągają. Jednak szła powoli, jakby bardzo dbała o bezpieczeństwo kryształów podzwaniających na tacy, jak przystało na dobrą służącą.

– Tak między nami, nie sędzę, aby P i R przetrwały dłużej niż tydzień, jak Grover Cleveland zostanie prezydentem...

– ...w dodatku zapewne uchylili ustawę Shermana...

– Nieważne. Za daleko sięgają, słyszałem, że Morgan zamierza odciąć źródło...

Olive nie usłyszała dalszego ciągu, bo mężczyzna odwrócił się do okna, by strzepnąć popiół. Dziewczynie zabiło mocniej serce i zakręciło się w głowie. Ze szpary w oknie trochę wiało, poczuła chłód pod długą czarną spódnicą.

P i R. Czyli linie kolejowe Philadelphia i Reading, nawet Olive to wiedziała. Wszyscy znali P i R, jedną z większych firm na świecie, transportującą niezliczone tony znakomitego węgla kamiennego z kopalni w Pensylwanii do portów atlantyckich. A teraz P i R wyciągały macki po Nową Anglię. Oczywiście te macki są bardzo kosztowne. Nie zbuduje się setek kilometrów linii kolejowej bez góry

pieniędzy. Koleje pożerały kapitał, tak jak Gus Pratt pałaszował na śniadanie bekon, i zawsze były o krok od bankructwa z powodu zadłużenia.

Tak, nawet Olive to wiedziała.

Pamiętała też grubą teczkę w gabinecie pana Pratta z etykietką PHILADELPHIA I READING.

Barwni rozbawieni tancerze wirowali w tańcu, żegnając dostatni rok 1892. Wkraczali w nieznaną przyszłość roku 1893. Przystojna twarz mignęła przed oczami Olive i znikła, i dopiero po chwili dziewczyna uświadomiła sobie, że to był Harry. Obejmował prawą ręką kolejną ślicznotkę, a lewą ścisnął palce w eleganckiej rękawiczce. Nawet nie zauważył Olive.

Dopiero o wpół do dwunastej Olive zdołała wymknąć się do gabinetu na górze. Rozdała kolejną tacę szampana i pospieszyła ku schodom prowadzącym do kuchni, ale zamiast zejść do sutereny, zostawiła tacę na chippendalowskiej komódce i przemknęła niezauważona na górę.

Tym razem się nie zawahała. Wiedziała dobrze, co robi i czego dokładnie szuka. Wprawnymi palcami przekładała skórzane teczki, aż wreszcie znajome słowa pojawiły się znów w wątlym świetle świecy: VAN ALAN.

Znajome, a jednak obce. Czuła się, jakby to nazwisko już nie było jej, jakby była bezcielesną Olive, która nie przynależy do nikogo ani do żadnego nazwiska. Spędziła ostatni tydzień w krainie czarów, wiedząc, że to taka właśnie kraina, ale i tak do niej wkroczyła. A teraz, kiedy wracała do prawdziwego, realnego świata, odkryła, że nie ma tam dla niej miejsca. Że już nigdy nie będzie dawną Olive Van Alan. Że może już nigdy nie będzie wiedziała, kim była Olive ani kim być powinna.

Otworzyła teczkę, a dotyk skóry i papieru przypomniał jej o czekającym ją zadaniu. Prawda: to jedyne, co jej pozostało.

W teczce było blisko trzydzieści dokumentów ułożonych starannie i chronologicznie. Olive przejrzała wczesną korespondencję, w której Pratt wyłuszczał swoje wymagania, a ojciec udzielał taktownych odpowiedzi, powołując się na projekt i rysunki, które widocznie przechowywano gdzie indziej. Potem pojawiły się wezwania do zapłaty, na każdym widniało słowo ZAPŁACONO, starannie wypisane czarnobrazowym atramentem, pewnymi pociągnięciami pióra. Sumy były nieduże, co nie zdziwiło Olive. Według pani Van Alan większość honorarium ojciec miał dostać po zakończeniu prac i po inspekcji budowlanej, a kwota była na tyle duża, że ojciec zgodził się na tak szczególne rozwiązanie, a dżentelmeńską umowę potwierdzono jedynie uściskiem dłoni.

Wreszcie Olive dotarła do dwóch ostatnich kartek. Na jednej, z datą 20 grudnia 1891 roku, był list od jej ojca, w którym informował, że inspekcja budowlana, która odbyła się pierwszego grudnia, przebiegła pomyślnie, i domagał się wypłaty reszty honorarium za usługi architektoniczne: dziewięciu tysięcy

dolarów.

Jednak na dole tego listu nie było napisu ZAPŁACONO, który pojawiał się na innych fakturach razem z datą. Zamiast tego czarnymi grubymi literami wypisano wściekle ODMOWA. Obok data: 2 stycznia 1892.

Ojciec zastrzelił się dzień później.

– No proszę.

Wpatrzona w słowo ODMOWA, Olive niemal zapomniała, gdzie przebywa. Poderwała się, przewróciła świecę, a potem postawiła. Gorący wosk pociekł jej na palce.

– Och, bardzo przepraszam – powiedział głos panny Prunelli Pratt, a potem biała postać młodej damy wyłoniła się z ciemności przy drzwiach. – Nie przeszkadzam?

Olive wyprostowała się, ściągając ramiona.

– Nie – odparła.

Prunella podeszła wolno po dywanie. Trzymała w ręku niedopity kieliszek z winem, a niepewny chód wskazywał na to, że nie był to pierwszy, jaki opróżniała tego wieczoru.

– Biedactwo. Czy mam zgadnąć, co robisz?

– Myślę, że jest to dość oczywiste.

– Właściwie tak. Wykorzystujesz posadę w tym domu, by się dowiedzieć, dlaczego twój biedny, niewinny ojciec opuścił go w hańbie. Dlaczego bezlitośni Prattowie wyrzucili go na bruk i zrujnowali jego dobre imię. – Prunella zatrzymała się po drugiej stronie biurka, postawiła kieliszek na blacie, pochyliła się ku Olive. – Droga Olive. Mogłam oszczędzić ci fatygi. Nie znajdziesz tego.

– Nie?

– Och, nie. Zważywszy na okoliczności, mój ojciec postąpił łaskawie. Wielkodusznie nie ujawnił światu prawdziwego powodu odprawienia pana Van Alana bez zapłaty. Lepiej, żeby świat sądził, że ten człowiek po prostu nie spełnił oczekiwań mojej rodziny związanych z projektem tego domu.

W słabym świetle świecy młoda twarz Prunelli była trupio blada, a jej różowe usta i niebieskie oczy wydawały się bezbarwne. Olive czuła się tak, jakby coś dobierało się jej pazurami do głowy, jakieś przeczucie, ostrzeżenie przed nadchodzącą katastrofą. Nie pytaj, pomyślała, nie pytaj.

– Nie chcesz się dowiedzieć, o co chodziło, Olive? Droga ciekawska Olive. Pragniesz sprawiedliwości dla swojego biednego zmarłego ojca?

– I tak wiem, że ojciec był niewinny, nieważne, o co go oskarżysz.

Prunella zachichotała.

– Ojejku. A więc naprawdę nic nie wiesz. No to dam ci wskazówkę. To ma coś wspólnego z tym ślicznym rubinowym naszyjnikiem, który masz pod sukienką. Naszyjnikiem, który tak naprawdę należy do kogoś innego.

Olive instynktownie dotknęła wgłębienia u nasady gardła.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Zastanawiałam się, gdzie przepadł ten naszyjnik. Był w szkatułce matki, a ja błagałam, żeby mi pozwoliła założyć go na bal debutantek. Powiedziała, że nie powinnam wkładać na tę okazję tak efektownej biżuterii. Tak czerwonej. – Znowu zachichotała. – Mimo to wzięłam naszyjnik, kiedy się odwróciła. I miałam rację. Doskonale pasował do mojej białej sukni. Odróżniał mnie od innych dziewcząt, a pan Schuyler aż trzy razy poprosił mnie do tańca. Ojciec oczywiście aż pokraśniał ze złości, kiedy zauważył naszyjnik, ale warto było go włożyć. Szkoda, że cię tam nie było. Twój ojciec również był na balu, o ile sobie przypominam.

– Owszem. – Olive pamiętała też, że matka nie poszła na bal. Powiedziała, że nie ma w co się ubrać.

– Twój ojciec był bardzo towarzyski. Niezwykle czarujący. I muszę ci powiedzieć, że on również nie mógł oderwać oczu od mojego rubinu. A następnego ranka naszyjnik zniknął!

– Chyba nie sugerujesz, że to mój ojciec ukradł naszyjnik.

Prunella nachyliła się jeszcze niżej, tak że Olive czuła jej przesycony winem oddech.

– No cóż, coś jednak ukradł. Sama odgadnij, co to było.

Wrażenie drapiących pazurów zastąpił łomot bębna, a Olive uświadomiła sobie, że to krew łomocze jej w uszach.

Nie pytaj. Nie pytaj.

– To nie będzie konieczne. Bardzo dobrze znałam charakter ojca.

Prunella parsknęła śmiechem i się wyprostowała.

– Jak tam sobie chcesz. Nie będe odbierać ci złudzeń, skoro i tak niewiele w ogóle masz.

Zadzwoił cicho zegar. Za kwadrans dwunasta.

– Chyba czas na mnie – powiedziała Prunella. – Tata pewnie już się szykuje, by wygłosić toast gratulacyjny. Nie zapomnij zamknąć za sobą drzwi, kiedy skończysz. Nie chcemy, by ktoś się tu włamał i oglądał nasze prywatne dokumenty.

– Zaśmiała się i odwróciła ku drzwiom. Wąski pasek światła z korytarza wydobyl biel jej sukni. – Aha, jeszcze jedno. Masz złożyć wymówienie i opuścić ten dom przed świtem, rozumiesz? W przeciwnym razie będę zmuszona zdradzić nasz mały sekret paru osobom. Wyobraź sobie tylko, co powie mój biedny braciszek, gdy pozna prawdę. Nie mówiąc już o twojej owdowiałej matce.

– Matka i tak wie, co tu robię.

– Och, nie mam na myśli tej drobnostki, Olive. Chodzi mi o prawdę. Prawdziwy powód, dla którego mój ojciec odprawił znakomitego architekta Van Alana bez honorarium, a twój ojciec się nie sprzeciwił.

Bo nie mógł, chciała krzyknąć Olive. Bo nie dostałby kolejnego zlecenia.

Ale krzyki nic by nie dały, prawda? Nie cofnęłyby słów, które padły w gabinecie, ani nie uciszyły dudnienia w głowie Olive.

Nie starłyby zadowolonego uśmiešku z dziecięcej twarzy Prunelli Pratt.

Olive spojrzała na kieliszek z winem stojący na brzegu biurka, a młoda kobieta, której nie znała, wyciągnęła rękę i chwyciła go za nóżkę. Zdmuchnęła świecę i pospieszyła do drzwi, którymi wyslizgnęła się właśnie Prunella, po czym powiedziała nieznanym Olive głosem:

– Panno Prunello, zapomniała pani wina.

Z głębi wspaniałej klatki schodowej dochodziły różne odgłosy: śmiech, brzęk szkła i dźwięk instrumentów smyczkowych. Prunella odwróciła się, a bezczelna młoda kobieta, która nie była Olive – Olive jej nie poznawała, choć podziwiała – chlusnęła czerwonym bordo wprost na gors ślicznej atlasowej sukni zaręczynowej Prattówny i jej wdzięcznie odsłonięte krągłości. Gęsto haftowane, słodkie różowe kwiatki zabarwiły się na czerwono. Olive odstawiła kieliszek na komodę i odwróciła się ku schodom prowadzącym na czwarte piętro i małym drzwiczkom, za którymi były schodki na poddasze.

Wbiegała, przeskakując naraz po dwa stopnie, czasem się potykała, dostała zadyszki i kręciło jej się w głowie. Kiedy dotarła na ostatni podest, nie zauważyła, że drzwi są uchylone, a w środku pali się łagodne światło.

– Olive! Jesteś wreszcie.

Objęcia Harry’ego. Ramię Harry’ego przy jej czole.

Pozwoliła sobie na chwilę wytchnienia. Czarna wełna smokingu Harry’ego wydawała się bardzo gładka w zetknięciu z jej rozpaloną skórą.

A potem go odepchnęła.

– Czy nie oczekują cię przypadkiem na dole?

– Pewnie tak. Mam to w nosie. Co się dzieje?

– Powinieneś wracać. Co najmniej tuzin ślicznych dziewcząt czeka na pocałunek. Ciekawe, jak poradzisz sobie z tak trudnym wyborem.

– Och, Olive, nie bądź niemądra. – Próbował ją znów objąć. – Chyba nie myślisz, że...

– Ależ myślę. I to bardzo trzeźwo. Przez całą noc patrzyłam, jak z nimi tańczysz, podczas gdy ja roznosiłam szampana i musiałam odpierać... – Poczowała, że mija jej wściekłość i jednocześnie uchodzą z niej siły. Chciała tylko spać. Zasnąć i już się nie obudzić. Żeby nie słyszeć kłębiących się w głowie bolesnych pytań.

Twarz Harry’ego spoważniała.

– Co musiałaś odpierać, Olive? Czy ktoś cię obraził? O co chodzi?

– Nie! Nie, tylko... – Chwyciła za łańcuszek i wyciągnęła wisiorek zza dekoltu, a rubin zamigotał na czarnym materiale sukienki. – Ten naszyjnik. Skąd

go miałaś?

Harry podszedł bliżej i objął dłońmi głowę Olive.

– Od mojej matki, Olive. Dała mi go rok temu, w sylwestra. Powiedziała, żebym go przechował, a pewnego dnia ofiarował kobiecie, którą całym sercem pokocham. Miłości mojego życia. Tobie, Olive. – Pochylił się i pocałował ją w usta. – Szukałem cię przez cały wieczór, wiesz? Ilekroć trzymałem w objęciach kolejną lalkę, z którą musiałem tańczyć, rozglądałem się za tobą. Byłem nieszczęśliwy.

– Wcale nie było tego po tobie widać. Wyglądałaś na zachwyconego towarzyszem, w którym przebywałeś.

– A czy wiesz, jak źle się czułem właśnie z tego powodu, że musiałem udawać? Nosić tę cholerną maskę, być takim synem, jakiego sobie życzą? – Pokręcił głową. – Dość tego, Olive. Ani dnia dłużej. Postanowiłem. Nie będziemy czekać aż do czerwca. Wyjedziemy natychmiast, jutro rano. Nie będę przez kolejny dzień patrzył, jak cierpisz, i nie mógł powiedzieć: Ona jest moja. Więc nie wracam do college’u. Nie będę czekał na dyplom. Mam trochę oszczędności, wystarczy nam na początek, zanim dostanę pieniądze z trustu. Będziemy wolni, Olive.

Cofnęła się.

– Nie mogę, Harry. Mam na utrzymaniu matkę.

– To możemy ją zabrać ze sobą. Albo przesyłać jej pieniądze. Proszę, Olive.

– Ujął ją za rękę. – Posłuchaj. Jest jeszcze coś. W zeszłym tygodniu po prostu straciłem głowę i zachowywałem się jak beztroski łajdak, narażając cię na szczególne niebezpieczeństwo, więc obawiam się, że... pomyślałem, że bardzo możliwe... no w każdym razie nie jest to nie do pomyślenia, że... no że nie możemy czekać aż do czerwca. Rozumiesz, co mam na myśli?

Olive wpatrywała się w pionowy rząd złotych guzików na gorsie koszuli Harry’ego. Puszczala jego słowa mimo uszu, w ogóle nie rozumiała, o co mu chodzi, bo wracała myślami do sprawy, o której nie powinna myśleć. O której bała się dowiedzieć.

– Powiedziałaś, że matka dała ci ten naszyjnik w sylwestra? – spytała cicho.

– Tak, dokładnie to pamiętam. – Zawahał się. – Pokłóciła się o coś z ojcem zaraz po przyjęciu. Była bardzo przygnębiona. Powiedziała, że ten naszyjnik to prezent ofiarowany z miłości i że przekazuje mi go w nadziei, że pewnego dnia ja też znajdę swoją miłość. Nie chciałem przyjąć naszyjnika. Sądziłem, że daje mi go pod wpływem impulsu, bo pokłóciła się z ojcem, ale nalegała. I miała rację. – Uniósł dłoń Olive i ucałował kolejno koniuszki palców. – Będziemy o wiele szczęśliwsi od moich rodziców, kochanie.

– Dlaczego? Skąd wiesz?

– Bo to się zdarza tylko dwojgu ludziom na milion, by łączyła ich taka więź jak nas. Poczuliśmy to od razu, kiedy pierwszy raz się spotkaliśmy na schodach

prowadzących na poddasze. Gdybyśmy wyszli dziś z tego domu, a nasze drogi by się rozeszły, gdyby Bóg sprawił, że poślubilibyśmy kogoś innego i wiedli osobne życie, nawet się nie widując, zawsze bym wiedział, kim jesteś. Zawsze bym cię miał w sercu.

Nie była w stanie nic odpowiedzieć. Ani jednym słowem, nawet sylabą czy głoską.

Dotknął małżowiny jej ucha.

– Kochana, praktyczna Olive. Bądź raz lekkomyślna.

– Już byłam lekkomyślna. Nawet bardzo.

– Zostań ze mną tej nocy, w naszym pokoju. Rankiem możesz spakować rzeczy. Pójdziemy do twojej matki i wszystko jej wyjaśnimy. Zarezerwuję nam miejsca na najbliższy statek. Nic nam nie może przeszkodzić.

Nic i wszystko, pomyślała Olive. Wszystko na świecie.

– Nie możesz odmówić. Wiesz to tak samo jak ja, tylko jesteś zbyt praktyczna, by to głośno przyznać. Więc powiem to za nas: kochamy się i uciekniemy razem. Słyszysz mnie, Olive? Powiedz to. Powiedz: Kocham cię, Harry.

Był taki piękny. Kochała jego kości policzkowe, jego szczękę, falę włosów nad czołem, mały garbek na nosie, usta, bezcenną szczerłość spojrzenia, gdy patrzył na nią. Widziała w jego oczach własne odbicie i to, jak na niego patrzyła. Swoje własne uwielbienie, beznadziejne i wieczne.

Nachylił się do jej ucha.

– Możesz to wyszeptać, jeśli wolisz.

Po cóż miałyby temu zaprzeczać? Tylko tyle mogła mu dać.

Olive złączyła dłonie na jego ciepłym karku i wspięła się na palce.

– Kocham cię, Harry.

Lucy

Nie kochał jej.

Ulice parowały od upału, więc wszystko wokół było nieco zamazane. A może sprawiły to łzy, których nie chciała ścierać. Ależ była głupia! Uważać się za zakochaną w mężczyźnie, którego znała... Jak długo? Dwa tygodnie? A nawet mniej. Podczas gdy on chciał się jedynie dowiedzieć więcej o rodzinie Prattów.

Była w tym pewna ironia, ale Lucy nie była w nastroju, by to docenić.

„To było, zanim cię poznałem”, powiedział, kiedy szedł na stację kolejki El, dosłownie krok za nią, tak że jego barczysta postać rzucała ciemny cień na chodnik przed Lucy. „Też to czujesz, prawda?”

Lucy czuła. Nie mogła zaprzeczyć. Między innymi dlatego zostawiła go na peronie, a jego słowa zagłuszył turkot nadjeżdżającego pociągu. Jako dżentelmen nie narzucał jej się dalej i nie wsiadł do wagonu.

„Jak chcesz”, powiedział.

Tylko że ona sama nie wiedziała, czego chce. Już nie wiedziała.

Kiedyś myślała, że zależy jej tylko na odnalezieniu Harry'ego Pratta, że odzyskanie biologicznego ojca może wypełnić lukę pozostawioną w sercu przez śmierć tego przybranego. Jednak im więcej Lucy dowiadywała się o Prattach, tym mniej chciała ich poznać. Wcześniej wyobrażała sobie Harry'ego Pratta jako księcia z bajki, złocistego, jaśniejącego, uosobienie wszelkich cnót, oddzielonego od jej matki tylko za sprawą jakiejś strasznej tragedii.

To byłoby tyle, jeśli chodzi o wspniany romans. Z tego, co Lucy słyszała o Prattach, mogła się domyślać, że jej ojciec zginął podczas pijackiej burdy, tak samo jak jego brat. A nawet jeśli nie umarł, nawet jeśli jeszcze żył gdzieś, wydawało się mało prawdopodobne, że powitałby ją z otwartymi ramionami i uznał za swoją. Zdaje się, że Prattowie nie dbali o nikogo poza sobą.

Lucy pomyślała z goryczą, że Prattowie przynieśli jej same nieszczęścia. Myślała z niechęcią o powrocie do ich rezydencji, tego marmurowego zimnego pomnika utraconej pozycji społecznej. Jeśli jakieś ślady jej rodziców znajdowały się wśród tych pokrytych boazerią ścian, to ich nie znalazła.

Może czas rzucić to wszystko, pomyślała ze złością Lucy. Zrezygnować z pracy w kancelarii Cromwell, Polk i Moore. I tak nie mogła tam wrócić, nie teraz, kiedy Philip Schuyler ukrywał się przed nią w Filadelfii. On był młodszym partnerem w firmie. Ona sekretarką. Jeśli któreś z nich musiało odejść, nietrudno zgadnąć kto.

Nie mogła też wrócić na Brooklyn, do kobiety, którą uważała kiedyś za

swoją babkę. Ten rozdział jej życia został zamknięty.

A Charleston, ten rozmiętany miraż przyszłości, który John Ravenel jej przedstawił, zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Może potrzebują dobrych sekretarek w Kalifornii? To najodleglejsze miejsce, jakie przychodziło jej do głowy. Czemu by nie? Nic nie trzymało jej w Nowym Jorku.

– Lucy.

Była tak pogrążona w myślach, że usłyszała jego głos, nim go zauważyła. Philip Schuyler siedział na schodach Stornaway House, zupełnie jak chłopiec, który wybrał się na wagary. Wstał, kiedy ją zobaczył, i wyszedł na spotkanie.

– Lucy. Muszę z tobą porozmawiać.

Lucy zakręciło się w głowie od upału i konfuzji.

– Skąd pan wie, gdzie mieszkam?

– Z pani teczki osobowej – powiedział takim tonem, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, że zjawił się na jej progu. – Muszę z panią porozmawiać.

Lucy zerknęła nerwowo w stronę okien.

– Nie można z tym poczekać do poniedziałku?

– To nie jest rozmowa, którą chcę odbyć w kancelarii.

– Ale tu także nie można. – Lucy wzdrygnęła się na myśl o prowadzeniu prywatnej rozmowy w ogólnym salonie, przy innych dziewczynach, które przeglądają czasopisma, nadstawiają uszu, a także z pończochami Agaty suszącymi się na poręczy. – Kierowniczką...

– Przekonam ją – rzucił Philip Schuyler niedbale i arogancko. – Bywałem w tym budynku na długo, zanim założono tu pensjonat. Ale jeśli to dla pani krępujące, chodźmy gdzie indziej.

– Tak byłoby najlepiej. – Lucy była zbyt zdenerwowana, by się kłócić. – Na Lexington jest bar kawowy.

– Niech będzie – zgodził się Philip Schuyler i podał Lucy ramię.

Zawahała się przez chwilę, niezbyt długą, ale znaczącą.

– Zapewniam, że pani nie ugryzę – powiedział. – Nie tym razem – dodał cierpko.

Lucy skrzywiła się.

– Nie myślałam... Przepraszam.

Była tak zaabsorbowana własnymi problemami, że nie zwróciła uwagi na jego kiepski wygląd. Zazwyczaj nienagannie ogolone policzki Philipa pokrywał złocisty zarost.

Jak złote płatki, pomyślała Lucy, gdy przecinali Park Avenue. U Schuylerów nawet zarost zmienia się w złoto.

Inaczej niż w rodzinie Prattów, którzy najwyraźniej potrafią zmieniać złoto

w ołów.

– Chciałbym móc powiedzieć, że jest mi bardzo przykro. – Philip spojrział na nią poważnie spod ronda kapelusza. – Powinno być mi przykro. Ale to niemożliwe. Może nie zdaje sobie pani z tego sprawy, ale dała mi pani wspaniały prezent.

Sposób, w jaki na nią patrzył, tak poważny, nie w jego stylu, zaniepokoił Lucy.

– Kaca?

– Jego akurat sam sobie zafundowałem. I głupio zrobiłem. – Przepuścił ją przodem, otwarłszy przed nią drzwi do baru.

Lucy poznała po drganiu jego nozdrzy, że nie jest zachwycony wnętrzem, poobtłukiwanymi białymi cukiernicami i splowiałymi serwetkami na stolikach, ale nie zaprotestował ani słowem. Podprowadził Lucy do stolika i odsunął uprzejmie jej krzesło, jakby byli w Ritzu, a ona miała na sobie suknię wieczorową i piękną biżuterię.

– Dwie kawy, jedną z mlekiem, dwie kostki cukru, drugą z samym mlekiem.

– Philip zamówił, nie czekając, aż Lucy się odezwie.

Lucy spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Pamięta pan, jaką piję kawę.

Philip zdjął kapelusz i przeczesał ręką włosy.

– Czy to takie zaskakujące?

Lucy spuściła głowę.

– Zazwyczaj to sekretarka pamięta o upodobaniach szefa, a nie na odwrót.

Philip pochwycił jej spojrzenie.

– Teraz wiem też, że nie lubi pani dżinu.

Lucy skrzywiła się.

– Czy musimy o tym rozmawiać? Proszę, udawajmy, że tamto nigdy się nie wydarzyło.

– A czy mogłaby pani udawać, że słońce nigdy nie wzeszło albo księżyc nigdy nie świecił? Przepraszam, jestem trochę uszczypliwy. Mam za sobą kilka długich dni. Sporo przemyślałem.

Czy nie mógłby się pospieszyć i przejść wreszcie do rzeczy? Lucy kręciła się niecierpliwie na brudnym krześle. Marzyła tylko o tym, by już wrócić do swojego dusznego pokoju na poddaszu. Chciała zdjąć przepeocone pończochy, wyciągnąć się na nierównym łóżku, być tam, gdzie jest ciemno i spokojnie, gdzie nie ma Johna Ravenela ani Philipa Schuylera. Zamknie oczy i będzie udawać, że ma znów dziesięć lat i jest w swoim pokoju z malowidłem ściennym wykonanym przez mamę.

Philip Schuyler wciąż mówił i mówił z tym swoim pięknym akcentem wyniesionym ze szkoły z internatem, takim akcentem, jaki Lucy sama kiedyś chciała mieć, a który teraz, w porównaniu ze śpiewną wymową Johna Ravenela,

wydawał jej się zbyt nosowy, wręcz sztuczny.

Chociaż wcale taki nie był. Philipowi Schuylerowi takie mówienie przychodziło naturalnie. Bądź co bądź był Schuylerem.

– Wiem, że to dość nagła propozycja – powiedział – ale... wyjdź za mnie.

Lucy natychmiast ocknęła się z otępienia.

– Przepraszam – wydukała. – Chyba się przesłyszałam. Czy powiedział pan...

Philip pochylił się ku niej.

– Wyjdź za mnie, Lucy. W tym tygodniu, w tym roku, wszystko mi jedno kiedy. Po prostu... wyjdź za mnie.

Lucy gapiała się na niego bez słowa. Nie wyglądał na pijanego, nie tak jak w ostatnią środę, ale...

– Czy jest pan pod wpływem...

– Nie jestem. A w każdym razie nie pod takim wpływem.

I rzeczywiście. Miał wprawdzie zaczerwienione oczy, jakby nie spał całą noc, a na policzkach lekki zarost, co mu się nigdy wcześniej nie zdarzało, ale mówił wyraźnie, ręce mu nie drżały. Lucy czuła od niego tylko kawę, ani śladu alkoholu.

– Czy naprawdę sądzisz, że musiałbym się upić, żeby mieć tyle rozsądku, by się w tobie zakochać?

– W sekretarce bez złamanego grosza? Nie sądzę, aby ktokolwiek doszukał się w tym rozsądku. – Albo miłości. Jak Philip Schuyler mógłby ją kochać? Ledwie ją znał.

Jednakże Lucy uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że znał ją o wiele lepiej niż John Ravenel. Pracowali razem już od wielu tygodni, dzień w dzień, godzina po godzinie. Wiedział, jaką pije kawę i że robi się marudna, jeśli za długo czeka na lunch.

Dlaczego więc kiedy John Ravenel po trzech zaledwie spotkaniach poprosił, by przeniosła się do Charleston, miała ochotę zarzucić mu ręce na szyję i się zgodzić?

W przeciwieństwie do Philipa Schuylera tamten nie zaproponował jej małżeństwa.

– Byłem głupcem, Lucy. – Złoty sygnet Philipa połyskiwał w słońcu, którego promienie wpadały przez brudne okno. – Od jakiegoś czasu wiem, że wcale nie jestem zakochany w Didi. Nie jestem nawet pewien, czy ją lubię. Nie wiem, czy kiedykolwiek lubiłem. Uważałem jednak, że właśnie z tego rodzaju kobietą powinienem się ożenić.

– Rzeczywiście – wydusiła z trudem Lucy. – Jest piękna i wykształcona.

– Wykształcona? A co ona umie? Wydawać pieniądze tatusia? Widziałem, jak wyglądało małżeństwo mojego ojca. Nie z moją matką. Nie pamiętam jej. To

znaczy, słabo pamiętam. – Zamilkł na chwilę, a Lucy wbrew sobie poczuła ukłucie litości. Jakie to dziwne, że ona użala się nad Philipem Schuylerem. – Ale pamiętam Prunellę. Wciąż domagała się komplementów, ciągłej uwagi, nieustannych prezentów. Była centrum świata i wszystko miało kręcić się wokół niej.

– I chyba tak już zostało?

– To prawda. Tylko że teraz ma mniej satelitów. Chcę powiedzieć, że ona była ozdóbką, a nie partnerką. Mogę ożenić się z kobietą, która będzie ozdobą sali balowej. – Spojrzał na Lucy. – Albo z taką kobietą jak ty. Silną. Rozsądną.

Lucy nie była całkiem pewna, czy to komplement.

– Hm, to brzmi, jakbym była parą starych butów.

– Nie chciałem, żeby tak zabrzmiało! – Philip zmrużył oczy z wyrazem żalu.

– Jeśli możesz w to uwierzyć, kiedyś uważano mnie za całkiem wytwornego.

– Ależ wierzę. – Skoro on był szczery, to ona też mogła. – Byłam w tobie trochę zakochana.

– Tylko trochę?

Lucy nie wiedziała, jak to ująć w słowa.

– Myślę, że aby to była prawdziwa miłość, potrzebne jest wzajemne zrozumienie.

I tego właśnie, mimo wszelkich zalet, brakowało jej rodzicom. Ojciec uwielbiał matkę, ale nigdy tak naprawdę jej nie rozumiał. A matka, choć całkowicie polegała na ojcu, wcale tego nie doceniała. Była między nimi przepaść, której nie mogła zasypać cała dobra wola na świecie.

Philip wyciągnął rękę i nie dotykając dłoni Lucy, położył blisko niej.

– Myślę, że rozumiemy się całkiem dobrze. Na pewno świetnie się nam razem pracuje.

Lucy pokręciła głową przecząco. Czowała się, jakby właśnie wpadła nie do tej bajki co trzeba. Książę oświadczył się gęsiarce, a ta wcale nie była księżniczką w przebraniu. Pod postacią gęsiarki ukrywał się ktoś zupełnie inny.

– Nie wiesz o mnie bardzo wielu rzeczy.

Philip obracał swoją filiżanką na wyszczerbionym talerzyku.

– Wiem, że mówisz, co myślisz, chociaż nieraz byłoby łatwiej zamilczeć. Wiem, że nie pozwolisz, bym zaległ niczym trofeum na półce i zbierał kurz. Stawiasz mi wyzwania. Sprawiasz, że staję się lepszy jako człowiek. I jako prawnik. – Kiedy Lucy nie odpowiedziała na jego uśmiech, dodał: – Chcę być człowiekiem, za jakiego mnie uważasz.

A więc tak ją postrzegał? Tylko jako lustro dla swojego lepszego ja? W takim razie czeka go rozczarowanie, kiedy przyjrzy się lustru z bliska i zobaczy, że jest pęknięte, że okłamała go, tak jak ją okłamał John Ravenel.

Czas przyznać się do wszystkiego, wyrzucić to z siebie. W końcu co miała do stracenia? Lucy wzięła głęboki wdech i oznajmiła:

– Obawiam się, że dałeś się oszukać. Nie jestem tą osobą, za którą się podawałam. Okłamałam cię.

– Czyżbyś była zaginioną austro-węgierską księżniczką? Chętnie bym został księciem małżonkiem.

Pięknie by się prezentował w mundurze ze srebrnymi galonami i lśniącoymi guzikami. Lucy pokręciła głową.

– Mój dom rodzinny to piekarnia na Brooklynie. A prawdziwe nazwisko brzmi Jungmann, nie Young.

Spojrzała wyzywająco na Philipa Schuylera, pewna, że ją potępi.

– I to wszystko? – Philip opadł na oparcie krzesła, wyraźnie mu ulżyło. – Mój dziadek ze strony matki nazywał się Hochstatter. Pochodził z Hamburga albo jego okolic. Zmienił nazwisko na Howland, kiedy przeniósł firmę spedycyjną do Ameryki. Przecież nie ty pierwsza zanglicyzowałaś nazwisko.

– To jeszcze nie wszystko. – Nazwisko było najmniejszym problemem. – Nie mówiłam prawdy, wyjaśniając, dlaczego chcę pracować w kancelarii Cromwella, Polka i Moore’a. Chodziło mi o dostęp. Do dokumentów Prattów – trajkotała dalej Lucy. – Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego moja matka wyszła za ojca. Była damą, Van Alan. A ojciec był tylko sklepikarzem. Ale babcia mi powiedziała... Myślę, że mogę być córką Harry’ego Pratta.

– Och. – Trzeba przyznać, że choć w pierwszej chwili Philip Schuyler był zdumiony, to przyjął spokojnie jej wyznanie. Na jego szczupłej twarzy odbiło się zamyślenie. – Harry... To był ten młodszy bliźniak. Zniknął tuż przed ślubem Prunelli z moim ojcem. Podejrzana sprawa. To musiało być w dziewięćdziesiątym trzecim.

– W tym właśnie roku się urodziłam – powiedziała spokojnie Lucy. – W listopadzie tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego.

– Rozumiem. – Philip przekrzywił głowę. – A więc jesteśmy spowinowaceni. Ale myślę, że dostaniemy dispensę.

Znowu żartował, wciąż się wygłupiał.

– Nie rozumiesz. Okłamałam cię. Zgłosiłam się do pracy, podszywając pod kogoś innego. – A potem wyrzuciła z siebie najcięższy grzech: – Jak nie było cię w gabinecie, grzebałam w teczkach z dokumentami.

– Jesteś moją sekretarką. Grzebanie w dokumentach należy przecież do twoich obowiązków – powiedział Philip, starając się ją rozbawić, co się jednak nie udało. Pochylił się więc ku niej i ujął za rękę. – Myślę, że wyjaśnienie tego wszystkiego jest bardzo szlachetne. Ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie próbowałaś przecież wyłudzić pieniędzy od firmy. Chciałaś poznać swój rodowód. A któż by nie chciał?

Lucy przygryzła dolną wargę, zdumiona jego dobrocią.

– Zaczynam myśleć, że nie powinnam była tego robić. Wszystko, co słyszę

o Prattach, jest takie nieprzyjemne.

Philip ujął ją za ręce, jego uścisk był lekki, niezobowiązujący.

– Jeśli cię to pocieszy, mogę powiedzieć, że Harry był najlepszy z nich wszystkich. Miałem wtedy osiem lat, więc się nie liczyłem w towarzystwie dorosłych. Jednak Harry... Kiedyś zobaczył, że siedzę sam pod ścianą gdzieś w kącie pokoju. Kazano mi siedzieć grzecznie i się nie ruszać. Nic nie mówić, dopóki ktoś do mnie nie zagada. A on do mnie podszedł. Narysował mój portret.

– Portret? – Po plecach Lucy przebiegł dreszcz. „Ciarki”, jak mówiła mama. Na ustach Philipa zaigrał uśmiech.

– Prawie zapomniałem o tym dniu. Nie pamiętam, co dokładnie powiedział, ale coś o tym, że pewnie wolałbym być na dworze i robić cokolwiek innego, byle nie siedzieć w tym pokoju. Bo on też tak by wolał. A potem wyjął szkicownik i narysował mnie, jak puszczam latawca w Central Parku. Dobrze uchwycił podobieństwo.

Lucy pomyślała o swojej matce, o malowidle ściennym w swojej sypialni. Wróciły jej słowa: „Mam talent pośledniego rodzaju”.

– Był artystą?

Philip wzruszył ramionami.

– Miał takie inklinacje. Ale jego rodzina nie wspierała tego typu talentów. Byli... prostakami. Dorobkiewiczami – uściślił z nonszalancją typową dla człowieka, którego rodzina jest zamożna od pokoleń. – Stary Henry August Pratt nie aprobował niczego, co nie miało wartości pieniężnej. Ale Harry był inny. – Zerkając na Lucy, dodał: – Chyba jeszcze gdzieś mam ten rysunek, gdybyś chciała go zobaczyć.

Lucy miała ściśnięte gardło. Oszukała Philipa Schuylera, a on dzielił się z nią wspomnieniami ze swojej przeszłości. I jej także.

– Dziękuję. A nie wiesz przypadkiem, co się stało z Harrym Pratem?

– Nikt nie wie. – Nachylił się ku niej, patrząc prosto w oczy. – Jeśli ci na tym zależy, możemy kogoś wynająć. Chociaż minęło wiele lat, dobry prywatny detektyw powinien trafić na jego ślad. To znaczy, jeśli chcesz się dowiedzieć.

Mówił z taką pewnością i przekonaniem. A Lucy wiedziała, że gdyby się zgodziła, w ciągu kilku godzin sprawa by ruszyła, a portfel Philipa byłby do jej dyspozycji. Kręciło jej się w głowie na myśl o tym, jak wspaniale byłoby zostać panią Schuylerową.

Ale ta myśl była też przerażająca.

– Nie wiem – odpowiedziała uczciwie Lucy. – Myślałam, że największym moim pragnieniem jest odnalezienie prawdziwego ojca. Ale teraz... sama nie wiem.

– Nie musisz podejmować decyzji natychmiast – powiedział Philip, a Lucy wiedziała, że nie chodzi mu wyłącznie o Harry'ego Pratta. – Prześpij się z tym.

Skoro przez lata była to niewiadoma, cóż znaczy kilka dni więcej?

Jeśli ci odmówię, czy nadal będziesz mi pomagał w odnalezieniu ojca? – chciała zapytać Lucy. Ale i tak знаła odpowiedź. Wiele można by zarzucić Philipowi Schuylerowi, ale nie małostkowość.

Lucy spojrzała w jego jasnoniebieskie oczy, odnotowując, że ma nieco za wąski i za długi nos.

– Didi Shippen nie wie, co traci, prawda?

– Z jej punktu widzenia – odparł z przekąsem Philip – apartament przy Park Avenue, willę w stylu włoskim nad brzegiem Hudson i dochód w wysokości pięciu tysięcy dolarów rocznie. Oraz stosownie ubranego mężczyznę, z którym zawsze można się pokazać w towarzystwie.

Lucy odsunęła krzesło i wstała.

– W takim razie nie zasługuje na ciebie.

Philip zostawił pieniądze na stoliku. Lucy zauważyła, że napiwek był dwukrotnie wyższy niż tygodniówka kelnerki.

– A co z tobą, Lucy?

Jakby to było dobrze, gdyby była zakochana w Philipie Schuylerze, jak jej się zdawało przed dwoma tygodniami. Teraz znała go lepiej, a nawet bardziej go lubiła. Ale go nie kochała. Gdyby sympatia mogła zamienić się w miłość... Ale na to właśnie miał przecież nadzieję jej ojciec. No i co z tego wyszło?

Lucy skupiła się na wkładaniu rękawiczek.

– Muszę wiele przemyśleć – odparła wymijająco.

– Dobrze. Nie będę cię ponaglał. – Philip uśmiechnął się krzywo. – Ani próbował zmiękczyć dżinem. Ale nie mogę obiecać, że nie spytam cię ponownie.

– Za tydzień możesz zmienić zdanie – powiedziała Lucy, kiedy wyszli na zalaną słońcem ulicę.

– Wcale nie jestem aż tak bardzo zmienny. – Odprowadził ją pod sam pensjonat i uchylił na pożegnanie kapelusza.

– Do zobaczenia w poniedziałek.

– Kto to był? – spytała Maud, jedna z mieszkanek pensjonatu Stornaway, która właśnie otworzyła od środka drzwi. Była w nowym kapeluszu, na nogach miała pantofle z paskiem. – Wygląda na dzianego.

– To tylko mój szef – wyjaśniła natychmiast Lucy.

– Gdyby mój szef tak wyglądał...

Lucy pomachała jej na pożegnanie i szybko weszła do domu, w którym jej matka zakochała się w niejakim Harrym Pracie.

Co powinnam zrobić, mamó? Co ci się tu przydarzyło? Dlaczego dokonałaś takich, a nie innych wyborów?

Jednak marmurowe schody w starym domostwie milczały. Klatka krążyła ruchem spiralnym w nieskończoność, jak czas, i wracała do tego samego punktu.

Myśli Lucy kursowały po podobnej spirali. John i Philip, Philip i John. John ją okłamał. Philip się jej oświadczył.

Ale jej serce wyrывało się do Johna, to z Johnem czuła się, jakby odnalazła brakującą część siebie. I czy naprawdę mogła go potępiać za to, że ją oszukał? Ona też tak zrobiła, i to z tych samych powodów. Skoro Philip Schuyler jej wybaczył, to dlaczego ona nie miałaby wybaczyć Johnowi Ravenelowi?

„Kiedy zobaczyłem na tobie ten naszyjnik...”. Zobaczył go i uznał, że Lucy należy do spisku Prunelli Pratt, nieważne, na czym ów spisek polegał.

Ale czy naszyjnik, który nosiła dama z obrazu jego ojca, był rzeczywiście tym, który Lucy miała na sobie? A jeśli tak, jak do tego doszło?

Obok biurka konsjerża była budka telefoniczna.

Lucy wygrzebała z torebki monetę i wrzuciła ją w otwór.

– Czy mogę prosić o połączenie z hotelem Waldorf-Astoria?

– Chwileczkę – odparł bezosobowy głos operatorki.

Obok słuchawki latała leniwie mucha, jej bzyczenie zlewało się z szumem na łączach.

Mogłaby jeszcze odłożyć słuchawkę. Odłożyć i odejść. John Ravenel wróciłby do Charleston. A ona mogłaby poślubić Philipa Schuylera, mieć piękne suknie i pojawiać się w rubrykach towarzyskich.

I zawsze zastanawiać się nad tym, czy popełniła życiowy błąd.

Usłyszała kliknięcie.

– Mówi się – odezwała się operatorka, a zaraz potem ktoś inny rzucił szorstko:

– Słucham?

– Halo – odezwała się szybko Lucy, zanim zdążyła się rozmyślić. – Hotel Waldorf? Chciałabym zostawić wiadomość dla pana Johna Ravenela. Tak, Ravenel. R-A-V-E-N-E-L. Proszę mu przekazać, że Lucy Young chciałaby z nim porozmawiać.

Kate

Ulice były mokre od mżawki, kiedy przecinałam krótkie przecznice w drodze od przystanku metra. Znałam jako tako Brooklyn, bo odwiedzałam czasem w dzieciństwie prababcie ze strony matki. Mówiła z wyraźnym niemieckim akcentem i sprawiała wrażenie, jakby z trudem tolerowała moją matkę. Kojarzyłam ją głównie z zapachem pieczonego chleba, który osnuwał ją jak perfumy. Umarła zapewne, nim skończyłam dziesięć lat, bo nie pamiętam, bym później odbywała te obowiązkowe wizyty.

Okolica, w której się obecnie znalazłam, nie różniła się zbyt od tej z moich wspomnień, ze znajomym smrodem śmietników i typowym widokiem bielizny powiewającej na sznurach pomiędzy budynkami, co kojarzyło się z latającymi duchami. Przypomniałam sobie z pewnym wzruszeniem dominujące zapachy – kiszonej kapusty i sznycla, dzięki którym zawsze czułam się częścią życia matki, tą częścią, zanim poznała mojego ojca, a zmarszczki rozczarowania na stałe zagościły po obu stronach jej ust.

Po drugiej stronie ulicy ujrzałam trzypiętrowy budynek z elewacją z brązowego piaskowca, przed którym stało kilka dziecięcych wózków. Znużona matka podrzucała płaczące dziecko na ramieniu, na zmianę poklepując je po plecach i strząsając popiół z papierosa trzymanego w ustach, najwyraźniej obojętna na mżawkę, która pokrywała wszystko cienką mgiełką.

Spojrzałam na pogniecioną karteczkę w moim ręku, żeby jeszcze raz sprawdzić, czy jestem we właściwym miejscu. Prunella Pratt odpowiedziała na moją prośbę o spotkanie krótkim liścikiem skreślonym śmiałym charakterem pisma. Było to raczej wezwanie niż odpowiedź, z poleceniem stawienia się pod wskazanym adresem w następny wtorek o czwartej. Droga papeteria zdecydowanie kontrastowała z ulicą, na której właśnie stałam, gdyż ozdobny papier zdawał się bardziej odpowiedni dla debutantki z Upper East Side niż dla kogoś z Brooklynu, gdzie mieszkali imigranci i dominował ostry zapach cudzoziemskich potraw. Zważywszy na to, co Margie odkryła na temat Prunelli w kronikach towarzyskich, zastanawiałam się, czy to fałszywe wrażenie może być zamierzone.

Byłam prawie pewna, że przed laty składałam z rodzicami wizyty w innym miejscu. Należało więc przypuszczać, że majątek Prunelli po śmierci mojego ojca drastycznie zmalał, i to tak bardzo, że musiała przenieść się z Upper East Side na Brooklyn. A to zdaniem niektórych gorsze niż śmierć.

Zaczekałam, aż przejedzie ulicą hałaśliwa furgonetka rozwożąca mleko, a potem przeszłam na drugą stronę. Wyniszczona matka ledwie zwróciła na mnie

uwagę, kiedy wyminęłam ją na schodach i przez wysokie dwuskrzydłowe drzwi weszłam do pomieszczenia, które mogło być dawniej ładnym holem w jednorodzinny domu. Jednak teraz czarno-białe marmurowe kafelki na podłodze były popękane i poplamione, gipsowe sztukaterie na suficie obtłuczone albo zniszczone przez wilgoć, obramowanie kominka zniknęło i pewnie zdołało teraz rezydencję, która bardziej na to zasługiwała.

Omiał nie opuścić budynku, by jeszcze raz sprawdzić adres, ale się powstrzymałam. Przypomniałam sobie resztę informacji odkrytych przez Margie w archiwach prasowych, o utracie fortuny przez Prattów w wyniku błędnych inwestycji w koleje, a następnie cios, jaki zadał rodzinie Schuylerów kryzys w roku dwudziestym dziewiątym. Dla kobiety takiej jak Prunella, która od dziecka była wychowywana i kształcona na damę z towarzystwa, musiało być upokarzające wylądować w takim miejscu, z dala od znanego świata jej młodości.

Od strony wąskich schodów pokrytych zniszczonym i brudnym chodnikiem, które miałam przed sobą, doleciały odgłosy kłótni jakiejś pary. Gdzieś w głębi budynku rozległ się płacz dziecka, a za drzwiami po prawej ktoś brzdąkał na rozstrojonym pianinie. Jeszcze raz spojrzałam na karteczkę w ręku. Lokal 1B. Drzwi naprzeciwko tych od pianina, pokryte łuszczącą się białą farbą, ze śladem po oderwanym numerze 1.

Po chwili wahania zapukałam, a odgłos przytłumiła nieco rękawiczka. Usłyszałam wewnątrz szelest, jakby szurania satyny po podłodze, a potem zapadła cisza. Zdjęłam rękawiczkę i zapukałam jeszcze raz, czterema kłykciami.

Tym razem usłyszałam lekkie szybkie kroki, a potem szcęk otwierania licznych zamków i wreszcie drzwi powoli się uchyliły. Pod strzechą kręconych siwych włosów ujrzałam wielkie zielone oczy, które wpatrywały się we mnie przez szparę.

– Pani Schuyler? Ciocia Prunella? Jestem Kate. Kate Schuyler. Córka Philipa.

Drzwi otworzyły się szerzej i kobieta zrobiła krok w tył, a ja zobaczyłam, że ma na sobie staroświecki, trochę za mały uniform pokojówki z wykrochmalonym fartuszkem i czepeczkiem. Już sam szeroki uśmiech wystarczył, bym pojęła, że nie jest to moja ciotka Prunella, co potwierdził silny irlandzki akcent.

– Och, nie. Jestem Mona, pokojówka. – Pochyliła się i konspiracyjnym szeptem poinformowała: – Pani jest jeszcze w łóżku, zbyt słaba, by wstawać przy tej pogodzie. A tak między nami, jest zdrowa jak koń i przeżyje nas wszystkich.

Zamknęła za mną drzwi.

– Powiedziała, że bym nie proponowała nic do picia, ale chyba przydałaby się pani filiżanka dobrej herbaty. Za chwilę podam. – Ruchem głowy wskazała w lewo. – Pani jest za tymi drzwiami. Proszę najpierw zapukać, bo inaczej nas obsztorcuje.

Odprowadziłam wzrokiem Monę, która się oddaliła, zapewne do kuchni. Czarny wyblyszczony materiał uniformu opinał się na jej plecach. Zastanawiałam się, czy kiedyś pracowała u Prattów. Może została z Prunellą nie z lojalności, lecz dlatego, że nie wiedziała, co z sobą począć.

Rozejrzałam się pobieżnie po pokoju, który wydawał się znajomy tylko ze względu na meble. Były jednak jakby większe, niż zapamiętałam, zupełnie nieodpowiednie do tego niewielkiego mieszkania. Porcelanowe figurki i inne ładne drobiazgi tłoczyły się wszędzie na solidnych drewnianych blatach i półkach. Pomędzy trzema wielkimi sofami, licznymi stolikami i biblioteczkami zostawiono wąskie przejścia umożliwiające dostanie się z jednego pokoju do drugiego. Wyglądało to jak meble ocalałe po katastrofie statku, unoszące się bezładnie na oceanie.

Wydało mi się bardzo smutne, że tylko tyle zostało z wytwornego, dostatniego życia. W tym obskurnym mieszkaniu piękne przedmioty traciły na urodzie na tle odchodzących od ścian tapet i spłowiałych zasłon. Mój ojciec zarządzał finansami Prunelli do samej śmierci, która zapewne przyspieszyła przeprowadzkę macochy na drugą stronę rzeki. Na pewno do dziś nienawidzi tego miejsca. Przez moment chciałam stamtąd uciec, wydostać się na ulicę i odetchnąć powietrzem oczyszczonym przez deszcz.

– Mona? Kto to był? Mam nadzieję, że nie zostawiłaś otwartych drzwi, mogłoby mnie zawiąć.

Głos się jej nie zmienił przez te wszystkie lata, wibrował tymi samymi władczyimi tonami, dykcję miała nienaganną. Od razu przypomniał mi się grymas, który pojawiał się na twarzy ojca, kiedy oznajmiał mi, że znów musimy odwiedzić ciotkę Prunellę.

Jestem przecież dorosłą kobietą, pomyślałam. A w dodatku lekarką. Zapukałam do drzwi i otworzyłam je, nie czekając na odpowiedź.

W pierwszej chwili jej nie zauważyłam. W małej sypialni dominowało ogromne mahoniowe łóżko z baldachimem i stała największa szafa, jaką widziałam w życiu. Poza tym upchnięto tam jeszcze kanapę i sporą wiktoriańską toaletkę, toteż łatwo było przeoczyć w łóżku kobietę drobną niczym lalka, wspartą na wielkich poduszkach. Była krucha i jeszcze mniejsza, niż ją zapamiętałam sprzed lat.

– Ciozia Prunella?

Przymrużyła oczy.

– Podejdź bliżej, nie widzę cię.

Zrobiłam dwa kroki w jej stronę.

– Bliżej. Nie wiem, czemu upierasz się, by stać na drugim końcu pokoju.

Powstrzymałam się od uśmiechu, przypuszczając, że nie nosi okularów z próżności. Podeszłam tak blisko, że dotykałam kolanami brzegu materaca.

Przez chwilę nic nie mówiła, a jej przenikliwe niebieskie oczy lustrowały mnie z wnikliwością jubilera, który szacuje wartość kamienia. Wreszcie się odezwała, napotkawszy mój wzrok:

– Kate, powiadasz? Owszem, pamiętam cię jako małą dziewczynkę. Wyglądasz zupełnie jak twoja matka. Ta sama sercowata twarz z wdowim szpicem.

Było oczywiste, że to nie miał być komplement.

– Mój ojciec też zawsze podkreślał to podobieństwo, chociaż ja nie bardzo się z nim zgadzam. Matka była piękną kobietą.

– Była?

Pokiwałam głową.

– Zmarła kilka lat temu.

Gdybym oczekiwała kondolencji, spotkałby mnie zawód. Rozejrzałam się za jakimś miejscem do siedzenia, ale że była tam jeszcze tylko kanapa, więc nadal stałam.

– Niestety, straciłam z ciocią kontakt po śmierci ojca. Dopiero niedawno się dowiedziałam, że ciocia nadal żyje. Wspomniałam już w liście, że pracuję jako lekarka w szpitalu Stornaway, w budynku, który kiedyś był rezydencją Prattów, w której ciocia mieszkała.

Usta zacisnęła tak mocno, że odpłynęła z nich krew i stały się tak blade, że niemal niewidoczne.

– Mieszkałam tam krótko, przed ślubem – wycedziła takim tonem, jakby chciała dodać: I patrz, gdzie dzisiaj mieszkam.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Zdaje się, że znalazłam suknię, która kiedyś należała do cioci. Była w szafie na poddaszu. Jest przepiękna, w maleńkie różowe różyczki, z wąską talią. Na metce w środku są wyhaftowane dane cioci.

Twarz jej złagodniała, co pozwoliło mi wyobrazić sobie piękną młodą dziewczynę, którą kiedyś była Prunella Pratt, zanim rozczarowania życiowe odebrały jej lepsze cechy.

– To suknia, w której wystąpiłam na swoim przyjęciu zaręczynowym. Potem przez wiele tygodni moje zdjęcia były we wszystkich rubrykach towarzyskich.

Usta Prunelli wygięły się w uśmiechu i wróciła myślami do przeszłości, a ja zastanawiałam się przez chwilę, jak to jest, gdy się tak patrzy wstecz na swoje życie.

– Mogłabym przynieść tę suknię, jeśli ciocia zechce, chociaż na przodzie jest okropna plama. Chyba po winie.

Spojrzała na mnie srogo.

– Tak. To wino. Głupia, niezdarna pokojówka mnie nim oblała. Kompletnie zniszczyła mi suknię.

Chcąc jak najszybciej zmienić temat, powiedziałam:

– Znalazłam też rysunki Harry’ego. Brat cioci był utalentowany.

Wzdrygnęła się, jakby przełknęła coś gorzkiego.

– To było tylko hobby. Ale wbił sobie do głowy, że chce zostać artystą. Oczywiście ojciec natychmiast go sprowadził na ziemię. Prattowie nie zostawiali artystami. Po prostu nie i już.

Przestąpiłam z nogi na nogę, bo czułam się niezręcznie, prowadząc tę rozmowę na stojąco przy jej łóżku. Nie zaproponowała, że znajdzie mi krzesło, a ja nie zamierzałam przysiąść na brzegu łóżka. Wyglądało to tak, jakbyśmy czekały na inne rozwiązanie.

Odchrząknęłam.

– Rozumiem, że Harry zniknął mniej więcej w tym czasie, kiedy ciocia wyszła za męża. Czy dowiedziała się ciocia potem, co się z nim stało?

Odwróciła się do okna, blade światło odbiło się w jej oczach.

– Nie. On po prostu... wyjechał. Bez pożegnania. – Przerwała. – Chyba chciałabym go znów zobaczyć. – Być może sprawiło to światło, ale odniosłam wrażenie, że jej oczy zasnuły się mgłą, przypominały dwie płytkie sadzawki z jasnoniebieską wodą. – Zrobiłam coś okropnego i chciałabym mu powiedzieć, że mi przykro. Jakby to mogło cokolwiek zmienić. – Zamilkła na długą chwilę, a potem przeniosła wzrok na mnie i zamrugnęła, jakby nagle zdała sobie sprawę, że wypowiedziała głośno słowa, w których wreszcie przyznała się do czegoś naganego. – Kiedyś odkryjesz, Kate, tak jak ja, że prędzej czy później wszyscy cię opuszczają, aż wreszcie zostajesz całkiem sama, a do towarzystwa masz tylko rozczarowania i żal.

Mona weszła do pokoju i zakrzętała się szybko, jakby chciała rozproszyć przygnębienie swojej pani. Postawiła tacę na kolanach Prunelli i poczęła nalewać herbatę ze srebrnego dzbanka do dwóch różnych filiżanek marki Spode.

– Pomyślałam, że jest pani spragniona, panno Prunello – powiedziała Mona.

Zanim podała herbatę Prunelli, wsypała do jednej z nich dwie łyżeczki cukru i wlała sporo śmietanki. Starsza pani przyjęła filiżankę niechętnie i zaczęła powoli saczyć napój.

W pokoju panował zaduch, bo okna były zamknięte, pewnie po to, by odciąć wpadające z zewnątrz uciążliwe hałasy i uliczny kurz. Poczułam, że herbata dobrze mi robi. Gestem odmówiłam cukru i śmietanki, a Prunelli wyraźnie ulżyło, może oszczędzała te specjały. Ale jak widać, nie oszczędzała na papeterii.

Dmuchałam na herbatę, zastanawiając się, po co tu przyszłam. Wiedziałam już, że Prunella jest spokrewniona z Harrym Pratem, ale czego jeszcze chciałam się od niej dowiedzieć? Znajomość dalszych losów Harry’ego nie rozwiązałyby tajemnicy miniatury ani rubinowego naszyjnika. Nic nie łączyło tych przedmiotów oprócz mojej ciekawości. I ciekawości Coopera. Więc co ja tu robiłam? Może przyszłam w nadziei, że gdy Prunella dowie się o moim istnieniu, jako dwie

samotne krewne znajdziemy porozumienie. Wojna nauczyła mnie cenić życie i wszystko, co łączy ludzi. Prunella i ja nie miałyśmy żadnych innych krewnych.

Popijałam herbatę, rozglądając się po zagraconym pokoju. Zauważyłam kosmetyki rozstawione na toalecie i kruszący się bukiet suchych róż, umieszczony pod szklanym kloszem na wysokiej podstawie na kwiaty. „Rozczarowania i żal”. Pomimo duchoty przeszedł mnie dreszcz. Lustrując dalej pokój, zauważyłam niską biblioteczkę stojącą pod jednym z okien, a w niej oprawny w skórę tom wciśnięty między mniejsze książki. Znieruchomiałam z filiżanką przy ustach, bo przypomniałam sobie album pokazywany podczas wizyt w dzieciństwie.

– Ciociu Prunello, czy to jest album z wycinkami?

Podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i głośno westchnęła.

– Owszem. Moja matka wycinała wszystkie artykuły o mnie, począwszy od debiutanckiego balu, a skończywszy na ślubie. Uważałam, że to nudne, ale ona się uparła. – W oczach Prunelli pojawił się błysk, który przeczył jej słowom.

– Mogę go zobaczyć? – spytałam, podchodząc do biblioteczki.

– Skoro nalegasz... Ale nie oglądaj zbyt długo. Muszę odpocząć.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że Mona przewraca oczami. Odstawiłam filiżankę ze spodkiem na blat biblioteczki, wysunęłam opasły tom z półki i przeniosłam na łóżko. Mona uprzątnęła serwis i wyszła. Po chwili wróciła z kuchennym stołkiem, który ustawiła obok łóżka, a ja oparłam album o wątłe kolana starej kobiety.

Trudno było poznać, że tryskająca życiem dziewczyna z pożółkłych fotografii jest tą samą osobą co stara kobieta w łóżku. Obliczyłam, że Prunella ma teraz około siedemdziesiątki, ale kruchość i bezradność dodawały jej lat. Pomyślałam, że rozczarowania i żal mogą chyba wyryć się na twarzy, odcisnąć na niej jak stempel.

Patrzyłam, jak Prunella przewraca kolejne strony albumu wciąż jeszcze ładnymi dłońmi i słuchałam opowieści o tym, jak jej się żyło pod koniec zeszłego wieku w przepysznej rezydencji, gdzie dziś jest szpital Stornaway. Nieraz widywała swoich przystojnych braci, gdy w strojach wieczorowych wirowali w tańcu z pięknymi kobietami na balach, które rodzina Prattów wyprawiała podczas swojego krótkiego pobytu w rezydencji przy Sześćdziesiątej Dziewiątej. Gdy słuchałam Prunelli, ogarnęła mnie nagle tęsknota za czymś, czego nie znałam, ale nie wiedzieć czemu czułam się z tym związana.

Już miałam zamiar jakoś się wymówić i wyjść, kiedy Prunella odwróciła kolejną stronę, na której był przyklejony duży artykuł ze zdjęciami, zajmujący rozkładówkę w jakimś magazynie. Na którejś fotografii cała rodzina Prattów pozowała w strojach wieczorowych przed znajomymi spiralnymi schodami rezydencji. Wskazałam wysokiego i przystojnego jasnowłosego mężczyznę, który stał obok młodej Prunelli i szelmowsko się uśmiechał.

– Czy to Harry?

Prunella skinęła głową i delikatnie pogładziła palcem zdjęcie.

– Przystojny, prawda? Gus zresztą też – dodała, wskazując na drugiego młodego blondyna, który miał przyjemną powierzchowność, ale brakowało mu werwy, widocznej na pierwszy rzut oka u jego brata. – Ale Harry... – Westchnęła. – Matka mawiała, że to on zawiesił księżyc na niebie, a gdybyś go znała, tobyś się z tym zgodziła.

Nachyliłam się, by się przyjrzeć jego oczom. Studiowałam zarys jego szczęki, trochę za długi i za wąski nos, który sprawiał, że jego doskonale rysy były jeszcze bardziej interesujące.

– Wygląda... znajomo – powiedziałam, odsuwając się, by mieć lepszą perspektywę.

– Nic dziwnego – odparła z oburzeniem Prunella. – Przecież byliśmy tacy podobni.

Spojrzałam na nią i pokiwałam głową.

– Oczywiście – przyznałam, wiedząc, że wcale nie o to chodzi.

Większe zdjęcie zrobiono na balu zaręczynowym Prunelli. W jednym końcu sali balowej znajdowała się orkiestra. Obecnie badano tam pacjentów, a wzdłuż złoconej sali rozstawiono łóżka polowe. Niektóre pary na zdjęciu były zamazane, bo wirowały na parkiecie, białe plamy rękawiczek dam spoczywały na ramionach dżentelmenów w czarnych smokingach. Rozpoznałam starszą wersję Prunelli, jej matkę znaną mi już z mniejszego zdjęcia, która brylowała przy stoliku z ponczem. Nachyliłam się nad fotografią i dech mi zaparło.

Tuż za panią Pratt stała młoda kobieta w uniformie pokojówki, niemal identycznym z tym, który miała na sobie Mona. Tylko że tamten wyglądał na nowy, wykrochmalony i dobrze leżał na zgrabnej figurze kobiety. Miała ciemne włosy wsunięte pod biały czepek. Wzrok skupiła na tacy wypełnionej kieliszkami do szampana, którą trzymała kurczowo w obu rękach, jakby nie nawykła do podawania trunków.

Pomimo zaduchu i gorąca w pokoju po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Nie chodziło o to, że ta młoda kobieta przypominała mnie. Ani o to, że była sobowtórem kobiety z miniaturowego portretu, który należał do Coopera, a wcześniej do jego ojca i dziadka. Wrażenie zrobił na mnie naszyjnik z ciemnym kamieniem widoczny u nasady jej szyi. Delikatny łańcuszek był zaplątany tuż przy wysokim kołnierzyku, gdzie utkwiał wisiołek.

Dopiero po chwili zdołałam wykrztusić przez zaschnięte usta:

– A co to za pokojówka, ta z naszyjnikiem? Znała ją ciocia?

Prunella pochylila się i zmrużyła oczy, po czym natychmiast rozwarła je szeroko, bo najwyraźniej poznała tę kobietę, a jej twarz wykrzywił grymas gniewu.

– Miała na imię Olivia, Olivette czy jakoś tak. – Machnęła ręką, jakby

oganiała się od muchy. – Jakoś tak pospolicie.

Z trudem udało mi się opanować drżenie głosu.

– I pracowała jako pokojówka u rodziny cioci? W domu przy Sześćdziesiątej Dziewiątej?

Usta Prunelli zacisnęły się w wyrazie dezaprobaty.

– Sądziła, że jest jedną z nas, bo jej ojciec był architektem. Ale prawdziwa natura w końcu wychodzi na jaw. Mój ojciec odkrył okropne rzeczy z nim związane i zwolnił go, mając nadzieję, że ten po prostu odejdzie. Jednak ten głupiec się zabił, a córka wbiła sobie do głowy, że został znieważony. Wiem o niej na pewno tyle, że była złodziejką. Ukradła mi ten naszyjnik. I zniknęła wraz z nim, zanim zdołałam go odzyskać.

– A ten kamień w naszyjniku? Czy to był rubin?

Wzruszyła ramionami.

– Chyba tak. Miał ciemnoczerwony kolor i należał do mojej matki, więc zakładam, że jak to rubiny, miał swoją wartość.

Już prawie jej pokazałam rubin, który miałam na szyi, sięgnęłam nawet do górnego guzika bluzki. Jednak się powstrzymałam. Położyłam dłonie na kolanach i zauważyłam, że drżą.

– O co został oskarżony jej ojciec?

– Przede wszystkim o cudzołóstwo. Z żoną klienta, ni mniej, ni więcej. Zarówno ojciec, jak i córka dostali to, na co zasłużyli.

Patrzyłam na nią przez długą chwilę, zdając sobie sprawę, że ona nie wie, iż Olive była moją babcią ani że jej pasierb ożenił się z córką rzekomej złodziejki. Pokojówki. Czy to był powód sekretów mojej matki?

Wstałam z drżącymi kolanami, rozpaczliwie chciałam wyjść.

– Powinnam już iść – powiedziałam. – I dać cioci odpocząć. Jestem bardzo wdzięczna, że ciocia poświęciła mi tyle czasu.

Sprawiła wrażenie rozczarowanej, jakby nieczęsto miewała gości, a mnie natychmiast, zgoła niepotrzebnie, zrobiło się jej żal. „Rozczarowania i żal”. Zanim zdążyłam się powstrzymać, powiedziałam:

– Mogę znów przyjść, jeśli ciocia sobie życzy. Pokaże mi wtedy ciocia resztę albumu.

Pojaśniała na twarzy.

– To byłoby... stosowne. Tylko uprzedź nas, proszę, kiedy chcesz przyjść, żeby wizyta wypadła w dogodnej dla mnie porze.

Gdybym nie była oszołomiona tym, co właśnie odkryłam, chyba bym się roześmiała.

– Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję – powiedziałam, po czym pożegnałam się z Prunellą i jej pokojówką.

Prawie się potknęłam, tak było mi spieszo do wyjścia, a potem

przystanąłam na schodkach, wdychając łąpczywie świeże powietrze, które nie miało gorzkiego smaku żalu.

Siedziałam przy biurku w gabinecie doktora Greeleya przed stosem dokumentacji medycznej, zadowolona, że mam jakieś zajęcie. Wydawał się zaskoczony, kiedy zgłosiłam się na ochotnika do tej papierkowej roboty, ale rzecz jasna nie domyślał się, że powodem była chęć ukrycia się w miejscu, w którym Cooper Ravenel nie będzie mnie szukał.

Unikałam go od naszej wspólnej nocy. Nie chciałam widywać go razem z Caroline, bo byłoby to zbyt bolesne i całkiem zniszczyło moje rozkoszne fantazje, w których byliśmy tylko Cooper i ja, ale nie było wojny ani narzeczonych, ani przyszłości, w której jesteśmy osobno. Obawiałam się jego wypisania ze szpitala prawie tak samo, jak tego wyczekiwałam, chciałam mieć ból jak najszybciej za sobą. Wiedziałam, że będę musiała zastosować radę, którą zawsze dawałam swoim pacjentom: wypatrywać każdego kolejnego dnia, który oddała od bólu, aż wreszcie przyjdzie uzdrowienie. Nie chciałam tylko, żeby leczenie było zbyt bolesne.

Rozległo się pukanie, do gabinetu weszła siostra Hathaway i zamknęła cicho drzwi za sobą.

– Przepraszam, że przeszkadzam, pani doktor, ale mam coś dla pani i nie sądzę, by chciała pani, żeby to ktoś zobaczył.

Odchyliłam się na krześle i patrzyłam na plik kartek, które położyła przede mną.

– Co?... – Urwałam zmieszana.

Były to rysunki przedstawiające ciemnowłosą kobietę o twarzy w kształcie serca, która miała na sobie wyłącznie znajomy naszyjnik. Poznałam kominek w pokoju na poddaszu i wielodzielne okna, a przez chwilę wydawało mi się, że to jestem ja. Albo, uświadomiłam sobie po raz pierwszy, moja matka. Miała taki sam wdowi szpic, ten sam sercowaty kształt twarzy. Jak jej matka.

– Kapitan Ravenel poprosił, żebym pani oddała te rysunki. Powiedział, że znalazł je w szufladzie chińskiej skrzyni na poddaszu. Prosił, by panią powiadomić, że udało mu się dostać do zatrzaśniętej szuflady oraz że nie chciał, aby to wpadło w niepowołane ręce.

Wyraz twarzy pielęgniarki pozostał ten sam, ale wydawało mi się, że dostrzegłam jakąś zmianę w jej oczach.

– Wygląda tak jak pani – powiedziała.

Poczułam, że się rumienię.

– Tak. Ale to nie ja. – Nie mogłam się przemóc, by spojrzeć jej w oczy. To nie mnie przedstawiał rysunek, ale równie dobrze to mogłam być ja.

– Wiem – odparła siostra Hathaway. – Artysta podpisywał i datował rysunki – H. Pratt, tysiąc osiemset dziewięćdziesiąty drugi.

Chyba coś jeszcze powiedziała, ale już nie słuchałam. Wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w podpis artysty w dolnym rogu rysunków. Przedstawiały one kobietę, która wyglądała na moją babcie i miała na sobie naszyjnik ukradziony Prunelli Pratt.

– Pokazywała to pani komuś? – spytałam, jakby pielęgniarka nic przed chwilą nie mówiła.

– Nie, pani doktor. Oczywiście, że nie. Rozumiem, że to prywatna sprawa, więc nic mi do tego.

Przejrzałam rysunki, jeden dokładniejszy od drugiego, jakby Harry spędził dużo czasu, studiując temat. Olive. Moją babcie. Znów opadłam na oparcie krzesła i przyjrzałam się młodej kobiecie stojącej przede mną.

– Dlaczego jest pani zawsze taka dla mnie dobra, siostrze? Na pewno pani wie, że nie jestem ulubienicą pielęgniarek ani lekarzy.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Bo chcę być taka jak pani. Jest pani świetnym lekarzem, jednym z lepszych, z jakimi pracowałam. Wie pani, kim jest i czego chce, i nikomu nie pozwala się traktować, jakby była kimś gorszym, niż jest.

– Dziękuję – powiedziałam, wstając i zbierając rysunki.

Musiałam porozmawiać z Cooperem, powiedzieć mu o naszyjniku, o tym, że moja babcia była pokojówką zatrudnioną w tym budynku. Może uda nam się wykoncypować, jak miniatura trafiła w ręce jego dziadka. Może nawet powiem mu, że moja babcia była złodziejką. Ale nie dopuszczę, żeby się zbytnio do mnie zbliżył, ani nie mogę pozwolić sobie na takie pragnienie.

Uśmiechnęłam się do pielęgniarki.

– Miło to słyszeć, nawet jeśli nie jestem pewna, czy dokonałam właściwych wyborów.

Otworzyła drzwi.

– No cóż, tak to już jest z wyborami. Zawsze pojawiają się nowe. Ale nigdy jeszcze nie widziałam ulicy, przez którą się nie da przejść na drugą stronę.

Znów się uśmiechnęła i wyszła na korytarz, po czym stukot jej szybkich kroków rozległ się na marmurowej posadzce. Wyszłam za nią i właśnie zamykałam za sobą drzwi gabinetu, kiedy doktor Greeley i Cooper wyłonili się z innego gabinetu na końcu korytarza. Było za późno, by wrócić do gabinetu doktora Greeleya albo zbiec po schodach. Schowałam więc rysunki za plecami i stałam, czekając, aż nadejdą, tak jak dzikie zwierzątko czeka na środku drogi, gapiąc się w światła nadjeżdżającego samochodu.

Utkwiłam wzrok w dołku na podbródku Coopera, żeby nie patrzeć mu w oczy.

– Dzień dobry, kapitanie. Mam nadzieję, że czuje się pan dobrze.

– Bardzo dobrze. Dzięki pani.

Poczułam, że się rumienię, i podniosłam wzrok. Natychmiast tego pożałowałam, bo napotkałam spojrzenie Coopera. Wszystkie moje uczucia – euforię, poczucie straty, żal – odzwierciedliło jego spojrzenie niczym lustro.

Doktor Greeley oznajmił niemal radośnie:

– Właśnie zbadałem kapitana, który jest w świetnej formie, więc uznałem, że można już go wypisać.

Cooper odchrząknął.

– Caroline i ja wyjeżdżamy do Charleston jutro po południu.

Omiał nie powiedziałam, że to za wcześnie, że muszę z nim porozmawiać o rysunkach oraz zdjęciu w albumie z wycinkami Prunelli, a także o tym, że nagle zrozumiałam, dlaczego Harry Pratt wydawał się taki znajomy. Ale oczywiście nie mogłam. Było na to za późno. Musiałam już iść, wyjść stąd jak najszybciej, zanim się tak rozpadnę, że nigdy się nie pozbieram.

– Wspaniałe wieści – powiedziałam do dołka w brodzie Coopera, wciąż nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy.

Oczy koloru zimowej trawy. Pamiętam, że tak pomyślałam, kiedy ujrzałam go po raz pierwszy. I jeszcze że te oczy widziałam już wcześniej i że znam go od zawsze.

– W takim razie żegnam – rzuciłam, obracając się na pięcie, i pobiegłam ku schodom, bo nie chciałam okazać się idiotką.

Wyszłam na zewnątrz, stałam w gorących promieniach słońca i pragnęłam poczuć cokolwiek, byle nie bolesny żal, który trawił moje serce.

Olive

Przez całe życie Olive chciała wytrzymać do dwunastej w sylwestrową noc i przeżyć ten moment, kiedy stary rok zmienia się w nowy. Kiedy znajoma data odchodzi na zawsze do historii, co trochę przypomina śmierć, a jasne egzotyczne cyfry, które niegdyś należały do jakiejś nieprawdopodobnie odległej przyszłości – 1893, a to ci dopiero! – stają się obecną rzeczywistością.

Jednak Olive zwykła wstawać bardzo wcześnie i po jedenastej zawsze zamykały jej się oczy. Od dziewiętnastego roku życia, kiedy rodzice po raz pierwszy pozwolili jej zostać w salonie, zawsze budziła się o drugiej czy trzeciej na kanapie, okryta starannie kocem, i była rozczarowana.

Aż dotąd. Sylwester, tak jak całe jej życie, wyglądał teraz zupełnie inaczej i Olive leżała bezsennie, kiedy zegar wybijał północ, a dom zdawał się drzeć w posadach, tak głośno świętowano w strojonej sali balowej na pierwszym piętrze, gdzie zebrali się wszyscy oprócz Olive i Harry'ego.

Harry leżał przy niej, czuła ciężar jego długich łydek na swoich, oddech na włosach. Pomyślała, że chyba zasnął. Kochali się szybko i żarliwie, osiągnęli głośny orgazm po kilku minutach, odkąd wpadli na poddasze, a potem Harry zupełnie ucichł, tak że aż nasłuchiwała bicia jego serca, by sprawdzić, czy żyje.

– Szczęśliwego nowego roku – wyszeptła w powietrze, które jakby zadrżało pod ciężarem nowych cyfr, nowej przyszłości, która zamieszkała z nimi w pokoju.

Świetlik mieli dokładnie nad sobą, a każda szybka odbijała niewyraźny obraz nagich splecionych ciał. Stokrotny Harry, stokrotna Olive razem pod rozgwieżdżonym noworocznym niebem.

Jednak Harry nie odpowiedział. Jak podejrzewała, zapadł w sen.

Mijały minuty, upływały godziny. Harry spał głęboko, pogrążony w błogiej nieświadomości, czego mu zazdrościła. A może nie? Może lepiej było jednak nie spać. Nie tracić ani chwili z tej wzajemnej bliskości.

Miała na sobie jedynie naszyjnik. I nic poza tym, tak jak Harry najbardziej lubił. Nie dlatego, że był lubieżny – a może nie tylko dlatego – ale głównie z tego powodu, że nie znosił, kiedy coś było między jego spojrzeniem i jej skórą, między jego i jej skórą. Tylko naszyjnik, który teraz zsunął się i leżał na poduszce, dotykając jej obojczyka. Wyobraziła sobie, jak tam lśni, bezcenna pamiątka, symbol miłości Harry'ego.

Zupełnie jak kolczyki w uszach matki.

Ojciec Olive kochał jej matkę – to oczywiste – ale Olive zdawała sobie sprawę, że posiadał nieograniczone zasoby miłości. Miał talent do kochania

i wielkie ambitne serce. Pierwszego grudnia zapłacono mu tysiąc dolarów, a on poszedł do jubilera, gdzie zobaczył piękny komplet biżuterii z rubinami. Olive z łatwością sobie to wszystko wyobraziła. Wręcz ujrzała oczami duszy, jak ojciec płonie z zachwytu nad klejnotami, które mu pokazano. A potem pod wpływem nagłego impulsu kupuje ten komplet za tysiąc dolarów, przepełniony nieskończonym optymizmem miłości.

Rubinowe kolczyki dla ukochanej żony.

I naszyjnik od kompletu dla kochanki.

Jego kochanki. Pani Henrykowej Augustowej Prattowej, żony pracodawcy.

Olive próbowała nie dopuścić bolesnej prawdy do świadomości, podczas gdy ta rozsądna i logiczna część jej umysłu łączyła różne elementy układanki, korzystając z tego, co wiedziała o ojcu i Prattach. Klótnia po balu debiutanckim Prunelli przed rokiem. Naszyjnik, który pani Pratt oddała potem ze łzami ukochanemu synowi. (Harry powiedział, że był to prezent ofiarowany z miłości. A wszyscy wiedzą, że pary takie jak Prattowie tak naprawdę wcale się nie kochają. Miłość i małżeństwo to były dla Prattów dwie oddzielne sprawy, wymagające osobnych partnerów). A potem, dzień po, słowo ODMOWA nagryzmlone z wściekłością na ostatniej fakturze.

Szydercze słowa Prunelli: „No cóż, coś jednak ukradł. Sama odgadnij, co to było”.

Na ostatek jednak prawda zaatakowała ją tak, że aż dudniło jej w głowie.

Olive nie widziała się z matką od Bożego Narodzenia. Była zbyt zajęta przygotowaniami wielkiego domu do balu sylwestrowego, namiętym romanssem pod nosem pracodawców. Przebywanie w krainie czarów, gdzie zamieszkała w ostatnim tygodniu, wykluczało wizyty w wąskich zniszczonych kamienicach po niewłaściwej stronie torów kolejowych przy Czwartej Alei.

Jednak dziś pani Van Alan będzie oczekiwała jej wizyty. Spodziewa się, że Olive zapuka do drzwi wczesnym popołudniem, a jej się uda prawdopodobnie zaaranżować w salonie rzekomo przypadkowe spotkanie córki z droгим, szacownym, solidnym panem Jungmannem. „Właśnie wpadł w odwiedziny, Olive. Czyż to nie miło z jego strony?”.

Co zrobiłaby pani Van Alan, gdyby Olive jednak się nie zjawiała? Gdyby zamiast niej przyszła wiadomość, że Olive uciekła do Włoch, by żyć tam w grzechu pod włoskim słońcem z jednym z synów Pratta? A kilka dni później panna Prunella Pratt zemściłaby się za całą tę aferę za pomocą anonimowego listu albo osobiście, a pani Van Alan dowiedziałaby się, że jej cenne kolczyki to tylko połowa kompletu.

Harry powiedział, że mogą zabrać matkę ze sobą, ale to był nonsens, miły, lecz śmieszny pomysł, prawie tak niemożliwy jak to, że oni się pokochali. Po pierwsze, matka nigdy by się na to nie zgodziła – „Uciec do Włoch z twoim

kochankiem, też coś!” – a po drugie, ten wariant byłby kompletnym fiaskiem. Nieuchronnie wkroczyliby życie. Pojawiłyby się dzieci, rachunki, zaczęły kłótnie. Harry odkryłby w końcu, kim jest Olive – już Prunella by się o to postarała – a różowa mgielka, która ją otaczała, gdy na nią patrzył, zmieniłaby się w zimne światło dzienne, i stanęłaby przed nim taka, jaka jest naprawdę, i Harry przestałby ją uwielbiać.

A drogi Harry był taki dobry i szczerzy, że być może nawet by jej teraz nie porzucił, gdy wszystko mu oddała. Czułby się odpowiedzialny za kochankę, którą przestał kochać, za lekkomyślnie powołane do życia dzieci. Jednak zapewne by żałował młodzieńczych porywów. Gdyby Olive stanęła przed nim obnażona, prawdziwa Olive, ze wszystkimi ludzkimi wadami. A tego by nie zniosła. Stańc przed Harrym i ujrzeć rozczarowanie w jego oczach? W oczach, w których do tej pory widziała tylko miłość, najczystsza miłość.

Nie. Chciała zapamiętać Harry’ego takim, jakim był teraz, właśnie takim mężczyzną – zaspokojonym i ufnym w jej ramionach.

Ależ to wszystko było piękne. Uniosła rękę i przeczesła palcami włosy Harry’ego, te jego zachwycające złote loki. Wpatrywała się w świetlik i widmowe odbicie ich splecionych ciał. Poznała przyjemność i dowiedziała się, jak to jest doskonale, bez reszty zjednoczyć się z inną istotą ludzką. To na pewno wystarczy jej na całe życie. Przecież większości ludzi wcale nie było to dane.

Była prawdziwą szczęściarą.

W pewnej chwili za niewidocznym horyzontem zaczął wstawać dzień.

Olive podniosła ciężkie ramię, które obejmowało ją w pasie, i ostrożnie wysunęła się spod ciała Harry’ego. Poruszył się.

– Wracaj – powiedział, sięgając po jej rękę.

– Muszę już iść, Harry. Prawie świta.

– Nie szkodzi – mruknął sennie. – Dziś Nowy Rok. Wszyscy śpią.

– Kucharka pewnie już nie.

Pociągnął ją za rękę.

– Jeszcze chwilkę.

Niemal go posłuchała. Prawie ustąpiła. Ale gdyby wróciła w objęcia Harry’ego, toby znowu się kochali, co było jasne jak słońce. Olive nie mogła tego zrobić. To byłoby tak, jakby go okłamała, a nie chciała kończyć kłamstwem.

Pochyliła się więc i pocałowała go w czoło.

– Śpij dalej.

Harry zamknął oczy, a jego ręka opadła na koce.

Ciało Olive było zmęczone, obolałe, ale umysł miała boleśnie przytomny. Pozbierała rozrzuconą garderobę i metodycznie się ubrała. Męczyła się trochę z gorsetem, chociaż został uszyty dla kobiety, która nie ma służącej, choć sama usługuje. Dla takiej kobiety jak ona. Upięła włosy z tyłu, w taki sam schludny

koczek jak zawsze, ale czepek schowała do kieszeni fartuszka.

Kiedy nie było już ani jednego pretekstu, żeby zostać, stanęła w drzwiach i pozwoliła sobie przez chwilę błędzić wzrokiem po wnętrzu. Patrzyła na ceglane ściany, podłogę zastawioną płótnami, sztalugi, rysunki i obrazy oparte o wszystkie pionowe powierzchnie, zauważyła porozrzucane różne przybory artystyczne. (Kiedyś próbowała tu posprzątać, ale Harry się tylko roześmiał i powiedział, żeby tego nie robiła, bo wtedy niczego nie będzie mógł znaleźć). Wreszcie Olive zatrzymała wzrok na niedokończonym szkicu malowidła ściennego, które przedstawiało świętego Jerzego. Każda jego kreska wyryła się w jej pamięci i nagle zobaczyła ten obraz cudzymi oczami: przechodnia z ulicy, który nigdy nie zetknął się z artystą ani jego pracami. Pomyślała z zachwytem: Mój Boże, on ma taki wielki talent, taką niezwykłą wyobraźnię. I poczuła ból w piersiach, bo zobaczyła przed nim świetną przyszłość, wielką, ambitną, barwną przyszłość, w której nie było dla niej miejsca.

Odwróciła się, nie patrząc na mężczyznę leżącego swobodnie na poduszkach obok parawanu, okrytego kocami, które pachniały lekko terpentyną i ludzką miłością.

Ból w piersiach i tak był trudny do zniesienia.

Harry miał rację: w domu nie było słycać żadnych odgłosów życia, kiedy Olive zakradła się do dormitorium i przebrała w sukienkę, drżąc z zimna panującego w służbówce. Przez maleńkie okienko widać było Manhattan podzielony na zimne brudne kwadraty, zasnuty dymem z mnóstwa pieców, w których palono węglem, tak że trudno było odróżnić, kto jest bogaty, a kto biedny. Nie wiadomo było, w którym kwadracie stoi zapierająca dech rezydencja w stylu beaux arts, a w którym szereg zatłoczonych wąskich kamienic z elewacjami z brązowego piaskowca. Rozpełzający się, przebojowy, zasnuty dymem węglowym Manhattan. Jakże Olive go nienawidziła. Jakże kochała.

Zebrała skromny dobytek i spakowała do kuferka, z którym zjawiała się tu przed dwoma miesiącami, w listopadowy poranek. Teraz wydawał się tak bardzo odległy, jakby z innego życia. Włożyła wytarty wełniany płaszcz i okutała się szalem, ale i tak chwilami drżała z zimna. A może to zimno wcale nie pochodziło z zewnątrz?

Kiedy wymknęła się na schody, jej wzrok padł na stojącą obok drzwi gabinetu okazałą komodę w stylu Ludwika XIV i przystanęła tam na chwilę. Pusty kieliszek już uprzątnęła jakaś pilna pokojówka. Biedna Prunella, pomyślała Olive, co ją samą zaskoczyło. Biedna Prunella? Ale to była prawda. Wściekłość, która wezbrała poprzedniej nocy w sercu Olive, przerodziła się w litość. Biedna Prunella, uwięziona w swoim ładnym połączonym ciałku, za swoją ładną połączoną twarzą, bez szans na uwolnienie się od siebie. Bez możliwości znalezienia szczęścia, nawet na jeden dzień, nawet na jedną noc. Bez szansy na odkupienie.

Olive stała na podeście, wpatrując się w bezcenny mebel. Bogate złote zdobienia były prawie niewidoczne w szarym świetle świtu, które sączyło się przez kopułę u szczytu klatki schodowej. Jakże cichy był teraz dom! Każde krzesło, belka sufitowa, każda marmurowa płyta i centymetr gipsu zdawały się wstrzymywać oddech, jakby czekały na niezwykle zwrot losu.

Potem w tej ciszy przyszła jej do głowy pewna myśl: że w jej mocy jest dać znak łaski.

Drzwi gabinetu były zamknięte, ale Olive otworzyła je bez wahania.

Ze zdziwieniem zobaczyła, że do pokoju od wczoraj nikt nie wchodził, bo wszystkie papiery leżały dokładnie tak, jak je zostawiła ostatniej nocy. Ułożyła dokumenty porządnie w skórzanej teczce i odłożyła ją na miejsce, a kiedy skończyła i biurko było uprzątnięte, wysunęła górną szufladę własnym kluczykiem i wyjęła z niej kartkę ładnego papieru w kolorze écru oraz pióro wieczne.

Jeśli człowiek jest mądry, sprzeda akcje P i R, gdy tylko nadarzy się okazja.

Życzliwa

Zostawiła kartkę na biurku, na samym środku skórzanej podkładki do pisania.

Kiedy Olive otworzyła wąskie drzwi dla służby w suterenie, a potem wspięła się po żelaznych schodach na ulicę, wreszcie usłyszała jakieś odgłosy. Potem zaś dał się słyszeć nagły tumult, który wszczęło kilku wzburzonych mężczyzn wyładowujących z furmanki jakiś długi przedmiot owinięty w koce. Kiedy Olive przystanęła przy metalowej furtce, na jednym końcu tłumoka dojrzała bezwładną głowę z blond włosami pokrytymi krwią i oniemiała, uświadomiwszy sobie, że patrzy na Gusa Pratta.

– Co się stało? – zawołała, a jeden z mężczyzn odwrócił się i odparł z irlandzkim akcentem:

– Wdał się w awanturę, biedny dureń. Dostał porządnie w łeb.

– Żyje?

– Ledwie dycha, panienko.

Dwóch mężczyzn zaczęło łomotać w wielkie podwójne drzwi, a pozostali unieśli Gusa na ramionach, jak robią to żałobnicy niosący trumnę.

Olive zacisnęła dłoń na rączce kuferka i patrzyła na głowę nieprzytomnego Gusa. A więc na to czekał dom, pomyślała.

Stała tak, aż otworzono wreszcie drzwi. Z wnętrza domu dobiegł krzyk. Mężczyźni szybko wnieśli Gusa do środka, drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem, który odbił się echem w pustej o świcie ulicy.

Lucy

– Young! – krzyknęła pod drzwiami Lucy Dottie, jedna z mieszkanek pensjonatu.

Drzwi były wprawdzie zamknięte, ale zrobione z cienkiego drewna, nie tak jak te dębowe na dole.

Lucy wyjrzała na korytarz.

– Tak?

Nie przepadała za Dottie, którą cechował ordynarny śmiech i zwyczaj suszenia pończoch w łazience.

– Jakiś pan do ciebie – powiedziała Dottie. Kciukiem wskazała na dół. – U kierowniczkę.

Lucy zaczęła przymykać drzwi.

– Zaraz zejść.

– Dobrze, jasnie panienko – rzuciła kpiąco Dottie i znikła, roztaczając woń perfum.

Lucy pospiesznie wygładziła kołnierzyk i obciągnęła mankiety bluzki, poprawiła szpilki podtrzymujące kok upięty nisko na karku. Dottie wymówiła słowo „pan” z odcieniem pożądliwej zawiści. Philip obiecał, że da jej czas do namysłu, ale Philip to Philip, jest przyzwyczajony do spełniania swoich zachcianek.

Czy tym właśnie dla niego była? Zachcianką? Palce Lucy powędrowały automatycznie do łańcuszka przy szyi. Pewnie tak samo jak jej matka dla Harry’ego Pratta.

Philip zaproponował, że znajdzie odpowiedzi, ale teraz nie była pewna, czy chce je znać. Ani czy jest skłonna za nie zapłacić żadaną cenę.

Lucy pokręciła głową, schodząc po wąskich schodkach. Ależ z niej głuptas! Większość kobiet nie uważałaby, że życie z Philipem Schuylerem to wysoka cena. Jeszcze dwa tygodnie temu, mając taką perspektywę, Lucy czułaby się jak Kopciuszek, u którego zjawia się książe z pantofelkiem.

Ale wtedy nie znała jeszcze Johna Ravenela.

Na drugim piętrze Stornaway House było gwaro i rojno. W sobotę w świetlicy kręciło się wiele mieszkanek i ich gości. Niektóre pensjonariuszki czekały na odwiedzających, przeglądając kolorowe magazyny, inne plotkowały skryte za liśćmi palm w wielkich donicach, które kierowniczka rozstawiła, by nieco rozjaśnić pokój z ciemną boazerią. Malowidło ścienne w wąskim korytarzu prowadzącym do świetlicy, przedstawiające walecznego rycerza i kulącego się

smoka, było niemal niewidoczne, widać było jedynie czubek włóczni rycerza i jego zdziwione oczy.

Dottie siedziała pod ścianą. Zlustrowała Lucy, kiedy ta przechodziła obok, i mruknęła „jaśnie panienska” do swojej towarzyszki spoza pensjonatu, która miała zbyt strojny kapelusz i podejrzanie różowe policzki.

Lucy wypatrywała złocistej głowy Philipa Schuylera, ale nigdzie jej nie dostrzegła. Zauważyła jednak kierowniczkę, stojącą przy donicy z palmą i pogrążoną w rozmowie z jakimś mężczyzną odwróconym do Lucy plecami. Lucy nieco zwolniła kroku, kiedy rozpoznała kręcone czarne włosy, szerokie barki. Poczowała w brzuchu nerwowy skurcz, ale że Dottie wciąż się na nią gapiła, zmusiła się, by iść spokojnie, z miłym uśmiechem na ustach.

– Pan Ravenel – odezwała się, dumna, że tak dobrze panuje nad głosem.

– Panna Young. – Obrócił się trochę za szybko, co przeczyło powściągliwości uprzejmego tonu.

Pochwycił jej spojrzenie i Lucy wiedziała na pewno, że cokolwiek i kiedykolwiek czuła do Philipa Schuylera, nawet w połowie nie dorównywało temu, co czuła teraz. To było jak czary, prąd, rwący potok, który wdarł się między nich i zalał resztę pokoju, jakby nigdy nie istniała.

– Właśnie mówiłem pani Johnson, że była pani uprzejma mnie zaprosić, abym miał okazję podziwiać ten architektoniczny klejnot – oznajmił swobodnie, po czym ciszej mruknął do Lucy: – Przekazano mi twoją wiadomość.

Lucy serce łomotało, palce świerbiły, ale udało jej się jakoś powiedzieć normalnym tonem:

– Pomyślałam, że może się panu spodobać. – Po czym dodała, zwracając się do kierowniczki: – Pan Ravenel jest marszandem.

– No właśnie słyszę. – Czyżby kierowniczka się rozpromieniła? Nie żeby znów jakoś bardzo, co to, to nie. Ale patrzyła na pana Ravenela z wyraźną aprobatą. – Posiadam reprodukcję jednego ze starszych obrazów pana Ravenela. I miałam zaszczyt widzieć oryginał w Muzeum Sztuki w Filadelfii.

Lucy spojrzała pytająco na Johna. Nie wiedziała, że jego ojciec jest aż tak sławny.

– Musieliśmy sprzedać część obrazów – wyjaśnił, jakby odpowiadał na pytanie. – O ile to było możliwe, starałem się sprzedawać obrazy instytucjom, a nie prywatnym kolekcjonerom. Ojciec uważał, że sztuka powinna być ogólnodostępna.

– Ale trzeba jakoś zarabiać na życie, prawda? – powiedziała kierowniczka.

Lucy nie wiedziała, jakie czary zastosował John, ale wyglądało na to, że znakomicie się dogadują. A może, pomyślała beztrąsko, chodzi o to, że John po prostu taki już jest. Potrafi sprawić, że ludzie są przy nim swobodni, czują się dobrze we własnej skórze.

I przyszedł tutaj. Dla niej. Położył jedną rękę dyskretnie pod łokciem Lucy,

a ten drobny gest, który nie mógł wywołać sprzeciwu kierowniczką, sprawił, że Lucy poczuła, jak ogarnia ją ciepło, ciepło i pewność, że wszystko będzie dobrze, że jest dobrze.

– Ten dom jest również świadectwem tego, że sztuka powinna być dostępna dla wszystkich – powiedziała kierowniczka. – Już sama snycerka jest prawdziwym arcydziełem. Doprawdy wydaje się... niewłaściwe, że kiedyś to wszystko było przeznaczone na użytek prywatny jednej rodziny.

– Rozumiem, że mieszkała tu niegdyś rodzina Prattów? – spytał John tak niedbale, że Lucy nie przyszłoby do głowy, iż za pytaniem się coś kryje, gdyby nie lekki uścisk jego palców na jej łokciu.

Pomimo radosnego oszołomienia na chwilę opadły ją wątpliwości. Ale nie. To, że zajmuje się swoimi sprawami, nie znaczy, że jego uczucia do niej nie są prawdziwe. Przecież nie wymyśliła sobie tego, w jaki sposób na nią patrzy, dotyku jego palców na łokciu, subtelnej zaborczości w sposobie, w jaki stał, osłaniając ją ciałem, roszcząc sobie do niej prawa.

– Ich strata, nasz zysk – orzekła praktycznie kierowniczka. – Domy takie jak ten nie nadają się na prywatne siedziby, ale doskonale sprawdzają się jako pensjonaty. Oczywiście musieliśmy wprowadzić pewne zmiany, ale staraliśmy się zachować unikatowy charakter budynku.

– Podziwiałem malowidło w korytarzu – powiedział John. – To święty Jerzy?

– „A na jego tarczy rycerz z czerwonym krzyżem / przed damą wiecznie klęczy...”. – Kierowniczka niespodziewanie przywołała *Panią z Shallot* Alfreda Tennysona. – Tak, zdaje się, że to święty Jerzy – dodała natychmiast przepraszająco. – Ale jeśli chce pan zobaczyć prawdziwy skarb Stornaway House...

Przy stole bilardowym powstało jakieś zamieszanie. Kierowniczka przerwała swój wywód i syknęła z niezadowoleniem.

– Już tyle razy zwracałam uwagę pannie Brennan. Jeśli młodzieniec, który ją odwiedza, wywoła kolejną burdę... Proszę wybaczyć, panie Ravenel. Obawiam się, że nie mogę teraz zaproponować panu oprowadzenia po domu. Gdyby był pan uprzejmy wrócić za tydzień w godzinach wizyt...

– Z największą przyjemnością bym tak zrobił – zapewnił John. – Obawiam się jednak, że we wtorek muszę już wyjechać do Charleston.

– Czy pobyt w Nowym Jorku był udany? – Ponad ramieniem Johna kierowniczka patrzyła srogo na tłumek przy stole bilardowym.

– Nadspodziewanie – odpowiedział John, patrząc na Lucy. – Ten pobyt okazał się... rewelacją.

Lucy skinęła milcząco głową, bo nie miała odwagi dobyć głosu. Kto by pomyślał, że można doświadczać tak silnych emocji po tak krótkiej znajomości?

Czuła się, jakby przebudziły się w niej zwoje nerwowe, o których istnieniu nawet nie wiedziała: każde spojrzenie, każde słowo wywoływało rozkoszne przecucia.

– Ponieważ wyjeżdża pan wkrótce... – Oczy kierowniczkę skryte za grubymi szklami okularów błysnęły. – To będzie pewne nagięcie zasad, ale dla dżentelmena tak zaangażowanego w sztukę... Panno Young, czy byłaby pani uprzejma zaprowadzić pana Ravenela na szóste piętro?

– To tu jest szóste piętro? – wydusiła z trudem Lucy. – Zawsze myślałam, że pokoje na poddaszu są już na ostatnim.

Kierowniczka wyglądała na zadowoloną.

– Tak to zwykle bywa, ale nie w Stornaway House. Pokój na szóstym piętrze to tajemnica.

– Tajemnica? – spytał John. Lucy poczuła, że jego uwaga się wyostreza, ale już nie jest skierowana na nią. – Brzmi intrygująco.

– No, może nie jest to wielce intrygujące, po prostu dość niezwykle pomieszczenie... Panno Brennan! Proszę wybaczyć, panie Ravenel, ale muszę się rozmówić z gościem panny Brennan. – Na odchodnym kierowniczka rzuciła szybko: – Główne schody nie dochodzą na samą górę, ale na końcu korytarza na czwartym piętrze znajdują się schodki dla służby. Proszę je koniecznie zamknąć, jak już państwo skończą.

Kierowniczka nie miała na myśli... hm. Jednak Lucy poczuła, że się rumieni. Przedtem ona i John przebywali razem tylko w miejscach publicznych: w Delmonico's, Central Parku, w atelier pani Whitney, chłonęli chwile bliskości wśród rzeszy obojętnych ludzi. Jednak na szóstym piętrze będą zupełnie sami...

Lucy bardzo to rozbawiło. Obowiązywała przecież surowa zasada, że pensjonariuszka Stornaway nie może przebywać w swoim pokoju z mężczyzną, ale to nie był pokój Lucy, nieprawdaż? To był tajemniczy pokój na szóstym piętrze. A więc wszystko w porządku.

– Dziękuję – rzucił John Ravenel, chwytając Lucy pod rękę, i dość szybko jak na siebie dodał: – Jestem bardzo wdzięczny za taką możliwość.

– Proszę koniecznie mi powiedzieć, co pan sądzi o naszym małym skarbie – poprosiła spokojnym głosem kierowniczka, po czym odwróciła się i już zupełnie innym tonem krzyknęła: – Panno Brennan!

John niemal biegiem poprowadził Lucy ku schodom.

– Tak pilno ci zobaczyć, co jest na szóstym piętrze? – spytała zdyszana Lucy, kiedy zakręcili na schodach na czwartej kondygnacji.

– Było mi pilno zobaczyć ciebie – odparł John i zatrzymał się tak gwałtownie, że Lucy omal na niego nie wpadła. – Gdy tylko dostałem wiadomość od ciebie, nabrałem nadziei... – Otworzyły się drzwi jednego z pokoi i John urwał. – Och, chodźmy prędzej na górę. Będziemy wreszcie sam na sam.

– Czy sądzisz, że kierowniczka chciała nam to „sam na sam” umożliwić? –

Lucy poczuła nagle przyływ onieśmienia.

– Tak szacowna kobieta jak pani Johnson? – spytał John z emfazą. A potem spojrział na Lucy i poważniejszym tonem dodał: – Po prostu pragnie, by ktoś odpowiednio docenił ukryty klejnot architektoniczny.

– A nieodpowiednio? – rzuciła śmiało Lucy.

– To też. – Jego ciemne oczy zatrzymały się na jej ustach, przesunęły się niżej. – Hm... więc co dalej?

Lucy się roześmiała.

– Jak powiedziała kierowniczką, główne schody kończą się na czwartym piętrze. Musimy przejść na schody dla służby. O ile ci to nie uwłacza.

– Za tobą pójde wszędzie.

Lucy wsparła się drżącą ręką o balustradę. Intensywność jego spojrzenia sprawiała, że czuła się słaba, roztrzęsiona, jakby przestała być panią samej siebie.

Od dzieciństwa Lucy wiedziała, że musi być silna. Matka była wycofana, a ojciec, choć bardzo opiekuńczy, też wymagał jej troski. Bez rodzeństwa, bez silnych więzi z kuzynami Lucy była cichym, zamkniętym w sobie dzieckiem, dziwadłem w wielkiej, hałaśliwej niemieckiej rodzinie ojca.

Po raz pierwszy myślała o tym, jak by to było uwolnić się od ciągłej samokontroli. Wydawało się to porywające i zarazem przerażające. Zrezygnować z własnej siły, pozwolić sobie oprzeć się na kimś innym.

W Johnie było coś solidnego, czuła, że można na nim polegać.

Znalezienie schodków prowadzących na szóste piętro nie zajęło im wiele czasu. Lucy myślała zawsze, że za tymi drzwiami we wnęce jest schowek na szczotki. Schodki były wąskie, bez dywanu, ściany pobielone wapnem jak na piętrze przeznaczonym niegdyś dla służby.

Na górnym podeście John przystanął.

– Zanim wejdziemy do środka, chciałbym ci powiedzieć, że przyszedłbym, nawet gdyby nie postąpiła tu noga żadnego z Prattów. Przyszedłem do ciebie. Nie ze względu na nich. Kiedy przekazano mi twoją wiadomość...

Lucy przyłożyła mu palec do ust.

– Ciii – szepnęła. John zamilkł. – Wczoraj, kiedy tylko się z tobą rozstałam, wiedziałam, że zareagowałam przesadnie. Ja po prostu... – Lucy brakowało słów. W jej rodzinie nie mówiło się o uczuciach. Czuła się jak małe dziecko, które uczy się używać języka. – Wystraszyłam się.

– To ja cię wystraszyłem? – Na twarzy Johna odbiły się wyrzuty sumienia. – Lucy, przyrzekam na duszę ojca, że nie chciałem...

– Nie, nie – zapewniła szybko Lucy. – To nie ty mnie wystraszyłeś. Przeraziłam się samej siebie. Prattowie byli wymówką. Przeraziłam się i uciekłam. Po prostu... – Wzięła głęboki wdech i wyznała cicho: – Do nikogo czegoś takiego nie czułam.

John objął ją, przyciągnął blisko, oparł policzek na czubku jej głowy.

– Ja też nie – mruknął.

Stali przez chwilę na ciasnych schodach, a żadne z nich nie czuło gorąca ani kurzu, który osiadł w tym zapomnianym miejscu. Lucy przywarła do Johna całym ciałem, wtopiła w niego, jej głowa wpasowała się doskonale w przestrzeń między uchem a szyją. Wiedziała, że wreszcie dotarła do domu. Gdziekolwiek był John Ravenel, tam był jej dom.

– Nie sądzisz, że powinniśmy jednak obejrzeć ten pokój? – odezwała się wreszcie.

– Chyba tak – przyznał John, ale nawet nie drgnął. – Nie chcielibyśmy przecież rozczarować pani kierowniczkę.

Lucy przypomniała sobie błysk w oku pani Johnson.

– Nie sądzę, aby była rozczarowana.

John przytulił ją jeszcze mocniej.

– Wspaniała kobieta z tej twojej pani Johnson.

– Może zaprosimy ją na ślub? – rzuciła żartobliwie Lucy.

– Hmm... – John ucałował ją w czubek głowy i niechętnie wypuścił z objęć.

– Wejdziemy do komnaty Sinobrodego?

– Chyba nie sądzisz, że jest pełna porzuconych żon? – Lucy pierwsza pokonała kilka ostatnich schodków. Odwracając się, zobaczyła dziwny wyraz na twarzy Johna. Wybuchła śmiechem. – No nie! Nie myślisz chyba, że znajdziemy tam głowy na pikach.

– Tam były same głowy? – spytał z roztargnieniem John. – Nie pamiętam dokładnie tej historii.

– Ja też nie – przyznała Lucy. Drzwi nie ustępowały, Lucy musiała mocno je pchnąć, by wreszcie otworzyły się ze skrzypieniem. – Pamiętam tylko, że... Ojej.

Światło. Nagłe, roztańczone, jasne światło.

Wlewało się przez wysokie okna, dzięki którym trzy ściany pokoju przypominały raczej szklane tafle, miało się wrażenie, że pomieszczenie unosi się w niebie. Jednak najpiękniejsze światło spływało z sufitu, rozproszone przez szybki miniaturowej kopuły przypominające rozmigotane w słońcu pryzmaty. Lucy ujrzała tęcze, cudowne cętki tęczy figlujące na orientalnym dywanie, na zdobionych panelach cynowego sufitu. Ten zakurzony pokój był jakby zaczarowany.

– O Boże – mruknął John, który stanął za nią, kładąc jej ręce na ramionach.

Lucy nakryła je dłońmi.

– Kto by przypuszczał?

Zadziwiająco, że to było tu cały czas, tuż nad jej pokojem, a ona nic nie wiedziała.

– Proporcje... – zaczął John.

Lucy już dalej nie słuchała, chłonęła otoczenie. Uważniejsze spojrzenie pozwalało dostrzec ślady zaniedbania. Dywan, niegdyś pewnie piękny, teraz był niemal całkiem wypłowiały. Stary dywanik z owczej skóry leżał przed wystygłym kominkiem, wełna była pokryta grubą warstwą kurzu, moli też pewnie w niej nie brakowało.

Najwidoczniej usunięto stąd meble. Został tylko sfatygowany szezlong z poszarpanym obiciem (myszy, pomyślała automatycznie Lucy) i solidna chińska skrzynia, której złote zdobienia pokrywał kurz.

Jednak zaniedbany pokój nie stracił urody. Był idealnie kwadratowy, a wysoki sufit z miniaturową kopułą sprawiał, że panował tu chłód mimo lipcowego upału. W tym miejscu było coś magicznego – wchodziło się tu jak do zwyczajnego domu, a już po chwili znajdowało się w którymś z pałaców Alhambry.

– Patrz! – zawołała Lucy. – Święty Jerzy.

Nad kominkiem tkwiły w ścianie trzy terakotowe kafle o intrygująco barwnych wzorach. Te po bokach przedstawiały herbowe tarcze w średniowiecznym stylu. Na kafle środkowym zaś widniał święty Jerzy, ten sam, który czuwał nad dziecięcym łóżkiem Lucy, z tarczą w jednym ręku i włócznią w drugim.

„Rycerz z czerwonym krzyżem...” – powiedziała kierowniczką. Lucy przeszła przez pokój, zniszczone deski skrzypiały pod jej praktycznymi butami. Krzyż na tarczy świętego Jerzego, nadgryziony wprawdzie zębem czasu i zakurzony, był nadal szkarłatny. Lucy nieśmiało podniosła rękę, by go dotknąć, a wtedy spod kafla wysunęła się cegła, ściślej – bloczek cegieł. Za nim znajdowało się płytkie zagłębienie, w którym leżały zwitki pożółkłego papieru.

Pewnie wykazy rzeczy oddanych do prania albo jakieś rachunki.

Lucy wahała się przez chwilę. Kierowniczką wprawdzie ich wpuściła do tego pokoju, ale to jeszcze nie znaczy, że mogli tam bezkarnie szperać.

A wtedy – jakby z oddali – usłyszała słaby głos matki. „Harry...”.

Z nagłą stanowczością Lucy sięgnęła do otworu nad kominkiem. Może to nie miało z nią nic wspólnego, ale jeśli tak... miała prawo wiedzieć, musiała.

Kartki były gęsto zapisane, charakter pisma kanciasty, styl dość formalny.

30 stycznia

1893

Drogi panie Pratt,

zgodnie z Pańskim życzeniem odkryłem miejsce pobytu bylej panny Olive Van Alan, będącej niegdyś pokojówką zatrudnioną w Pańskim domu. Panna Van Alan wzięła cichy ślub w Brooklynie z panem Hansem Jungmannem dziesiątego stycznia tego roku. Para mieszka obecnie w domu matki pana Jungmanna, w Brooklynie. Pan Jungmann jest współwłaścicielem tamtejszej piekarni.

List był długi, ale dalej Lucy przeczytała go dość pobieżnie. Był tam opis szczegółów, które знаła tak dobrze jak własne pięć palców. Dotyczyły domu babci, rodziny ojca, sklepiku na Manhattanie, który ojciec sprzedał po ślubie z matką.

„Pokojówką zatrudnioną w Pańskim domu...”.

A więc jej matka, jej elegancka matka była pokojówką? List napisał detektyw z agencji Pinkertona. To chyba przesada: zatrudnić detektywa, by odnalazł zaginioną osobę z personelu domowego? I po co chować jego raport tutaj, w zapomnianym pokoju na szóstym piętrze? To wszystko nie miało sensu.

Lucy wzięła drugą kartkę w zeszywniałe dłonie. Papier był inny, nieco grubszy, wykwintny, z monogramem wytłoczonym na górze, pismo płynne, atrament czarny. Na górze widniała data: 30 stycznia 1893 roku.

List zaczynał się od słów *Moja ukochana Olive*. To znaczy, prawie tak się zaczynał. Bo czułe słowa zostały przekreślone, a nad nimi wpisano szorstko: *Pani Jungmann – bo nie mogę już dłużej nazywać Cię ukochaną. Jednak jakże mógłbym nazywać Cię inaczej? Zawsze pozostaniesz moją ukochaną, nieważne, jak daleko uciekniesz ani jak bardzo mnie zraniłaś. Dlaczego? Dlaczego, ukochana? Czy nie ufalaś mi ani trochę? Czyż nie wiedziałaś, że ja wiem, niemal od samego początku...* Zdanie kończyło się kleksem.

Co wiedział? Nie o Lucy. Nie mógł wiedzieć o niej od samego początku, nie mogło jej przecież wtedy być.

Ostatnie tygodnie minęły jak w gorączce, żyłem tylko nadzieją odnalezienia Ciebie. Ale nigdy bym nie przypuszczał, że odnajdę Cię jako żonę innego mężczyzny. Jak mogłaś? Jak mogłaś opuścić moje łóżko i czy nigdy nie kochałaś mnie jak ja Ciebie? Och, moja Olive...

Ten dom stał się dla mnie więzieniem. Widzę Cię wszędzie, ale kiedy po Ciebie sięgam, budzę się, a Ciebie nie ma. Nic tu po mnie, skoro Ciebie nie ma. Spakowałem farby, sztalugi i kupiłem bilet na zachód. Nieważne, dokąd jadę. Może odnajdę zagubione skarby Kubilaj-chana. Ale bez Ciebie nie będą lśnić.

Żegnaj, Ukochana

List nie był podpisany. Nie musiał być. Zresztą były jeszcze trzy inne

brudnopisy tego samego listu, dwa pogniecione, jeden przedarty w połowie, pewnie żaden czystopis nie został wysłany.

Lucy zrobiło się serdecznie żal nie tylko matki, ale też mężczyzny, którego zawsze uważała za ojca, Hansa Jungmanna, który kochał jej matkę tak długo i z wielkim oddaniem, ale zawsze z oddali, bo nie mógł dotrzeć do jej serca.

A teraz Lucy wiedziała dlaczego.

Dlaczego matka zostawiła Harry'ego Pratta? O czym wiedział prawie od początku? Dlaczego matka wyszła za Hansa Jungmanna? Jak mogła to zrobić, wiedząc, co czuje do Harry'ego Pratta, zwłaszcza że...

Styczeń. Lucy utkwiała wzrok w tej dacie, wpatrywała się w eleganckie cyfry z rozmachem wypisane czarnym atramentem. Na początku ledwie zwróciła uwagę na tę datę, zbyt zajęta treścią listu. Ale proszę bardzo. Styczeń.

Lucy urodziła się pod koniec listopada. Jeżeli Harry Pratt dorzynał swojego postanowienia i pod koniec stycznia wyruszył nie wiadomo gdzie, nawet jeśli widział matkę Lucy przed wyjazdem, to niemożliwe, żeby był ojcem Lucy.

Nagle poczuła nieoczekiwany przyływ radości. Łzy stanęły jej w oczach, gdy wróciły do niej wspomnienia barwne niczym tęcza. Jej ojciec – prawdziwy ojciec – ociera jej dziecięce łzy, delikatnie smaruje jodyną otarte kolano, daje ciasteczko, czyta bajkę. Jak przyjemnie było z nim spacerować, trzymając się lekko jego dużej dłoni. Ojciec tak grzecznie uchylał kapelusza przed sąsiadami. A jak przyjemnie było, kiedy sadzał ją sobie na szerokie ramiona, żeby mogła zerwać brzoskwinie z drzewa sąsiadów.

Vati, Vati, jak ja za tobą tęsknię.

Nie powiedziała tego głośno, ale słowa dźwięczały jej w głowie. Lucy czuła, jak promienie słońca wpadające przez kopułę grzeją jej głowę niby ręka ojca, jak błogosławieństwo, i wiedziała, że on z nią jest i zawsze będzie.

Z kartkami w drżących dłoniach Lucy odwróciła się od kominka.

– John? – Jej schrypnięty głos zabrzmiał dziwnie w tym pokoju z wysokim sufitem. – Coś znalazłam.

– Ja też. – John siedział po turecku na podłodze przed chińską skrzynią, której dolna szuflada była wysunięta. Miał na kolanach pożółkłe kartki.

– To jest... – Lucy nie wiedziała, jak zacząć. Litość dla matki, miłość do ojca, ulga i zamęt, wszystko się kłębiło w jej głowie. Więc po prostu wyrzuciła to z siebie, zaciskając w zbiegających dłoniach pożółkłe kartki: – John, nie jestem córką Harry'ego Pratta.

– Nawet nie wiesz, jak się z tego cieszę. – John podniósł wzrok na Lucy i z niewyraźną miną dodał: – Bo jestem niemal pewien, że Harry Pratt był moim ojcem.

Kate

Danny O'Shea był chłopakiem z sąsiedztwa. Razem dorastaliśmy i chodziliśmy do szkoły, a kiedy byłam jeszcze bardzo młoda i nie wiedziałam, że chcę zostać lekarką, wyobrażałam sobie nawet, że może kiedyś się pobierzemy. Tuż po Pearl Harbor Danny poszedł do wojska, a osiem miesięcy później zginął na wyspie Guadalcanal. Przed swoim ostatnim wyjazdem pierwszy raz mnie pocałował, składając niemądre obietnice, których żadne z nas nie traktowało poważnie, dotyczące wspólnej przyszłości, gdy wojna już się zakończy. Niczym dziecko, które dostało nową zabawkę, opowiadał mi z entuzjazmem, jak wyobraża sobie wojskowe życie. Zwierzał się, jak ciężki był ekwipunek, z którym będzie musiał maszerować i walczyć. Nie potrafiłam wtedy pojąć, jak żołnierz – a w zasadzie ktokolwiek – mógł walczyć z takim obciążeniem na plecach.

Teraz jednak, starając się wykonywać swoje codzienne obowiązki, potrafiłam już trochę sobie wyobrazić, jak to musiało być, bo czułam, jak pod ciężarem, który sama niosłam, przy każdym kroku uginają się pode mną kolana. Ciągłe przypominały mi się słowa Danny'ego, że człowiek w końcu się do tego przyzwyczaja. Pozostawało mi wierzyć, że miał rację.

– Kate.

Zastygłam z ręką na poręczy. Godzinę temu widziałam, jak Cooper wychodzi z Caroline, i tylko dlatego odważyłam się wychynąć z ciemnego ustronia gabinetu doktora Greeleya. Cooper dzisiaj wyjeżdżał, a ja nie chciałam go widzieć i żegnać z uśmiechem na twarzy w obecności Caroline i doktora Greeleya. Bałam się, że moja maska pęknie, ujawniając prawdziwe uczucia.

– Kate – powtórzył Cooper.

Zebrałam się w sobie i odwróciłam ku niemu, zaskoczona napięciem mięśni twarzy. Stał przy windzie, skąd przed chwilą wyszedł. Trzymał kapelusz i laskę. Na widok jego zamyślonych ciemnych oczu niemal się poddałam. Zmusiłam się jednak, mocno trzymając się poręczy, żeby nie ruszyć się ani o krok.

– Unikasz mnie? – zapytał śpiewnie. Odkąd spędzał więcej czasu z Caroline, jego południowy akcent stał się wyraźniejszy.

– Nie, oczywiście, że nie – wyjąkałam. – Po prostu mam dużo papierkowej roboty... – Urwałam, patrząc, jak podchodzi i staje tuż przede mną.

– Musimy porozmawiać.

– Przykro mi, ale jestem bardzo zajęta...

Nie dokończyłam zdania, bo akurat trzech krzepkich sanitariuszy zbliżyło się do dużego regału na książki, przy którym stałam z Cooperem. Odkąd kilka tygodni

wcześniej spróbowano go przenieść w inne miejsce, narożnik potężnego mebla wystawał na korytarz. Nie byłam pewna, co sprawiło, że sanitariusze zjawili się tu właśnie teraz, ale byłam z tego zadowolona.

– Proszę nam wybaczyć, pani doktor – powiedział najpostawniejszy z nich. – Dostaliśmy polecenie, aby znieść ten mebel do holu.

– Nic nie szkodzi. Właśnie skończyliśmy rozmowę.

Ująwszy mój łokieć, Cooper przeprowadził mnie w kierunku windy, aby zrobić mężczyznom przejście. Przyglądaliśmy się, jak zmagają się z ciężkim regałem, powoli znosząc go po schodach, lecz Cooper nie puszczał mojego łokcia, jakby w obawie, że mu ucieknę. Patrzyłam na tę scenę z chorobliwą fascynacją, lecz zarazem z ulgą, że znajdujemy się w szpitalu, gdzie w razie potrzeby natychmiast możliwa jest pomoc medyczna.

Wśród dobiegających nas postękiwań sanitariuszy spojrzałam na Coopera, zdecydowana ucisnąć mu dłoń i szybko się pożegnać. Wzrok miał skupiony jednak na czymś za mną, a osobliwy wyraz jego oczu sprawił, że się odwróciłam, aby sprawdzić, na co patrzy.

Usunięcie regału poszerzyło korytarz, ale jednocześnie odsłoniło uprzednio zakryty fragment ściany. Jak się okazało, ściana wcale nie była pusta. Ozdobiono ją szerokim na jakieś trzy metry i równie wysokim malowidłem, które tak długo zasłaniał regał, że zachowały się jego żywe barwy. Patrzyłam na fresk jak zahipnotyzowana, ale nie z powodu kunsztu artystycznego, z jakim go wykonano, ani jego wielkości i rozmachu, ani tego, że tkwił w ukryciu przez całe dziesięciolecie. Już go kiedyś widziałam. Tak, o to właśnie chodziło, choć nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć gdzie. Wiedziałam tylko, że znam każdy jego szczegół, od blasku klingi miecza po strach widoczny w oku smoka.

– To święty Jerzy walczący ze smokiem – powiedział Cooper z nutą szacunku w głosie.

– Tak – przyznałam.

Przynajmniej tak mi się wydawało, że powiedziałam to na głos. Oboje ostrożnie, nieco się ociągając, zbliżyliśmy się do ściany, jakby smok był prawdziwy i mógł nas zaatakować.

Cooper pochylił się, spoglądając na miejsce, w którym artysta złożył niestaranny podpis. Przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę, po czym wyprostował się ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie rozumiem. Znam tego artystę. Te pociągnięcia pędzla, dobór kolorów, tę... – przez chwilę usiłował znaleźć odpowiednie słowo – ...ekspresję – dokończył. – To bez wątplenia jego dzieło, ale podpis jest inny.

Stałam obok niego i przyjrzałam się podpisowi w prawym dolnym rogu.

– H. Pratt. – Spojrzałam na Coopera. – A tobie wydawało się, że kto to namalował?

Pokręcił głową.

– Czy to ci czegoś nie przypomina? Nie rozpoznajesz tego stylu? Szkice wyszły spod tej samej ręki, czyż nie? To ten sam artysta. – Zadumał się, skupiwszy wzrok na podpisie. – Znam tego artystę, ale to nie jest H. Pratt.

Przez dłuższy czas studiowałam fresk, starając się nie pamiętać o tym, że znam to przedstawienie, i raczej skupić się na stylu jego wykonania. Z uwagą przyglądałam się koliście nałożonej farbie tam, gdzie było namalowane błękitne niebo, a niżej temu, jak nasycone barwą światło odbija się od smoczych łusek. Wreszcie coś mi zaczęło świtać w głowie.

– Ależ tak – powiedziałam, kojarząc sobie coś z wystaw malarstwa, po których ciągała mnie matka, gdy byłam dziewczynką. – To Augustus Ravenel – wykrztusiłam, jakby te dwa proste słowa nie mogły mi przejść przez gardło.

– Właśnie. Augustus Ravenel. – Zamilkł na chwilę. – Mój dziadek.

– Ale... – Urwałam, bo nagle mój umysł otworzył się i zdałam sobie sprawę, skąd znam ten fresk. – Moja matka miała dokładnie taki sam fresk na ścianie w swojej sypialni, namalowany przez jej matkę, Olive. Nigdy go nie widziałam, ale matka tak właśnie mi go opisywała, i to ze wszystkimi szczegółami, stąd to wrażenie, jakbym rzeczywiście go już kiedyś widziała. – Patrzyłam na fresk i na podpis, który wydawał się jednocześnie właściwy i niewłaściwy. Wszystkie elementy tej układanki wirowały powoli w mojej głowie, próbując wpasować się w odpowiednie miejsca.

Nasze oczy spotkały się w milczącym porozumieniu. Cooper położył mi rękę na ramieniu, jakby musiał pewnie stanąć na nogach.

– Wygląda na to, że Harry Pratt i Augustus Ravenel to jedna i ta sama osoba.

Przypomniałam sobie szkice Harry'ego Pratta, które Cooper znalazł w szafce na strychu, przedstawiające między innymi Olive w rubinowym naszyjniku. Powietrze między nami zaczęło wibrować.

– Kobieta na tych szkicach, ta z rubinowym naszyjnikiem, była moją babką. Miała na imię Olive. – Zamilkłam, zastanawiając się, jak opowiedzieć mu resztę. – Moja babka... – zaczęłam.

– ...i Harry byli kochankami – powiedział to tak zwyczajnie, jakby doszedł do tego już wcześniej.

Przytaknęłam.

– Ale chyba nie skończyło się to dobrze. Harry zniknął, a Olive wyszła za mojego dziadka, piekarza Hansa Jungmanna. – Dotknęłam miejsca, w którym pod bluzką miałam rubinowy naszyjnik. – Nigdy jednak nie zapomniała Harry'ego. Dlatego namalowała taki sam fresk na ścianie pokoju dziecięcego mojej matki. I zachowała ten naszyjnik. – Wyciągnęłam go zza dekoltu bluzki. – Siostra Harry'ego, Prunella, twierdziła, że babcia go ukradła, ale nie sądzę, żeby to była prawda. Dla babci był on zawsze czymś drogocnym i dlatego przekazała go

swojej córce Lucy. Mojej matce. A ona przekazała go mnie.

Rzucił mi badawcze spojrzenie.

– Lucy? Przypomnij mi, jak brzmiało jej nazwisko panieńskie.

– Jungmann. Ale zmieniła je na Young, kiedy podjęła pracę w kancelarii mojego ojca. Lucy Young.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę z wyraźnie pobladłą twarzą.

– Na łożu śmierci ojciec podyktował mi list do niejakiej Lucy Young w Nowym Jorku, z adresem kancelarii prawnej Cromwell, Polk i Moore. – Zamilkł na chwilę, coś rozważając. – To był list miłosny, w którym wyznał Lucy, że nigdy nie przestał jej kochać ani pragnąć. Że była miłością jego życia.

– Ten list... Wysłałeś go?

Powoli pokręcił głową.

– Zamierzałem wysłać zaraz po pogrzebie. Ale zostawiłem go na sekretarzyku, a moja matka znalazła list i zniszczyła. Zdałem sobie sprawę, jak mocno ojciec ją zranił, i dlatego nigdy nie spełniłem jego woli i nie próbowałem odnaleźć Lucy. Zdradziłbym wtedy własną matkę. Nie przyszło mi nigdy do głowy...

Zamilkł, bo nie wiedział, jak ma dokończyć to zdanie, ale nie musiał. Ja dobrze wiedziałam, co zamierzał powiedzieć. Coś o szansach i przeznaczeniu oraz kaprysie losu, który nas ze sobą zetknął w tym świecie pełnym chaosu.

Odwrócił wzrok, jakby zupełnie nie docierały do niego głosy sanitariuszy, dźwięk telefonu ani paplanina pielęgniarek. To wszystko wydawało się tak odległe od tego małego kokonu czasu, jaki stworzyły jego słowa. Zrobił krok do przodu, wpatrując się w coś w prawym górnym rogu fresku. Była to niewielka gromadka ludzi ubranych w średniowieczne barwne stroje, które wyróżniały się z tła namalowanej za nimi ciemnej chmury deszczowej.

– Spójrz – powiedział, wskazując na środek chmury, gdzie pociągnięcia pędzla sprawiały, że stojące postaci niemal wtapiały się w otaczającą je mgłę.

Też się nachyliłam, spoglądając we wskazane miejsce.

– Na co mam patrzeć? – spytałam. I wtedy zauważyłam: w tej gromadce ukryta była kobieta, niemal niewidoczna w szarej mgle przypominającej dym. Wyglądała zupełnie jak ja, a jej twarz widniała także na olejnej miniaturce, przekazywanej sobie przez trzy pokolenia mężczyzn w tej samej rodzinie. Cofnęłam się z ręką przyciśniętą do piersi, miałam teraz tuż za sobą barczystą postać Coopera.

– Widzisz to? – spytał.

– Tak – powiedziałam i za moment pojęłam, że pokazuje mi nie tylko tę kobietę. Palce Coopera przesunęły się wzdłuż jej ramienia w kierunku dłoni. – Ona coś wskazuje.

Tło fresku zdawało się zmieniać przed moimi oczami na zasadzie złudzenia

optycznego, a liście drzew w widocznym tam lesie przekształciły się w coś zupełnie innego. Coś, co było zdumiewająco podobne do kafla nad kominkiem i przypominało herbową tarczę. A ten herb znałam bardzo dobrze.

Cooper bez słowa wziął mnie pod rękę i prawie nie kulejąc, pospiesznie poprowadził do windy. Żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa, kiedy rozsunął kratę, a potem ją zamknął, po czym uruchomił windę, naciskając przycisk piątego piętra.

– Cooper, wierz mi, to nie jest dobry pomysł. Czy nie rozumiesz, że cokolwiek zaszło między naszymi dziadkami i rodzicami, nie ma nic wspólnego z nami?

Odwrócił się do mnie i poczułam, że jest zły. Ale w oczach miał coś jeszcze, jakiś wyraz rozpacz podobny do tego, który dostrzegłam we własnym odbiciu, gdy nieco uważniej mu się przyjrzałam. Bez ostrzeżenia pochylił się nade mną i z natarczywością, bezceremonialnie pocałował w usta. Z głową opartą o ścianę windy pomyślałam, że odsunęłabym się, gdyby to tylko było możliwe, i że nie chcę, aby mnie dotykał i całował. Żadna z tych myśli nie powstrzymała mnie jednak od odwzajemnienia pocałunku.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem, a on cofnął twarz. W jego oczach nadal był niepokojący mrok. Odsunął kratę i ruszył za mną ku schodom prowadzącym na szóste piętro. Nie musiałam pytać, wiedziałam, że zmierzamy do pokoju na poddaszu, i wzdrygnęłam się na myśl, że będę musiała się zmierzyć ze wspomnieniem spędzonej tam przez nas nocy, wypełnionej światłem księżyca, wśród mieszaniny zapachów farby, kurzu i naszych własnych.

Ale wiedziałam też, że tam właśnie są cegły, które wskazywała Olive na fresku, i że ani Cooper, ani ja nie spoczniemy, aż skompletujemy i zobaczymy wyraźnie wszystkie zaśniedziałe fragmenty romansu Olive i Harry’ego. Jednak nie byłam pewna, co mamy zrobić, gdy już znajdziemy wszystkie odpowiedzi.

Z łóżka Coopera zdjęto pościel, a starannie złożony brązowy koc położono w nogach, tak jak na pozostałych dwóch pustych łóżkach. Miało się teraz wrażenie, że jest to bardziej sypialnia niż jakiś zapomniany pokój na poddaszu tej starej rezydencji, w którym ściany zawierają coś więcej niż tylko cegły i zaprawę. Stałam naprzeciw okna, nie patrząc w tamtym kierunku, żeby nie przywoływać wspomnień. Próba wymazania z pamięci owej nocy była jednak równie niemożliwa jak usunięcie z niej wiedzy o kolorze własnych oczu.

Cooper podszedł do łóżka i położył na kocu kapelusz i laskę. Rzucił ku mnie szybkie spojrzenie, po czym podszedł do kominka, gdzie na ceglach widniały trzy namalowane kwadraty tworzące część herbu. Środkowy kwadrat różnił się od pozostałych, przedstawiał bowiem świętego Jerzego, który na piersi miał czerwony krzyż niczym znak na mapie pokazujący, gdzie ukryto skarb.

Cooper wyciągnął rękę i zawahawszy się przez moment, delikatnie nacisnął

palcami miejsce z krzyżem. Spod kwadratu wysunął się bloczek cegieł, odsłaniając płytkie zagłębienie.

Obejrzał się na mnie z uniesioną brwią i powiedział:

– Czuję się jak Cezar, kiedy gotował się do przekroczenia Rubikonu.

Niemal się roześmiałam, słysząc, że się „gotuje”, jak mówią na Południu, ale za bardzo się trzęsłam, żeby zdobyć się na coś więcej niż patrzenie. Nie podeszłam do ściany, wolałam zerkać mu przez ramię na ciemne wnętrze skrytki. Z początku sądziłam, że otwór jest pusty. Czy raczej miałam taką nadzieję, bo wtedy byłoby już jasne, że nic nas nie łączy i możemy się pożegnać bez widoków na kolejne spotkanie.

Ale kiedy Cooper sięgnął do środka i wyjął zwitek papierów, pojęłam, że więź między nami, którą poczułam już przy naszym pierwszym spotkaniu, jest tak oczywista i trwała jak związek poranka z minioną nocą.

Usiadł na łóżku i rozprostował wierzchnią kartkę, wpatrując się w papier firmowy z wyraźnie wytłoczonym nagłówkiem: „Agencja detektywistyczna Pinkertona”. Podniósł na mnie wzrok, jakby to do mnie należała decyzja, co ma teraz zrobić. Oboje wiedzieliśmy jednak, że już przekroczyliśmy Rubikon.

Czekałam spokojnie, gdy pochylił głowę, wczytując się w tekst. Kiedy skończył, wyprostował się powoli i spojrzał na mnie zafrasowany.

– Co tam wyczytałeś?

Przeniósł wzrok na list, potem znowu na mnie.

– Harry wynajął detektywa, aby odnaleźć Olive i sprawdzić, jak sobie radzi. Mowa tu o tym, że w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku wyszła za Hansa Jungmanna. List jest z końca stycznia, a w tym samym miesiącu, jak mi powiedziałaś, Harry Pratt zniknął. Tak się składa, że było to tuż przed wyjazdem mojego dziadka na Kubę.

– A tam Harry Pratt przeistoczył się w Augustusa Ravenela. – Poczułam, że nogi odmawiają mi posłuszeństwa, i podeszłam do łóżka, żeby usiąść obok Coopera, uważając jednak, aby go nie dotknąć. – Chyba wiem, dlaczego Olive i Harry się rozstali.

Cooper spojrzał na mnie z uniesioną brwią.

– Prunella – wyszeptałam.

– Prunella, czyli siostra Harry’ego. Innymi słowy, moja cioteczna babka.

Przytaknęłam.

– Kiedy ją odwiedziłam, powiedziała mi, że zawsze chciała ponownie spotkać Harry’ego, aby przeprosić go za jakiś swój okropny uczynek. Może powiedziała lub zrobiła coś, co ich rozdzieliło. Coś, wobec czego oboje byli bezsilni.

Cooper skinął w zamyśleniu głową.

– Zbieżność w czasie tych wszystkich wydarzeń niewątpliwie zdaje się

przemawiać za tą teorią. Jego nagłe zniknięcie z Nowego Jorku i pojawienie się na Kubie, a także zamążpójście Olive, wszystko to zdarzyło się tego samego roku. – Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. – Kiedy urodziła się twoja matka?

Wciągnęłam głośno powietrze, bo moje myśli podążyły tym samym mrocznym tropem.

– Dopiero w listopadzie tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

– Dzięki Bogu – mruknął.

Spojrzałam na drugi list, który leżał jeszcze złożony na jego kolanach.

– A to co?

Odłożywszy na bok raport agencji detektywistycznej, wziął do ręki arkusiki, które wyglądały na brulionowe wersje tego samego tekstu, a potem umieścił kartki między nami, byśmy mogli przeczytać je razem.

Na początku widniała data: 30 stycznia 1893 roku. List zaczynał się od słów *Moja ukochana Olive*. Przebiegłam wzrokiem szybko po linijkach tekstu, w którym każde słowo było boleśniejsze niż poprzednie, a litery stopniowo ciemniały, nasączone atramentem, jakby autor listu dodał do niego swój smutek.

– *Żegnaj, Ukochana* – przeczytaliśmy jednocześnie ostatnie słowa ściszonymi nabożnie głosami.

Cooper odsunął na bok stosik kartek, a spod nich wyłonił się kolejny list. Napisany niemal trzydzieści lat później na papierze bardziej mięsistym niż tamte, zdecydowanie wyrazistszym charakterem pisma, pozbawionym artystycznych zawijasów jak poprzedni list.

Najdroższa Lucy, brzmiały pierwsze słowa. Mój wzrok pobiegł na dół kartki. *Kocham cię, Lucy. Na zawsze Twój.*

– Charakter pisma mojego ojca – powiedział Cooper cicho. – Johna Ravenela.

Odwróciłam wzrok, bo nie byłam pewna, czy powinnam czytać list miłosny do mojej matki od człowieka, który nie był moim ojcem. Zmusiłam się jednak do przeczytania każdego słowa tego błagalnego listu Johna, który starał się przekonać moją matkę, aby przeniosła się do niego do Charleston.

– Nie rozumiem, dlaczego z nim nie wyjechała. Nic jej tu nie trzymało z wyjątkiem Philipa Schuylera, a wiem, że on nie był jej jedyną miłością.

Zadumałam się, wypuszczając listy z rąk, i wpatrywałam się bez słowa w ścielące się wokół kartki, szczątki nieszczęśliwej miłości.

Zacisnęłam dłonie złożone na kolanach.

– Olive była muzą Harry’ego. Jego wielką miłością. I chociaż każde z nich poślubiło kogoś innego i założyło własną rodzinę, jakąś część swoich serc zawsze pozostali sobie wierni. – Wstałam z łóżka, żeby jaśniej myśleć. Gdy miałam tuż obok siebie Coopera, było to zbyt trudne. – A moja matka musiała zaaranżować swój związek z moim ojcem, żeby móc jakoś dochodzić tego, o czym

była przekonana, że jej się należało. Błędnie uważała, że ma udział w schedzie po Prattach ze względu na romans jej matki z Harrym Pratem. – Podniosłam głowę, gdy przyszło mi na myśl coś jeszcze. – Pewnie nawet rozważała możliwość, że jest ich córką.

Zakryłam dłońmi oczy, jakbym mogła w ten sposób usunąć wspomnienie fresku i naszyjnika. A także tego ciągłego poszukiwania przez moją matkę czegoś nieosiągalnego.

– Zastanawiam się... – Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. – Zastanawiam się, czy matka kiedykolwiek kochała mojego ojca. I czy on w ogóle wiedział, kim ona tak naprawdę jest.

Cooper wstał i ujął moje ręce.

– Czyżby nie byli szczęśliwi? Nigdy nie widziałaś, żeby się śmiała?

– Nie, nie o to chodzi. Ojciec zawsze starał się nas rozweselić. Bardzo nas kochał i nigdy nie zaprzestał się starać, żeby uszczęśliwić matkę. Musiała go na swój sposób kochać. Tylko po prostu nigdy jej... nie wystarczała.

Puścił raptownie moje ręce, wyraźnie roztrzęsiony, i podszedł nerwowym krokiem do okna.

– Dlaczego nasi rodzice się nie pobrali? – spytał cierpko. – Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że tak się nie stało. Ale dlaczego? Co takiego im przeszkodziło? – Jego wzrok padł na otwór wśród cegieł. – Może coś nam umknęło...

Zamilkł, podszedł do kominka i sięgnął do wnętrza otworu. Przymknął na chwilę oczy, badając dłonią zakamarki schowka jak niewidomy czytający brajlem, aż nagle wyciągnął ze skrytki jakiś mały przedmiot.

– Co to jest? – spytałam, chociaż widziałam, że trzyma w palcach puzderko z czarnego aksamitu. Nasze oczy spotkały się, gdy usiadł obok mnie na łóżku. Przez moment zawahał się, nim uchylił wieczko. Domyślałam się, że zobaczę pierścionek, może nawet bardzo cenny, ale nigdy by mi nie przyszło do głowy, że moim oczom ukaże się tak zachwycające cacko jak to na aksamitnej poduszeczce. Wielki, osadzony w platynie brylant, otoczony drobnymi diamencikami, przypominał królową w towarzystwie dam dworu.

– Co najmniej trzy karaty – powiedział Cooper z niemal nabożną czcią.

Wyjęłam delikatnie pierścionek z puzderka i oglądałam, podziwiając kunszt jego twórcy.

– Wewnątrz jest coś wygrawerowane – powiedziałam i zbliżywszy klejnot do oczu, odczytałam na głos litery.

Dla O od H – Na zawsze Twój – 1 I 93

– Chciał ją poślubić – powiedziałam cicho, czując, jak ściska mi się serce i odżywa dawny smutek.

– A ona wyszła za kogoś innego, i to niecałe dwa tygodnie później.

Nie mogłam dłużej patrzeć na ten talizman dla złamanych serc, na to *Na zawsze Twój*, które nie znaczyło wcale tego, co powinno. Zamknęłam pierścioneł w pudełeczku i wcisnęłam je do rąk Cooperowi.

– Powinieneś go wziąć, w końcu to pamiątka rodzinna. Możesz go ofiarować narzeczonej.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę zmrużonymi pociemniałymi oczami, jakbym właśnie wymierzyła mu fizyczny cios.

– A więc tak – powiedział w końcu. – Wróciliśmy do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło. Tak jakby los zetknął nas ze sobą, aby doprowadzić do szczęśliwego zakończenia, którego tak rozpaczliwie pragnęli nasi rodzice i dziadkowie. – Wepchnąwszy puzderko do kieszeni spodni, ujął moje dłonie.

Próbowałam je wyrwać, ale nie pozwolił na to.

– Nie rozumiesz, Kate? Jesteśmy sobie przeznaczeni. Wiedziałem o tym od chwili, gdy cię ujrzałem. Zawsze mi na tobie zależało. – Puścił moje ręce, aby móc łagodnie objąć moją twarz. – Kocham cię, Kate. I chcę, żebyśmy byli razem. Pojedź ze mną do Charleston. Możesz tam rozpocząć własną praktykę i stać się doskonałą lekarką. I moją żoną, matką moich dzieci. Proszę, Kate. Możemy sprawić, żeby wszystko, co zdołaliśmy odkryć, nabrało sensu. Zgódź się.

Jakże łatwo byłoby się zgodzić i poddać temu, czemu całe życie się opierałam. Byłam kobietą niezależną i swoją pozycję okupiłam ciężką pracą. Zbyt wiele już wiedziałam o swojej babce i matce, żeby móc wierzyć w to, że miłość trwa wiecznie i że będzie można na niej zbudować życie. Czyż to, że jestem tutaj z Cooperem, nie potwierdza tego?

Odsunęłam się i wstałam.

– A co z Caroline? Zapomniałeś już, że jesteś z nią zaręczony? Przecież musiałeś ją kiedyś kochać, skoro chciałeś się z nią ożenić. Czy teraz ci już nie wystarcza? A skąd wiesz, czy ja ci wystarczę? I czy nie będziesz zawsze rozglądać się za kimś innym?

On również wstał, ale pozostał tam, gdzie był.

– Kate, kocham cię. Mam wrażenie, że kochałem cię całe życie. Proszę, nie rób tego. Nie odwracaj się od czegoś, co czekało na spełnienie aż przez trzy pokolenia.

Pokręciłam przecząco głową, mając przed oczami twarz mojej matki, rozżalanej i zawiedzionej, kiedy lata temu stałyśmy na chodniku przed tym samym budynkiem. Gdzie ja to już kiedyś słyszałam?

– Nie – powiedziałam. – Nie jestem Olive ani Lucy. Jestem panią własnego losu, nie potrzebuję mężczyzny, aby przetrwać. Nie chcę skończyć jak one. Ich błędy to dla mnie najlepsza lekcja.

Zrobił krok w moją stronę.

– Miłość nie jest błędem. Ale wiem, że prawdziwa miłość jest na tyle rzadka,

że kiedy człowiek ją znajdzie, to o nią walczy. Wyjdź za mnie, Kate. Pojedź ze mną do Charleston i spędźmy resztę życia razem.

Poczęłam wycofywać się ku drzwiom.

– Nie mogę. – Pokręciłam głową, oczy miałam wilgotne.

Nie poszedł za mną, ale wypowiedział słowa wystarczająco ważne, by mnie powstrzymać.

– Powiedz mi, że mnie nie kochasz, to pozwolę ci odejść. Powiedz tylko, że mnie nie kochasz.

Patrzyłam na niego przez łzy, wyobrażając sobie, że widzę jego oczy koloru zimowej trawy. Nie opuszczało mnie też wspomnienie mojej matki i jej nieustannego smutku. Jej poczucia zawodu i żalu. Otworzyłam usta i pozwoliłam wyrwać się z nich słowom, których cofnąć już nie było można.

– Nie kocham cię.

Nie poruszył się, nie wydał żadnego dźwięku. Może tak właśnie wygląda trafienie przez kulę: człowiek nie wie, że został ranny, dopóki nie zacznie krwawić.

– Żegnaj, Cooper.

Tym razem już nie uciekałam, lecz zdecydowanie przekroczyłam próg pokoju. Nie poszedł za mną, zresztą wcale się tego nie spodziewałam. Powiedziałam mu to, co chciał usłyszeć i co musiałam powiedzieć, aby móc odejść. Gdyby tylko moje serce mnie nie zdradziło, zostając w tym zapomnianym pokoju, miejscu, gdzie ponad pięćdziesiąt lat temu tak naprawdę rozpoczęła się nasza historia.

Olive

Już po raz drugi w życiu Olive nie spała, kiedy trzydziestego pierwszego grudnia zegar wybił północ, a stary rok bezpowrotnie odszedł, ustępując miejsca nowemu.

Nie zamierzała czuwać o tej porze. Miała nadzieję, że rok 1894 cicho i niepostrzeżenie wkradnie się przez okno, kiedy będzie spała, ale to była pierwsza lekcja, jaką odebrała w roli matki: niemowlęta niewiele, jeśli w ogóle cokolwiek, robią sobie z życzeń i wygody rodziców.

Olive tuliła więc pokrytą meszkiem głowę Lucy do piersi, wsłuchując się w cichą melodię zegara z kurantem nad kominkiem, i czuła, jak wraz z każdą łagodną nutą coraz bardziej pieką ją oczy i trzęsą się dłonie. To była kolejna lekcja: karmieniu piersią niemowlęcia wczesnym rankiem towarzyszy wrażenie, że są jedynymi żywymi istotami na ziemi, i to poczucie osamotnienia potęguje wszelkie emocje – radość, smutek, zachwyt – przekształcając je w coś po stokroć intensywniejszego niż zwykłe uczucia. Przed oczami Olive twarzyczka pilnie ssącej Lucy zaczęła się rozmywać. Wraz z dwunastym uderzeniem zegara na pucołowaty policzek spadła kropla i w pokoju ucichło.

I na tym koniec. Lucy, nieświadoma niczego, ssała dalej, a kula ziemiska z pewnością nadal obracała się wokół własnej osi. Olive opuszką palca obwiodła delikatną krzywiznę ucha Lucy, najpiękniejsze dzieło Stwórcy, i drżenie zaczęło powoli słabnąć, chowając się gdzieś w głębi, gdzie nikt nie mógł go już dojrzeć. Tak jak być powinno.

Gdzie był w tej chwili Harry? Mogła teraz zadawać sobie to pytanie, nie wybuchając płaczem, jak bywało niegdyś ku konsternacji biednego Hansa. Gdy zamykała oczy, czuła obecność Harry'ego, gdziekolwiek się podziewał. Kto wie, może na drugim końcu świata. Nikt nie miał pojęcia, gdzie przepadł, a dom Prattów stał teraz opustoszały w oczekiwaniu na licytację, która miała go opróżnić również z przedmiotów. Tak pisały gazety, które ponadto ze szczegółami i w sensacyjnym tonie donosiły zarówno o październikowym ślubie panny Prunelli Pratt z panem Harrisonem Schuylerem, jak i o bankructwie pana Henry'ego Pratta miesiąc później. Najwyraźniej Pratt ostatecznie nie wziął sobie do serca rady Olive, aby pozbyć się akcji spółki Philadelphia i Reading.

A może po prostu tego nie dopatrywał, bo był zbyt pogrążony w żalu po stracie synów, z których jeden zmarł, a drugi zaginął.

Zaginął. Ale Harry tak naprawdę wcale nie zaginął. Był przecież tutaj, obejmował ją, spoglądając jej przez ramię na łapczywie ssącą Lucy. *Jest piękna,*

kropka w kropkę jak jej matka, szepnął Olive do ucha, po czym złożył pocałunek na jej skroni.

Naprawdę poczuła ten ciepły delikatny pocałunek na swojej wymęczonej skórze.

Jesteś wspaniałą matką. Bardzo jestem z ciebie dumny.

A potem jeszcze ciszej: *Wybaczam ci.*

Nie, Harry wcale nie odszedł. Był nadal tutaj, w jej głowie. Zamieszkiwał jej serce.

Powieki Lucy już opadały, a rytm ssania zwolnił. Światło lampy migotało na skórze dziewczynki. Miała pięć tygodni i dopiero zaczynała się w niej budzić świadomość tego niezwykłego świata, który ją otaczał. Lubiła odgłosy i widok piekarni. Było w niej tak ciepło, że Olive czasem schodziła ją tam karmić, a Hans wprost rozjaśniał się na widok córki. Sięgał po nią swoimi pokrytymi mąką rękami i kołysał w zgięciu masywnego łokcia, a ona wpatrywała się w jego pełną zachwyty twarz i też promieniała, zupełnie jak rozświetlona świeczkami choinka stojąca w salonie. Lucy już uwielbiała ojca, tak jak niegdyś Olive uwielbiała swojego.

Mąż Olive poruszył się na stojącym za nią łóżku, jakby czytał w jej myślach. Sprężyny jęknęły pod jego ciężarem i spod stosu koców dobiegł zaspany głos:

– *Meine Frau? Wo bist du?*

– Tutaj – odpowiedziała. Przez tych kilka ostatnich miesięcy siłą rzeczy podchwyciła trochę niemieckiego, akurat tyle, aby zrozumieć, o czym rozmawiają ze sobą jej powinowaci, choć sama zawsze zwracała się do nich po angielsku. – Z Lucy.

– Ach, oto i ona. *Meine kleine Schönheit.*

– Twoja bardzo głodna ślicznotka. Ale chyba już prawie ma dość.

Hans wydał z siebie potężne ziewnięcie.

– Przynieś ją tutaj, kiedy skończy.

Usta Lucy w końcu dały za wygraną i Olive podniosła ją ostrożnie, kładąc sobie jej główkę na ramieniu. Dzięki Bogu małej odbiło się natychmiast. Bywały takie noce, kiedy Olive miała wrażenie, jakby poklepywała jej plecki w nieskończoność, nieprzytomna ze zmęczenia. Zasypiała niemal na stojąco, ale ciągle poklepywała i poklepywała. Jak wąż, którego ciało nadal się rusza po odcięciu głowy.

Schowała pierś pod koszulę nocną i wstała z krzesła. Hans podniósł koce i poczuła ciepło jego ciała, pomieszane z zapachem mydła. Jej mąż dbał o czystość – każdego ranka obmywał ciało ściereczką, a wieczorem przed snem brał kąpiel. Po to, jak twierdził, żeby zmyć z siebie drożdże i mąkę, a Olive była mu za to wdzięczna. Teraz wreszcie wyciągnęła się wygodnie na materacu, czując, jak duże dłonie Hansa odbierają z jej objęć małą Lucy.

– Ach, *meine kleine Tochter, meine kleine Schönheit* – mruzczał, sadzając ją sobie na kolanach. Wsunął palec w jej maleńką piąstkę, a biedna Lucy, choć bardzo się starała, ledwie mogła go objąć.

Olive uśmiechnęła się i obróciła pod kołdrą, by znaleźć się twarzą do nich. Na początku ich pożycia zwaliste, rozgrzane ciało męża leżące obok niej w małżeńskim łóżu budziło w niej odrazę. W noc poślubną jego poruszający się miarowo ciężar przygwoździł ją do łóżka, a kiedy potem Hans zapadł w głęboki, przerywany chrapaniem sen, z jednym ogromnym ramieniem przerzuconym w poprzek niej, długo wstrząsał nią bezgłośny szloch, aż spływające po skroniach łzy zmoczyły jej włosy.

Ale z czasem przyzwyczaiła się do niego. Nie mieli miesiąca miodowego, bo od razu pochłonął ich intensywny wir życia nad nową piekarnią w Brooklynie, otwierającą przed nimi ogromne możliwości, z których trzeba było bez zwłoki skorzystać. Hans nie posiadał się ze szczęścia, że trafił mu się taki ożenek, i był tak dobry i troskliwy, tak niespodziewanie dobroduszny (potrafił swoimi żartami rozbawić ją do łez), że w końcu pogodziła się z jego topornym, żywiołowym sposobem uprawiania miłości. Jego śpiące obok ciało było niczym opoka w takich chwilach, kiedy myślała, że umrze z rozpaczy. Kiedy powiedziała mu, że jest w ciąży, wręcz rozplakał się z radości.

A teraz, tego zimnego styczniowego poranka, ich mała rodzina mościła się w ciepłym łóżku. Taka była rzeczywistość Olive, tak wyglądało jej życie i zamierzała przeżyć je jak najlepiej. Lucy zaczęła cicho gaworzyć, wpatrując się z zachwytem w pełną uwielbienia twarz ojca. Olive wyciągnęła rękę, aby połaskotać małą w brzuszek, i wtedy właśnie to się stało: niemowlęce usteczka Lucy ułożyły się w pierwszy w życiu uśmiech.

– Ona się uśmiecha! – wykrzyknął Hans.

– Uśmiecha się do *ciebie* – powiedziała Olive, a ponieważ to mąż sprawił, że jej córka po raz pierwszy w życiu się uśmiechnęła, w owej chwili poczuła do niego miłość.

Hans ze śmiechem uniósł Lucy nad głowę i nowo narodzony uśmiech rozjaśnił jej twarzyczkę jeszcze bardziej. Rozchyliła usta i przez krótką chwilę Olive miała wrażenie, że też parsknie śmiechem.

– No, dość już tego – powiedziała Olive. – Bo nie będzie mogła zasnąć.

– Och, przepraszam. – Opuścił Lucy na kolana, cmokając uspokajająco, i Olive wydało się, że słyszy przy uchu znajomy głos: *Jest dobrym ojcem.*

– To prawda – szepnęła.

– Co takiego? – spytał Hans, odwracając się do niej.

Jej mąż wyglądał korzystniej w świetle lampy niż w świetle dziennym, mimo że teraz twarz miał pomiętą od snu. Półmrok wygładził jego wymizerowane rysy, a bladoniebieskie oczy nabrały bardziej ujmującego wyrazu. Olive pochyliła się

i pocałowała go w policzek.

– Nic – powiedziała. – Po prostu jesteś wspaniałym ojcem.

– Szczęściarz ze mnie. I jak Bóg da, będziemy mieli dużo więcej, *meine Frau*. Następnym razem dasz mi wspaniałego syna, co? Żeby przejął piekarnię, kiedy się zestarzejemy.

Olive zarumieniła się. Sięgnęła po Lucy i wzięła dziecko w ramiona.

– Cóż, zrobię pewnie, co będę mogła. No, aniołku, czas spać.

Gdy Lucy została ułożona w drewnianej kołysce obok łóżka, Hans już ponownie cicho chrapał i jedynie Olive nie spała. Senność ulotniła się całkowicie. Czowała się w pełni rozbudzona, niespokojna jak mysz, dotkliwie świadoma jakiegoś wręcz bolesnego ciernia w duszy. Opadła na krzesło przed toaletką ze zwykłym lustrem w drewnianej ramie i wpatrzyła się w swoje udręczone odbicie na tle gołej białej ściany. Nie miała na razie czasu, żeby myśleć o upiększaniu domu. Ich proste brązowe meble były kupione z drugiej ręki, a zasłony uszyte naprędce ze starych sukien jej matki. Jakiż to był kontrast w porównaniu z luksusowymi warunkami sprzed roku. Leżała wtedy z kochankiem pod pięknym świetlikiem w kształcie kopuły, a pomieszczenia na niższych piętrach zapępiały bezcenne meble i wykwintne dzieła sztuki. I nurzała się wtedy w przepychu i grzesznej miłości.

Gdzie teraz jesteś, Harry?

W łóżku z jakąś inną kobietą? Grzejesz się, tak jak ja?

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie Harry'ego w łóżku z inną dziewczyną, nagich i splecionych w uścisku, i jego poruszające się ciało obdarzające bezimienną rywalkę taką samą rozkoszą, jaka kiedyś była udziałem Olive. Gorączkową kulminację i następujące po niej ukojenie. I jakoś ta wymaginowana scena nie sprawiała jej już takiego bólu jak niegdyś. Myśl, że Harry mógł zaznać choćby ulotnej radości, że może jej zaznaje w tej właśnie chwili, sprawiała jej coś w rodzaju przyjemności. Harry został stworzony do miłości, do szczęścia.

Spojrzała na kołyskę, gdzie Lucy spała słodko z główką zwróconą w bok i spokojną buzią. Mała rosła jak na drożdżach. Wypełniała już całą kołyskę, w której jeszcze miesiąc temu wyglądała jak kruszynka. Wkrótce miała zająć szynkowany przez Olive pokój dziecinny obok ich sypialni. Niedawno jedna z siostr Hansa dała im łóżeczko dziecięce, a Hans w zeszłą niedzielę po południu dokładnie wyszlifował i pomalował starą komodę, którą znalazł w pobliskim sklepie. W wyniku kryzysu ekonomicznego, który rozpoczął się wiosną ubiegłego roku, ludzie tracili pracę i się przeprowadzali. Jeśli się wiedziało, gdzie szukać, można było kupić wiele rzeczy po okazyjnych cenach.

Olive pochyliła się i dokładniej otuliła Lucy, a wtedy rubinowy naszyjnik wyslizgnął się spod nocnej koszuli i zakołysał, lśniąc w nikłym blasku lampy.

Wyprostowała się i odwróciła do lustra. Nigdy tego naszyjnika nie zdejmowała, nawet w dniu ślubu. Nawet w noc poślubną. Czowała, jak ją parzy, gdy

pierwszy raz była z nowo poślubionym mężem. Zaciskała klejnot kurczowo w dłoni, kiedy łaknęła pociechy, zamroczona bólem podczas porodu. Teraz prawie nie pamiętała, że ma go na sobie. Stał się niejako jej częścią, czymś tak oczywistym jak oczywista jest obecność uszu na własnej głowie.

Minął już rok od chwili, gdy Harry po raz pierwszy włożył jej na szyję ten łańcuszek. Minął rok, a Olive była już kimś innym i wiodła zupełnie inne życie nad piekarnią w Brooklynie. A tu przecież nie było miejsca na rubiny. Znikła już ostatnia płonna nadzieja, że pewnego dnia Harry przekroczy próg i zabierze ją z tego miejsca, nadzieja, że w ogóle pozwoli się stąd zabrać. Teraz nie mogła już opuścić męża, bo była przecież Lucy.

A nic na tym świecie nie liczyło się bardziej niż Lucy.

Olive jeszcze przez dłuższą chwilę przyglądała się swojemu odbiciu: roziskrzony rubin odcinał się na tle bladego wgłębienia u nasady szyi, ciemne włosy opadały na zmęczoną twarz. Nie była już dziewczynką, lecz żoną i matką. Macierzyństwo już poczęło rysować się w kącikach jej oczu. Spędzi życie nad brooklińską piekarnią zamiast we włoskiej willi, a ta Olive, którą była przez kilka drogocennych chwil w pracowni na szóstym piętrze rezydencji Prattów, istniała już tylko jako wspomnienie. Została wprawdzie uwieczniona na kilku rysunkach, które jednak ostatecznie nie przekształciły się we wspaniałe freski.

W końcu podniosła rękę, sięgnęła do zapięcia na szyi. Stawiało opór, ale nie dawała za wygraną, aż wreszcie udało się je odemknąć. Otworzyła stojącą na toalecie drewnianą szkatułkę, w której trzymała kilka sztuk biżuterii, i pieczołowicie schowała w niej naszyjnik.

Kiedy Lucy dorośnie, postanowiła, ofiaruje jej rubin. Powie, że to spuścizna po ojcu Olive, człowieku, którego Lucy nigdy nie pozna.

I w pewnym sensie była to prawda.

Lucy

– Skąd ci przyszło do głowy, że Harry Pratt mógł być twoim ojcem? – Lucy spojrzała na Johna zdezorientowana. – Pamiętam, jak mówiłeś, że twój ojciec zmienił nazwisko, ale...

Ale przecież znałeś swojego ojca, chciała dokończyć. Tylko że John wiedział, kim stał się jego ojciec, natomiast nie wiedział, kim był wcześniej.

Lucy czuła się jak Czerwona Królowa z *Przygód Alicji w Krainie Czarów*, której jeszcze przed śniadaniem udawało się uwierzyć w pięć niemożliwych rzeczy. Harry Pratt, którego kiedyś uważała za swojego ojca, nie był nim. Matka, którą zawsze uważała za damę, była w tym domu służącą.

A John, który pochodził z zupełnie innego, odległego świata, mógł być synem Harry'ego Pratta.

– To jego dzieło. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. – Skonfundowany John przyglądał się szkicowi, który trzymał w ręku, po czym podniósł wzrok na Lucy. – A na wszystkich rysunkach widnieje podpis H. Pratt.

Lucy odłożyła raport agencji detektywistycznej na chińską skrzynię.

– A więc ten dom jest tak naprawdę twój.

– Nie – powiedział John, składając z szelestem kartki. – Mój dom jest w Charleston. Ale to wyjaśnia, dlaczego Prunella Pratt sprzedawała obrazy mego ojca.

Lucy spojrzała na niego zaskoczona.

– To twoja ciotka. Zdajesz sobie z tego sprawę? Prunella Pratt to twoja ciotka.

Nie jej ciotka. I za to mogła być wdzięczna. Znaczyło to, że jej ojciec, jej ciepły kochający ojciec, był nim naprawdę. Żaden cień nie mącił jej miłości do niego ani jego miłości do niej.

A jeśli znaczyło to, że ona sama nie należy do kłótlivej rodziny Prattów, tym lepiej, nawet jeśli kiedyś była święcie przekonana, że ich świat jest lepszy od jej własnego.

John wstał lekko z plikiem rysunków w dłoniach.

– Nie. Mój ojciec uciekł od tego wszystkiego, przypuszczam, że nie bez powodu. I może po części tym powodem była Prunella.

Lucy zagryzła wargę.

– Chyba mogę ci powiedzieć, dlaczego tak się stało.

Nic tu po mnie, skoro Ciebie nie ma.

Postąpiła krok do przodu, lecz zatrzymała się, gdy jej wzrok padł na rysunek

na samym wierzchu pliku.

– To mój naszyjnik. I moja matka.

Ale takiej matki Lucy nigdy nie widziała, a nawet nie mogłaby sobie wyobrazić. Długie rozpuszczone włosy opadały na jej nagie plecy. Matka Lucy, zawsze zapięta pod samą szyję i usztywniona gorsetem, tu była naga. I choć jej nagość powinna była szokować, uwagę przyciągał przede wszystkim malujący się na jej twarzy wyraz radosnego uniesienia.

– Była piękna – powiedział John cicho.

Lucy nigdy wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Jej matka była urodziwa, to prawda, ale tak zamknęła się w sobie, że stała się zupełnie nijaka, wtapiając się w otoczenie niczym nieokreślonej barwy tapeta.

– Była szczęśliwa – szepnęła Lucy i poczuła ukłucie gniewu. Dlaczego matka nigdy nie była taka w jej obecności?

Ponieważ szczęście opuściło ją wraz ze zniknięciem Harry’ego Pratta.

– Kiedy... – Lucy potrzebowała kilku chwil, żeby się opanować. – Kiedy twój ojciec wyjechał na południe?

– Opuścił Nowy Jork w styczniu tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku – powiedział John bez wahania. – To część rodzinnej legendy. – Grymas wykrzywił mu twarz. – Tylko nigdy nie przypuszczałem, że zostawia tutaj coś tak ważnego.

– Wyjechał z powodu mojej matki. – Lucy poczuła, że zaschło jej w gardle. – Znalazłam list. Tam jest taki schowek za cegłami. On pisze, że nie potrafi tu bez niej żyć.

John spokojnie odłożył plik rysunków na skrzynię.

– Dlaczego go porzuciła? Bo zakładam, że tak było.

– Nie wiem – westchnęła Lucy z rozpaczą. – Nigdy mi nie powiedziała.

Żałowała teraz, że nie była z matką na tyle blisko, aby ją o to spytać. Nie tylko spytać, lecz także wysłuchać, nie osądzając. Ale wtedy... Tak, zdała sobie teraz sprawę, dlaczego matka nigdy jej o tym nie powiedziała. Lucy była przecież córeczką tatusia. Byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, że matka zdradziła ojca, choćby w myślach.

Jestem teraz gotowa cię wysłuchać.

Ale matka już nic nie mogła jej opowiedzieć.

– Cóż – stwierdził John – ja w każdym razie jestem wdzięczny losowi.

Lucy rzuciła mu zdziwione spojrzenie.

– Za to, że moja matka złamała twojemu ojcu serce?

John ujął zimne dłonie Lucy.

– Bez tego nie byłoby mnie tutaj. I ciebie też.

Coś w jego spojrzeniu sprawiło, że się zarumieniła.

– Bez względu na to, ile wycierpieli i jak bardzo się nawzajem zranili,

jesteśmy tu teraz. To wszystko – John szerokim gestem pokazał stos szkiców, wysłużony szezlong i upstrzoną jasnymi cętkami słońca owczą skórę – doprowadziło mnie do ciebie. I ciebie do mnie.

Z jego słów biła zniewalająca moc, niewątpliwa zachęta, która sprawiła, że kołnierz zaczął się nagle wydawać Lucy przyciasny, a lekka lniana bluzka nieznacznie ciężka na rozgrzanej skórze.

Zdała sobie sprawę, że właśnie to czuła jej matka do Harry’ego Pratta. To nieodparte przyciąganie. Pragnienie zjednoczenia ciał dokładnie tutaj, gdzie odgłosy miasta były stłumione i dalekie i gdzie byli sami wśród wirujących w słońcu tęczy drobinek kurzu, w tym cichym pokoju, który otulał ich jak puzderko na biżuterię.

– Co by powiedzieli, gdyby nas tu zobaczyli? – Lucy miała wrażenie, że głos jej ochrypl.

Dzieliło ich już tak niewiele, zaledwie pół metra. Wystarczyłby jeden krok, wyciągnięcie ręki.

– Pewnie powiedzieliby nam, żebyśmy wykorzystali dany nam czas mądrzej niż oni – powiedział John z drżeniem w głosie.

Ale nie zbliżył się do niej, tylko patrzył i patrzył z wyrazem niemal bolesnej tęsknoty na twarzy.

– To właśnie w takich chwilach – powiedział cicho – żałuję, że nie odziedziczyłem talentu po ojcu. Oddałbym wszystko, aby móc cię naszkicować tam na dywaniku przed kominkiem w taki sam sposób.

– Taki? – Lucy w przyływie śmiałości poczęła rozpinąć górny guzik bluzki.

Ciałem Johna wstrząsnął głęboki, spazmatyczny wdech. Nie potrafił oderwać oczu od jej palców.

– Właśnie taki.

– I taki? – Lucy poczuła przyływ energii, rozpinając kolejny guzik i obserwując, jak John przełyka z trudem, zaciskając opuszczone po bokach dłonie.

– Lucy – wykrztusił. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. – Lucy, nie chcę...

– Nie chcesz mnie wykorzystać?

Skinął głową bez słowa.

Zrobienie tego kroku, zmniejszenie dystansu między nimi okazało się dziwnie łatwe. Lucy ujęła w dłonie podbródek Johna, czując nieznaną wcześniej szorstkość jego zarostu, wdychała woń mydła, dobrą, czystą woń męzczyzny.

– Kocham cię – powiedziała Lucy cicho. – Nigdy nie sądziłam, że to powiem, ale to prawda. Nie wyobrażam sobie, abym mogła pokochać kogokolwiek tak jak ciebie. Ja...

Nie zdołała powiedzieć już nic więcej, bo John objął ją mocno, wydobywając z głębi gardła niski pomruk, i przywarł ustami do jej ust z żarliwą

namiętnością, która lepiej niż wszelkie słowa wyrażała jego uczucia.

– Kocham cię – szeptał jej do ucha. – Kocham, kocham – wyszeptał w policzek i szyję.

Świat zawirował, czas stanął w miejscu, ograniczając się do tej jednej jedynej chwili w kwadratowym pokoiku, w objęciach Johna, z jego ustami na jej szyi i piersiach, rękami w jej włosach, ruchem mięśni jego pleców pod jej dłońmi, gdy wyciągała mu ze spodni koszulę i wsuwała pod nią ręce. Nareszcie skóra przy skórze, napawała się nowymi doznaniem, czując jego bliskość. Należał do niej, a ona do niego, na zawsze, na wieki wieków. Było to dla niej równie oczywiste jak to, że ma na imię Lucy. Czowała, że są dla siebie stworzeni, że robią coś z natury słusznego, choć spóźnionego o całe pokolenie.

Cokolwiek ominęło jej matkę i Harry'ego Pratta, ona i John to nadrobią, i będzie tego strzec, myślała Lucy z determinacją, wbijając palce w plecy mężczyzny, i czuła, jak napór jego ciała wciska rubinowy wisiołek w jej piersi.

Bluzka zsunęła jej się z ramion, spódnica ześlizgnęła na podłogę i została tylko w halce tulącej się jedwabście do jej nóg.

– Lucy – tchnął jej John do ucha, a ona objęła go za szyję, zdecydowana nigdy nie wypuścić go z objęć.

Trąciła biodrem chińską skrzynię i leżące na niej papiery poszybowały na podłogę wokół nich: list Harry'ego Pratta, jej matka odziana jedynie w rubinowy wisiołek, raport Pinkertona, wszystko to teraz było tylko bezwartościową makulaturą.

– Lucy. Lucy. – Musiało minąć kilka chwil, zanim uświadomiła sobie, że ton jego głosu się zmienił. John odsunął się od niej, oddychając ciężko. – Zanim posuniemy się dalej, powinnaś o czymś wiedzieć.

Włosy miał w nieładzie, twarz rozognioną, a do połowy rozpięta koszula odsłaniała opalony tors porośnięty ciemnymi włosami. W oczach oszołomionej Lucy sprawiał wrażenie półobląkanego.

– Jeśli chodzi ci o ptaszki i pszczołki, to w gimnazjum Sissy Romich wszystko mi opowiedziała. – Lucy przyłożyła dłoń do jego torsu, czując prężące się pod jej dotykiem mięśnie, i przesunęła ją w górę, aż poczuła bicie jego serca. Powiedziała odważnie: – Chętnie skorzystałabym jednak z pomocy w praktycznym zastosowaniu tej wiedzy. Jeszcze nie... To znaczy...

John dotknął delikatnie jej policzka.

– Wiem – powiedział i odsunął się od niej o krok.

– Ale to nie ma znaczenia. Po co czekać, skoro... no wiesz? – Mówiąc to, Lucy spojrzała mu prosto w oczy, czując jednocześnie, że się rumieni.

Lucy Young, znana jako dziewczyna nieprzystępna. Ale z Johnem wydawało się to takie naturalne. Szukając właściwych słów, Lucy oparła teraz dłonie na jego piersi.

– Już zawsze będziemy razem. Tydzień w tę czy w tę, cóż to ma za znaczenie? A jeśli nawet będą, no... konsekwencje... ludzie się przecież i tak nie doliczą.

John zacisnął powieki, jakby poczuł nagły ból.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć, Lucy. Pamiętasz, prosiłem cię, żebyś pojechała ze mną do Charleston. Otóż jest pewna komplikacja.

Powiedział to głosem tak zbolałym, że Lucy zamarła.

– Komplikacja?

– To absolutnie nie zmienia tego, co do ciebie czuję – dodał czym prędzej. – Ani tego, że chcę, abyśmy byli razem. I kiedyś się pobrali.

– Kiedyś? – Cofnęła się o krok, aby uważniej mu się przyjrzeć, ale nie potrafiła nic wyczytać z jego pochmurnej twarzy, z której biła tylko ponura rezygnacja. Lucy poczuła wzbierający niepokój. – Chodzi o twoją matkę? Siostrę?

Johnowi wyrwał się krótki, rozpaczliwy śmiech.

– Żałuję, ale nie. Chodzi o moją żonę.

– Twoją żonę... – Lucy miała wrażenie, że spada w jakąś otchłań bez dna.

Sięgnęła ręką, żeby się o coś oprzeć, i poczuła, jak róg chińskiej skrzyni wbija jej się w dłoń.

– Twoją *żonę*? Jesteś... jesteś żonaty?

Błagała w duchu, aby okazało się, że się przesłyszała, że czegoś nie zrozumiała... Ale John Ravenel zwiesił ciemną głowę z wyrazem udręki i wstydu na twarzy.

– To się wydarzyło tuż przed wojną. Annabelle była jedną z przyjaciółek mojej siostry. Kilka razy się spotkaliśmy, nic poważnego. Ale kiedy wybuchła wojna, byłem tak przerażony perspektywą wymarszu gdzieś w nieznane, że... no, skorzystaliśmy z okazji, jak to mówią. Gdy Annabelle zorientowała się, że jest w ciąży, pozostawało już tylko jedno.

Lucy poczuła zimny ciężar rubinu między gołymi piersiami. Jej ramiona pokryły się gęsią skórą. Było jej tak bardzo zimno, jakby była zupełnie goła.

– Masz dziecko? – Lucy otuliła się ramionami, czując się jak w jakimś koszmarze z kategorii tych, w których człowiek stoi nagi w miejscu publicznym i musi wysłuchiwać jakichś okropieństw.

John skinął powoli głową.

– Syna. Ma na imię Cooper. Właśnie skończył dwa lata. – Choć był zażenowany, w jego głosie zabrzmiała nuta dumy. – To bystry chłopiec. Ale Annabelle i ja... Zrozum, nic nas nie łączy poza Cooperem. Każde z nas ma swoje życie.

Lucy wpatrywała się w niego ze zgrozą, niezdolna wykrztusić słowa. Był żonaty. I nigdy jej o tym nie powiedział. Utrzymał ją w przeświadczeniu, że jest wolny.

John mówił dalej:

– Uzyskanie rozwodu trochę potrwa, ale...

– Chciałeś, żebym była twoją kochanką. Miałeś zamiar zrobić ze mnie swoją kochankę.

Tak jak jej matka była kochanką Harry’ego Pratta. Młodzieńcza twarz jej matki spoglądała na nią z podłogi z niemym wyrzutem.

– Nie kochanką – sprostował szybko John, próbując ją objąć. Lucy wyrwała się. – Żoną. Jak tylko Annabelle się zgodzi...

– Na rozwód. – Lucy z obrzydzeniem wyrzuciła z siebie to słowo. Trzęsła się cała, nie potrafiła tego opanować. Świadomie zdecydować się na romans to jedno, ale dać się w to wmanewrować podstępem, stać się „tą drugą” wbrew swojej woli to coś zupełnie innego. Gdyby była wiedziała... Lucy aż się wzdrygnęła na tę myśl. Ale przecież nie wiedziała. John jej nie powiedział. – Naprawdę sądzisz, że odebrałabym twojemu synowi matkę?

John spojrzał lekko zakłopotany.

– To nie jest tak, że byś mu ją odebrała. Natomiast Annabelle... Annabelle sama ma kogoś, choć się z tym nie afiszuje. W każdym razie nie sądzę, żeby usychała z tęsknoty za mną.

Lucy zachwiała się jakby od ciosu.

– Więc jak ktoś odpowie fałszem na fałsz, to ma rację?

– Nie. – Jego głos był tak ciepły i szczery, że Lucy poczuła, że słabnie, że łgnie ku niemu, tęskniąc do ukojenia w jego ramionach, do dotyku jego warg. Przez krótką zdradliwą chwilę pofolgowała sobie, pozwoliła mu ująć się za łokcie i podnieść ku górze. Dała się pochylić ku niemu, gdy powiedział swoim niskim, głębokim głosem: – Racja jest po naszej stronie, Lucy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Lucy pokręciła w milczeniu głową, czując, że jej sumienie walczy z pożądaniem. Chciała mu wierzyć, pragnęła go bardziej niż czegokolwiek na świecie.

– A co będzie, jeśli twoja Annabelle nie zgodzi się na rozwód?

Zapadła okropna cisza. „Ale Annabelle się zgodzi, powiedziała mi o tym” – wystarczyłyby takie jego słowa.

Babka by ją wydziedziczyła, rodzina nie chciałaby jej widzieć na oczy, porządni ludzie nie chcieliby ich znać, ale Lucy było wszystko jedno. Miałyby Johna i tylko to się liczyło. Zrobi, co w jej mocy, żeby być dla Coopera najlepszą macochą pod słońcem. Potrafiła go sobie wyobrazić – bystrego chłopaczka o oczach Johna.

Ale John nie wypowiedział tych słów. A wyraz jego twarzy przeraził ją.

– Nie chce, prawda? – wyszeptwała. – Twoja Annabelle nie chce rozwodu.

– Coś wymyślimy – uciał John.

– Co wymyślimy? – Lucy drżącymi palcami podniosła bluzkę z podłogi. – Żalostną bitwę sądową? Podział twojego synka? Nie, John. Nie przyłożę do tego ręki. Ty już wybrałeś. – Z gardła wyrwało się jej coś między śmiechem a łkaniem. – Dopóki śmierć was nie rozłączy.

– Ale to było, zanim jeszcze cię poznałem – powiedział John i w skrajnej desperacji próbował jej dotknąć.

Lucy wymknęła się jego dłoniom, ledwie widząc przez napływające łzy.

– W tych sprawach nie ma drugiej szansy. – Nasunawszy bluzkę na ramiona, poczęła zapinać ją drżącymi palcami. – Wracaj do Charleston, John. Wracaj do swojej żony.

– Lucy – usłyszała za plecami jakby zza mgły. – Lucy, nie potrafisz bez ciebie żyć.

Przykryła usta dłonią. Boże, to nie chwila na takie wyznania.

– Chyba będziesz musiał, prawda? – rzuciła i szarpnęła za drzwi, zmagając się z wypaczonymi deskami i zacinającą się gałką.

John, dżentelmen w każdym calu, sięgnął ręką zza jej pleców, aby pomóc. To dobrze, że był akurat za nią, bo ten gest wywołał w Lucy kolejną falę bólu. Nie odwracając głowy, spytała łamiącym się głosem:

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Widziała, że ramię Johna lekko drży, napierając na ciężkie drzwi.

– Bałem się, że cię stracę – powiedział cicho.

Nie mogła na niego spojrzeć. Gdyby to zrobiła, toby całkowicie straciła nad sobą panowanie.

Zduszonym głosem powiedziała:

– Jestem pewna, że kierowniczką odprowadzi cię do wyjścia. – A żeby nie dopuścić do kolejnej chwili słabości, dodała: – Bo ja nie chcę cię już nigdy więcej widzieć.

Puściła się pędem po schodach w dół, a echo jej kroków rozbrzmiewało na tych samych stopniach, po których wiele lat temu chodziła jej matka. John został gdzieś na górze – mroczny cień w drzwiach zapomnianego pokoju na poddaszu.

Dobiegła do swojego pokoju i dopiero kiedy zamknęła za sobą wąż drzwi i oparła się o nie plecami, zupełnie się rozkleiła. Wstrząsnęło ją rozdzierająco bolesne, bezgłośnie łkanie. John chyba już wyszedł. Nie była pewna, nie chciała nawet tego wiedzieć. Łatwiej było go nienawidzić i obwiniać, kiedy była z dala od niego. Ale wystarczyłoby jedno jego spojrzenie, jedno łagodne słowo, a znalazłaby się w jego ramionach – i co wtedy?

Może John mówił prawdę, może rzeczywiście między nim a Annabelle nigdy nie było miłości, ale przecież był jeszcze jego syn, Cooper. Jak mogłaby zrobić chłopcu coś takiego? John może sobie wyobrażać, że w końcu wszystko jakoś by się ułożyło, ale udręczona Lucy patrzyła na to trzeźwiej. Musiała spojrzeć

prawdzie w oczy: John w końcu by ją znienawidził – jego miłość zniszczyłyby ciągle napięcia, nieuniknione w sytuacji rozdarcia między kochanką a synem.

Nie. Lucy niepewnie stanęła na nogi. Siłą woli dowlokła się do chwiejnej komódki, pełniącej funkcję toaletki. Spódnicę miała pogniecioną, włosy w nieładzie.

Nawet nie zauważyła, że już się zmierzchało. Czesząc się, musiała mrużyć oczy, żeby dojrzeć swoje odbicie w lustrze. Zdjęła rubinowy naszyjnik i cisnęła w głąb szuflady. Świeża bluzka, czysta spódnica. Poruszała się sztywno jak mechaniczna zabawka.

Wiedziała, dokąd powinna pójść i co zrobić.

Kilka przecznic dzielących Stornaway House od apartamentowca przy Park Avenue przeszła na nogach jak z waty, jakby były cudze. Czekwała cierpliwie, aż portier zatelefonuje na górę. Czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Pograżona w chłodnej, skupionej desperacji, nie zważała na badawcze spojrzenie windziarza, który wiozł ją wyłożoną drewnianymi panelami windą. Wysiadła na prywatnej kondygnacji z marmurową podłogą i dużym chińskim wazonem służącym za stojak na parasole.

Do Lucy ledwie to wszystko docierało. Wzrok miała skupiony na mężczyźnie stojącym w drzwiach. Od rana zdążył się już ogolić, choć jego oczy wciąż zdradzały oznaki niewyspania. Po Johnie wydawał się jakiś niematerialny, jego blond włosy były zbyt jasne, oczy zbyt blade, ciało zbyt szczupłe.

Ale uśmiech, który rozświetlił mu twarz na jej widok, był zupełnie szczery.

– Lucy! Czy mogę żywić nadzieję... To znaczy, bardzo proszę, wejdź.

Lucy poczuła, jak twardy supeł w okolicy jej serca zaczyna się nieco rozluźniać. Przynajmniej troszeczkę.

– Philipie – powiedziała. – Philipie, wyjdę za ciebie. – Była w duchu zaskoczona, z jakim opanowaniem wypowiada te słowa.

– W takim razie – odrzekł rozpromieniony Philip Schuyler – koniecznie wejdź.

– Aleś się wystroiła! – Dottie oparła się o framugę otwartych drzwi do łazienki, przez ramię miała przewieszoną parę wilgotnych pończoch.

– Dziękuję. – Lucy spokojnie odpięła zgrabnie przykrywający jej ciemne włosy welon. Cały zwój brukselskich koronek. Do ślubu został już tylko jeden dzień, więc przecwiczenie przypinania welonu wydawało się czymś rozsądnym. A lustro w łazience było znacznie większe niż to waziatkie w pokoju Lucy na poddaszu. – Należał do macochy mojego narzeczonego.

Prunella Pratt Schuyler, mocno kręcąc nosem, otwarcie wyrażała swoją dezaprobatę, ale w końcu zaakceptowała megalians, jakiego się dopuszczał jej pasierb, żeniąc się ze swoją sekretarką, a nawet łaskawie pożyczyła welon. Lucy nie miała wątpliwości, że przyczyną nie był wcale odruch serca, lecz kilka sporych

rachunków, które Prunella musiała uregulować. Po chwili wahania Philip przyznał, że dobrą wolę Prunelli udało się mu zaskarbić sutym czekiem.

– Chyba nie masz nic przeciw noszeniu jej welonu, co? – spytał. – To żmija, ale koronka jest przedniego gatunku.

Między innymi właśnie za to, napomniała Lucy siebie w duchu, szanowała Philipa. Kiedy przychodziło co do czego, to pod powłoką nonszalanckiego uroku okazywał się na wskroś uczciwy. Nie okłamywał jej.

– To ani chybi przeczytam o weselu w rubryce towarzyskiej, co? – nie ustępowała Dottie.

Lucy poskładała schludnie koronkowy welon i przewiesiła go przez ramię.

– Ani chybi – zgodziła się, czekając cierpliwie, aż tamta wreszcie usunie się z przejścia.

Bycie panią Schuyler, lub prawie panią Schuyler, ma swoje plusy, pomyślała Lucy z przekąsem. Dottie może sobie kpić, ale tak jak pozostali traktuje teraz Lucy inaczej.

Pokój Lucy na poddaszu świecił pustkami. Jej rzeczy były już spakowane w pudła, jedynie suknia ślubna wisiała uroczyście za zasłonką na ścianie, a koszula nocna leżała w nogach łóżka. Jeszcze tylko jedna noc tutaj i opuści Stornaway House na zawsze. Lucy Young przeistoczy się w panią Schuyler, żonę Philipa.

Stanowczo zamknęła za sobą drzwi do pokoju, odcinając się od ciekawskich spojrzeń innych mieszkanek. Jej historia Kopciuszka budziła ekscytację i zazdrość. Jeśli Lucy potrafiła usidlić Schuylera, to może i dla nich jest jakaś nadzieja?

Uśmiechnęła się gorzko. Czy Kopciuszek nie stwierdzi aby następnego ranka, że pantofelek jest jednak przyciasny? Bardzo się starała dopasować do świata Philipa, żeby nie przynosić mu wstydu, ale nie zawsze było to łatwe. Wiedziała, że ludzie szepczą po kątach, że wszyscy wiedzą, iż była jego sekretarką i „ukradła go Didi, moja droga, tak, zwinęła sprzed nosa, ot tak!”. Szpiegowali i knuli, dlatego Lucy musiała bardzo się starać, aby mieć na twarzy pogodny uśmiech i udawać, że nic jej to wszystko nie obchodzi.

Ogarnęła ją panika. Czy naprawdę zdoła temu sprostać? Jeśli kocha Philipa...

W tym właśnie sęk. Kochała go, tylko że nie tak, jak powinna. Kochała Philipa na tyle, by wiedzieć, że nie kocha go wystarczająco mocno.

Była jednak zbyt samolubna i tchórzliwa, żeby z niego zrezygnować. Bez niego...

Rozległo się pukanie do drzwi. Była to znowu Dottie. Jej głęboko osadzone oczy z ciekawością lustrowały pokój na poddaszu, napawały się widokiem stosu lśniących pudeł na suknie i kapelusze oraz ozdobnej bibuły do pakowania, tak kontrastujących z łuszczącą się farbą i zniszczonymi oknami. W tych wszystkich pakunkach była nowa garderoba Lucy, z którą miała rozpocząć swoje nowe życie

jako małżonka Philipa Schuylera.

– To do ciebie. – Dottie wsunęła do rąk Lucy kopertę i spojrzała na stos pudełek. – Czy to od...

– Dziękuję. – Nie dbając o konwenanse, Lucy zamknęła jej drzwi przed nosem.

Zasunęła zasuwę, mając wrażenie, że papier parzy ją w dłonie. Na zamazanym stemplu pocztowym odczytała słowa CHARLESTON, KAROLINA POŁUDNIOWA. Pospiesznymi, niecierpliwymi ruchami rozdarła kopertę. List był gruby, złożony z wielu kartek zapisanych dużym, zamaszystym charakterem pisma. Swobodnym i potoczystym, pasującym jak ulał do jego chodu, głosu, gestów.

List zaczął się od słów *Najdroższa Lucy*. Wręcz czuła obecność Johna w tym pokoju, przy sobie, jakby stał tuż za nią, niemal czuła na szyi jego ciepły oddech.

Wiem, że nie mam prawa do Ciebie pisać, ale kiedy zobaczyłem anons o Twoich zaręczynach, zdałem sobie sprawę, że nie mogę już dłużej milczeć...

Powinna natychmiast podrzeć list, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Połykała chciwie kolejne słowa, czując, jak kręci jej się w głowie.

...nie jest za późno. Jeszcze możemy być razem. (...) Taka miłość nie zdarza się częściej niż raz w życiu.

Kocham cię, Lucy. Na zawsze Twój.

Czy chcesz popełnić ten sam błąd co nasi rodzice i przeżyć resztę życia w kłamstwie, wiedząc, że mieliśmy miłość w zasięgu ręki i ją odrzuciliśmy?

Wieczory w operze z Philipem, przyklejony uśmiech, udawanie. Niekończące się bankiety. Musiała stale mieć się na baczności, nawet przy narzeczonym. Usilne próby, aby stwarzać pozory, że jest zakochana.

Noce z Johnem, zwinięci w kłębek na łóżku, rozluźnieni, bez robienia czegokolwiek na siłę ani udawania, porozumiewanie się i dotykiem, i słowami, z naturalnym poczuciem powrotu do domu, bycia po prostu sobą, bo zawsze będzie mu wystarczać właśnie taka, jaka jest.

A Philip... Philip wkrótce ochłonie, myślała gorączkowo Lucy, tuląc kartki listu Johna, podczas gdy pod nogami walał się zapomniany welon Prunelli. Pozna inne kobiety. Jest taki wytworny i ujmujący. Wydawało mu się, że jej pragnie, nazywał ją swoim talizmanem, swoją ostoją, ale to w gruncie rzeczy nonsens. Może znaleźć kogoś z własnego świata, kogoś, kto będzie go adorował, tak jak na to zasługuje.

Bilety kolejowe... Jak daleko jest Charleston? Gdy tam dotrze, chyba

zamieszka w jakimś hotelu. John nie napisał, gdzie mogłaby się zatrzymać.

W ogóle nic nie napisał o takich sprawach.

Lucy została boleśnie sprowadzona na ziemię. Powoli usiadła na łóżku i ponownie przejrzała list, szukając konkretów, informacji o tym, gdzie i w jaki sposób mieliby żyć. Nie znalazła nawet wzmianki o rozwodzie. Nic o Annabelle. Tylko zapewnienia o miłości, owszem, piękne, lecz zupełnie jałowe, jak posiłek złożony z bez i szampana, powodujący migrenę i ból brzucha od nadmiaru cukru i bąbelków.

Przyjedź do mnie, bądź ze mną, mieszkaj ze mną, kochaj mnie. Tak, tak, ale jak to wszystko zrobić?

Lucy przyłożyła dłonie do pulsujących boleśnie oczu, czując do Johna miłość i zarazem nienawiść. Czyżby nie wiedział, że rycerz powinien podjechać na koniu i uwolnić księżniczkę uwięzioną w wieży, a nie zostawiać ją na pastwę losu, żeby się sama wydostała? Smoki grasowały nadal, nieposkromione. Annabelle, Cooper, matka Johna, jego siostra, która była przyjaciółką Annabelle.

No i co z Philipem? Naraził się dla niej własnemu środowisku, choć wcale go o to nie prosiła, pomyślała Lucy zgryźliwie, po czym sama się za to zbeształa. Schroniła się przecież pod jego skrzydła, użyła go jako tarczy. Była tak samo winna jak on. A skoro tak, nie mogła go teraz brutalnie porzucić, uciec mu sprzed ołtarza, żeby obgadywały go wszystkie te zręczące matrony z towarzystwa, te trajkoczące przyjaciółki Didi, które byłyby zachwycone, że dostaje nauczkę za to, iż śmiał wybrać sekretarkę, a nie którąś z ich grona.

Lucy powoli pobierała kartki listu. Sam dotyk papieru budził w niej poczucie winy, bo dotykały go ręce Johna, a teraz jej własne, ten papier to było wszystko, co jeszcze ich ze sobą łączyło.

Przez chwilę ścisnęła list w dłoniach. Wciąż pragnęła Johna, wciąż go kochała.

Ale cena była zbyt wysoka.

Czy chcesz popęłnić ten sam błąd co nasi rodzice...?

Oczekała, aż ustaną odgłosy krzątania na korytarzu i wszyscy zamkną się na noc w swoich pokojach. W ciemności doszła po omacku do opustoszałej klatki schodowej. Nocną porą sprawiała wrażenie węższej, bardziej stromej. Schody zdawały się ciągnąć w nieskończoność, a drzwi bez pomocy silnej ręki Johna stawiały opór, zanim wreszcie ustąpiły z głośnym skrzypnięciem.

Pokój był skąpany we wlewającym się przez świetlik w dachu srebrzystoperłowym blasku księżyca. To tu. Tu John ją pocałował. Tu powiedział jej o swojej żonie.

Musiał posprzątać po jej wyjściu, bo szkiełki zniknęły z podłogi, chińska skrzynia była zamknięta, a cegły nad kominkiem znalazły się na swoim miejscu.

Przemknęło jej przez głowę, że może tym razem mechanizm zawiedzie, ale

tak się nie stało. Kiedy nacisnęła tarczę rycerza, cegły wysunęły się płynnie i bezgłośnie, jakby tylko czekały na jej dotyk. Wewnątrz widniały smutne ślady romansu jej matki z Harrym Pratem: jego list, raport detektywa.

Bez zastanowienia wrzuciła list Johna na wierzch pliku papierów.

– Przykro mi, mamó – szepnęła do pustego pokoju. – Sprawy nie zawsze układają się tak, jak byśmy chcieli, prawda?

Blask księżyca odbijał się w tarczy rycerza tak samo jak dawno temu na fresku w jej pokoju.

Są chwile pocieszenia. Lucy miała wrażenie, jakby gdzieś z oddali dobiegał do niej głos matki, i powróciło wspomnienie, jak późno w nocy siedzi przytulona do niej w małym łóżku w sąsiedniej dzielnicy. *Życie nie zawsze toczy się zgodnie z oczekiwaniami, ale są chwile pocieszenia.*

Przez moment wydawało jej się, że rozpoznaje zapach lawendy i słyszy szelest długiej nakrochmalonej spódnicy matki, ale wrażenie to rozplynęło się równie szybko, jak się pojawiło, i w pokoju skrywającym swoje tajemnice pod srebrną powłoczką księżycowej poświaty znowu zapadła cisza.

– Do widzenia – rzuciła Lucy nie wiedząc do kogo, zamykając za sobą drzwi, po czym zeszła na dół, aby powitać nowy dzień.

Kate

– Kate?

Podniosłam wzrok, uświadomiwszy sobie, że ktoś po raz kolejny wypowiada moje imię. Zamrugałam, próbując sobie przypomnieć, gdzie jestem i po co, i z kim. Choć i tak nie miało to większego znaczenia. Podobnie zresztą jak wszystko.

– Kate, masz ochotę jeszcze zapalić?

Zamrugałam ponownie, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie imię doktora Greeleya. Byłby pewnie mile połączony, gdybym nawet poza szpitalem tytułowała go doktorem, więc nie wysilałam nadmiernie pamięci. Postukałam palcami po blacie jego biurka, po czym zaciągnęłam się ostatni raz i zgasłam papierosa w szklanej popielniczce.

– Nie, dziękuję. Powinam wracać do pacjentów.

Jego ręka znalazła się pod moim ramieniem, ale się nie odsunęłam. Nie żebym zamierzała przyjmować jego zaloty, po prostu nie miałam już siły go odtrącać, tak jak nie miałam siły jeść ani odbierać telefonów Margie.

Doktor Greeley nachylił się z uśmiechem, który można by nazwać po prostu lubieżnym.

– Musi być miło znowu mieć pokój wyłącznie do swojej dyspozycji.

Pomyślałam o opustoszałym pokoju na poddaszu, znowu opróżnionym, bez dwóch dodatkowych łóżek i wszelkiego zbędnego umeblowania, które kiedyś nadawało mu tak przytulną atmosferę, i stłumiłam ogarniający mnie dreszcz. Patrząc mu prosto w oczy, powiedziałam:

– Śpię ze skalpelem pod poduszką i wiem, jak go użyć.

Puścił moje ramię, pozwalając mi się odsunąć. Zacisnął usta.

– Jestem cierpliwym człowiekiem, Kate, ale nawet moja cierpliwość ma swoje granice.

Otworzyłam drzwi gabinetu, zastanawiając się nad ripostą, i niemal nadziałam się na podniesioną rękę siostry Hathaway, która już miała zapukać do drzwi. Uśmiechnęła się promiennie.

– Miałam nadzieję, że właśnie tutaj panią znajdę. Jakoś nikt nie wiedział, gdzie się pani podziała.

Odwzajemniłam jej uśmiech, dziękując za to, że znowu wybawiła mnie z opresji. Na szczęście odkąd Cooper wyjechał, miała nade mną pieczę, bo poruszałam się trochę jak dziecko we mgle, tracąc orientację i wpadając na ściany. Mogłam polegać jedynie na swojej wiedzy medycznej i zaufaniu do siebie jako lekarki oraz na umiejętności leczenia i pielęgnowania pacjentów. Pocieszająca,

niemal krzepiąca była myśl, że podjęłam właściwą decyzję, pozwalając Cooperowi zniknąć z mojego życia. Niemal.

– Siostra Hathaway! – powiedziałam. – Właśnie wychodziłam.

– To się świetnie składa. Ma pani gościa.

Poczułam ukłucie w sercu, a ona musiała dostrzec mój wyraz twarzy, bo jej uśmiech przybladł.

– To pani Prunella Schuyler. Mówi, że jest pani krewną.

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem.

– Jest tutaj? W szpitalu?

– Tak. Zaprosiłam ją do gabinetu konsultacyjnego, gdzie będą panie miały nieco prywatności, gdybyście chciały porozmawiać. Podać może herbatę?

– Byłoby cudownie...

– Ona nie ma czasu – wtrącił się doktor Greeley, spoglądając na zegarek. – Za dwadzieścia minut obchód.

– Dziękuję za przypomnienie – powiedziałam, odwracając się do niego plecami, i wyszłam z jego gabinetu, zmierzając korytarzem do tego samego pokoju za witrażowymi drzwiami, w którym siedziałam z Margie, gdy przyszła mi opowiedzieć, czego dowiedziała się w bibliotece o rodzinie Prattów.

– Przybyła z pokojówką – szepnęła siostra Hathaway – więc nie będzie pani z nią sama.

Podziękowałam skinieniem głowy, zapukałam i weszłam do gabinetu.

Mona była bez białego fartuszka i czepka, ale miała na sobie tę samą czarną sfatygowaną sukienkę. Gdy się pojawiłam, wstała i się uśmiechnęła.

– Mówiłam pani szanownej, że grzecznie byłoby się wcześniej zapowiedzieć, ale nie chciała słuchać.

Zdejmując palec po palcu rękawiczki, Prunella zgromiła pokojówkę wzrokiem.

– Wystarczy, Mona. Na następne piętnaście minut możesz się oddalić.

Przytrzymałam drzwi, przepuszczając Monę.

– Proszę iść na dół, do holu. Są tam krzesła, a pielęgniarka pokaże pani, gdzie jest kawa.

Prunella, ubrana na czarno, wyglądała jak kruk na tle obitej szkarłatną tapicerką sofę. Z etoli na jej ramionach wpatrywały się we mnie oczy lisa. Prunella przycisnęła do nosa nakrochmaloną białą chusteczkę.

– To okropne, ilu ludzi kręci się po rezydencji mojego ojca. Pewnie przewraca się w grobie. – Miałam wrażenie, że słowo „ludzie” wypowiedziała podobnie, jak mogłaby wypowiedzieć słowo „śmieci”.

– Co za miła niespodzianka, ciociu Prunello. Nie przypuszczałam, że tak szybko znowu się zobaczymy.

Pociągnęła nosem.

– Miałam już dość czekania, aż mnie odwiedzisz. Mogę nie dożyć chwili, kiedy znajdziesz dla mnie czas, więc sama się pofatygowałam. Zresztą mam ci coś do powiedzenia.

– Ja cioci również. Ale może by ciocia chciała, żebym najpierw oprowadziła ją po domu i pokazała, jak tu się wszystko zmieniło od czasu, kiedy ciocia tu mieszkała?

– Ależ broń Boże! W zupełności wystarczy mi zapach tych zmian, który czuję, odkąd tu weszłam.

Nie czekając na przyzwolenie, usiadłam na krześle naprzeciwko niej.

– Ciociu Prunello, czy wiedziała ciocia, że nad kominkiem na poddaszu jest skrytka?

Zrobiła wielkie oczy, ale pokręciła przecząco głową.

– Nie, Harry używał pokoju na poddaszu jako pracowni i nigdy nie pozwalał mi tam zaglądać, a tym bardziej nie pokazywał żadnych tajnych schowków. Rzecz jasna raz na jakiś czas udawało mi się zakraść na poddasze, żeby sprawdzić, co też tam kombinuje, i widziałam te wszystkie płótna stojące wzdłuż ścian. W końcu je odziedziczyłam, ale tylko dlatego, że uznano, iż nie są na tyle cenne, aby wystawiać je na licytację. – Ściszyła pod koniec głos w zadumie. Spojrzała na mnie: – A właściwie czemu pytasz?

– Znalazłam tam kilka ukrytych listów, przypuszczalnie napisanych przez Harry'ego. I list do mojej matki Lucy, córki Olive. – Przyjrzałam jej się bacznie, ale nawet nie drgnęła, albo z powodu kindersztuby, albo dlatego, że już wiedziała. I pierścionek zaręczynowy, niemal dodałam, ale nie przeszło mi to przez gardło. Ból i poczucie straty były jeszcze zbyt świeże, zbyt dotkliwie. Kiedyś jej o tym powiem. Ale nie dzisiaj.

– Czy jest tam coś o tym, gdzie się podział Harry? – spytała, pochylając się lekko do przodu.

– Niezupełnie, ale wraz z jednym z naszych pacjentów, kapitanem Cooperem Ravenem, natknęliśmy się zupełnie przypadkowo na pewne informacje. Odkryliśmy, że gdy Olive wyszła za mojego dziadka, Harry zmienił nazwisko na Augustus Ravenel.

Prunella się ożywiła.

– Augustus. Wiesz, mój ojciec miał na drugie August. A starszy z moich braci bliźniaków miał na imię Gus.

– Co się z nim stało? – spytałam i od razu tego pożałowałam, bo zbladła.

– Zginął. W bójce w jakimś barze. – Pokręciła głową zde gustowana. – Zmarł tuż przed zniknięciem Harry'ego. To wszystko było dość... nieprzyjemne. – Przytknęła chustkę do ust, jakby je osuszała. – Czy wiadomo, co się działo z Harrym, kiedy opuścił Nowy Jork?

– Tylko dość ogólnie. Po krótkim pobycie na Kubie przeniósł się do

Charleston, gdzie stał się znanym malarzem. Miał nawet kilka wystaw tutaj, w Nowym Jorku, na które zabierała mnie matka, gdy byłam dzieckiem, choć wtedy zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że Harry i Augustus to jeden i ten sam człowiek. – Zamilkłam, patrząc, jak dłoń Prunelli zaciska się i rozluźnia na uchwycie laski. – Kapitan Ravenel jest wnukiem Harry’ego.

Jej oczy rozjaśnił słaby blask.

– Czy kapitan Ravenel jeszcze tu jest? Chciałabym go poznać. Ostatniego z Prattów...

Poczułam ucisk w gardle i ledwo powstrzymałam łzy, które cisnęły mi się do oczu na każdą myśl o Cooperze.

– To niemożliwe. Został wypisany w ubiegłym miesiącu i wrócił do domu w Charleston. W listopadzie się żeni.

Przyjrzała mi się uważnie, jakbym wyjawiała zbyt wiele, po czym oparła się swobodnie na sofie, a jej twarz złagodniała.

– Więc Harry jednak się ożenił i miał dzieci.

– Tak. Ale nigdy nie zapomniał o Olive ani ona o nim. – Wyciągnęłam spod bluzki rubinowy naszyjnik. – Właśnie tak to do mnie trafiło. A namalowaną przez siebie miniaturę przedstawiającą Olive w tym naszyjniku Harry przekazał swojemu synowi Johnowi, a ten z kolei Cooperowi. Cooper mi ją pokazał.

Prunella dokładnie obejrzała naszyjnik, a potem podniosła na mnie wzrok, mówiąc:

– Wiesz, jesteś do niej bardzo podobna. Tak jak i twoja matka. Zauważyłam to już za pierwszym razem, gdy Philip przyprowadził Lucy, aby mi ją przedstawić. To stąd wiedziałam, że Olive nie wyjechała wraz z Harrym.

Zamilkła na chwilę, a do mnie dotarło, że cały czas zdawała sobie sprawę, co łączyło Lucy i Olive. Prunella ciągnęła:

– Nigdy nie byłam w stanie pojąć, jak twoja matka zdołała usidlić mojego pasierba, choć uważałam, że zrobiła to z premedytacją. Ale nie mogłam nic powiedzieć, no bo byłaś ty, taka słodka i radosna. Byłaś dla mnie jak córka, której nie miałam. Wiem, że nie okazywałam ci tego, ale zawsze cieszyłam się na twoje wizyty. To było jedyne światełko w moim dość niewesołym życiu. – Wykrzywiła usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Olive nie ukradła tego naszyjnika, prawda?

Prunella spojrzała na swoje zadbane delikatne dłonie.

– Nie. Byłam rozzalona, chyba nawet chciałam się zemścić. Widzisz, wydawało mi się, że jestem zakochana w jej ojcu.

Zmierzyła mnie przeszywającym spojrzeniem, ale nie zareagowałam. Wiedziałam, że powie mi jeszcze więcej, jeśli pokażę jej, że nie jestem zbulwersowana jej wyznaniem. Że nie jestem tu po to, aby ją osądzać.

– Ale on mnie odtrącił, bo wolał inną. Nie mam mu tego za złe. Byłam

rozpieszczoną dziewczyną i nie miałam pojęcia o miłości. To zrozumiałe, że mnie odtrącił. Ale byłam wtedy zła, bo nie przywykłam do tego, że ktoś mi odmawia. Więc kiedy zobaczyłam, że Olive nosi ten naszyjnik, nie mieściło mi się w głowie, że mój brat mógł ofiarować pokojówce, *pokojówce*, coś tak cennego, bez względu na to, skąd się wzięło.

– Co ciocia ma na myśli?

– Nie znasz tej części historii?

Pokręciłam głową przecząco.

– Nie zaskarbiłam sobie względów ojca Olive, ale komuś innemu się to udało. Widzisz, ten naszyjnik był prezentem od kochanka mojej matki. – Przerwała, po czym dodała: – Ojca Olive.

Oszołomiona zerwałam się z krzesła.

– Ale dlaczego Olive zatrudniła się w tej rezydencji? Wydawało mi się, że jako córka architekta była osobą wykształconą. Z pewnością miała do wyboru inne możliwości niż być pokojówką w rezydencji zaprojektowanej przez jej ojca i pracować dla jego kochanki.

– Zemsta, moja droga, zwykła zemsta. Chciała zrujnować mojego ojca. Ale przejrzałam ją i jej plany. Nie miała szans, aby stać się jedną z nas. W końcu jej ojciec, chociaż się wybił, zaczynał jako zwykły rzemieślnik.

Zaczęłam chodzić w tę i we w tę po pokoju, żałując, że nie mogę się tym wszystkim podzielić z Cooperem. Ale nie było go tu. Wrócił do Charleston, gdzie za niespełna dwa miesiące miał wziąć ślub z Caroline.

– A więc ciocia zorientowała się, kim jest Olive, i zagroziła jej, że jeśli nie odejdzie, to ciocia powie o wszystkim Harry’emu. Czy to właśnie miała ciocia na myśli, kiedy powiedziała mi, że chciałaby go jeszcze spotkać i przeprosić za coś okropnego, co mu zrobiła?

Czułam, jak wycieka ze mnie cała energia na myśl o tym, że tak jak rozchodzą się kręgi na wodzie wywołane przez wrzucony do stawu kamyczek, tak samo dzieje się ze skutkami takiego kłamstwa przez dziesiątki lat. Opadłam z powrotem na krzesło.

– Czy ciocia przyszła, żeby to właśnie mi powiedzieć?

Spojrzała na mnie wyniośle, unosząc brew.

– Po części. Sama się przekonasz, droga Kate, że wraz z upływem lat ludzie czują coraz większą potrzebę, aby wyznać swoje przewiny i naprawić niegdysiejsze błędy. Rola, jaką odegrałam w sadze Harry’ego i Olive, jest tylko jednym z grzechów, które moim zdaniem wymagają zadośćuczynienia. Jestem pewna, że przyjdą mi do głowy kolejne. Przede wszystkim chciałam jednak podzielić się z tobą radą, której niestety nikt mi nie dał, kiedy byłam w twoim wieku. Pewnie bym jej i tak nie posłuchała, ale mogła mi ona oszczędzić sporo zgrzytot. Ale ty jesteś kobietą, Kate. O wiele mądrzejszą niż ja wtedy. Dlatego mam nadzieję, że

weźmiesz sobie tę radę do serca.

Ku mojemu zaskoczeniu oparła laskę o ścianę i wyciągnęła ku mnie dłonie. Zawahałam się przez krótką chwilę, po czym zrobiłam to samo. Jej skóra była chłodna i cienka jak pergamin, krucha jak jesienny liść.

– Idź za głosem serca. Jeśli zawsze będziesz dawać pierwszeństwo rozumowi, skończysz tak jak ja. Rozczarowania i żal to bardzo kiepscy towarzysze.

Rozległo się krótkie pukanie i w uchylonych drzwiach ukazała się głowa Mony.

– Jesteśmy już gotowe, pani Schuyler?

– Ty też się nie spieszyłaś, prawda? Mam nadzieję, że uraczyłaś się kawą i ciastem, bo w domu już nie masz na co liczyć.

Nie przestając się uśmiechać, Mona wzięła opartą o ścianę laskę i pomogła Prunelli się podnieść.

Pocałowałam Prunellę w policzek.

– Dziękuję – powiedziałam. – Za wszystko.

– Tak, cóż, następnym razem nie każ mi się tu fatygować. Przecież wiesz, gdzie mieszkam. A kiedy twój kapitan znowu cię odwiedzi, chcę go poznać.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale wraz z Moną poczęły się energicznie zbierać. Zdążyłam się jeszcze pożegnać i obserwowałam, jak wychodzą. Zmierzając ku windzie, Prunella z podniesioną głową wyglądała tak, jakby nadal była tu panią na włościach.

Usiadłam z powrotem na krześle i przez dłuższą chwilę patrzyłam w ścianę. Rozczarowania i żal. Czy to możliwe, że starając się za wszelką cenę ich uniknąć, nieopatrznie się na nie skazałam, podążając tą samą drogą co Olive i Lucy? No i Prunella. Czyżby nauka zawsze musiała iść w las?

Zamknęłam oczy, a świat drgnął pod moimi stopami i w sercu zatliło się coś na kształt nadziei. Podniosłam się i wyszłam z gabinetu, a nogi po raz pierwszy od wielu tygodni poniosły mnie pewnie w określonym kierunku.

PAŹDZIERNIK 1944

Pielęgniarka w rejestracji patrzyła na mnie rozeźlona, zasłaniając dłonią słuchawkę telefonu.

– Doktor Schuyler, chciałam pani przypomnieć, że ten numer telefonu jest przeznaczony tylko do celów służbowych.

Oparłam się pokusie, aby wyrwać jej słuchawkę, a zamiast tego powiedziałam z uśmiechem:

– Tak, wiem o tym i przepraszam. To musi być jakiś nagły wypadek, skoro ktoś dzwoni do mnie pod ten numer.

– Miejmy nadzieję, że tak. Bardzo nie chciałabym zgłaszać tego doktorowi Greeleyowi.

– Tak, miejmy nadzieję, że to rzeczywiście jakiś nagły wypadek. – Mój sarkazm trafił w próżnię i pielęgniarka podała mi niechętnie słuchawkę, wypowiadając bezgłośnie:

– Tylko szybko.

– Margie? Wszystko w porządku?

– Jak najbardziej. Tylko że mamy nawał pracy, a dwoje moich współpracowników choruje, więc wszystko jest na mojej głowie. Nie mogę się dziś z tobą spotkać w parku na lunch.

Poczułam większy zawód, niż powinnam. Przez ostatni miesiąc Margie bardzo mnie wspierała. Pomogła mi napisać do Coopera pierwszy list o tym, że zmieniałam zdanie. Wpadła na pomysł, żeby korzystać ze szpitalnej papeterii, tak aby wyglądało to na oficjalną korespondencję ze szpitala i nikomu niepowołałemu nie wpadło do głowy jej otwierać. Napisałam trzy listy, każdy bardziej szczerzy niż poprzedni, i wszystkie wysłałam na adres jego domu rodzinnego przy ulicy Tradd, gdzie dorastał i gdzie obecnie mieszkał ze swoją owdowiałą matką.

Każdy tydzień bez odpowiedzi pogłębiał moje zniechęcenie i to Margie przez ten czas dodawała mi otuchy i podtrzymywała na duchu. Moje początkowe zdecydowanie zaczęło jednak ustępować zwątpieniu i każdy kolejny dzień wydawał się coraz mroczniejszy. „Rozczarowania i żal”. Początkowo te słowa Prunelli mnie motywowały, ale wraz z upływem czasu zaczęłam je postrzegać jako swoje przeznaczenie.

– Rozumiem. To może w piątek? – zaproponowałam, siląc się na lekki ton.

– Zobaczymy. Mimo wszystko uważam, że powinnaś dzisiaj wyjść. Robi się teraz tak pięknie, a liście w parku zaczęły zmieniać kolor. Usiądź na naszej ławce i udawaj, że też tam jestem. Zapewniam cię, że gdy tylko wystawisz twarz do słońca, od razu poczujesz się lepiej.

– Pewnie – powiedziałam. – Może tak zrobię.

– Koniecznie – zaordynowała Margie. – Pozwól, że choć raz to ja zabawię się w lekarkę.

Pielęgniarka zaczęła ostentacyjnie stukać w zegarek na przegubie.

– Muszę już kończyć. Zadzwonię... – Wyrwała mi słuchawkę, zanim zdążyłam się pożegnać.

Poszłam po pudełko z lunchem, naciągnęłam na siebie sweter i wyszłam z budynku. Margie miała rację. Upał i wilgoć odchodzącego lata ustąpiły miejsca pierwszym oznakom jesieni – gdy przecinałam Piątą Aleję, od strony parku dobiegł mnie rześki powiew. Poczułam się nieco lepiej, gdy okazało się, że nasza ławka jest pusta. Usiadłam, zwracając twarz ku słońcu. Na chwilę udało mi się nawet zapomnieć o tym, co mi ciąży na sercu. Ale tylko na chwilę.

Kątem oka dostrzegłam, że ktoś się zbliża, ale nie odwróciłam głowy, spodziewając się, że przechodzień pójdzie dalej. Zamknęłam oczy, rozkoszując się

promieniami słońca, i nie otworzyłam ich, nawet gdy poczułam, że ktoś siada na drugim końcu ławki. Wychowałam się w mieście, więc nauczyłam trzymać się z dala od obcych i nie zwracać uwagi na to, jeśli ktoś usiadł na tej samej ławce.

Po chwili otworzyłam oczy i zajęłam się otwieraniem pudełka z lunchem.

– Kiedy dorastałem w Karolinie Południowej, powiedziano mi, że wszystkie jankeski są brzydkie jak noc. Ale potem poznałem ciebie i okazało się, że to wierutna bzdura.

Wbiłam wzrok w lśniący metal pudełka na lunch, zastanawiając się, czy śnieć i czy jeśli spojrzę na drugi koniec ławki, ktoś w ogóle tam będzie. Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Powoli odwróciłam głowę. Z jednym łokciem opartym na ławce i swobodnie skrzyżowanymi przed sobą nogami siedział Cooper w cywilnym ubraniu. Przyglądał mi się spod odchyłonego do tyłu kapelusza.

– Cześć, Kate.

Zerwałam się z ławki, zapominając o pudełku na kolanach, i ledwie odnotowałam jego brzęk na chodniku oraz toczące się po ziemi jabłko. On także wstał, zostawiwszy kapelusz na ławce, odsłonił ciemne włosy, już dłuższe, lekko zawijające się wokół uszu.

– Co ty tutaj robisz? – Nie zabrzmiało to zbyt przyjaźnie, ale żadne inne słowa nie przyszły mi do głowy.

Uśmiechnął się szeroko.

– Margie powiedziała mi, że tu będziesz.

Potrząsnęłam głową.

– Nie o to mi chodzi. Co w ogóle robisz w Nowym Jorku?

– Przeczytałem twoje listy. Wszystkie. Przyjechałbym prędzej, ale miałem pewną sprawę do załatwienia.

– Caroline?

– Owszem. Już po wszystkim. Zresztą było po wszystkim, jeszcze zanim dostałem twój pierwszy list. Powiedziałem jej, że nie mogę wziąć ślubu, czując, że kocham inną kobietę. Nawet jeśli ta kobieta powiedziała, że mnie nie kocha, i sądziłem, że już nigdy jej nie zobaczę.

Zamilkł, pozwalając, aby dotarła do mnie waga tych słów.

– Pozwoliłem, aby to ona zerwała zaręczyny i w ten sposób wyszła z honorem. Już spotyka się z kimś innym.

Zrobiłam krok w jego kierunku.

– Tyle mam ci do opowiedzenia.

– Później – stwierdził, podchodząc do mnie i biorąc w objęcia.

Jego pocałunek był inny i zarazem znajomy, delikatny i zarazem intensywny. Przeczesał palcami jego włosy, czułam, jakby przeszłość przestała istnieć i pozostała tylko teraźniejszość barwy ścielących się u naszych stóp

różnokolorowych liści.

Trzymał moją głowę delikatnie w dłoniach i dotknął swoim czołem mojego.

– Kocham cię, Kate. Chcę spędzić życie z tobą. Możemy mieszkać tutaj albo w Charleston, albo w Timbaktu. Wszystko mi jedno gdzie, bylebyśmy byli razem. Ty możesz być lekarką, a ja właścicielem galerii sztuki. Powiedz tylko, że chcesz ze mną być.

– Tak – szepnęłam. – Tak! – krzyknęłam. – Kocham cię, Cooperze Ravenel, i pójdę za tobą na koniec świata.

Minęła nas trzymająca się za ręce para starszaków. Mężczyzna puścił oko, cmokając żonę w policzek.

Cooper spoważniał, wpatrując się we mnie.

– Doszedłem do tego, dlaczego nasi rodzice się nie pobrali. Coś w tym liście mojego ojca do twojej matki nie dawało mi spokoju, aż wreszcie pojąłem, o co chodziło. O datę na liście. Napisał go w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku.

Uniosłam brwi, nie pojmując, co ma na myśli.

– Moi rodzice pobrali się w siedemnastym, a ja urodziłem się w osiemnastym.

Poczułam, jak usta otwierają mi się z wrażenia.

– Cóż, to z pewnością wyjaśnia...

Słowa zamarły mi w gardle, gdy Cooper ujął moją lewą dłoń i wsunął mi na serdeczny palec pierścionek. Ten sam, który kiedyś kupił dla mojej babki Olive jej ukochany i który potem przez ponad pięćdziesiąt lat tkwił zapomniany w ciemnym schowku, gdzie żaden promień światła nie mógł ożywić tkwiącego w nim brylantu. Teraz iskrzył się na moim palcu w blasku słońca, pełen obietnic i nadziei.

Cooper pocałował mnie jeszcze raz, a silny powiew wiatru zaszeleścił liśćmi na ścieżce wokół nas i strącił następne z pobliskich drzew. Spojrzałam na mknące po jesiennym niebie chmury.

– Wierzysz w przeznaczenie? – spytałam.

– Niewykluczone. Albo w niewyczerpaną moc miłości. – Na jego ustach pojawił się uśmiech. – Zresztą może to wszystko sprawka Margie. Ma dużą zdolność przekonywania.

Zaśmiałam się i tym razem to ja wspięłam się na palce i pocałowałam go z wdzięcznością, mocno obejmując. Wokół nas tętniło życie miasta, w tym zakątku świata, gdzie nad ulicami górowały dostojne stare rezydencje, gdzie nic się nie zmieniało i zmieniało się wszystko i gdzie wbrew wszelkim przeciwnościom losu miłość wreszcie znalazła spełnienie w domu przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, w zapomnianym pokoju na poddaszu.

Epilog

Sylwester 1893

Harry

Ku jego zaskoczeniu w pokoju absolutnie nic się nie zmieniło. Może firmie aukcyjnej nie chciało się zawracać sobie głowy znajdującymi się tutaj bezwartościowymi resztkami mebli, a może nikt się tutaj w ogóle nie zapuścił. Oto chińska skrzynia, pewnie nadal pełna jego rysunków, oto przechylona lekko sztaluga. Wysłużony szezlong pokryty wytartym aksamitem, leżąca pośrodku podłogi owcza skóra z rozrzuconymi na niej poduszkami... od której zresztą szybko odwrócił wzrok. W końcu dawka tęsknoty, jaką człowiek może znieść, ma pewną miarę.

Rzecz w tym, że wcale nie zamierzał tutaj wchodzić. Chciał dać temu wszystkiemu spokój. Jeśli gazety mówiły prawdę, jego ojca spotkało po prostu to, na co zasłużył. Stracił majątek w wyniku typowych dla Wall Street szwindli, które miały zatuszować poniesione straty, lecz prowadziły do kolejnych i ostatecznie pograżyły kilka tysięcy niewinnych akcjonariuszy z klasy średniej, a przy okazji ze dwa banki. Prunella? Potrafiła się o siebie zatroszczyć, co do tego nie było żadnych wątpliwości. A Gus – biedaczyna – Gus nie żył.

Olive nadal była zameżna, a człowiek honoru – Harry lubił o sobie myśleć, że mimo wszystko zachował w sobie jeszcze jakiś ślad przyzwoitości – nic nie mógł na to poradzić.

Miała córkę. Gość od Pinkertona przesłał mu w zeszłym miesiącu notatkę. Dziewczynka urodziła się nad piekarnią w dzień po Święcie Dziękczynienia i nazwali ją Lucy. Harry przeczytał notatkę i zmówił modlitwę za matkę i córkę, po czym cisnął dokument do kuchennego pieca i patrzył, jak płonie. Z zamkniętymi oczami wyobraził sobie Olive trzymającą córeczkę przy piersi, córeczkę, która nie była jego dzieckiem, i poczuł tak bolesny ucisk w sercu, że przez chwilę myślał, iż to zawał. Niech mi ktoś pomoże. Przyszła Maria i spytała, co on, na miłość boską, wyprawia, gapiąc się tak w ten ogień. „Nic” – odparł. Spytała, czy coś może dla niego zrobić, a on po prostu odwrócił się do niej bez słowa i wziął ją do łóżka, gdzie spędzili większość popołudnia, a w Boże Narodzenie powiedziała mu: „Jestem w ciąży, *señor. Feliz navidad*”.

Następnego ranka był już na statku do Miami. Potem wsiadł w pociąg do Nowego Jorku.

I oto był tutaj, gdzie nic się nie zmieniło i zarazem wszystko. Nikt już tu nie mieszkał, nikt nie spał z kimś na tej owczej skórze, zaznając nieba. Nikt nie tańczył już w sali balowej w jedwabiach i biżuterii i nikt nie szkicował w świetle lampy czyichś pięknych białych piersi. Nikt tu nie mieszkał, nie kochał i nie płakał.

Zostały tylko meble i wspomnienia.

Boże, te wspomnienia.

Spodziewał się, że to będzie bolesne, że rozglądanie się po starych kątach nieuchronnie przywoła wspomnienia i naprawdę natarły na niego, jedno po drugim, jak spienione fale na plażę przed huraganem. Spotkanie Olive na schodach, w świetle księżycy. Szkicowanie Olive. Olive w czarnej sukience i białym fartuszku, chowająca się za rogiem. Olive leżąca jak nimfa na starych aksamitnych poduszkach, Harry klęczący nad nią, Olive podnosząca ramiona, aby przyciągnąć go do siebie, objąć nogami i odrzucić do tyłu głowę, jakby osiągała już szczyt rozkoszy, po którym pojawiał się jednak kolejny...

Niezwykła twarz Olive, jej ogromne sarnie oczy, jej temperament i tęsknota, jej dążenia.

I zniknięcie Olive.

Ten straszny poranek. Samotne przebudzenie, odgłosy jakiegoś zamieszania. Biedny głupi Gus, wniesiony na wpół martwy do swojego pokoju. Coraz bardziej desperackie szukanie Olive. Jej pokój posprzątany, ani śladu jej kuferka. „Wygląda na to, że dała drapaka”, rzuciła kucharka, kręcąc z niedowierzaniem głową, a gospościa pobiegła do kredensu przeliczyć srebra.

Malował jak w obłędzie, bo nie mógł robić nic innego w oczekiwaniu na jakąś wiadomość. Malować, do diabła. To było przelewanie na tę cholerną ścianę całej zawartości serca. A kiedy ją odnajdą – tak właśnie wyobrażał sobie tę chwilę, gdy ona do niego wróci – nie padnie z jego ust nawet jedno oskarżenie, nawet cień wyrzutu, że złamała mu serce. Weźmie ją w objęcia i pokaże fresk, który namalował pod jej nieobecność. To dla ciebie, Olive. To jesteś ty, Olive.

Właśnie tak bardzo cię kocham, Olive Van Alan, córko zatrudnionego przez mojego ojca architekta, człowieka, który widząc moje zainteresowanie rysunkiem, uczył mnie szkicowania i pewnego razu opowiedział mi o swojej olśniewającej córce imieniem Olive, swoim oczku w głowie. Tylko nie potrafiłaś mi zaufać na tyle, żeby mi powiedzieć, kim jesteś. Czekałem i czekałem, bo chciałem, żebyś mi wreszcie naprawdę zaufała. Ale tak nigdy się nie stało.

Zamiast tego uciekłaś i poślubiłaś pierwszego z brzegu mężczyznę.

Hansa Jungmanna.

Harry poklepał z przodu marynarkę, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął pierwszy raport, jaki dostał z agencji Pinkertona. W środku była fotografia Jungmanna. Spojrzał na nią kiedyś tylko raz, ale nie potrafił tej twarzy zapomnieć. Tej masywnej, okrągłej, uśmiechniętej twarzy idioty. Bary jak u wołu. Wielki kałdun. Dziesiątego stycznia wieczorem, półtora tygodnia po tym, jak Olive wstała z łóżka Harry'ego – no, w każdym razie z posłania – pozwoliła temu grubemu niemieckiemu bydlakowi wejść na siebie i zrobić z siebie jego żonę. Po pewnym okresie ćwiczeń, a Jungmann wyglądał na takiego, któremu to potrzebne, splodzili

dziecko.

To jedno niewyraźne zdjęcie pchnęło Harry'ego na Kubę i w ramiona tylu kobiet, że nie zdołał ich wszystkich spamiętać, aż wreszcie znużony tą rozpustą, niejako przyzwyczał się do pięknej Marii, miłszej i wierniejszej od pozostałych, która ponadto świetnie gotowała. W końcu i oni spółdzili dziecko. „*Estoy embarazada, señor*. Wesołych świąt, Harry, będziesz ojcem”.

Stare krzesło z ratanową plecionką wciąż stało na swoim miejscu przy sztaludze. Harry przykucnął i oparł łokcie na kolanach, wpatrując się w złożony list, który trzymał w ręku. Była prawie północ, kończąca ten rok. Ten niespodziewany rok, który potoczył się zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażał dwanaście miesięcy wcześniej, kiedy zapadał w błogi sen w objęciach Olive. Mieli się wybrać do Włoch, zamieszkać w jakimś skromnym pokoiku we Florencji albo gdzieś w zaniedbanym domku w Fiesole, a to dziecko, które Olive tuliła do piersi, miało być jego dzieckiem. Wtedy już nawet kupił pierścionek. Wszystko zaplanował. Zamierzał poprosić ją o rękę w chwili, kiedy w Nowy Rok wszędzie słońce. Cóż za romantyk z poczciwego Harry'ego Pratta...

To marzenie było tak bliskie spełnienia! Tak mało brakowało – gdyby nie kilka minut na zegarze, gdyby Olive była może nieco mniej honorowa albo trochę bardziej senna, wtedy byłby ojcem dziecka Olive, a nie Marii.

Czy Olive też o tym rozmyślała? Czy czuwała teraz tak samo jak on w pokoju nad piekarnią w Brooklynie? Zamknął oczy, mając nieomal wrażenie, że widzi ją, jak siedzi na krześle, z dzieckiem w objęciach, a jej opasły niemiecki mąż chrapie smacznie w łóżku za jej plecami.

A jednak z jakiegoś powodu, gdy tak siedział teraz w tym pełnym wspomnień pokoju i obserwował, jak na podłogę przed nim wlewa się przez świetlik ta sama co niegdyś księżycowa poświata, nie czuł do tego człowieka urazy. Po raz pierwszy nie czuł niechęci do Hansa Jungmanna ani dziecka, które ten spółdził z Olive, dziewczynki, która winna była być córką Harry'ego. Ból serca go nie opuścił, ale stał się jakby cieplejszy, a kiedy wyobrażał sobie twarzyczkę dziecka leżącego w zmęczonych ramionach Olive, ta udręka przeistoczyła się w jakąś przepełniającą go bezgraniczną czułość. W przebaczenie, miłość. W niewytłumaczalną pewność, że w pewnym sensie było to jednak *jego* dziecko. Że obie wraz z Olive już na zawsze należą do niego, że zajmują jakąś przestrzeń w jego sercu, która nigdy nie zniknie.

Harry otworzył oczy. Znajomy pokój ponownie się wokół niego zmaterializował. To, co się tu kiedyś wydarzyło, przeminęło bezpowrotnie. Może po prostu miał szczęście, że w ogóle coś takiego przeżył, choć trwało to tylko kilka tygodni.

Zwrócił głowę ku ścianie z kominkiem. Oczywiście się w nim nie paliło, ale została tam kupka popiołu, stwardniała przez ten rok od wilgoci. Podniósł wzrok na

obudowę kominka i widniejące nad nią kafle.

Podczas owego pierwszego zwiariowanego tygodnia 1893 roku ze dwa albo i trzy razy dziennie wysuwał cegły ze ściany w nadziei, że znajdzie tam jakąś wiadomość od Olive. Ale schowek za każdym razem był beznadziejnie pusty, dlatego ostatniego dnia, kiedy Harry zbierał farby i rysunki, już tam nie zajrzał. Był na nią zbyt wściekły. Zbyt wściekły na siebie. I na Boga.

Wstał z krzesła i podszedł do obudowy kominka. Cegły jak zwykle łatwo wysunęły się ze ściany. W powietrzu zawirowały drobinki kurzu i zaprawy. Wewnątrz skrytki wymacał krawędź czegoś twardego.

Na chwilę zamknął oczy i trwał tak z ręką w skrytce. To tak jak czasem bywa jeszcze przed wypiciem pierwszego łyku, kiedy nie chcąc niczego przyspieszać, człowiek delektuje się samym widokiem kieliszka wyjątkowego wina. Tyle w każdym razie nauczył się od Olive. Nie należy ponaglać czegoś, co zdarza się tylko raz i przemija na zawsze.

Wyjął przedmiot ze schowka.

Zawinęła go w kwadratowy skrawek starego aksamitu. Harry wsunął kopertę pod pachę i niespiesznie odwinął rogi tkaniny. Na wierzchu leżała mała złożona karteczka. Rozwinął ją nieco drżącymi palcami.

Przyjmij to na pamiątkę od tej, która zawsze będzie Cię kochać.

Oczy wypełniły mu się, do cholery, łzami, tak że kiedy spojrzął na miniaturę, nie mógł zobaczyć tego, co przedstawia. Ujrzeć rysów tej kochanej, szlachetnej twarzy, wyrazu jej oczu. Ale nie musiał. Znał każde pociągnięcie pędzla. Przecież sam ją namalował, i to dokładnie tak, jak chciał ją zapamiętać. Jakby przeczuwał, że któregoś dnia będzie mu ta podobizna potrzebna.

Przez szyby w oknach, a może przez świetlik dobiegł stłumiony wybuch radości. *Dong, dong*, rozspiewał się dzwon na odległej wieży kościelnej. Pewnie w modnym ostatnio kościele pod wezwaniem świętego Jakuba, gdzie siostra Harry'ego poślubiła swoją zdobycz, tego wysokiego blondyna, którego miły dzieciak wiecznie płatał się pod nogami w nadziei, że ktoś zwróci na niego uwagę.

Nastał 1894 rok. Pora ruszać dalej.

Harry zawinął miniaturę wraz ze złożoną karteczką w aksamit i ostrożnie wsunął pakiecik do wewnętrznej kieszeni marynarki. W skrytce nad kominkiem umieścił raport Pinkertona, a po chwili wahania również nabazgrane przez siebie kartki do Olive, których w końcu nigdy nie wysłał. Może pewnego dnia ona tu wstąpi i je znajdzie. Nigdy nic nie wiadomo.

Oparł ręce na obudowie kominka i stał tak przez chwilę, wpatrywał się w trzy kafle z terakoty – kontemplował karmazynową postać świętego Jerzego z triumfalnie uniesionym ku niebu mieczem. A kiedy stało się to nie do zniesienia, zrobił kilka kroków w stronę kąta pokoju.

Miał wówczas zamiar wrzucić pudełeczko do paleniska, ale jego ręka była

litościwsza – albo rozsądniejsza – niż wściekła głowa i wpadło między płótna ustawione po prawej stronie kominka. Błysnęła mu wtedy myśl, aby je odszukać, ale tego nie zrobił, tylko zebrał przybory malarskie.

Teraz odsuwał na bok drewniane ramy w poczuciu, że byłby to cud, gdyby owo pudełeczko jeszcze tam było. Jak na mężczyznę zamierzającego utrzymać żonę i teściową za granicą wykosztował się wtedy znacznie bardziej, niż powinien. Taką małą fortunę, choćby rzuconą gdzieś w ciemny kąt, musiał przecież ktoś zauważyć...

A jednak! Kwadratowe pudełeczko, z którego zawartością wiązał kiedyś wszystkie życiowe nadzieje, tkwiło zaklinowane między jednym z pustych płócien a ścianą. Schylił się i je podniósł. Aksamit był miękki jak nowy.

Nie otworzył pudranka. Czuł, że to ponad jego siły. Podszedł do kominka, sięgnął do wnętrza skrytki pod świętym Jerzym i wymacawszy czubkami palców ścianę, zostawił je tam. Na samym końcu wnęki, żeby nie było zbyt widoczne. Aby je odkryć, trzeba było dobrze się postarać.

Umieścił na poprzednim miejscu cegły, które trudniej się wsuwało, niż wysuwało, po czym odwrócił się, aby po raz ostatni zlustrować pokój.

Rok temu w pośpiechu nie zabrał stąd wszystkiego. Zostawił swoje dawne obrazy, a w chińskiej skrzyni szkice przedstawiające Olive. Poza tym trochę farb i węgli do szkicowania. Cóż, niech zostaną. Może nowy właściciel zrobi z nich jakiś użytek.

Podszedł szybko do drzwi i zbiegł po schodach, nie chcąc zatrzymywać się w miejscu, gdzie po raz pierwszy zobaczył twarz Olive, ani w tym niebiańskim zakątku, gdzie wzięła ją opartą o ścianę, bo ponaglany żądzą nowej miłości nie mógł czekać ani chwili dłużej, a ona – równie roznamiętniona – niemal go wchłonęła. Pamiętał, jak później stał przy niej, wsłuchując się w bicie jej serca, wciągając w płuca jej oddech i snując myśli, że jest najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem i że nie sposób nawiązać z inną istotą ludzką doskonalszej więzi. I tak też było.

Dotarłszy do drzwi, którymi wychodziło się na podest czwartego piętra, przystanął.

Ukończył malowanie fresku w środku nocy, a następnego dnia dostał list z agencji Pinkertona. Od tamtej pory nie oglądał swojego dzieła. Właściwie to mało brakowało, a chwyciłby wtedy puszkę terpentyny i starł z powierzchni ziemi te naiwne, idealistyczne obrazki. Wstydział się ich, wstydział swojej romantycznej donkiszoterii i szczeniackich złudzeń. To, co później rysował i malował na Kubie, w niczym nie przypominało średniowiecznych alegorii. Teraz był bezwzględny w swoim realizmie, bezkompromisowy, twardy, przenikliwy – zupełnie inny człowiek. Chciał pokazywać prawdę.

Ale minął już rok i Harry był ciekaw, czy fresk przetrwał, czy może został

zamalowany. A jeśli zniknął, to czy zniknął też dawny Harry? Czy jego przeszłość została wymazana i została tylko teraźniejszość?

Gdyby jego dziecko – ta nowa istota, którą powołał z Marią do życia w paroksyzmie rozpaczliwej tęsknoty za inną kobietą, za innym życiem – gdyby to dziecko pojawiło się tu kiedyś, chcąc się czegoś dowiedzieć o młodych latach ojca, czy coś by w ogóle znalazło?

Harry położył dłoń na gałce i pchnął drzwi.

Zapomniał już, jak piękny jest ten imponujący słup przestrzeni, wznoszący się ku szklanej kopule. Kiedyś, gdy to wszystko było jeszcze w budowie, Van Alan pokazał mu rysunki, lecz efekt końcowy naprawdę zapierał dech w piersiach. Powietrze wypełnione było sącącym się z góry srebrzystym księżycowym blaskiem, dającym akurat tyle światła, aby widzieć stopnie i zejść krok po kroku niżej.

Fresk nadal tam był, tak samo świeży jak w dniu, kiedy Harry go namalował. W pobliżu unosiła się znajoma, charakterystyczna woń mieszaniny oleju i gipsu. Harry westchnął z ulgą, jakby właśnie znalazł dowód, że jeszcze żyje. Stał tam przez jakiś czas, kontemplując swoją pracę, jednym postaciom przyglądał się z uznaniem, innym krytycznie, oceniał dobór barw, przypominał sobie pomysłowy sposób, w jaki oddał załamane światła na łuskach smoka, co stwarzało wrażenie jakiegoś niezziemskiego blasku – tak, to był całkiem udany akcent. Na dole widniał jego podpis: H. Pratt. Dobry Boże, ależ z niego był wtedy dzieciak, jakaż duma go rozpierała, że stworzył takie чудо.

Księżyc wędrował po niebie i światło zaczęło zanikać. Harry przesunął palcem po świętym Jerzym, który już na zawsze będzie o krok od popełnienia mordu, i pomyślał, że może pewnego dnia jego dziecko będzie stać w tym samym miejscu i oglądać dzieło ojca. Dzieło człowieka, którym kiedyś był jego ojciec. I pewnie będzie się zastanawiało, jakie to pokrętne ścieżki poprowadziły Harry'ego Pratta z tego wyidealizowanego świata marzeń przy Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy na Kubę, do Marii, ku życiu, którego nigdy by się nie spodziewał.

Po chwili odwrócił się i ponownie wszedł po schodach na szóste piętro, do pokoju, który na rok popadł w zapomnienie, pełnego kurzu i wspomnień. Pozbierał resztę farb, wziął fartuch malarski i kilka starych pędzli, które musiały mu teraz wystarczyć.

Wrócił na dół i wziął się do pracy.

¹ W. Szekspir, *Hamlet*, akt 3, sc. 4, tłum. J. Paszkowski (przyp. tłum.).

² *Feliz navidad* (hiszp.) – *Wesołych świąt* (przyp. tłum.).

